PODWÓJNE WYDANIE NA MAJÓWKĘ

Specjalne dodatki: Art Salon • 20 lat Polski w Unii

POLITYKA.PL

POLITYKA

172 STRONY

Złodzieje rowerów

i inne opowieści:

- Seks na wsi
- Kobiety Trumpa
- Misja Podolskiego
- Epidemia autyzmu
- Co się stało z Boeingiem
- Ukryte sensacje komisji śledczych
- Bitwa na flagi
- Z jak Zendaya

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

ISSN 0032-3500
9 770032 350404 18

CUBE STORE
NOWY SALON ROWEROWY
SKI TEAM WROCŁAW
UL. GRABISZYŃSKA 167

Rowery Dziecięce do -20%

Najnowsze kolekcje -10%

do 30 RAT RRSO 0% lub 50 RAT bez odsetek Odroczenie spłaty RAT na 3 miesiące!

Ceny promocyjne obowiązują od pierwszej ceny na metce. Promocja nie obejmuje przedsprzedaży rowerów Cube z kolekcji 2025 oraz rowerów z serii Nuroad i Nulane. Szczegóły promocji oraz rowery objęte promocją znajdziesz w regulaminie i na skiteam.pl

ski team

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | WARSZAWA: ul. Toruńska 107b
POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a | KATOWICE: ul. Sportowa 20
WROCŁAW: Grabiszyńska 167 (otwarcie 19.04.2024)

Poniedziałek - Sobota 11:00 - 20:00 | Niedziela: Nieczynne
Niedziele handlowe: 12:00 - 16:00

Kupuj wygodnie na skiteam.pl

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

POLITYKA w numerze **18/19** [24.04–7.05.2024]

24 Jaki znak twój

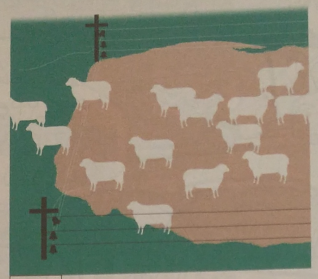

34 Bezduch w Kościele

110 Skandal z końską twarzą

Temat tygodnia

12 Juliusz Ćwieluch **Rowery – kto je kradnie, dokąd trafiają**

Polityka

16 Rafał Kalukin **Komisje śledcze: co ujawniono i co to dało**

19 Robert Krasowski **„Klucz do Kaczyńskiego" – fragment najnowszej książki**

Społeczeństwo

24 Ewa Wilk **Bitwa na symbole, godła, flagi**

28 Joanna Cieśla **Dorośli w spektrum autyzmu**

31 Marcin Piątek **Lukas Podolski: nowe role utalentowanego piłkarza**

34 Rozmowa z **Ignacym Dudkiewiczem** o tym, jak strach i bezwład rządzą polskim Kościołem

37 Joanna Podgórska **Ptasia ostoja**

41 Od euforii do realizmu – rozmowa z ministrem **Radosławem Sikorskim**

45 Łukasz Wójcik **Wspólne interesy i linie podziału**

49 Jędrzej Winiecki **Pokolenie Erasmusa**

52 Tomasz Bielecki **Co mogą europosłowie**

54 Edwin Bendyk **Czarne wizje Zielonego Ładu**

56 Piotr Buras **Wieczne reformy**

58 **Twarde liczby, niezbite fakty**

Rynek

64 Andrzej Lubowski **Co się stało z Boeingiem**

107 Juliusz Ćwieluch **Polska bez amunicji**

ARTSALON

67–106 • **Niezwykłe projekty, fascynujący artyści**

Świat

110 Mariusz Zawadzki USA **Kobiety kontra Trump**

114 Katarzyna Tubylewicz SZWECJA **Eurowizja i antysemityzm**

Nauka/projektpulsar.pl

118 Krzysztof Potaczała **Dzikie zwierzęta wchodzą do miast**

121 Andrzej Hołdys **Pluton w Los Alamos**

Historia

126 Tomasz Wiślicz **Życie seksualne chłopów**

130 NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI: **nominacje**

Kultura

146 Ola Salwa **Zendaya: idolka dwudziestolatków**

149 Łukasz Kamiński **The Cure: 35-lecie kultowej płyty**

152 Janusz Wróblewski **Wstrząsające dokumenty – jak traktowano rdzenne narody**

155 Edwin Bendyk **Ukraina: kultura w wojennych czasach**

158 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

164–169 • **Majówka w duchu yutori**
• **Miejsca liminalne**
• **Co się oddaje**
• **Kobiece sieci wsparcia**
• **Architektura dla zwierząt**
• **Szlakiem wielkich odkryć**
• **Wino do grilla**

Stałe rubryki

• **4** Mleczko i Mizerski
• **6** Przypisy • **7** Ludzie i wydarzenia
• **142** Afisz • **159** Agata Passent
• **160** Wicha • **161** Chutnik i Plebanek
• **162** Do i od redakcji
• **170** Polityka i obyczaje

Uwaga, Czytelnicy! Następny numer POLITYKI ukaże się **w środę 8 maja**. Polecamy!

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

[ANDRZEJ MLECZKO]

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Od Zachodu nadciąga horror

W obronie prześladowanych w Polsce katolików napisano już wiele artykułów i jeden projekt ustawy, który postuluje zamykanie osób prześladujących katolików w więzieniach. Nic dziwnego, będąc katolikiem w Polsce, człowiek boi się nawet pójść do kina, bo nie wie, czy w wyświetlanym tam filmie on lub jego Kościół nie zostaną wyszydzeni i ośmieszeni.

Niestety prognozy dla katolików nie są dobre: czytam, że od Zachodu nadciąga nad Polskę horror w postaci filmu produkcji amerykańskiej „Niepokalana", którego akcja toczy się w klasztorze. Ci, którzy mieli okazję film zobaczyć, ostrzegają przed atmosferą diabolicznośći, seksualnego podniecenia oraz licznymi zwrotami akcji. Padają oskarżenia, że obraz jest bluźnierczy, satanistyczny, feministyczny, proaborcyjny oraz poniża chrześcijan i Marię, matkę Chrystusa, zwłaszcza w scenie, gdy bohaterka – siostra zakonna – odkrywa, że jest w ciąży, a lekarz stwierdza niepokalane poczęcie.

Szanse, że „Niepokalana" do Polski nie dotrze, oszczędzając umysły Polaków, są niewielkie. Na szczęście jest trochę czasu, żeby się przygotować i podjąć stosowne krucjaty. Z tym że same modlitwy raczej nie wystarczą – być może prezes Kaczyński powinien poruszyć temat w jednym z wystąpień? Nie wiem też, czy Narodowa Straż Kościelna Roberta Bąkiewicza nie będzie musiała z różańcami w rękach bronić dostępu do kin albo zagłuszać bluźnierczych dialogów patriotycznymi wystąpieniami Bąkiewicza przez megafon.

Pytanie, jak przed „Niepokalaną" obronić młodzież szkolną, zwłaszcza gdy frekwencja na lekcjach religii maleje, a rząd Tuska likwiduje prace domowe, dając uczniom więcej czasu na chodzenie do kina. Niestety podręcznik do nauki HiT, który miał zwrócić uwagę uczniów na poważniejsze sprawy, takie jak Bóg, Ojczyzna, zamach smoleński czy problematyka znęcania się nad zarodkami przy produkcji ludzi metodą in vitro, został właśnie wycofany ze szkół.

W każdym razie trzeba działać już, bo potem będzie za późno. Wiadomo, jak mocno umysły polskich dzieci zatruły filmy takie jak ten o kotku Hello Kitty. Mimo wysiłków katechetów i katechetek próby wybicia tego kotka dzieciom z główek do dziś nie przyniosły rezultatu. Diabła z głów zatrutych tego rodzaju filmami można by oczywiście wypędzić salcesonem, niestety jedynego księdza specjalistę od zwalczania szatana tą wędliną (którego dzieła mocno wsparli finansowo PiS i były minister Czarnek) nowa władza zamknęła i szybko raczej nie wypuści.

Albatros travel

Opera w Weronie – Aida i Placido Domingo

Spełnij marzenie o wieczorze operowym w słynnej werońskiej Arenie. Wybierz się na światowej klasy operę w starożytnym rzymskim amfiteatrze. Opera pod gołym niebem, w ciepły letni wieczór, to nie lada uczta dla melomana.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Wizyta w Bergamo i czas wolny. Nocleg w okolicy Werony. **Dz. 2** Wizyta w winiarni (dodatkowa płatna), zwiedzanie Werony i koncert Placido Domingo. **Dz. 3** Średniowieczne miasto Borghetto, Jezioro Garda i opera Aida. **Dz. 4** Jezioro Como i powrót z Mediolanu do Warszawy.

4 dni | Wylot z Warszawy 20/08 2024 | 4.998,-

NOWOŚĆ

Klasyczna Anglia

Zobacz największe atrakcje Anglii: od Stonehenge i Windsoru – rezydencji królów angielskich, po rzymskie miasto Bath i dom narodzin Churchilla – Pałac Blenheim.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Londyn. Oksford oczami inspektora Morse'a i dolina Tamizy detektywa Barnaby'ego. **Dz. 2** Zwiedzanie Windsoru wraz z rezydencją królów angielskich. **Dz. 3** Szekspir i Stratford-upon-Avon oraz zachwycające krajobrazy Cotswolds z Chipping Campden. **Dz. 4** Pałac Blenheim i angielski urok Bibury. **Dz. 5** Rzymskie miasto Bath. **Dz. 6** Stonehenge, Salisbury i Bournemouth. **Dz. 7** Bournemouth – Portsmouth. Powrót do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy 07/08 2024

7.998,-

Albania nieznana i Czarnogóra

Poznaj z nami ten nieznany zakątek Europy z jego fantastyczną naturą i pięknymi starożytnymi miastami oraz doskonałą kuchnią i winem, oraz sąsiednią Czarnogórę.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Tirana. Przyjazd do stolicy Albanii. **Dz. 2** Tirana – Elbasan – Berat – Saranda. **Dz. 3** Saranda – Gjirokastra – Saranda. Twierdza Argjiro, muzeum Ismaila Kadaresa, "Błękitne Oko" i wizyta w winnicy. **Dz. 4** Saranda – Ksamil – Vlora. Kąpielisko Ksamil, wizyta u lokalnej rodziny w Himarze i zwiedzanie miasta Vlora. **Dz. 5** Vlora – Apollonia – Szkodra. Rzymskie ruiny w Apollonii i przyjazd do Szkodry. **Dz. 6** Szkodra – Budva – Cetinje – Szkodra. Wycieczka do Czarnogóry. Spacer po mieście Budva i wizyta w królewskim mieście Cetinje. **Dz. 7** Szkodra – Kruja. Zwiedzanie miasta Szkodra, zamku Kruja i Muzeum Skanderbega. **Dz. 8** Kruja – Tirana – Warszawa. Czas wolny i wyjazd na lotnisko.

8 dni | Wylot z Warszawy 18/09 2024 | 5.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL16

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Układ kalendarza

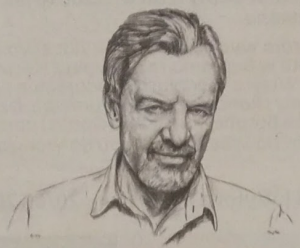

Jerzy Baczyński

Takiego układu kalendarza jeszcze nie było. Tegoroczna długa majówka, dająca się rozciągnąć nawet na 9 dni, wypadła dokładnie pośrodku między kolejnymi wyborami: samorządowymi 7 kwietnia i europejskimi 9 czerwca. W polityce więc nie będzie majówki. Ruszą partyjne i personalne układanki po dokończonych w drugiej turze wyborach lokalnych. (Wyniki, tym razem wyjątkowo dobre dla koalicji 15 października, a zwłaszcza dla kandydatów Koalicji Obywatelskiej, omawiamy na s. 7). Będą tworzone sojusze w radach i sejmikach, wybierane zarządy i marszałkowie województw; w wielu miastach, gdzie nastąpiły zmiany na stanowiskach prezydentów i burmistrzów, zacznie się kadrowy ruch w urzędach. A jednocześnie każdy dzień majowego Triduum – Święto Pracy, Flagi i Konstytucji, politycy będą już wpisywali w nową krótką kampanię przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Kalendarz daje tu jeszcze jeden, jubileuszowy, pretekst: 1 maja mija równo 20 lat od oficjalnego wejścia Polski do Unii Europejskiej, uroczystego podniesienia gwiaździstej flagi przed państwowymi urzędami, na przejściach granicznych, a wtedy także przed tysiącami polskich domów, na podwórkach, biurach, przystankach, na autach, gdziekolwiek.

W dzisiejszych cynicznych czasach aż głupio przypominać ówczesny entuzjazm i euforię; młodym rocznikom pewnie trudno byłoby uwierzyć, że na placu Piłsudskiego w Warszawie (gdzie też stałem w wielotysięcznym tłumie) ludzie płakali, rzucali się sobie na szyję, tańczyli dzikie tańce, kiedy po odegraniu polskiego hymnu, a potem „Ody do radości", o północy 1 maja flagi polska i unijna po raz pierwszy razem powędrowały na maszt. Dla pokoleń powojennych, peerelowskich to było jedno z najważniejszych wydarzeń w życiu, spełnienie niemożliwego marzenia, eksplozja nadziei i optymizmu. Po latach przygotowań stawaliśmy się oto częścią Zachodu, lepszego, kolorowego, trochę jeszcze bajkowego i idealizowanego świata, na który patrzyliśmy z naszej komunistycznej prowincji z fascynacją, zazdrością, poczuciem niższości, historycznej krzywdy.

Nie wiem, jak będą wyglądały oficjalne obchody tego 20-lecia; ale, po prawdzie, niewiele się spodziewam. Jakoś nie potrafimy urządzać narodowych świąt i festynów; co więcej, prezydent, czyli główny celebrans kraju, i jego obóz są jawnie antyeuropejscy, a rząd też chyba nie ma głowy ani nastroju do świętowania; i w ogóle sprawia wrażenie, jakby – po latach pisowskich przedstawień – brzydził się państwowej propagandy. Może więc chociaż jakieś prywatne, małe, majówkowe obchody? Niebieska flaga, obok polskiej, przed dom? Przygrillowy toaścik „za ciotkę Unię"? Należałoby się.

Przygotowaliśmy do tego specjalnego wydania POLITYKI obszerny, 24-stronicowy raport pt. „Weszliśmy! I co z tego wyszło?", coś w rodzaju bilansu 20-lecia Polski w Unii, także w formie niezwykle ciekawych infografik. To jest obraz największego w polskiej historii skoku cywilizacyjnego. Czytam: w 2004 r. nasze PKB na głowę wynosiło (według porównywalnych miar) 24 tys. zł, co stanowiło 47 proc. średniej unijnej; dziś to ponad 81 tys. zł i już 80 proc. średniej. W tym czasie otrzymaliśmy z europejskiego budżetu aż 235 mld euro (157 mld netto), kolejne miliardy – także na specjalny pocovidowy Krajowy Plan Odbudowy – już płyną. Jesteśmy spośród dziesiątki państw, które razem z nami wchodziły do Unii, największym beneficjentem europejskiej solidarności. Czy Polacy to wiedzą, doceniają? Wciąż aż 85 proc. popiera nasze członkostwo, ale już np. w badaniu Eurobarometru, gdzie pytano o samo postrzeganie Wspólnoty, tylko 51 proc. Polaków potwierdziło jednoznacznie pozytywną opinię o UE (38 proc. deklarowało „neutralną", 11 proc. negatywną), co w rankingu euroentuzjazmu ulokowało nas dopiero na 10 miejscu (pierwsza była Portugalia, ostatnie Czechy). Radosław Sikorski mówi POLITYCE, że to PiS „ośmioma latami nienawistnej, kłamliwej propagandy o Unii Europejskiej zaszczepił w Polsce potwora eurofobii". Jakie ten potwór ma rozmiary, okaże się 9 czerwca.

Ta Unia, o której teraz będziemy przez miesiąc rozprawiać, pozostaje, mimo pozornej siły, tworem delikatnym, kruchym; idzie pod prąd wypełnionej krwawymi konfliktami europejskiej historii, jest niezwykłym w skali świata społecznym i psychologicznym eksperymentem. I wielkim sukcesem. Mimo całego wybrzydzania na eurokratów widzieliśmy przecież, jak ta Unia zupełnie dobrze dawała sobie radę z kolejnymi potężnymi kryzysami: finansowym z lat 2009–12, z wielką falą migracyjną 2015 r., z pandemią covidu, jak, powoli i ze zgrzytami, zorganizowała, w sumie imponującą, materialną i militarną pomoc dla Ukrainy. Ale dziś do wszystkich wyzwań zewnętrznych, tych, które już znamy i które nadejdą, trzeba dorzucić niebezpieczeństwo wewnętrzne: antyunijny populizm zdolny rozsadzić Unię.

Wszyscy europejscy „suwereniści", jak nasz PiS czy Konfederacja, oskarżają „Brukselę" o to, że narzuca standardy i normy sprzeczne jakoby z naszą (polską, włoską, hiszpańską etc.) kulturą, tradycją, interesami. My w Polsce dobrze wiemy, na czym polega ta manipulacja: istotą 8-letnich rządów PiS było przecież działanie „bez żadnego trybu", według woli, fobii i kaprysów jednego człowieka, który (jak pisze na s. 19 Robert Krasowski) całe państwo zamienił w żerowisko dla partyjnego aparatu. Komisje śledcze (omawiamy je na s. 16), ale także państwowe instytucje kontrolne i prokuratorzy, krok po kroku odsłaniają skalę i skutki tego zawłaszczenia państwa. Unia, ze swoimi standardami praworządności, przejrzystości, konsultacji, solidaryzmu musi „suwerenistom" bardzo przeszkadzać.

Wybory do Parlamentu Europejskiego będą miały w skali kontynentu podobny charakter, jak nasze wybory październikowe: plebiscytu „raczej za" wzmocnieniem Unii, czy „raczej za" jej stopniową dekompozycją. Co Polacy wybiorą? Wyniki wyborów samorządowych, choć w sumie korzystne dla demokratów, pokazują, że ponad połowa obywateli zapewne znowu nie zechce się pofatygować do urn. Mamy na to wiele wyjaśnień – najczęstsze: że Polacy są zmęczeni polityką i już trzecimi czy czwartymi w ciągu kilku miesięcy głosowaniami – ale to w sumie przerażające. Wybory samorządowe odbywają się raz na pięć lat, europejskie raz na cztery, a po 9 czerwca czeka nas rok już bez żadnych głosowań.

Nasza obywatelskość faluje: mamy momenty mobilizacji i entuzjazmu, jak w referendum unijnym sprzed 20 lat czy rekordowym październiku 2023, ale i demokratycznej smuty, obojętności, absencji, jak teraz, kiedy – cytując prof. Przemysława Sadurę – „wygrała koalicja grilla i kanapy" (niestety, także wśród demokratycznych polityków, którzy wyraźnie odpuścili kampanię samorządową). Więc sugerowałbym taki układ politycznego kalendarza: po majówce mobilizacja do czerwcowych wyborów – skuteczniejsza niż do kwietniowych – a zaraz potem rekonstrukcja rządu, odświeżenie koalicyjnego sojuszu, nowe kadrowe oraz programowe otwarcie. Polityka nie skończyła się 15 października. Zwolennicy Polski demokratycznej, samorządowej, nowoczesnej, europejskiej naprawdę mają czego bronić. I wciąż mają przed kim.

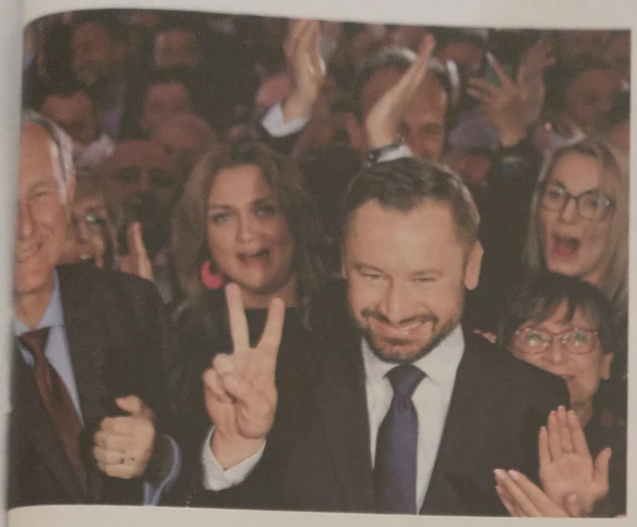

Gorączka niedzielnej nocy

Donald Tusk ogłosił zwycięstwo. „Chyba wygraliśmy drugą turę. Nie zatrzymamy się" – pisał na gorąco w serwisie X. W powyborczy poniedziałek na konferencji prasowej dodał, że oczywiście samorządowi kandydaci są często niezależni, ale ci kojarzeni z PiS przegrali. W większości miejscowości burmistrzami, wójtami i prezydentami zostali politycy popierani przez partie rządzące.

Na ostatniej prostej kampanii najgoręcej było we Wrocławiu i w Krakowie. Do sensacji nie dopuścił Jacek Sutryk, który pewnie wywalczył reelekcję wynikiem 68,29 proc., ale przy rekordowo niskiej frekwencji. Więcej nerwów kosztował kandydatów pojedynek wieczoru – a nawet nocy – w Krakowie.

Wyniki exit poll pokazały, że wygrał **Aleksander Miszalski** z KO, ale z przewagą w granicy błędu pomiarowego. Oczekiwanie na oficjalny komunikat PKW trwało do drugiej w nocy, a emocje podgrzewały pierwsze spływające wyniki komisji, które długo dawały wygraną Łukaszowi Gibale. Ostatecznie to Miszalski będzie prezydentem – wygrał o włos 51:49 przewagą 5 tys. głosów.

Sukces odnieśli również: Jacek Jaśkowiak (Poznań), Krzysztof Matyjaszczyk (Częstochowa), Paweł Gulewski (Toruń), Krzysztof Kukucki we Włocławku oraz Aleksandra Kosiorek w Gdyni – tym samym Trójmiasto będzie we władaniu kobiet. Do ostatniej chwili ważyło się zwycięstwo Katarzyny Kuczyńskiej-Budki – żona obecnego ministra aktywów państwowych zdobyła 50,56 proc. głosów i tym samym została, jako pierwsza kobieta w historii, prezydentką Gliwic.

Koalicja 15 października podbiła również bastiony PiS bądź obroniła miasta, w których kandydaci partii Kaczyńskiego cieszyli się niemałym poparciem. To zasługa m.in. Agaty Wojdy (Kielce), Konrada Fijołka (Rzeszów) czy Łukasza Filipowicza (Zakopane). Potwierdzili oni zasadę znaną z Sejmu: PiS ma spore poparcie, ale to rządząca koalicja wspólnymi siłami zdobywa większość.

Demokracja wygrała jakością, nie ilością. Zawiodła frekwencja – 44,06 proc. (niższa niż w 2018 r.). Jak przekonuje jeden z doświadczonych polityków KO, wyborcy są już zmęczeni emocjami i głosowaniem. To zła wróżba przed czerwcem, kiedy Polacy udadzą się do urn, aby wybrać europosłów. Dodatkowo we Włocławku, w którym zwyciężył senator Krzysztof Kukucki z Lewicy, trzeba będzie przeprowadzić wybory uzupełniające. Nową twarz zobaczymy również w Sejmie – mandat po Miszalskim obejmie były przewodniczący rady Krakowa Dominik Jaśkowiec.

Kadencja samorządów kończy się 30 kwietnia. Wciąż niepewna jest sytuacja w sejmiku podlaskim, gdzie Prawu i Sprawiedliwości do większości brakuje radnego Konfederacji. Od polityków słyszymy, że „bez funkcji marszałka dla Stanisława Derehajły nie ma o czym rozmawiać". Jeśli się nie uda tego dopiąć, Podlasie czekają przyspieszone wybory. (MTOM)

Eurolisty się domykają

To już pewne: o 53 euromandaty polskie partie powalczą „w takiej konstelacji jak w wyborach samorządowych". Pierwsza wystartowała Konfederacja. 13 marca zgłosiła komitet wyborczy i rozpoczęła kampanię, którą 15 kwietnia oficjalnie inaugurowali jej liderzy. Pod hasłem „Chcemy żyć normalnie" wystartują m.in. Ewa Zajączkowska-Hernik, Anna Bryłka oraz Krystian Kamiński i Marcin Sypniewski. Konfederacja walczy o pięciomandatową „polexitową" reprezentację oraz zerwanie z wizerunkiem partii typowo „męskiej" (to mają zapewnić kandydatki). Lewica decyzję o samodzielnym starcie podjęła zaraz po wyborach samorządowych. Partia stawia na kobiety: Joannę Scheuring-Wielgus, Anitę Kucharską-Dziedzic i Annę Marię Żukowską, ale na listach zobaczymy również m.in. byłego premiera Marka Belkę. Pod znakiem zapytania stoi, czy jedynkę na listach dostanie ktoś z Razem. Komitet, realnie biorąc, walczy o trzy mandaty – z Poznania dla Krzysztofa

Śmiszka, z Warszawy dla Roberta Biedronia i z Katowic dla Łukasza Kohuta. Ostateczne decyzje zostaną ogłoszone 27 kwietnia.

PSL i Polska 2050 kontynuują współpracę. Będą dwa współpracujące sztaby – na czele „żółtego" stanie Michał Kobosko (jedynka z Warszawy). Poza ministrami Krzysztofem Hetmanem oraz Pauliną Hennig-Kloską kandydować będą m.in. Róża Thun, Adam Jarubas i Mirosław Suchoń. Politycy Trzeciej Drogi przekonują, że potwierdzili już swoją pozycję i walczą o nawet 16 mandatów.

Na dniach zapadną ostateczne decyzje „selekcjonera" KO. Pogłoski o starcie zdementowali Borys Budka, Barbara Nowacka i Izabela Leszczyna (Bartłomiej Sienkiewicz nie zaprzeczył). Szefem sztabu może zostać **Bartosz Arłukowicz**. O mandat powalczą przede wszystkim obecni europosłowie, a wesprą ich Kamila Gasiuk-Pihowicz i Dariusz Joński.

PiS stawia na sprawdzony sztab, lokomotywy wyborcze i zasłużonych dla partii ludzi. Kampanią pokieruje Piotr Milowański – autor „samorządowego sukcesu" PiS. Na listach pojawią się: Jacek Kurski, Daniel Obajtek, Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik. Zobaczymy również europosłów: Beatę Szydło, Patryka Jakiego, Dominika Tarczyńskiego, Joachima Brudzińskiego. O start zawalczą też Ryszard Czarnecki i Karol Karski. Przymierzany jest również Tobiasz Bocheński.

Listy na wybory do PE trzeba domknąć i zarejestrować do 2 maja. I europejska kampania nie będzie długa. Wybory już 9 czerwca. (MTOM)

© KONRAD KOZŁOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, BARTOSZ BOBALSKI/FORUM

TYDZIEŃ W POLITYCE

Jak reanimować samorząd

Antoni Dudek
Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii.

Za nami wybory samorządowe. Można i trzeba na nie patrzeć jako na ważne wydarzenie odzwierciedlające obecny układ sił politycznych. Takich analiz powstało już sporo. Znacznie mniejszą uwagę zwrócono jednak przy tej okazji na pogłębiający się kryzys polskiej samorządności. I nie chodzi tu wyłącznie o pełzającą centralizację państwa, jaką uprawiał przez minione osiem lat rząd PiS, krok po kroku nadając ubezwłasnowolnianym finansowo samorządom coraz bardziej fasadowy charakter. Erozja samorządności objawiła się też sytuacją, gdy o mandat radnego starała się tylko jedna osoba albo wręcz brakiem kandydatów do tej roli. Mało tego, w ponad 400 gminach, czyli jednej szóstej wszystkich, w ostatnich wyborach był tylko jeden kandydat na wójta, burmistrza lub prezydenta. Ta liczba w stosunku do 2018 r. wzrosła o niemal 80, co pokazuje, że proces ulega pogłębieniu.

Przyczyn takiego zjawiska jest kilka. Najistotniejszy wydaje się generalnie niski poziom aktywności obywatelskiej Polaków, wyrażający się słabym zaangażowaniem w działalność wszelkich stowarzyszeń i organizacji. Prażródła tkwią w przeszłości: i tej bliższej, z epoki PRL, gdy takie masowe członkostwo wymuszano, i tej odleglejszej, wynikającej z braku własnej państwowości w XIX w., gdy kształtowały się współczesne narody. To wtedy powstały ogromne pokłady społecznej nieufności, a w ślad za nią niechęć do wszelkiej aktywności publicznej. Wydaje się, że długofalowo ten stan rzeczy może zmienić tylko radykalna reforma polskiej szkoły, w której wciąż dominuje mechanizm indywidualnej rywalizacji. Samo odchudzenie programów nauczania – skądinąd nie tylko przeładowanych, ale i dramatycznie odbiegających od realiów współczesności – to tylko pierwszy, najprostszy krok na tej drodze. Znacznie trudniejsze będzie wypełnienie zaoszczędzonego w ten sposób czasu na rozpoczęcie nauczania młodych ludzi najróżniejszych form kooperacji i partycypacji. Będzie trudniejsze, bo wymaga zmiany mentalności większości nauczycieli.

Jednak niewiele to da, jeśli samorząd nie zostanie – i to szybko – wzmocniony przez zagwarantowanie mu w znacząco większej skali dochodów własnych. Można bowiem przekazać samorządom dowolną liczbę kompetencji, ale pozostaną one fikcją, jeśli nie poprzedzi tego reforma systemu podatkowego. Umowa podpisana w listopadzie ub.r. przez liderów koalicji rządowej zapowiada w punkcie 23. poparcie dla „decentralizacji państwa", za czym ma iść wzmocnienie dochodów własnych samorządów m.in. „poprzez zwiększony udział w podatku PIT oraz ponowne przyznanie im decyzyjności w tych obszarach, w których w ostatnich latach ją utraciły". Tyle deklaracje, teraz pora na konkretne działania, bowiem akurat w tej materii weto prezydenta Dudy wydaje się mało prawdopodobne.

Z większaniu kompetencji samorządu powinna też towarzyszyć jego większa transparentność. Nic w tym procesie nie zastąpi lokalnych mediów, które nie przetrwają – albo też w ogóle nie powstaną – bez wsparcia państwa. Wiele z tych istniejących redakcji jest zresztą całkowicie uzależnionych od samorządowych włodarzy, co z oczywistych względów wyklucza ich kontrolną rolę. Dlatego jestem zdania, że pozostały po rządach PiS Narodowy Instytut Wolności powinien zostać zasilony środkami z innych podobnych instytucji, które zostały postawione – albo zaraz będą – w stan likwidacji. A następnie, po wprowadzeniu procedur grantowych wzorowanych na Narodowym Centrum Nauki, Instytut powinien skoncentrować się właśnie na finansowym wspieraniu mediów lokalnych.

Poszukiwacze skarbów w Sejmie

Zabytki ukryte w ziemi są własnością państwa, ale odkąd wykrywacze metali stały się ogólnodostępne, poszukiwanie skarbów wyrosło na nasze narodowe hobby. Eksploratorzy to bardzo zróżnicowana grupa: dominują w niej mężczyźni z zacięciem militarystycznym, pasjonujący się historią wojskowości XX w. Tylko niewielka część zrzeszona jest w organizacjach, takich jak Polski Związek Eksploratorów, co sprawia, że oszacowanie ich liczby jest trudne – sami detektoryści mówią, że jest ich 250 tys., według służb to grupa ok. 35 tys. osób, z których tylko nieliczni zgłaszają się do urzędów konserwatorskich po pozwolenia na legalną eksplorację. Reszta chodzi bezprawnie, rozkopując i niszcząc stanowiska archeologiczne lub miejsca pamięci. Znalezione przez nich zabytki lądują na półkach bądź idą na sprzedaż – w ręce konserwatorów i muzealników trafia ledwie promil artefaktów.

PZE, który od dawna lobbował za wprowadzeniem ułatwień dla poszukiwaczy, w zeszłym roku znalazł dojście do posłów Kukiza oraz Konfederacji i dzięki poparciu PiS 13 lipca przeforsowano nową ustawę. Wedle niej poszukiwacze skarbów od 1 maja tego roku nie muszą już występować o pozwolenia do urzędów konserwatorskich – mają się rejestrować w specjalnej aplikacji, która pokaże im, gdzie mogą legalnie chodzić z wykrywaczami. Przychylną dla hobbystów, ale szkodliwą dla dziedzictwa i drogą nowelę (zakładającą np. wynagradzanie poszukiwaczy za zwrot zabytków) Sejm przepchnął pomimo sprzeciwu środowisk eksperckich, które przestrzegały, że jest to legislacyjny bubel zawierający niewykonalne przepisy (jak wyznaczenie zasięgu stanowisk archeologicznych, których w Krajowej Ewidencji Zabytków Archeologicznych jest ok. 500 tys.). Zwracano uwagę, że w niecały rok nie da się stworzyć aplikacji, a jej brak sprawi, że hobbyści nie będą mogli legalnie poszukiwać. Mimo to przez wiele miesięcy nic się w tej sprawie nie działo. Dopiero pod koniec marca wpłynął do marszałka podpisany przez posłów PSL oraz Bartłomieja Sienkiewicza projekt ustawy, który uchylał zeszłoroczną nowelę. W kwietniu został on jednak odrzucony; podjęto bowiem decyzję o odroczeniu przepisów o rok – choć przedstawiciele ministerstwa szacują, że aplikację uda się stworzyć dopiero w 2027 r.

Poprawka jest procedowana, ale czasu pozostało niewiele. Teoretycznie po 1 maja policjanci powinni zatrzymywać każdą osobę chodzącą z wykrywaczem i konfiskować jej sprzęt, ale trudno sobie wyobrazić, że tak będzie ze względu na „niską szkodliwość czynu" i społeczne przyzwolenie na „realizację swoich pasji". Dotyczy to też obecnie rządzących, bo chociaż w zeszłym roku ówczesna opozycja była przeciwna wprowadzeniu noweli i zarzucała PiS, że pozyskuje głosy poszukiwaczy kosztem dziedzictwa, teraz tę poprawkę po prostu odroczono. Najwyraźniej niezrozumienie, czym jest dziedzictwo i jak należy je chronić, nie ma przynależności partyjnej. (AGKRZ)

ści – to tylko
. Znacznie
ędzonego w ten
młodych ludzi
ypacji. Będzie
ności większo-

d nie zostanie
rantowanie mu
asnych. Można
petencji, ale
systemu podat-
iderów koalicji
ntralizacji pań-
ch samorzą-
raz ponowne
ch w ostatnich
tne działania,
ydaje się mało

owarzyszyć
nie zastąpi
góle nie po-
ych redakcji
ych włodarzy,
lę. Dlatego
Instytut Wol-
obnych insty-
an likwidacji.
wzorowa-
skoncentro-
alnych.

wi, że hob-
szukiwać.
się w tej
koniec mar-
ny przez
kiewicza
łoroczną
nak odrzu-
odroczeniu
iciele mi-
la się stwo-

e cza-
znie
ymywać
czem
sobie
lu na „niską
yzwolenie
y to też
zeszłym
ciwna
iS,
osztem
prostu od-
nie, czym
nić, nie
RZ)

© SHUTTERSTOCK

Tlen dla Ukrainy

Wreszcie jest: po półrocznej blokadzie pomocy dla Ukrainy przez prorosyjskich izolacjonistów z Partii Republikańskiej Izba Reprezentantów przyjęła ustawę o jej kolejnej transzy, wartości 61 mld dol. Na dniach zatwierdzi ją Senat i podpisze Joe Biden. Uchwalone fundusze pozwolą wysłać Ukraińcom dramatycznie potrzebną broń i sprzęt, przede wszystkim amunicję do obrony powietrznej. Łatwo zrozumieć wściekłość Kremla – Kongres nie tylko rzucił im koło ratunkowe, ale i upoważnił prezydenta do przejęcia, w poczet pomocy dla Kijowa, 5 mld dol. w rosyjskich aktywach zamrożonych w ramach sankcji w amerykańskich bankach.

Głównym autorem przełamania impasu jest republikański przewodniczący Izby **Mike Johnson**. Ten nieznany do niedawna, uchodzący za spikera z przypadku ultrakonserwatywny polityk, ulegając frakcji America First w GOP, głosował poprzednio przeciw pomocy dla Ukrainy i nie dopuszczał do głosowania nad wspomnianym pakietem, uchwalonym już dawno przez Senat i obejmującym także pomoc dla Izraela i Tajwanu. Z czasem dał się jednak przekonać kolegom z mainstreamu swojej partii, że stawką jest obrona Europy i całego Zachodu przed rosyjskim imperializmem. Znalazł sposób przeforsowania funduszy dla Kijowa przez głosowanie nad nimi osobno i przeciągnął na swoją stronę wahających się korektami do ustawy, jak zapis, że ekonomiczna pomoc będzie pożyczką. Ustawa przeszła głosami Demokratów i całej połowy Republikanów.

Ekstremiści z republikańskiej „Partii Putina" pod wodzą Marjorie Taylor Greene grozili Johnsonowi, że jeśli zezwoli na pomoc dla Ukrainy, utraci prestiżowe stanowisko, co nowe, wprowadzone w 2023 r. reguły gry w Izbie ułatwiają. Przewodniczący się nie ugiął, dzięki czemu dla niektórych komentatorów został bohaterem na miarę Churchilla. To gruba przesada, zielone światło dla ustawy pomocowej nie wymagało wiele odwagi – wniosek o zdymisjonowanie Johnsona nie uzyskał szerszego poparcia, w jego obronie stanęli Demokraci, oraz... Donald Trump, który także – uwaga! – oświadczył, że „przetrwanie Ukrainy jest dla nas ważne". Spiker zasługuje jednak na uznanie za zręczność w przerwaniu blokady izolacjonistów i budowaniu ponadpartyjnych mostów. Być może doszedł do wniosku, że jeśli nie pozostanie na stanowisku długo – bo republikańscy ultrasi mogą go usunąć przy innej okazji – lepiej szybko zrobić coś, co przyniesie mu chlubę.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Specjalnością Zjednoczonych Emiratów Arabskich są mozaiki.

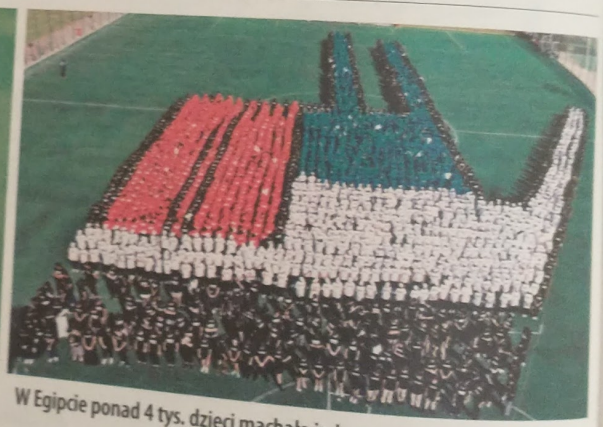

W Egipcie ponad 4 tys. dzieci machało jednocześnie flagą państwową.

Władcy rekordów

Ile naprawdę kosztuje wpis do Księgi rekordów Guinnessa? Takie pytanie postawiła ostatnio m.in. redakcja londyńskiego „Timesa". Jej dziennikarze twierdzą, że organizacja stojąca za legendarną Księgą jest uwikłana w polepszanie wizerunku kilku autorytarnych państw, przede wszystkim Zjednoczonych Emiratów Arabskich (ZEA) i Egiptu. Tamtejsze instytucje miały wykupywać tzw. płatne konsultacje z Guinness World Records, co ma mieć związek z nagłym wysypem rekordów z tych krajów.

Przoduje w tym m.in. policja ZEA, znana z brutalności i łamania praw człowieka. I tak np. emiraccy policjanci stworzyli „najliczniejszy łańcuch połączeń wideo" ze smartfonów (303 osoby) lub przygotowali „największą lekcję świadomości klęsk żywiołowych" (1797 uczestników). Wiele nowych rekordów miało też związek z ochroną środowiska. Tu z kolei wyróżnia się armia Egiptu, która kilka lat temu krwawo stłumiło lokalny ruch arabskiej wiosny i ma duże wpływy w krajowej gospodarce. Otóż egipscy wojskowi kontrolują m.in. „największą plantację daktyli" i „największą stację uzdatniania wody".

Organizacja Guinness World Records odrzuca te oskarżenia i podkreśla, że „rekordów nie można kupić". Ale jeszcze niedawno nie przeszkadzała jej współpraca np. z ówczesnym dyktatorem Turkmenistanu Gurbangułym Berdimuhamedowem. Jego państwo do dziś dzierży liczne rekordy w takich kategoriach jak „najwięcej ludzi śpiewających w kręgu" (oczywiście piosenkę napisaną przez samego prezydenta) lub „najwięcej basenów z fontannami w miejscu publicznym".

Wydawana od 1955 r. Księga rekordów Guinnessa przez lata zajmowała czołowe miejsca na listach bestsellerów, zwłaszcza w okolicach Bożego Narodzenia. Pierwsze wydania zawierały rekordy dość oczywiste, jak „najwyższa góra świata", „najwyższy człowiek na świecie" (Robert Wadlow, 272 cm) itd. Ostatnio koncepcja ta zdaje się jednak wyczerpywać, a rekordy w zgłaszaniu kolejnych rekordów biją już dziś głównie państwa rekordowo zamordystyczne.

Chiny się zapadają

Globalną uwagę zwróciły ustalenia o szybkim tempie zapadania się miast na morskich wybrzeżach Chin. Przedstawili je chińscy badacze, którzy wykorzystali dane pochodzące z satelitów europejskiego programu obserwacji Ziemi Copernicus. Przyjrzeli się osiemdziesiątce największych metropolii kraju. Prawie połowa z nich, zamieszkana przez 29 proc. populacji ChRL, opada przeciętnie 3 mm rocznie. Ale są poważniejsze przypadki – 67 mln obywateli żyje na terenach, które osiadają centymetr na rok. Śródmieście 27-milionowego **Szanghaju** osiadło przez ponad wiek 3 m. Podobnie jest w 15-milionowym Tiencinie, gdzie niedawno ewakuowano prawie 4 tys. osób w okolicznościach przypominających katastrofę górniczą.

Przyczyny są nieźle zbadane, główną winowajczynią jest urbanizacja. Góry betonu – dosłownie, w Chinach standard bloku mieszkalnego zakłada 30 pięter i więcej – wciskają się w podłoże zbudowane z miękkich skał, np. lessu czy gliny. Wpychają się w głąb tym łatwiej, że z warstw pod miastami wypompowywane są wody podziemne. W Tiencinie do wybrzuszeń asfaltu na jezdniach i pęknięć ścian w wieżowcach miały się przyczynić odwierty geotermalne. Z podobnym kłopotem zmaga się Wenecja, za jej osiadanie odpowiadać ma apetyt na wodę sąsiedniej strefy przemysłowej. Pół wieku temu głośno było o 38-milionowym dziś Tokio, które przez ok. 100 lat zapadło się aż o 5 m. Proces ten zatrzymano w latach 70. po wprowadzaniu restrykcyjnie egzekwowanego zakazu poboru wód.

Zjawisko występuje na całym świecie, osiadaniem zagrożone pozostaje 6,3 mln km kw., obszar 20-krotnie większy od Polski. Znany jest przypadek Nowego Orleanu czy indonezyjskiej stolicy, portowej Dżakarty (11 mln mieszkańców), w większości położonej poniżej poziomu morza. W Chinach na razie roczny koszt związany z zapadaniem się miast sięga raptem ok. 1 mld dol. Tyle że prawdziwe problemy dopiero napłyną. Największym zagrożeniem będą fale powodziowe, w ciągu nadchodzącego stulecia znaczna część wybrzeża znajdzie się pod poziomem morza, który intensywnie się przecież podnosi. Narazi to setki milionów osób na ryzyko powodzi lub okresowych zalewów, podobnych do weneckich.

Pokolenie bez dymka

Wielka Brytania chce wprowadzić całkowity zakaz sprzedaży papierosów i innych wyrobów tytoniowych osobom urodzonym po 1 stycznia 2009 r. Taki projekt ustawy, firmowany przez premiera Rishiego Sunaka, poparła olbrzymią większością Izba Gmin. I dodatkowo 59 proc. sondowanych w tej sprawie Brytyjczyków. Prawdopodobnie wszystkie prace i głosowania mogą się zakończyć jeszcze przed planowanymi na drugą połowę roku wyborami i uwiecznić osobę odchodzącego premiera. Ta graniczna data ma oddzielać dwie grupy: dzisiejszych dorosłych palaczy, którzy będą mogli kontynuować nałóg, i nastolatków, którym drastycznie ograniczy się dostęp do tytoniu. Według brytyjskich danych dziewięciu na dziesięciu zagorzałych palaczy wpadło w nałóg w młodości i wielu ciężko żałuje. 80 tys. z nich co roku umiera na powikłania związane z paleniem, a prawie co minutę do ochrony zdrowia zgłasza się pacjent z objawami palacza, co kosztuje 17 mld funtów rocznie.

Inspiracją była Nowa Zelandia, a konkretnie barwna postać premier Jacindy Ardern i jej pionierski pomysł na walkę z dymkiem. Podobny zakaz wiekowy miał tam wejść w życie w lipcu tego roku, ale Partia Pracy przegrała wybory i nowy konserwatywny rząd wycofał projekt, bo potrzebował środków na załatanie dziury w budżecie po obniżeniu podatków.

W Londynie taki bieg spraw nie grozi, bo laburzyści już zapowiedzieli, że jeśli wygrają, dopilnują ustawy. Ale premier nie ma wygranej miny, bo zwycięstwo okazało się mocno pyrrusowe. Rządzący torysi mocno się podzielili: 57 głosowało przeciw ustawie, w tym pięcioro ministrów, a ponad setka wstrzymała się lub nie przyszła. Przeciw projektowi wypowiedziało się też dwoje poprzedników Sunaka. Boris Johnson błysnął komentarzem, że „to jakaś głupota, kiedy partia Winstona Churchilla zabrania palenia cygar", a Liz Truss uznała, że ustawa ogranicza wolność i „prowadzi do infantylizacji społeczeństwa".

REKLAMA

Kielce

Zapraszamy do
OGRODU BOTANICZNEGO W KIELCACH
na spacery, wydarzenia i pikniki
wśród kwiatów, skał i nie tylko...

od 1 maja do 31 października 2024 r.

GEONATURA KIELCE
unesco
GEOPARK ŚWIĘTOKRZYSKI

Zapraszamy również do pozostałych obiektów Geonatury Kielce:

CENTRUM GEOEDUKACJI I REZERWAT „WIETRZNIA"
REZERWAT „ŚLICHOWICE"
PARK I REZERWAT „KADZIELNIA"

Szczegóły na stronie
www.geonatura-kielce.pl

Statystyki kradzieży tego nie mówią, ale śpieszcie się chronić wasze rowery, tak szybko zmieniają właścicieli.

Skręcone rowery

JULIUSZ ĆWIELUCH

Do początku marca Zuzanna Smykała znana była głównie jako olimpijka z Pjongczangu. 20. miejsce nie dało jej medalu. Ale i tak przeszła do historii. Była pierwszą Polką, która na olimpiadzie reprezentowała nasz kraj w snowboard crossie. Po 7 marca wokół Smykały znowu zrobiło się głośno, ale tym razem powodem były rowery.

Niestety kradzione, bo w nocy z 7 na 8 marca jej i jej chłopakowi skradziono dwa rowery elektryczne o łącznej wartości 35 tys. zł. Sprawę nagłośniły lokalne media. Efektem śnieżnej kuli historia przetoczyła się przez internet. Nie dość, że znane nazwisko, to jeszcze rowery w cenie samochodu. Trudno powiedzieć, co przeważyło, ale na miejsce przestępstwa przyjechał nawet policyjny technik. Co samo w sobie wzbudziło zarówno zdziwienie, jak i zazdrość wśród osób, które również straciły rowery, ale takiej uwagi policji nie doświadczyły. Większość okradzionych nie miała szansy ściągnąć na miejsce nawet dzielnicowego.

Rachu-ciachu

Historia kradzieży rowerów Smykały jest jak kropla wody, w której odbija się całe morze podobnych spraw. Okazało się, że złodziej był za sprytny, żeby zostawić odciski palców, a policja za mało obrotna, żeby namierzyć go innymi metodami. Po 27 dniach

śledztwa spraw
cia sprawców. U
odszkodowani
W sumie nic ni
z ubezpieczon
sporo wysiłku w
gruby atestowa
rowery do kot
drzwi do komó
garaży, a te są

Tyle że moni
stałego nadzor
dostać, wykorz
ka na poziomi
słyszał, jak złoc
torową szlifierk
pieczeń, powin
monitoringu w

Pierwszy ro
ranem. Godzi
urywa. – *Po na*
które znalazły
kać na własną
sugerowali, że

© SHUTTERSTOCK

śledztwa sprawa skończyła się umorzeniem z powodu niewykrycia sprawców. Ubezpieczyciel do dziś zastanawia się, czy wypłaci odszkodowanie, mimo że miał na to miesiąc (który już minął). W sumie nic nie stoi na przeszkodzie. Rowery zostały ukradzione z ubezpieczonej komórki lokatorskiej, a ich właściciele włożyli sporo wysiłku w zabezpieczenie ich przed kradzieżą. – *Kupiliśmy gruby atestowany łańcuch znanej marki, którym przypinaliśmy rowery do kotw w ścianie. Dodatkowo zabezpieczyliśmy jeszcze drzwi do komórki, która znajdowała się na poziomie podziemnych garaży, a te są monitorowane* – wylicza Smykała.

Tyle że monitoring przed niczym nie chroni, bo nie ma nad nim stałego nadzoru firmy ochroniarskiej. Do garażu można się było dostać, wykorzystując nieuwagę innych wjeżdżających, a komórka na poziomie garaży miała ten feler, że w środku nocy nikt nie słyszał, jak złodziej ciął łańcuch – najprawdopodobniej akumulatorową szlifierką kątową. Jeśli wierzyć danym producenta zabezpieczeń, powinno mu to zająć minimum osiem minut. Z nagrania monitoringu wynika, że mniej więcej tyle to trwało.

Pierwszy rower został ukradziony kilka minut po trzeciej nad ranem. Godzinę później złodziej wrócił po kolejny. I tu ślad się urywa. – *Po nagłośnieniu kradzieży odezwało się do nas wiele osób, które znalazły się w podobnej sytuacji. Większość radziła, żeby szukać na własną rękę* – dodaje Smykała. Doświadczeni przez życie sugerowali, że przy takim szumie informacyjnym jest szansa, że złodziej przytrzymał towar i warto się nie poddawać oraz szukać na miejscu, czyli w Katowicach i okolicy. Chłopak Zuzanny Smykały próbował pójść tropem monitoringów z innych miejsc w sąsiedztwie, ale szybko się okazało, że sam niewiele może. Kontakty do właścicieli monitoringu przekazał na komendę. Czy ktoś je sprawdził, nie wiadomo. Informacja o umorzeniu sprawy przyszła mailem.

Historia zasiliła policyjną statystykę, która z realiami ma tyle wspólnego, że w miarę rzetelnie pokazuje skalę wykrywalności – na poziomie niespełna 30 proc. Okradzeni czują, że to żenująco mało. Policja twierdzi, że utrzymuje się w średniej europejskiej. Ale o skali zaangażowania najlepiej świadczy fakt, że do rozmowy nie udało się namówić nawet rzeczników. Ten z Komendy Głównej odesłał do kolegi z Komendy Stołecznej. A później podinspektor Robert Szumiata miał znaleźć specjalistę od wykrywania kradzieży rowerów. Na tym etapie kontakt się urwał. A może takich specjalistów po prostu nie ma?

Trzynastka

Z policyjnej statystyki wynika, że kradzieże rowerów w Polsce utrzymują się na podobnym poziomie. Z realiami ma to niewiele wspólnego. – *Rowery kradzione są coraz częściej, bo od czasu pandemii jest na nie duży popyt. Rower łatwiej ukraść i sprzedać niż samochód, no i nie trzeba się bawić w całe to legalizowanie* – tłumaczy paser rowerowy, który odsiaduje wyrok za to i inne przestępstwa w Areszcie Śledczym Warszawa-Służew.

Zgadza się na rozmowę, a nawet na nagranie (można go posłuchać w podkaście POLITYKI – Rowery, nie bajki), pod warunkiem że nie będzie jego imienia i nazwiska. Nazwijmy go Trzynastką, bo na ciele ma kilka tatuaży z tą liczbą.

Trzynastka jest bardzo rozmowny. Temat zna dogłębnie i wielostronnie, bo przez kilka lat ukrywał się przed polskim wymiarem sprawiedliwości za granicą, trudniąc się wówczas m.in. paserką drogich rowerów, które sprzedawał do Polski. Wiedzę uzupełnił za kratami. – *Podczas mojego pobytu w areszcie śledczym spotkałem się z chłopakiem, który miał w zarzucie kilkaset rowerów. Kradł je głównie w małych miejscowościach i wioskach. Ale też na stacjach PKP i przy metrze. To był łatwy sposób na zarobienie pieniędzy. Rower jest łatwo ukraść* – tłumaczy Trzynastka. Zwłaszcza od czasu, kiedy zaczęto produkować akumulatorowe szlifierki kątowe. – *Szlifierka z diamentową tarczą przecina beton i każdego rodzaju metal. Ale posiadanie tego rodzaju sprzętu w trakcie zatrzymania zwiększa ryzyko. Wiadomo, że złodziej jest profesjonalistą* – dodaje. Szlifierka jest również głośna. Zwykłymi nożycami do metalu można przeciąć zabezpieczenie cicho i w kilka sekund. – *Im lepsze zabezpieczenie, tym mniejsze zainteresowanie. Ale im droższy rower, tym większa determinacja* – opowiada. Ale nie z autopsji, bo sam w kradzieże się nie bawił. Za artykuł 278 Kodeksu karnego można dostać od 3 miesięcy do 5 lat. A to szmat życia za kratami.

Zgodnie z wiedzą Trzynastki przy kradzieżach rowerów już od dawna nikt się nie bawi w zacieranie śladów. – *Nie ma takiej opcji, jak w samochodach, że rowery są rozbierane na części. Kradziony rower sprzedaje się w całości. Czasami, jeśli jest zbyt charakterystyczny, może się zdarzyć drobna zmiana. W moim przypadku tak nie było. Po prostu rower zmieniał kraj pochodzenia. Siłą rzeczy w innym kraju już nie był tak bardzo poszukiwany* – opowiada. Nie zmienił się również kierunek przemieszczania trefnego towaru. – *Rowery jadą z Zachodu na Wschód. Te kradzione w Polsce w ogromnych ilościach wywożone są dziś do Ukrainy, Rosji albo na Białoruś. Tam ich już nikt nie szuka. A nawet jak znajdzie, to przecież nie odzyska* – mówi Trzynastka. I trudno mu odmówić racji. ▶

Czuwanie i śledzenie

Strategie na ochronę roweru są różne. Na rynku jest coraz więcej zapięć rowerowych, które mają odstraszać złodziei nie tylko czasem potrzebnym na ich sforsowanie, ale dodatkowo natarczywym dźwiękiem. Z badań producentów wynikało, że wiele kradzieży dokonywanych jest w biały dzień i w centrum miasta. Na tyle jednak umiejętnie, że przechodnie nie zwracają albo wolą nie zwracać na to uwagi. Na alarm o sile 100 decybeli trudno nie zwrócić uwagi.

Z kolei sposobem na zapobieganie rozwierceniu zamka jest produkcja zapięć bez zamków. Zamykanie i otwieranie blokady obsługuje się z poziomu aplikacji. Urządzenie informuje również właściciela, kiedy następuje próba kradzieży. Tyle że za taki gadżet trzeba zapłacić ponad tysiąc złotych. I tu pojawiają się ci, którzy wolą wydać połowę tej kwoty na jakiś najtańszy rower i nie martwić się, czy ktoś im go ukradnie, czy nie.

Skrajna postawa, czyli posiadacze ekstremalnie drogich rowerów wybierają ekstremalne rozwiązania i po prostu nigdy i nigdzie, poza własnym domem, nie zostawiają sprzętu, sprawdza się do momentu włamania.

Z ubezpieczeniami na polskim rynku ciągle jest kłopot. Tanie dają niewielką ochronę. Zawansowane są w cenie ubezpieczenia samochodu. Na forach internetowych najczęściej polecany jest lokalizator Airtag firmy Apple. Małe, stosunkowo tanie urządzenie, które odpowiednio schowane w ramie roweru, pozwala namierzać go z dokładnością do kilku metrów. Nie zawsze się sprawdza, bo sygnał Airtaga również można zagłuszyć. Ale to najskuteczniejsza opcja z najtańszych.

▶ Jeszcze kilka lat temu większość kradzionych rowerów sprzedawano w kraju. Były zbyt tanie, żeby inwestować w nie drogą logistykę. Pięć lat temu Polacy deklarowali, że za rower gotowi są zapłacić maksimum 1500 zł. Ukradziony przekładał się na 400, maksymalnie 500 zł zarobku dla złodzieja. Wtedy najlepszą metodą na znalezienie skradzionego jednośladu było monitorowanie portali pośrednictwa sprzedaży. Podobne mechanizmy działały w innych krajach. W Amsterdamie, który jest rowerową mekką, liczbę rowerów szacuje się na ok. 850 tys. Ale to bardzo ostrożne dane i nie ma się co do nich przywiązywać. Podobnie jak do tych o liczbie skradzionych.

– *Istnieje kilka źródeł i metodologii liczenia. Policja w Amsterdamie raportuje 11 tys. skradzionych rowerów rocznie. Władze miasta szacują, że kradzieży jest 35 tys. Natomiast monitor bezpieczeństwa prowadzony przez holenderski rząd wskazuje, że kradzieży może być nawet 126 tys. rocznie* – wylicza Titus Venverloo. On i kilku innych badaczy z Massachusetts Institute of Technology postanowili przyjrzeć się, co się dzieje z kradzionymi rowerami w mieście.

Na potrzeby eksperymentu zakupiono i wyposażono w czujniki GPS sto rowerów o różnej wartości. – *Najtańszy wart był 100 euro, najdroższy 400. W pół roku skradziono większość z nich. Konkretnie 70 rowerów* – dodaje Venverloo. Ale to akurat naukowców ucieszyło. Ponad 90 proc. maszyn biorących udział w eksperymencie zmieniło właściciela, ale nie miasto. Stąd wniosek naukowców, że do naprawy sytuacji nie wystarczy policja. Zaangażować muszą się również samorządowcy.

– *Władze Amsterdamu zaczęły inwestować jeszcze więcej w monitoring miejsc do parkowania rowerów. Stawia się więcej słupków do ich przypinania. Rozwiązaniem są również zamykane wiaty dla mieszkańców. Za pieniądze rządu w cztery lata wybudowano gigantyczny podziemny parking dla rowerów koło amsterdamskiego dworca centralnego. Może pomieścić 7 tys. rowerów i ma nowoczesny system monitoringu* – mówi o wnioskach z eksperymentu Titus Venverloo. Polskie samorządy swojej roli w walce z rowerowym złodziejstwem jeszcze nie zauważyły.

Po pandemii Covid-19 branża rowerowa zaliczyła dwa lata totalnej hossy. Sprzedaż poszybowała i przekroczyła milion egzemplarzy rocznie. Popyt przewyższający podaż pociągnął ceny. Polacy powoli zaczęli się też przekonywać do znacznie droższych rowerów elektrycznych. Niemal od zera powstał rynek na ekstremalnie drogie rowery kolarskie, których ceny zaczynają się w okolicy 10 tys. zł, a kończą powyżej 100 tys. zł. Były takie miesiące, że na sprzęt czekało się w kolejce.

Rowerem do pokoju

Skończyło się na tym, że Marcin, który ma dwie karbonowe szosówki warte ok. 55 tys. zł, musiał wygospodarować do ich trzymania oddzielny pokój. – *W necie jest pełno reklam takich stylowych wieszaczków na rowery. Nie chodzi o żadną ładność. Karbonowe rowery są równie delikatne, co chętnie kradzione. Wszyscy moi znajomi trzymają rowery w domu. Część, z braku miejsca, nawet w sypialni* – dodaje Marcin, ale nie przedstawia się z nazwiska, bo na forach internetowych kolarzy krążą plotki, że złodzieje namierzają właścicieli i polują na ich rowery. Co, zdaje się, nie jest prawdą.

Prawdą jest za to, że złodzieje śledzą kalendarz imprez rowerowych i podążają ich tropem. Przemysław Postawa ze Szczecina stracił trzy rowery w trakcie zawodów downhillowych w Świeradowie-Zdroju. – *Kiedyś się ścigałem, ale tym razem pojechaliśmy w charakterze widzów. Zabraliśmy rowery, żeby pojeździć rekreacyjnie* – wspomina. Wartość dwóch karbonowych i jednego aluminiowego roweru syna wycenił na ponad 20 tys. zł. Szczęście w nieszczęściu, że przed wyjazdem nie chciało mu się zmienić starych kół na nowe. Za nowe, karbonowe zapłacił 6 tys. zł. Zostały mu na oslodę.

Rowery po przyjeździe do hotelu planował schować do apartamentu. – *Ale właściciel przekonywał, że u niego nic jeszcze nie zginęło. Ostatecznie zostawiłem je na balkonie. Na wszelki wypadek dodatkowo spiąłem jeszcze solidną, stalową linką do rowerów* – opowiada. Z policyjnej notatki wynika, że do kradzieży doszło pomiędzy godz. 23.00 a godz. 0.50. – *Syna obudziło w nocy pragnienie. Przy okazji zerknął na balkon i okazało się, że rowerów już nie było. Została tylko linka z rozwierconym zamkiem* – dodaje pan Przemysław.

Złodzieje dobrze się przygotowali. Nie tylko mieli odpowiedni sprzęt, ale dobrze rozpoznali miejsce. Umiejętnie ominęli punkty, w których były kamery monitoringu. Z łupem uciekli do lasu. – *Rano ja i właściciel pensjonatu jeździliśmy po tych lasach. Ale kamień w wodę. Policja w tych działaniach nie uczestniczyła* – dodaje.

ROWERY, NIE BAJKI. Szukaj od środy na **www.polityka.pl** nowego odcinka podkastu, a w nim opowieści pasera Trzynastki o tym, jak kradnie się rowery i co się z nimi dzieje.

© GETTY IMAGES

wym dźwiękiem.
t w biały dzień
cają albo wolą nie
wagi.
apięć bez zamków.
dzenie informuje
żet trzeba zapłacić
kwoty na jakiś naj-

ają ekstremalne
wiają sprzętu,

ką ochronę. Za-
ych najczęściej
zenie, które
ością do kilku
szyć. Ale to naj-

harakterze wi-
żeby pojeździć
Wartość dwóch
aluminiowego
ponad 20 tys. zł.
że przed wy-
zmienić sta-
e, karbonowe
nu na osłodę.
hotelu plano-
tu. – *Ale wła-*
go nic jeszcze
ostawiłem je
dek dodatko-
talową linką
icyjnej notat-
dło pomiędzy
na obudziło
azji zerknął
erów już nie
zwierconym
wsław.
towali. Nie
ale dobrze
nie ominęli
ry monito-
– *Rano ja*
my po tych
icja w tych
– dodaje.

Po powrocie do Szczecina musiał się jeszcze raz pofatygować na komendę. – *Numery ram i inne dane musiałem osobiście podyktować policjantom i okazać dowody zakupów. Okazało się, że mailem nie można. Ostatecznie sprawę umorzyli* – dodaje pan Przemysław. Do policji ma żal o kwalifikację czynu. Według organów ścigania kradzież z balkonu nie była połączona z włamaniem. A to z kolei pozwoliło ubezpieczycielowi obiektu odmówić wypłacenia odszkodowania.

Zagranica i drobnica

Zdaniem Trzynastki rowery Przemysława już dawno są w Rosji, bo przez sankcje wykształcił się tam prężny rynek dóbr luksusowych z drugiego obiegu. On sam żywił się na podobnym, polskim rynku wtórnym, który do dziś ma się całkiem nieźle. Pomimo swoich mrocznych sekretów. – *Zdarza się, że ludzie jeżdżą na kradzionych rowerach, nie mając nawet tej świadomości. Kupują rower z fakturą, dokumenty są zgodne z numerem ramy. Jeśli jest to rower elektryczny, mają komplet kluczyków i oryginalną ładowarkę z numerem na silniku. Wszystko pozornie jest OK, ale rower i tak jest kradziony* – mówi Trzynastka. Mechanizm polega na wyłudzeniu towaru z francuskiego sklepu i szybkiej odsprzedaży go na rynku zagranicznym. – *We Francji można zapłacić gotówką maksymalnie tysiąc euro. Powyżej tej kwoty są tylko płatności kartą albo czekiem. Złodzieje kupują rowery na słupy albo konta zakładane na fikcyjne osoby* – opowiada Trzynastka. – *Rowery wyłudzone we Francji sprzedawałem w Polsce jako legalny towar. Mówimy o sprzęcie z górnej półki. Po 4,5 tys. euro. Ja zazwyczaj miałem ten rower za jedną trzecią ceny, a sprzedawałem za połowę, ewentualnie trochę drożej. To i tak dawało atrakcyjną cenę w Polsce.*

Rewersem spektakularnych kradzieży jest rowerowa drobnica. Rowery ukradzione i sprzedane za 100, góra 200 zł. Czasem spod szkoły czy przedszkola. Wpisy o tych kradzieżach są najbardziej emocjonalne, typu: „dzieciak płakał całą noc, mój młody pół roku oszczędzał na ten rower". Albo: „żebyś zdechł śmieciu złodziejski, po tym jak zrujnowałeś dziecku wiarę w ludzi". Coraz częściej przy opisach ukradzionych rowerów dodawane są zdjęcia z monitoringu. Dzięki temu wiadomo mniej więcej, kto kradnie. Część ujawnionych twarzy wygląda jak przekopiowana z policyjnej kartoteki. Ale zdarzają się i młodzi zadbani mężczyźni.

Aleksander Krajewski, architekt i śląski społecznik, trafił na złodzieja, o którym mówi, że to wyrzut sumienia systemu opieki społecznej i wymiaru sprawiedliwości. Rower Krajewskiego skradziono w sierpniu 2022 r. Przypiął go do znaku drogowego. Złodziej kradł w biały dzień, w środku miasta i pod okiem kamer. Krajewski jeszcze tego samego dnia miał zdjęcia z monitoringu, a na nich dokładny obraz złodzieja. – *Wieczorem poszliśmy z kolegą na piwo i w jednej z bram zobaczyłem tego gagatka. Dokonaliśmy obywatelskiego zatrzymania i zadzwoniliśmy na policję. Przez 1,5 godz. nie pofatygował się do nas żaden patrol, choć najbliższy komisariat był kilkaset metrów dalej. Spisaliśmy dane i puściliśmy tego człowieka wolno, bo już się nam znudziło czekanie. Zresztą rower i tak zdążył już sprzedać na targu* – opowiada Krajewski.

Następnego dnia złożył dodatkowe zeznania. Wtedy trochę lepiej zrozumiał policjantów. – *Pracują w koszmarnych warunkach. Procedury są absurdalne, pochłaniają mnóstwo czasu. Nie ma się co dziwić, że nie mają energii na łapanie złodziei* – dodaje. Szybko okazało się, że mężczyzna, który ukradł rower Krajewskiego, ma na policji bardzo długą kartotekę. Był wielokrotnie zatrzymywany za kradzieże rowerów. – *Jednym razem go puszczali ze względu na niską szkodliwość czynu. Innym razem robili mu sprawę. Siedział nawet w więzieniu. Ale po wyjściu dalej kradł, bo to jego jedyne źródło utrzymania. Moja sprawa dalej się toczy, bo liczba poszkodowanych jest długa. On pewnie dalej kradnie. To jakaś patologiczna sytuacja i nie mówię tylko o tym złodzieju* – mówi Krajewski.

Po taniości

1 października 2023 r. podwyższono kwotę wyznaczającą próg przestępstwa z 500 do 800 zł. Policjanci odetchnęli z ulgą. Złodzieje pewnie też. Tylko Wojtek Piotrowski z Wrocławia się nie ucieszył, bo wartość roweru, który mu ukradziono spod sklepu, oszacował na 500 zł. – *Był znakowany przez policję, ale i tak sporo to trwało, zanim wszystko wstukali, bo okazało się, że nie ma czegoś takiego jak centralna baza oznakowanych albo skradzionych rowerów. A na koniec powiedzieli mi, że to i tak idzie na umorzenie* – opowiada Piotrowski.

Z zawodu jest designerem. Historia z ukradzionym rowerem uwolniła w nim potok pomysłów. – *To policyjne znakowanie rowerów to jakaś lipa. A przecież można to robić na serio i skutecznie. Wprowadzić trudno usuwalne naklejki, zbudować centralną bazę. No, na serio się za to wziąć* – mówi. Ale chyba bez przekonania, bo nowy rower składa po taniości, żeby nie bolało, jak znowu ukradną.

JULIUSZ ĆWIELUCH

REKLAMA

IL VOLO

KONCERT

Atlas Arena
Łódź
27 października 2024

Bilety: BILETSERWIS.PL

Prestige MUSIC 15 BILET SERWIS

ILUSTRACJE PATRYK SKOCZYLAS

Misje komisji

Komisje śledcze nie spełniły większości oczekiwań, i to się już raczej nie zmieni. Coraz trudniej zresztą budować polityczne poparcie wokół idei rozliczenia rządów PiS. Ale to nie powód, żeby tego zaniechać. Po prostu nadszedł czas na działania dyskretniejsze i efektywniejsze.

RAFAŁ KALUKIN

Nie tak łatwo śledzić sejmowe śledztwa. Wbrew pozorom nie jest to „polityczny samograj" ani nawet „brazylijska telenowela", jak zdarza się stwierdzać komentatorom. Prędzej już ciężka orka, nierzadko na ugorze. Chyba że z góry postanowimy się skupić na warstwie czysto rozrywkowej – erystycznych popisach, złośliwościach, ozdobnikach: „panie członku", „ja panu nie przerywałem" itd. Ale to trochę jak z wulgarnymi odzywkami w filmach z Bogusławem Lindą. Na początku bawiły, potem nużyły, wreszcie stały się obiektem kpin.

Jeśli jednak naprawdę chcemy coś zrozumieć z toczących się śledztw, to wymagane są konsekwencja i skupienie. Nie da się obserwować posiedzeń komisji z doskoku, jednym okiem, po łebkach. Wątków na ogół jest wiele i niestety częściej się mnożą, niż wyczerpują. Czasem odskakując w bok i prowadząc ku ślepym zaułkom, co nie ułatwia nawigacji. Przewijają się specjaliści z rozmaitych dziedzin, słychać różne żargony. Żeby więc cokolwiek ogarnąć, trzeba mieć jeszcze spore kompetencje.

No i któż miałby na to wszystko czas? Sama tylko komisja kopertowa odbyła w ubiegłym tygodniu dwa posiedzenia, w trakcie których przesłuchano czterech świadków. Łącznie zajęło to blisko 15 godzin. A do tego dwa kolejne przesłuchania przed komisją wizową. Byłoby i trzecie, gdyby stawił się wezwany Mariusz Kamiński, który jednak wybrał równoległą wizytę w prokuraturze. Chociaż co się odwlecze, to nie uciecze: w tym tygodniu byłego szefa MSW mamy oglądać dubeltowo w obu tych komisjach. I nie ma wątpliwości, że ta trzecia – od podsłuchiwania Pegasusem – też go wkrótce zaprosi. Na razie zawiesiła jednak prace, czekając na obiecane rewelacje z prokuratury. Tylko czy kolejny show z tym samym bohaterem zdoła jeszcze przykuć uwagę szerokiej publiczności?

30 mln poszkodowanych

Ale to komisja kopertowa wystartowała najwcześniej i może się dzisiaj pochwalić największym dorobkiem. Powoli zresztą zmierza do końca, co zdają się potwierdzać medialne doniesienia o starcie jej szefa Dariusza Jońskiego do PE. Niezależnie od treści przyszłego raportu trudno jednak uznać, że wniosła do życia publicznego coś przełomowego. Zresztą już pierwsze przesłuchanie Jarosława Gowina, choć zapowiadało się na sensacyjne, utonęło w ogólnym zgiełku. Chociaż śledczy starali się sprostać oczekiwaniom. Tropili rozmaite wątki: mechanizm podjęcia politycznej decyzji o przeprowadzeniu wyborów korespondencyjnych w trakcie pandemii, manipulacje prawne, poniesione wydatki.

ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

wreszcie okoliczności umorzenia prokuratorskiego śledztwa. Teraz głównym przedmiotem zainteresowania komisji jest z kolei naruszenie bezpieczeństwa danych. Wiosną 2020 r. Ministerstwo Cyfryzacji udostępniło Poczcie Polskiej bazę PESEL, co miało być podstawą do stworzenia bazy wyborców. Sąd stwierdził później, że była to operacja bezprawna i naruszono bezpieczeństwo danych blisko 30 mln obywateli.

Każde z ubiegłotygodniowych przesłuchań na swój sposób było interesujące w odsłanianiu fragmentów państwa pod rządami PiS: jego scentralizowanego charakteru, patologicznego upolitycznienia i rozproszenia odpowiedzialności. Oto więc Paweł Skóra, który doświadczył tego wszystkiego, kierując pionem informatycznym Poczty Polskiej – został wezwany, bo to właśnie on w obstawie uzbrojonego konwoju odbierał z Ministerstwa Cyfryzacji zabezpieczony nośnik z bazą PESEL. Zrealizował polecenie, chociaż – jak zeznaje – z wątpliwościami obserwował wplątanie Poczty w korespondencyjne wybory prezydenckie. Działali na wariata, w chaosie rozpędzającej się pandemii. Jedynie na podstawie decyzji premiera, który arbitralnie odsunął PKW. Nie mieli jednak pewności, czy i kiedy konieczna ustawa zostanie uchwalona, jaki będzie ostatecznie termin wyborów, a nawet czy dostaną pokrycie finansowe. Z korporacyjnej góry dochodziły do Skóry głosy o „ryzykach dla zarządu", które początkowo przyjmował ze zdziwieniem. Sam był już nauczony, że „ryzyka są immanentne" i trzeba je „mitygować". Do pewnego stopnia uspokajało go również to, że Urząd Ochrony Danych Osobowych nie oponował.

Nocne maile

Niestety baza PESEL nie okazała się wystarczająca do stworzenia kompleksowych list wyborców, którym należało rozesłać pakiety do głosowania. Skóra dostał więc kolejne polecenie, żeby mailowo wezwać wszystkie samorządy gminne do wydania baz adresowych. Towarzyszyła temu sugestia, że niewykonanie decyzji będzie go kosztować utratę pracy. I wreszcie informatykowi zapaliła się czerwona lampka; zdał sobie sprawę, iż jest to żądanie pozbawione podstaw prawnych, za co może ponieść odpowiedzialność karną. Oddelegował je więc na swojego podwładnego. I ktoś faktycznie w środku nocy rozesłał 2,5 tys. takich maili, chociaż nie wiadomo kto, bo wiadomość była niepodpisana. Większość samorządów się jednak zbuntowała i danych nie przekazała, topiąc trefne przedsięwzięcie.

A Skóra faktycznie został wkrótce odsunięty od stanowiska i po paru miesiącach wyleciał z pracy. Teraz mówi, że był kozłem ofiarnym, chociaż nie wypina z tego powodu piersi do orderów. Przeciwnie, jeszcze przed rozpoczęciem przesłuchania bezskutecznie wnioskował o utajnienie. Tłumacząc, że prowadzi teraz własną działalność i obawia się kosztów wizerunkowych.

Nazajutrz po Skórze stanął przed komisją Jan Nowak, który będąc na czele Urzędu Ochrony Danych Osobowych, nie czuł potrzeby bliższego zainteresowania się ich masową wędrówką. Jowialny starszy pan, który wcześniej był przez kilka kadencji radnym PiS na warszawskiej Woli. W ramach dobrej zmiany postawiony na odpowiedzialnym stanowisku w roli figuranta, który najwyraźniej miał nie przeszkadzać. Trzymał się zatem kurczowo urzędniczej rutyny „organu nadzorczego działającego w oparciu o decyzje, które podejmuje i które podlegają zaskarżeniu", czego nawet pandemiczne zawirowania nie były w stanie wzburzyć. I sumienie wciąż ma nieskalane, bo przecież żadne dane nie wyciekły. Przez dwa tygodnie poleżały sobie na pocztowych serwerach i zostały skasowane, więc o co tyle krzyku?

Zeznania Nowaka były na swój sposób zdumiewające. W pewnym momencie śledczy zaczęli go odpytywać z elementarnej wiedzy, którą powinien posiadać urzędnik na jego stanowisku. Egzamin został oblany i przesłuchiwany chyba to czuł, bo jego twarz markotniała. Ale nadal nie wydawał się zdolny do refleksji.

Prawda czasu i prawda ekranu

Dwa przesłuchania i dwie wersje nieśmiertelnej opowieści o jednostce w trybach systemu. W sumie bardziej zajmujące od teoretycznie istotniejszych zeznań dawno niewidzianego byłego ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego oraz jego kolegi od cyfryzacji Marka Zagórskiego z tych samych posiedzeń. Tyle że politycy zawsze mają swoje polityczne racje, które w pancerzu dialektyki okazują się niemal nie do ruszenia. Owszem, Szumowski prywatnie mógł żywić wątpliwości co do legalności kopertowych wyborów, ale z jego perspektywy ścieżka korespondencyjna była dalece mniej ryzykowna dla zdrowia Polaków niż głosowanie w lokalach wyborczych. A czy można było wprowadzić stan wyjątkowy, co pozwoliłoby zgodnie z prawem przesunąć termin wyborów o parę miesięcy, tego już minister nie będzie oceniać, gdyż nie leżało to w obszarze jego kompetencji. Podobnie Zagórski zacierał polityczne role i stroił się w szaty resortowego menedżera: wybory kopertowe nie leżały w sferze jego zainteresowań, miał ważniejsze sprawy na głowie, przekazywał dane milionów obywateli instytucji zaufania publicznego. Jak twierdzi, podstawa prawna nie była do tego konieczna, gdyż przygotowanie do wyborów nie jest jednoznaczne z ich organizacją.

Posłowie śledczy próbowali rozbijać pancerze, ale nie wychodziło im to najlepiej. „Czy może pan mówić bardziej ludzkim głosem" – wyrwało się w pewnym momencie przewodniczącemu, co obrazowało daremność wysiłków. Tyle że Joński też pełni polityczną rolę, jak każdy w tym gronie. Komisja przede wszystkim jest przecież miejscem konfrontacji, jej zadaniem jest stworzyć spektakl. Stąd nagminne pytania z tezą, chociaż powinno ich nie być. I jałowe przepychanki ze stosującymi obstrukcję posłami PiS. Przewodniczący był apodyktyczny, bez pardonu wyłączał opponentom mikrofon, jednego nawet wykluczył. Żadnej zaczepki nie puszczał płazem. Pozorne były to jednak zwycięstwa, bo rozstawianym po kątach pisowcom właśnie o to chodziło, żeby wystąpić w roli ciemiężonych i prześladowanych. Taki spektakl może jednak zadowolić jedynie kibiców obu stron i takie też komentarze dominowały pod transmisją na kanale społecznościowym. Tak jakby najważniejszy w tym wszystkim był chrzęst łamanych kości, a nie prawda.

Tyle że prawda o wyborach kopertowych właściwie od dawna jest znana, przynajmniej w ogólnym zarysie. Komisja co najwyżej pomogła ją usystematyzować, dodała trochę szczegółów. Być może zaowocuje to wnioskami procesowymi, chociaż należy się spodziewać łowienia płotek, a nie grubych ryb. Zgodnie z logiką pisowskiego państwa: władca głębin podjął bez żadnego trybu decyzję, świta skleciła pod to prowizorkę, a ławica próbowała ją dalej unieść. Niedoszłe wybory kopertowe, jak bodaj żadna inna pisowska afera, zdemaskowały etyczną nicość tamtej ekipy, jej skrajną nieczułość, alienację. Pandemia stworzyła sytuację graniczną: pozamykani w domach i sparaliżowani lękiem Polacy potrzebowali przede wszystkim wspólnotowej nadziei. Zamiast tego zderzyli się z zimną kalkulacją Kaczyńskiego, który postanowił wykorzystać okazję do przeforsowania swojego prezydenckiego kandydata. Na gapę, bez kampanijnej rywalizacji, przy możliwie zduszonej frekwencji.

Tyle że plan się nie udał. Duda ostatecznie wygrał, ale już w mniej więcej normalnej rywalizacji. To mimo wszystko rzutuje dzisiaj na spektakl. Bo emocjonalny kontekst afery już dawno zdążył się przecież ulotnić. Minęło pandemiczne przerażenie, dzisiaj trapią nas zupełnie inne grozy. Zresztą komisja siłą ▶

▶ rzeczy musi się skupiać na pretekstach. Że zmarnotrawiono 88 mln zł na zbędne pakiety wyborcze, co w skali pisowskiego marnotrawstwa jest kroplą w morzu. Że nagięto ileś paragrafów, co na tle legislacyjnych „dokonań" tamtej ekipy również jest banałem. Że narażono na szwank nasze dane osobowe, ale któżby po czterech latach aż tak się tym przejmował? To w jakiejś mierze problem wszystkich komisji – spadek emocji.

Różnie w komisjach bywa

Pewnie za wcześnie na uogólnienia. W również zaawansowanej komisji wizowej miało przecież miejsce parę istotnych przesłuchań, chociaż to głównie odkrywanie didaskaliów. Jeżeli zresztą afera z pokątnym wydawaniem wiz faktycznie miała wymiar masowy, należałoby przesłuchać nawet nie dziesiątki, ale setki świadków. Co chyba przekracza możliwości komisji śledczej, a już na pewno unieważnia jej widowiskowe walory. Wydaje się, że to sprawa przede wszystkim dla prokuratora.

Największe nadzieje pokładano oczywiście w komisji pegasusowej, która jednak pozostaje z pracami daleko w polu. Inauguracyjne przesłuchanie Jarosława Kaczyńskiego do pewnego stopnia okazało się falstartem, ujawniając szerszy problem z komisjami. Teraz już wiadomo, że nie ma większego sensu wzywać najważniejszych dygnitarzy i odpytywać ich po omacku, nie mając zgromadzonej gruntownej wiedzy o materii sprawy. Doskonale o tym wiedział Tomasz Nałęcz, który przed laty kierował pionierską komisją ds. afery Rywina. Wspominał niedawno, że na etapie organizowania prac kierował się warsztatem historyka, który zawsze zaczyna od rzetelnej kwerendy źródeł. Co jednak wymaga zarówno czasu, jak i odporności na presję niecierpliwej opinii publicznej.

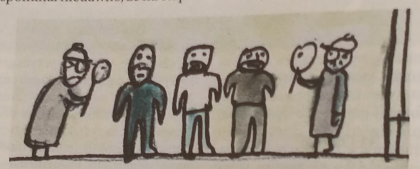

Obecna większość nie wyciągnęła wniosków z tamtej lekcji. Najpierw sama podsycała oczekiwania wobec sejmowych śledztw, którym później nie była w stanie sprostać. Kierowała się oczywiście nastrojem końcówki ubiegłego roku, kiedy to przejmowanie władzy odbywało się w aurze antypisowskiego karnawału i wydawało się, że rozliczenie z rządami Kaczyńskiego będzie jazdą z górki, jednoczesną realizacją konieczności ustrojowych, moralnych i politycznych. Komisje miały wypełnić ten pierwszy etap, zanim uda się wyswobodzić prokuraturę. Ich powoływaniu towarzyszyły buńczuczne zapowiedzi, że to dopiero początek, a koalicyjne stronnictwa wręcz licytowały się w pomysłach, co by tu jeszcze zbadać.

Entuzjazm jednak opadł, coraz wyraźniejszy jest za to niedosyt. Tyle że oczekiwania od początku były przeskalowane. Umknęła uwadze ogólna słabość komisji śledczej jako narzędzia politycznego, która już wiele razy dawała o sobie w przeszłości znać. Mit komisji Rywina zdominował niestety masową wyobraźnię, nie do końca skądinąd prawdziwy – bo chociaż odkryła oną niemało, to afera do dziś pozostała niewyjaśniona. Ale już wszystkie kolejne sejmowe śledztwa były w stanie zaspokoić jedynie wąskie gusta, nie przynosząc ani specjalnie imponującej wiedzy, ani widowiska.

O niektórych słabościach formuły była już mowa. Afery zazwyczaj okazują się wielowątkowe, co niweczy logikę spektaklu. Kiedyś zresztą publiczności łatwiej było się skupić. W epoce dominacji platform cyfrowych wszyscy staliśmy się jednak bardziej rozkojarzeni, w zalewie bodźców coraz trudniej śledzić procesy. Do tego doszła radykalna polaryzacja, która każdego z politycznych aktorów krępuje gorsetem. O ile więc w komisji Rywina śledczy byli jeszcze w stanie wznieść się ponad interesy swoich formacji i wspólnie dążyć do odkrycia prawdy, o tyle dzisiaj jest to niemożliwe. Posłowie w komisjach stali się gladiatorami, którzy na arenie walczą o swoją prawdę.

Co ma konsekwencje, bo polityczne mięśnie są ważniejsze od intelektu, wnikliwości, cierpliwości. Trzeba się przepychać, dosadnie puentować, „orać" rywala; najlepiej tak, żeby zmieścić się w formacie kilkunastosekundowego filmiku na TikToku. Są oczywiście wyjątki od reguły, niektórym śledczym – takim jak Marcin Bosacki bądź Jacek Karnowski – udaje się zachować powściągliwość. Nie zmienia to faktu, że posiedzenia komisji częściej jednak drażnią infantylizmem i łopatologią. Osobnym źródłem problemu jest to, że śledczym brakuje wsparcia ze strony państwa. Powszechne są z ich strony narzekania na opieszałość służb w dostarczaniu materiałów, a bazując jedynie na ogólnodostępnej wiedzy, faktycznie trudno robić coś więcej poza biciem piany.

Czas na państwo

Gdzieś po drodze nadkruszony został niestety cały paradygmat rozliczeniowy. Chociaż jeszcze niedawno wydawał się politycznie najżywotniejszy. Trudno jednak zignorować wynik wyborów samorządowych, w których mobilizacja wyborców formacji rozliczanej okazała się wyższa niż obozu rozliczającego. Nie jest to jeszcze dewaluacja skrajna, w badaniach opinii zwolennicy abolicji bądź amnezji ciągle pozostają w mniejszości, niemniej widać przesunięcie akcentów w umowie społecznej: rozliczenia swoją drogą, ale niech to nie będzie jedyna treść rządzenia, a już zwłaszcza cyniczna metoda budowania kapitału politycznego w logice spektaklu. Co nie powinno specjalnie dziwić, bo jeśli spojrzymy na dzieje III RP, to właściwie zawsze tak było. Spór o dziedzictwo PRL był najgorętszy w sferze moralnej, ale już politycznie zamykał w enklawach skupioną na rozliczeniu poprzedniego systemu antykomunistyczną prawicę. Rządy SLD utonęły w morzu afer, do których po upadku tej formacji prawie nikt nie chciał już wracać. Tusk nie rozliczał Kaczyńskiego za pierwsze rządy PiS, bo nie czuł społecznej presji. I później Kaczyński z tych samych powodów limitował ściganie „win Tuska", chociaż tyle się wcześniej nawygrażał. Realną legitymizację czerpał jednak z zupełnie innych źródeł.

Dziś jesteśmy w innej sytuacji. Za rządów PiS wypatroszone zostały demokratyczne instytucje, nad czym nie wolno przejść do porządku dziennego. Oznaczałoby to relatywizację świętych reguł ustrojowych, zaproszenie do recydywy. Zarazem zawsze jest coś dwuznacznego w tym, jak zwycięzca sądzi przegranego. Nie da się uciec od pytań o prawdziwe intencje i cele takiego sędziego. Warto więc dążyć do maksymalnej obiektywizacji, bo ostatecznie liczy się przecież zaufanie. W naszych realiach rozliczenie rządów PiS nie powinno być zresztą wartością samą w sobie, to jedynie element szerszego procesu przywracania demokratycznego charakteru państwa, jego instytucji. Z kluczową rolą niezależnej prokuratury i niezawisłych sądów, które na koniec będą gwarantować, że chodzi o coś więcej niż zabawę w policjantów i złodziei. I to właśnie w stronę tych ciał powinien przesuwać się teraz punkt ciężkości – kosztem działań stricte politycznych. Bo już teraz widać, jak niewiele przynoszą, a zastosowane w nadmiarze mogą nawet szkodzić.

RAFAŁ KALUKIN

Wirtu

Prezentujemy Pa
Krasowskiego „K
spojrzenie na os

ROBERT KR

Jego metodą
ki jest perm
wojny Kaczyń
skim. Kaczyń
wojna pozwa
tem spokoju i syteg
fi rządzić.

Pod wpływem wła
zmienił. Nadal nie m
bicji, dwa razy na k
mierem tylko po to, a
w koalicji. Nie miał te
Polski, nadal celem p

Wirtuoz rozwibrowania

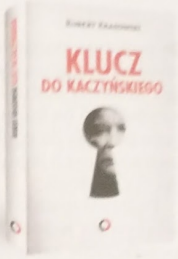

Prezentujemy Państwu fragment ukazującej się książki Roberta Krasowskiego „Klucz do Kaczyńskiego". To oryginalne, autorskie spojrzenie na osobowość lidera PiS i jego metody rządzenia.

© AREK MARKOWICZ/FORUM, MP

ROBERT KRASOWSKI

Jego metodą uprawiania polityki jest permanentna wojna. Bez wojny Kaczyński nie byłby Kaczyńskim. Kaczyński się bije, bo tylko wojna pozwala mu przeżyć. Światem spokoju i sytego triumfu nie potrafi rządzić.

Pod wpływem władzy Kaczyński się nie zmienił. Nadal nie miał państwowych ambicji, dwa razy na krótko został wicepremierem tylko po to, aby uspokoić napięcia w koalicji. Nie miał też wielkich planów dla Polski, nadal celem pozostało zachowanie władzy nad partią. Kaczyński był zaskoczony wyborczą wygraną, nie spodziewał się podwójnego sukcesu, nie spodziewał się żadnego. Kandydatem na prezydenta został polityk, który w ocenie Kaczyńskiego nie miał szans na zwycięstwo, właśnie dlatego nim został. O dziwo kandydat wygrał, potem wybory do Sejmu też wygrał PiS. Więc premierem została postać intelektualnie słaba. Cała energia Kaczyńskiego skupiła się na utrzymaniu własnej pozycji, co jest piekielnie trudne, kiedy się rządzi z tylnego siedzenia. Nawet w bezkrwistych pacynkach władza potrafi zrodzić wielkie ambicje. Niełatwo temu zaradzić, siedząc z dala od nich, na Nowogrodzkiej.

Wymogi władzy nieformalnej są nie tylko trudniejsze, są też bardziej ryzykowne. Zwłaszcza że niebezpieczeństwo przesuwa się w dół. Można w nieskończoność mianować pacynki, ale to nie rozwiązuje problemu. W otoczeniu słabych szefów pojawiają się silne jednostki i wielkie ambicje. Im słabsi są premier i prezydent, tym silniejsze marzenia, aby ich zastąpić. Dość powiedzieć, że w historii III RP tylko dwóm liderom w trakcie rządzenia udało się utrzymać panowanie nad partyjnym imperium. Tuskowi i Kaczyńskiemu. Tusk jednak panował z pozycji premiera, Kaczyński projekcji siły dokonywał z oddali.

Patrząc od strony politycznego warsztatu, był to sukces niezwykły, od strony logiki państwa było to upokorzenie, kompletna prywatyzacja systemu władzy, wyprowadzanie jej ośrodka na zewnątrz, poza formalne struktury. W szczególności ostentacyjne było upokorzenie kluczowej dla polskiego systemu instytucji premiera. Marian Krzaklewski nie wziął kiedyś fotela premiera, ale przynajmniej z jasnego powodu – chciał zostać prezydentem. Kaczyński nie miał żadnego publicznego powodu. Jego tupet był niezwykły, nie chciał sam rządzić państwem, zarazem nie pozwalał rządzić innym. Wiedział, że silny premier po kilku latach odbierze mu partię, więc cały system władzy ustawił pod własne potrzeby, pod własny komfort, pod osobisty kaprys bycia dożywotnim liderem.

•••

Pozostał spójną naturą, nie interesowała go władza nad państwem, a tylko partia oraz władza nad umysłami. Ciekawa była ekspresja tej drugiej potrzeby, ambicji lidera opinii. Kaczyński zrobił z państwa gazetę. Ideologiczna polemika stała się językiem, jakim państwo komunikowało się ze społeczeństwem. Wszystkie instytucje, wszystkie ministerstwa głosiły poglądy prezesa – o złych elitach, o zdradzieckim Berlinie, o zmierzchu Zachodu, o kryzysie wartości, o roli Kościoła, o zagrożeniach ze strony LGBT. Wszystkie polemizowały z liberalnymi elitami, z liberalnymi mediami. Publicystyka stała się językiem ▶

▶ państwa, państwo stało się imperium medialnym głoszącym myśli Kaczyńskiego. Minister kultury krzewił poglądy Kaczyńskiego na kulturę, minister edukacji jego poglądy na edukację, minister spraw zagranicznych jego opinię na temat Berlina czy Brukseli.

Państwo zostało zideologizowane, obowiązywała jedna mantra ideowa, a jej powtarzanie zajmowało więcej czasu niż opowieść o realiach rządzenia. Państwo stało się wielkim resortem propagandy. To był codzienny język władzy, nakierowany pod jedną osobę, pod redaktora naczelnego. Państwo nie próbowało zmieniać świata, ale opisywało świat tak, jak go widział Kaczyński. Nie walczyło z Berlinem, a tylko go krytykowało, nie deptało liberalnych norm, ale z nich szydziło, nie walczyło z imigracją, ale ją potępiało, nie prowadziło katolickiej krucjaty, ale zwalczało idee sekularyzacji. Państwo nie było narzędziem, którym Kaczyński chciał swoje poglądy wcielić w życie, ale słupem ogłoszeniowym, na którym wywiesił swoje poglądy. A wszystko zrodziło się ze specyficznych potrzeb lidera opinii, z jego inteligenckiej potrzeby dominacji w sferze ogólnej diagnozy. Żaden normalny polityk nie ma potrzeby ciągłego głoszenia swoich poglądów.

Jego przeciwnicy dużo mówili o Trybunale, bo był namacalnym gwałtem, ale rzeczywistym źródłem pretensji nie były czyny władzy, lecz słowa. W inteligenckiej republice najważniejsze są kwestie metapolityczne. Dotyczące nie tego, co władza robi, ale tego, jakim wartościom oddaje hołd. A jeszcze bardziej tego, jakim wartościom hołdu odmawia. Epoka PiS-u była metapolitycznym odwetem na liberalnej wrażliwości, obrażała wszystkie jej świętości, ostentacyjnie je profanowała. Kaczyński nie obalał liberalnej demokracji, natomiast codziennie z niej drwił. Nie wychodził z Unii, ale wycierał nią sobie buty.

•••

Kaczyński ciągle zaskakiwał swoich wrogów, zwykle nie tym, co złego zrobił, ale tym, że większości złego nie zrobił. Weźmy dziesiątki obaw wyrażanych kategorycznym tonem jako coś, co na pewno się stanie. Przede wszystkim nie wsadził do więzienia Tuska. Nie było prześladowań opozycji, nie było aresztowań dziennikarzy, nie było wyroków na telefon ani w sprawie wielkich obywateli, ani w sprawie obywateli małych. Nie było odwołanych wyborów, nie było cudów nad urną. Jeszcze w 2023 r. dowodzono, że Kaczyński sfałszuje wybory, że przygotowuje zamach wojskowy, że uniemożliwi Tuskowi objęcie urzędu premiera. Co ciekawe, w tamtych obawach nie chodziło o scenariusz awanturyi, o nieudany pucz. Królowało poczucie, że Kaczyński jest w stanie przeprowadzić zamach skuteczny.

Wieczna panika, która szerzyła liberalna inteligencja, brała się z poczucia, że Kaczyński posiada moc wystarczającą, aby ustanowić taki system polityczny, jakiego zapragnie. A gdy Zachód mu stanie na drodze, to Polskę z Zachodu wypisze. Przez osiem lat w opisie przeciwników Kaczyński był Józefem Piłsudskim albo w maju, już po marszu na Warszawę, albo w latach 30., gdy brutalnie panował. Jednak wiecznie pozostawał problem. Skoro tak, to kiedy Kaczyński dokonał zamachu? Gdzie jego ofiary? Gdzie Bereza? Gdzie cenzura? Opis władzy pisowskiej pasował do realnego PiS-u mniej więcej tak, jak opis Macierewicza do prawdziwego przebiegu katastrofy smoleńskiej.

Główny błąd polegał na fałszywym schemacie poznawczym, na rzekomym autorytaryzmie. Była mowa o tym, że polska inteligencja stawia katastroficzne diagnozy, bo to jej jedyny aparat analityczny. Wszędzie szuka ostatecznej katastrofy – śmierci demokracji albo utraty niepodległości. Widząc, że Kaczyński robi złe rzeczy, zamiast opisać realne zło, opisała nierealny zamach na demokrację. Opisała autorytarną władzę, która coraz mocniej bierze państwo i społeczeństwo pod but. A przecież było odwrotnie, jeśli w myśli politycznej szukać słowa pasującego do praktyk Kaczyńskiego, nie będzie to autorytaryzm, raczej anarchia.

Kaczyński nie narzucił swojej woli państwu. Spójrzmy na jego najsławniejsze podboje: na Trybunał Konstytucyjny, na Sąd Najwyższy. To nie były instytucje zdobyte przez Kaczyńskiego, a raczej rozstrojone, wprowadzone w stan kompletnego chaosu. Z resztą państwa podobnie. Wojowniczość Kaczyńskiego nie prowadziła do brania państwa pod przeciwnie, ona państwo anarchizowała. Kaczyński rozstrajał reguły i instytucje, aby mu nie przeszkadzały. Państwo nie stawało się coraz surowsze, ale coraz bardziej zębne, dziurawe, słabe. Pisowska ekipa zaprzęgła państwa do własnych interesów, przeciwnie, osłabiała państwo, aby nie interesy bezpiecznie prowadzić. Rozkwitała represje – inwigilacja polityków, ukarzenie kilku sędziów, podeptanie praw kilku pewnych osób – były ekscesem. Normą było szykanowanie obywateli i opozycji za pomocą autorytarnego państwa, bez wyłączanie kolejnych funkcji państwa, aby nie przeszkadzało ekipie PiS-u. Ekipa Millera kradła na potęgę, zarazem większość afer została wykryta przez ówczesne państwo, przez prokuraturę, służby, prokuratury. W epoce Kaczyńskiego coś takiego było już niemożliwe.

Poza propagandą państwo zajmowało się głównie obsługą pisowskiego elektoratu, czego ubocznym efektem był cywilizacyjny skok Polski. To jedno z tych paradoksalnych działań w historii, w których wielkie następstwa splatają się z egoistycznymi motywacjami. Niemniej to właśnie Kaczyński powołał do życia państwo o nowoczesnych standardach społecznych. Po raz pierwszy poziom redystrybucji stał się nie tylko duży, ale też stabilny. 500 plus, stały wzrost płacy minimalnej, coraz wyższe emerytury. Kaczyński zawsze popierał redystrybucję, niemniej jej skala nie była przejawem hojności, lecz walki o głosy. Postanowił związać ze sobą wielkie grupy społeczne. Strumień państwowych pieniędzy poszedł tam, gdzie była bieda, gdzie był gniew na obojętność dawnej władzy, ale też tam, gdzie były okręgi, w których PiS miał szanse na większość. Gra prowadzona była znaczonymi kartami, niemniej skutki były pozytywne, Kaczyński wprowadził nowoczesne standardy. Ożywił społeczny głód opieki, nadał mu siłę i sens, obalił mit pustego budżetu, skompromitował retorykę mówiącą o kupowaniu elektoratu. Po Kaczyńskim nikt już nie

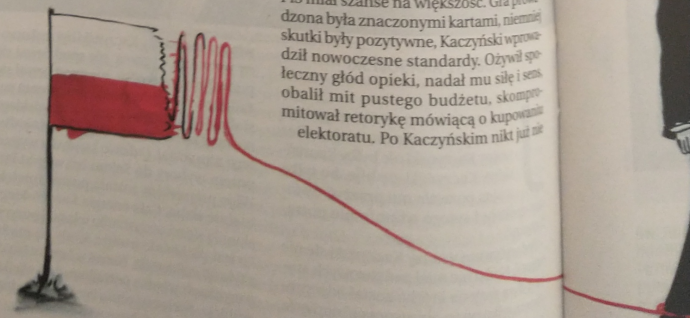

ILUSTRACJA BARTEK KIEŁBOWICZ

powie, że 800 plus to kupowanie mas, odtąd jest to wywiązywanie się z obowiązków wobec społeczeństwa.

***

Państwo Kaczyńskiego zwalniało, mówiło i płaciło. Poza tym nic. Tylko trwało, tylko nawiło. Wojny pisowskich frakcji dotyczyły głównie podziału łupów, dostępu do spółek Skarbu Państwa, do transferu publicznych pieniędzy. Kaczyński szedł na kolejne polityczne wojny, zadawał w nich pozorowane ciosy, aby ukryć, że głównym wysiłkiem partii rządzącej jest trawienie wyborczych zdobyczy. Sam był ascetą, ale karmił żarłoków, aby dalej pozostać szefem partii żarłoków. Mając władzę nad państwem, karmił państwem partię po to, aby utrwalić swoją władzę nad partią. Kaczyński – sam obojętny na władzę – robił wszystko, aby jego partia nie straciła władzy. Aby zdołała się najeść aż do przesytu, aby poczuła, że jej szef jest najlepszym żywicielem na świecie. Aby w przypadku klęski, która musi kiedyś nadejść, pamiętała, kto ją w przyszłości poprowadzi do stołu.

Kaczyński dał zielone światło na skalę eksploatacji państwa, jakiej w III RP nigdy nie było. To było Wielkie Żarcie. Wszystkie problemy polityczne rozwiązywał rozdawaniem posad i pieniędzy, co dało efekty. Po raz pierwszy w historii jego obu partii przez tak długi czas nie doszło do rozłamu. Kaczyński pozwolił, aby cały obóz ogarnęła gorączka złota. Ona partię scementowała, ona jej nadała stosowną drapieżność, ona sprawiła, że partia ciągle zasysała inteligentne kadry, dzięki czemu w politycznej sprawności, w technice walki o władzę PiS deklasował rywali. Kaczyński dał swoim ludziom nie tylko wielkie dochody, dał im również bezpieczeństwo. Dekadę wcześniej baron partyjny z SLD brał jako łapówkę mercedesa, ryzykując więzienie. Teraz każdy pisowiec mógł legalnie zarobić na mercedesa w miesiąc lub dwa. Kaczyński miał rozmach, zawsze uważał korupcję za największy problem polityki. I rozwiązał go. Uczynił korupcję niepotrzebną. Zalegalizował bezpieczne metody transferu majątku publicznego do kieszeni prywatnych.

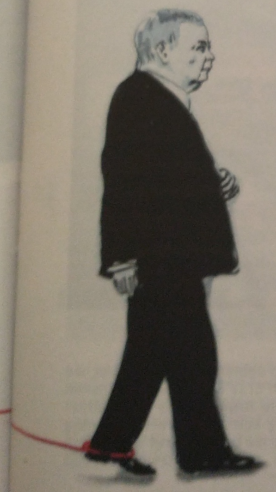

Jak historia zapamięta te osiem lat, tego jeszcze nie wiemy. W takich sprawach od prawdy ważniejsze są mity. Póki co Polacy są łaskawi wobec swoich przywódców, gdy rządził Kwaśniewski czy Miller, widzieli w nich głównie wady, po latach wspominają ich ze szczerym podziwem. Z ośmiu lat władzy Kaczyńskiego dwie sprawy nadają się na podziw, a nawet na pomnik. Pierwszą było rozpoczęcie budowy nowoczesnego państwa opiekuńczego, to było jedno z najważniejszych wydarzeń w całej historii III RP. Drugą była postawa Polski po wybuchu wojny na Ukrainie. Póki co nikt nie chce dostrzec, że Kaczyński odegrał jeszcze większą rolę niż Kwaśniewski w czasie pomarańczowej rewolucji. Przecież to nie Duda rządził w Polsce, to nie Duda podejmował decyzje, ale Kaczyński. W sztabie wojennym, który codziennie obradował, zasiadał Kaczyński, wszystkie decyzje polskich władz albo były jego pomysłem, albo miały jego zielone światło. I były to decyzje, w których po raz pierwszy Polska tak mocno wpłynęła na wydarzenia poza jej granicami. Jako pierwsza, jeszcze przed Amerykanami, postawiła na kartę, że Ukraina nie musi przegrać wojny. Jako pierwsza przełamała tabu w kwestii dostawy ciężkiej broni. Odegrała istotną rolę w przełamywaniu bierności Europy w krytycznych tygodniach, gdy ważyły się losy Ukrainy. Skonfliktowany z europejskim mainstreamem Kaczyński nie popełnił błędu, który by popełnił każdy inny polski przywódca, czyli nie zdał się na miękki, zakulisowy nacisk na Niemcy i Francję.

Powody, dla których nie chcemy tego dostrzec, są zrozumiałe, polityka zagraniczna PiS-u przez wszystkie lata była porażką, niemniej w tamtym momencie była wielkim sukcesem. Późniejsze błędy w polityce wobec Ukrainy niczego nie zmieniają, bo istota polityki Kaczyńskiego nie dotyczyła Kijowa, lecz Moskwy. Nie była proukraińska, ale antyrosyjska. Kaczyński zrobił dosłownie wszystko, *co było możliwe, aby utrudnić Rosji aneksję Ukrainy. Krytycy Kaczyńskiego udają, że decyzje o przekazaniu migów, czołgów, o udostępnieniu lotniska w Rzeszowie, o natychmiastowym otwarciu polsko-ukraińskiej granicy podjęte zostały przez prezydenta lub premiera albo że były oczywiste. Absolutnie nie były oczywiste.* Opozycja, owszem, była pod wrażeniem, bo polskie władze robiły rzeczy niezwykłe, które przekraczały jej temperament i jej wyobraźnię. Sama nie byłaby zdolna do czegoś podobnego, bo mentalnie była zakładnikiem przekonania, że wszystko najpierw trzeba ustalić z europejskim mainstreamem. A to był akurat ten jeden moment, kiedy trzeba było pójść na zwarcie z mainstreamem, bo ten się pogubił. Nie ma żadnych podstaw, aby wierzyć, że ktoś inny rozegrałby tamten moment z równym rozmachem, co Kaczyński. Szef PiS-u ma mnóstwo grzechów na sumieniu, ale stwierdzenia, że zmarnował osiem lat, nie da się obronić.

ROBERT KRASOWSKI

Tytuł, lead, skróty od redakcji.
Książka ukazuje się 24 kwietnia nakładem Wydawnictwa Czerwone i Czarne.

REKLAMA

HELSIŃSKA FUNDACJA PRAW CZŁOWIEKA

PRAWA CZŁOWIEKA NIE MAJĄ PARTII POLITYCZNEJ

BRONIMY ICH DLA CIEBIE

Przekaż 1,5% podatku Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka

KRS 00000 35831

Współpraca rolna Polski i Ukrainy w Unii Europejskiej

Ostatnie miesiące obfitowały w wydarzenia pogarszające wzajemne relacje w handlu rolnym Polski i Ukrainy. Utrzymywanie zakazu importu zbóż przez polski rząd, rolnicze protesty w całym kraju i wysypywanie ukraińskiego zboża, nie wniosły wiele optymizmu do naszych wzajemnych relacji.

Uczestnicy konferencji „Współpraca rolna Polski i Ukrainy w UE": [od lewej] Leonid Kozaczenko oraz Grzegorz Kozieja.

Wszystkie te zdarzenia miały miejsce pomimo korzystnych dla Polski ogólnych wyników w handlu z Ukrainą – w zeszłym roku zanotowaliśmy 31 mld zł nadwyżki. Faktem jest, że Ukraina posiada istotne przewagi w produkcji rolnej. Pytanie, czy to rzeczywiście ma decydujący wpływ na sytuację i trudności naszych producentów rolnych.

Na te i inne wątpliwości odpowiedź miała przynieść konferencja „Współpraca rolna Polski i Ukrainy w UE", którą biuro prof. Marka Belki oraz frakcja Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim zorganizowały w siedzibie tygodnika „Polityka" 15 kwietnia br. Obrady ekspertów, publicystów, polityków i praktyków rynkowych zajmujących się kwestiami rolnymi zaowocowały pomysłami na uśmierzanie gorących sporów handlowych oraz na poszukiwanie wspólnego miejsca dla Ukrainy i Polski na jednolitym rynku UE.

Prof. Marek Belka

Najmocniej wybrzmiały wezwania do promowania w publicznej dyskusji nie emocji, lecz faktów. Te nie pozostawiają wątpliwości – na ceny zbóż w polskich skupach w znikomy sposób wpływa import z Ukrainy, decydują o nich światowe giełdy i nadpodaż surowca (głównie z Rosji i Ameryki Południowej). Ziarno zza naszej wschodniej granicy jest produkowane głównie z myślą o odbiorcach w Hiszpanii, we Włoszech oraz w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Inwestycje w naszą infrastrukturę kolejową i portową mogą wspomóc nie tylko tranzyt ukraińskich towarów, ale także rozwój naszego

: (od lewej) Leonid Kozaczenko, prof. Walenty Poczta, Jacek Piechota, Joanna Solska, Monika Piątkowska

© AP

© AP

Minister rolnictwa i rozwoju wsi Czesław Siekierski oraz Zenon Daniłowski.

eksportu rolno-spożywczego. Jak wskazywał prof. Walenty Poczta, jedynie dodawanie własnej wartości do surowca pozwala uniezależnić się od prostej gry podaży i popytu na rynkach międzynarodowych.

Troska o zabezpieczenie interesów polskich rolników mocno wybrzmiała podczas interwencji pana ministra Czesława Siekierskiego, który większe wyzwania widzi w przyszłym ułożeniu unijnych relacji rolnych, po akcesji Ukrainy do wspólnego rynku. Na razie jest to odległa perspektywa, którą poprzedzą lata dostosowywania ukraińskiej produkcji i systemu dopłat do standardów unijnych, na co zwrócił uwagę Jerzy Plewa, ekspert Team Europe. Już teraz warto jednak zwiększać efektywność polskiej produkcji rolnej i modernizować ją poprzez reformę systemu dzierżawy i tworzenie kooperatyw produkcyjno-przetwórczych, wykorzystywanie najnowszych technologii oraz promowanie zrównoważonej produkcji rolnej, która nie zależy od dopłat, ale efektywności ekonomicznej, o czym wspominał Grzegorz Brodziak z Polskiej Federacji Rolnej.

O poszukiwaniu synergii i pomysłów na współpracę pomiędzy Polską i Ukrainą mówiła była minister rolnictwa Ukrainy Olga Trofimtseva, a wtórował jej Bartosz Urbaniak z BNP Paribas, który słusznie podkreślił, że włączenie ukraińskiego potencjału rolnego do wspólnego rynku unijnego wzmocni Unię Europejską i może stworzyć narzędzia do walki z kryzysem klimatycznym. Chcąc dopasować się do tych strategicznych trendów, powinniśmy rozwijać polskie przetwórstwo żywnościowe oraz polskie marki spożywcze, które pozwolą naszym rolnikom być częścią łańcucha wartości, w którym cena surowca nie odgrywa głównej roli.

Zaopatrzeni w tak wiele dobrych pomysłów na reformę polskiego rolnictwa w kooperacji z Unią i Ukrainą musimy teraz przekuć je w plan działania.

MAREK BELKA

Biuro Posła do Parlamentu Europejskiego
A: al. Tadeusza Kościuszki 48,
Lok. 14EU, 90-427 Łódź
E: biuro@marekbelka.com

MAREK
BELKA

S&D
Grupa Postępowego Sojuszu
Socjalistów & Demokratów
w Parlamencie Europejskim

ILUSTRACJE **MARCIN BONDAROWICZ**

Jaki znak twój

Trójświęto zwane majówką. W założeniu: święto biało-czerwone, jednoczące społeczeństwo. W praktyce: jedna z odsłon bitwy na godła, symbole, flagi. To znak czasu, galopującej kultury obrazkowej.

EWA WILK

Serduszko ewidentnie się przyjęło. Czerwono obwiedzione, w środku białe. Trochę jak przekrój rzodkiewki, ale nie czepiajmy się, większość interpretuje je jednoznacznie: jestem Polką lub Polakiem, kocham Polskę, kibicuję odbijaniu ojczyzny z rąk PiS, lubię Tuska i KO.

Koalicja Obywatelska postąpiła bardzo rezolutnie, przyjmując za swoje godło znaczek pierwotnie wygenerowany w milionach papierowych przyklejek na Marsz Miliona Serc w Warszawie 1 października 2023 r. Teraz noszą go jej posłowie, przynajmniej do roboty i do telewizji. Używając polszczyzny ponowoczesnej, rebrandingując logo (logo – graficzny symbol marki, rebranding – zmiana znaku markowego) z uśmiechniętego żółtego konturu Polski na serduszko zdołała „na odcinku symboliki" odbić przeciwnikom politycznym trochę bieli i czerwieni dla tej części społeczeństwa, która nie identyfikuje się z narodowo-konserwatywnym populizmem.

PiS przez lata w komunikacji ze swoimi wyborcami starannie grał symbolami. No i zawłaszczył wiele z nich. A przynajmniej się starał. Orzeł nasz, flaga nasza, kotwica Polski Walczącej nasza… I wszędzie mają być: w klapach marynarek, w dekoracjach na spędy zwane konwencjami; papierowe flagi do machania rozdane publiczności, hymn na początek… żeby się kojarzyły z partią. A tamci niech sobie drepczą pod „unijną szmatą".

Duma i ożywienie

Powie ktoś – nic nowego. Ludzkość od zarania ma skłonność do znaczenia się symbolami, tajemnymi znakami, tatuowania ich sobie po całym ciele, przywieszania na bojowych hełmach i tarczach. Do obnoszenia się z rodowymi herbami na sygnetach. Do galopowania (w bitwach), maszerowania (w pochodach) i chóralnego wrzasku (na trybunach sportowych) pod flagami i sztandarami. Oraz widowiskowego poniewierania flag i znaków zdobytych na wrogach. Z psychologicznego punktu widzenia ma to proste uzasadnienie: daje człowiekowi poczucie przynależności, tożsamości, bezpieczeństwa, siły i racji moralnej.

Oczywiście, symbol plastyczny niesie w sobie określoną informację, ale przede wszystkim wywołując serię błyskawicznych skojarzeń, ma zadziałać na nasz – jak się powiada – pierwotny gadzi mózg, czyli pobudzić emocje. Polacy doznają szczególnego pobudzenia w kontakcie z symboliką narodową, czego dowodzą regularne badania CBOS nad patriotyzmem. 98 proc. pytanych, na czym on polega, na pierwszym miejscu stawia okazywanie szacunku godłu, fladze i hymnowi narodowemu (dla porównania – płacenie podatków wymienia 73 proc.).

Pytani o to, kiedy odczuwają dumę z bycia Polakiem, odpowiadają, że przede wszystkim wtedy, gdy rodacy odnoszą sukcesy sportowe (badacze odnotowują, że wahania „wskaźnika dumy" mają ewidentny związek z sukcesami lub porażkami reprezentacji narodowej w piłce nożnej). Co dziesiąty respondent przyznaje, że owego przypływu dumy doznaje także przy okazji obchodów świąt narodowych, kiedy przywoływane są owe najważniejsze symbole. 44 proc. ma w zwyczaju wywieszanie raz na jakiś czas flag narodowych, a ponad 20 proc. włączyło do garderoby odzież patriotyczną, której ulubionymi motywami są: orzeł, kotwica Polski Walczącej, husarskie skrzydła, podobizna bohatera (np. rotmistrza Pileckiego), niekiedy wszystko w formie brawurowego kolażu na jednym T-shircie czy bluzie.

Kreatywność w dziedzinie znakotwórstwa i logomanii zadziwia nie mniej niż waga, jaką się przykłada do odpowiedniego sztafażu wydarzeń politycznych. Patetyczna oprawa wizualna, dewizki w klapach liderów, przypinki, naklejki, koszulki z nadrukami, bejsbolówki typu „make cokolwiek great again". Totalne zwycięstwo formy nad treścią, obrazka nad słowem, emocji nad rozsądkiem?

Logo w 10 minut

Ta *totemizacja* jest właściwa nie tylko dla życia politycznego. Równolegle przenika ona świat ekonomiczny, gdzie trwa nieustająca wojna brandów. Można nawet powiedzieć, że sfera władzy przejęła od komercji język i strategię. Idee, programy jawią się w dzisiejszym świecie jako produkty – trzeba je wprowadzić na ekstremalnie konkurencyjny rynek, oznakować, opakować, sprzedać. Wpycha to politykę gdzieś pomiędzy sferę biznesu i show-biznesu.

Charakterystyczne, że firmy plastyczne działające na rynku logotwórstwa w swej ofercie mają zarówno gotowość wykreowania znaku dla partii politycznej czy organizacji społecznej, jak i wielkiego koncernu czy rodzinnej firemki. Wiele z nich zaprzęga dziś do roboty sztuczną inteligencję. Bez najmniejszego trudu można za jej pomocą za jedyne 79,90 zł wygenerować i pobrać do szerokiego użytku absolutnie własne, zindywidualizowane logo, komponując je w 10 min z przedstawionych do wyboru kolorów, czcionek, symboli zwierzęcych, roślinnych, zawodowych, branżowych, światopoglądowych itd.

Można pójść drogą tradycji i za niewygórowaną cenę zostać fundatorem nowiutkiego, certyfikowanego w odpowiednim stowarzyszeniu pozarządowym herbu rodowego, w którym uwzględnione będą – „według najlepszych wzorów heraldyki" – miejsce urodzenia, nazwisko, profesja, zainteresowania, a nawet ulubione zwierzę czy znak zodiaku. Można nawet obstalować sobie słup totemowy, wzorem tyleż plemion indiańskich, ile wielkich koncernów paliwowych czy fastfoodowych. ▶

▶ Branża znakowania ludzi i towarów stale oferuje nowości, namawia do rebrandingów, kusi nowymi trendami i modami. W ubiegłym roku na przykład zachęcała do stosowania gradientów (to płynne przechodzenie z koloru w kolor), ale też monochromatyczności (jednego koloru z odcienia w odcień). Ogłaszała, że skeumorfizm (najprościej: znakowanie nowych produktów dobrze znanymi symbolami; np. śmietnik komputerowy oznaczony koszem na odpadki jest przestarzały, teraz obowiązuje *flat design* (ścięte krawędzie, subtelne rozmycia, refleksy, wrażenie głębi i 3D). Ważnym trendem jest rysunek pozornie odręczny, motywy naśladujące maźnięcia pędzlem, zorganizowany chaos.

Słupki, tęcze, błyskawice, czarne parasolki

Dr hab. Łukasz Szurmiński, politolog i medioznawca z Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW, autor m.in. książki „Propaganda w świecie nowych plemion" z 2023 r., uważnie obserwuje rzeczywistość sieciową, zwłaszcza portale informacyjne i społecznościowe, gdzie wizualizacja współczesnej kultury komunikacyjnej postępuje w szalonym tempie. Pokazuje studentom, jak najbardziej uczęszczane media sieciowe wyglądały 15 lat temu, jak dzisiaj. Wtedy 80 proc. powierzchni zajmowały tam linki do tekstów, dziś 80 proc. zajmuje obraz. W sieci mamy do czynienia z pełnoskalową wojną plemion w dzisiejszym ich rozumieniu, w której głównym orężem jest coraz mniej słowo, coraz bardziej zaś obraz, znak, infografika, wykres, słupki, „torciki" z procentami.

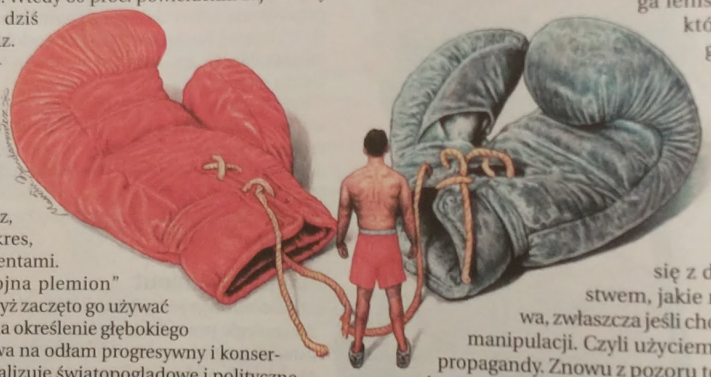

Sformułowanie „wojna plemion" nie jest zbyt lubiane, gdyż zaczęto go używać w polskim kontekście na określenie głębokiego pęknięcia społeczeństwa na odłam progresywny i konserwatywny, co zbyt trywializuje światopoglądowe i polityczne zróżnicowanie naszej wspólnoty i podtrzymuje ów antagonizm. Ale w naukach społecznych narodziło się ono na długo przed wykopaniem „polskiego rowu" (w 1988 r. w pracy Michela Maffesiolego, francuskiego teoretyka ponowoczesności). I wciąż robi karierę, zwłaszcza od kiedy uwaga badaczy skierowała się na media sieciowe.

Czym te plemiona różnią się od tych tradycyjnie pojmowanych przez antropologię? Oczywiście nie łączy w nich ludzi już pochodzenie od wspólnego przodka; powstają z wyboru, na życzenie, raczej przeciw czemuś niż za czymś. To wspólnoty empatyczne – kluczową więzią są w nich emocje, dodatkowymi – podobne poczucie tożsamości, wyznawane wartości, upodobania, gusta. Są zwykle płynne, czasem wręcz efemeryczne, rozproszone.

Dr hab. Szurmiński mówi, że plemienne totemy znajdują zastosowanie w rozmaitych rejonach indywidualnych profili ich członków; np. czerwona błyskawica Strajku Kobiet doskonale wkomponowywała się w zdjęcia profilowe użytkowniczek (wciąż zdobi dość liczne konta), a hasło „Ruskij karabl, idi na chuj" – nadawało się na górną partię ekranu startowego (niestety coraz rzadziej tam występuje).

Tych nowych albo odświeżonych znaków totemicznych pojawiło się w polskiej rzeczywistości w ostatnich latach bardzo wiele. Logo partii politycznych, ale też znaki stanowczego sprzeciwu: czerwone błyskawice, czarne parasolki, narodowe barwy ukraińskie, no i tęcza. Które pożyją dłużej, przejdą do historii, staną się znakiem naszych czasów? Odpowiedź nie jest łatwa.

Z gołębiem w szachy

Można by grafo-zwrot w ludzkiej komunikacji obserwować jako zjawisko współczesności dość niewinne i nieuniknione wobec galopady technologicznej, gdyby nie co najmniej dwa niebezpieczeństwa.

Po pierwsze, wiąże się ono z uwiądem słowa pisanego jako podstawowej techniki komunikowania swoich poglądów, intencji, przemyśleń, zamiarów. Ludzkość przez wieki ją doskonaliła w literaturze, czasopiśmiennictwie, eseistyce naukowej; jeszcze dziś edukacja przykłada duże znaczenie do czytania ze zrozumieniem. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują jednak, że wywód dłuższy niż trzy akapity nie znajduje zainteresowania szerokiej publiczności. Poczytność gazet i periodyków w wersji papierowej spada (jak obserwuje dr hab. Szurmiński, w pokoleniu studentów – i to dziennikarstwa! – praktycznie do zera). W portalach internetowych dłuższe treści opowiada się najpierw w lakonicznych równoważnikach zdań zaczynających się od charakterystycznych „bombek", tak jakby udawały one obraz, co sugeruje raczej szybkie zeskanowanie niż głębszą analizę treści. Wszystko to wzmaga lenistwo poznawcze ludzi, które jak chce psychologia, jest mózgowi ewolucyjnie przyrodzone. Dla bezpieczeństwa swego „nosiciela" umysł uwielbia drogi na skróty: stereotypy, uogólnienia, uproszczenia.

Ta skłonność wiąże się z drugim niebezpieczeństwem, jakie niesie kultura obrazkowa, zwłaszcza jeśli chodzi o politykę: z pokusą manipulacji. Czyli użyciem obrazu jako narzędzia propagandy. Znowu z pozoru to nic nowego. Wydawać by się mogło, że totalitaryzmy XX w. powiedziały w dziedzinie obrazu propagandowego wszystko, co było do powiedzenia i uodporniły ludzkość na ten rodzaj komunikatów. Nic bardziej mylnego. Nowe technologie działają w ich rozpowszechnianiu niczym perpetuum mobile. Nie potrzeba tu nawet legendarnych farm trolli, ludzie z własnej nieprzymuszonej woli stają się propagandystami. Dr hab. Szurmiński podaje kilka przykładów.

Tak było w 2015 r., gdy na scenę polityczną wkraczał Andrzej Duda jako kandydat na prezydenta. Dość schematyczny obrazek: jego portret na tle konturów Polski z hasztagiem i autografem pojawił się na tysiącach indywidualnych profili. Podczas kolejnej kampanii prezydenckiej – w 2020 r. – taką samą, spontaniczną popularność zdobyły „słupki". Chodzi tu o obrazowanie wyników rozmaitych badań, sondaży, statystyk. Zawsze je można tu subtelnie podwyższyć, tam obniżyć, wyostrzyć czy wypłaszczyć jakiś wektor. Gdy odbiorcy podsuwa się taki komunikat na 5 sekund, nie ma szans, by odszyfrował on manipulację. Raczej ulegnie pokusie, by przyjąć go za pewnik, argument koronny. I udostępnić, oczywiście. Podczas kampanii prezydenckiej Duda kontra Trzaskowski „plemię Dudy" masowo kolportowało „wyniki" wyborów w warszawskich zakładach karnych, gdzie miażdżąco wygrywał Trzaskowski. Argument, że to kandydat kryminalistów, kończył wszelkie dyskusje.

– Bo w internetowych wojnach plemion – podsumowuje medioznawca – *nie chodzi o to, by przekonywać kogokolwiek do swoich racji. Rzecz polega – jak się to mówi – na zaoraniu przeciwnika. Zaprosić dziś kogoś do dyskusji na internetowym forum, to tak jakby, wedle starej przypowieści, próbować rozegrać partię szachów z gołębiem. Zgodzi się, przyleci, powywraca wszystkie pionki, a na koniec załatwi wiadomą potrzebę.*

Karmazyn, cynober, grill

Jak w obliczu tych wszystkich trendów i zjawisk wygląda polskie majowe trójświęto? Można na nie patrzeć jako na doroczną operację zszywania naszego podzielonego społeczeństwa za pomocą symboliki z wielowiekowym rodowodem. W końcu orzeł pojawił się na denarze Bolesława Chrobrego już ok. 1005–07 r., choć numizmatycy i historycy wciąż nie mają pewności, czy nie był to przypadkiem paw.

Flaga narodowa (jej święto obchodzone 2 maja proklamowano w 2004 r.) to prostokąt z dwóch pasów tkaniny, białej – symbolizującej czystość i niepokalanie, oraz czerwonej – oznaczającej męstwo i odwagę. Lecz sporom o odcień czerwieni nie ma końca; najpierw był to karmazyn (ciemna czerwień z domieszką błękitu, ulubiony kolor polskiej magnaterii), ale w 1927 r. rozporządzeniem zmieniono go na cynober (czerwień nieznacznie popadająca w pomarańcz; definiowana jako kolor dojrzałego pomidora). Jest też opcja, że powinien to być amarant, charakterystyczny dla dawnych kolorów polskiego wojska, ale kasuje go to, że amarant nie jest żadną czerwienią, lecz należy do gamy fioletów.

Konstytucja z 3 maja 1791 r., która – być może na szczęście – nigdy nie weszła w całości w życie, zawiera elementy niewygodne tak dla bardziej progresywnej części naszego społeczeństwa (np. to, że religią panującą zostanie na wsze czasy rzymski katolicyzm, a odstępstwo od niego będzie karane), jak i dla konserwatywnej prawicy (przy jej obecnym antyniemieckim wzmożeniu uwierać może postanowienie, że polski tron, już dziedziczny, a nie elekcyjny, miałby objąć saski ród Wettynów).

Wreszcie 1 maja. Chyba najbardziej symbolicznie kłopotliwy. Ani iść w pochodzie z czerwonym sztandarem i sierpomłotem, bo zbyt to archaiczne i pachnie postkomuną; ani z tęczą i błyskawicą, bo zbyt to postępowe i nie za bardzo na temat – w końcu chodzi o święto pracy, proklamowane w 1890 r. ku czci chicagowskich robotników zabitych podczas demonstracji.

Z doszukiwaniem się treści i prawdziwego sensu w symbolach, znakach, totemach trzeba być bardzo ostrożnym. Podobnie z ich adaptacją do popkultury. Niesławny czekoladowy orzeł prezydenta Bronisława Komorowskiego pokazał, jak łatwo tu o fałszywy krok – pomysł zniesmaczył znaczną, nie tylko konserwatywną część naszego społeczeństwa.

Ma posmak żartu-suchara pogląd, że najtrafniejszym, najbezpieczniejszym, neutralnym godłem na trzydniowe, majowe, polskie świętowanie byłby wizerunek grilla. Na hasło „grill grafika" Google w 27 sekund znajduje 3 mln 100 tys. gotowych, całkiem atrakcyjnych plastycznie propozycji.

Jednego można być pewnym: łączenie się w plemiona o wysokiej autoocenie i wrogim, deprecjonującym nastawieniu do innych grup oraz wyrażanie swej tożsamości czytelnym znakiem, leży w ludzkiej naturze, a mechanizm ten sprawił, że nasz gatunek, łącząc się w spójne stada, wciąż odnosi niekłamany sukces ewolucyjny. I nie wybił się przy okazji wzajemnie do cna. W czym udział ma z pewnością to, że wojny na znaki, swoiste stroszenie piór, manifestowanie w ten sposób siły i niezłomności jest niejako agresją zastępczą. Społecznym, a może i ewolucyjnym, wentylem bezpieczeństwa.

EWA WILK

REKLAMA

Albatros travel

Sprawdź cenę!

Japonia – królestwo słońca

Klasyczna Japonia dla każdego! Nowa i dawna Japonia – od nowoczesnego Tokio do historycznego Kioto.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Przylot do Tokio, Japonia. Świątynia shinto Meiji Jingu i Shibuya. Powitalna kolacja. Dz. 3 Tokio. Świątynia Asakusa, wieża telewizyjna Skytree, Ginza, Tokyo International Forum i park Pałacu Cesarskiego. Dz. 4 Tokio na własną rękę. Dz. 5 Pociągiem Shinkansen do Kioto. Świątynia shinto Fushimi Inari-taisha, targ Nishiki i czarująca dzielnica gejsz Gion. Dz. 6 Kioto. Złoty Pawilon, Zamek Nijo, ogród Zen i bambusowa ścieżka w dzielnicy Kioto – Arashiyama. Dz. 7 Kioto. Wycieczka do Nary. Dz. 8 Kioto na własną rękę. Kolacja pożegnalna z wołowiną wagyu w menu. Dz. 9 Przejazd z Kioto na lotnisko w Tokio i wylot do Warszawy. Dz. 10 Przylot do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 12/11 2024

Gejsze, szoguni i samuraje

Duchowy mistycyzm, góry i dzika natura, ogrody zen, manga, oświetlone neonami drapacze chmur, plantacje herbaty - poznaj z nami wszystkie oblicza Japonii!

Program wycieczki obejmuje wszystkie najważniejsze zabytki Tokio, Kioto i Hiroszimy, ale także ekscytujące wyprawy do rzadko odwiedzanych rejonów. Pojedziemy na miejsce tsunami z 2011 roku i dowiemy się więcej o tym wydarzeniu od bezpośrednich świadków. Odwiedzimy herbaciarną wioskę w górach oraz wyjątkowe Muzeum Miho ze zbiorami sztuki japońskiej i starożytnych cywilizacji. Wśród dzikiej przyrody odnajdziemy świątynię Shinto Izumo-Taisha – jedną z najważniejszych w Japonii. Na koniec dla odprężenia zażyjemy kąpieli w gorących źródłach onsen i odwiedzimy najwspanialszy ogród Japonii położony przy Muzeum Sztuki Adachi.

16 dni | Wylot z Warszawy 25/09 2024

Sprawdź cenę!

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, Sp.

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Lawinowi neuronietypowi

Mamy wysyp dorosłych z diagnozami spektrum autyzmu. Co to mówi o nich i o świecie?

JOANNA CIEŚLA

Fidżet wygląda jak zabawka, malutki pad do gier komputerowych. Obły kawałek czarnego plastiku z kulkami, które można obracać, kolorowe przyciski. Palce Agnieszki biegają po nich, gdy mówi. Drobne ruchy pozwalają opanować bodźce – dostarczać tych kontrolowanych, odcinać natłok innych – dźwięków w tle, gestykulacji ludzi. Dzięki temu łatwiej się skupić na rozmowie. Na poziomie neurofizjologicznym dokładny mechanizm pozostaje zagadką, jak wiele wątków związanych z autyzmem.

Dla Agnieszki dostęp do wiedzy o praktycznych rozwiązaniach ułatwiających życie – o istnieniu fidżetów, ale i o tym, że jeśli na przykład przygasi światło, myśli jej się lepiej niż przy ostrym – to cenny zysk z diagnozy spektrum autyzmu, uzyskanej w wieku 36 lat. Mimo ponawianych namów psychiatry leczącej ją z depresji, do badania zbierała się półtora roku. Bała się, że potwierdzenie przypuszczeń lekarki stanie się końcem świata, nieusuwalnym odium.

Urszula Dawgiałło – 28 lat, diagnoza od dwóch – porównuje rozpoznanie do spóźnionego listu z Hogwartu, tłumaczącego, dlaczego wokół niej dzieją się niezrozumiałe rzeczy i dlaczego tak bardzo różni się od rówieśników. Marcin, 24 lata, diagnoza od pół roku, mówi, że razem z nią dostał usprawiedliwienie, dla siebie i innych, wieloletnich trudności, zawiedzionych nadziei i niespełnionych wymagań.

Odczucie ulgi z czasem uruchamia się u niemal wszystkich, bo prawie u wszystkich diagnoza jest jak przełącznik z trybu chaosu na wyjaśnienie, porządek. A porządek w spektrum zazwyczaj się ceni.

Przez ostatnich pięć lat diagnoz autyzmu w Polsce przybyło o 100 proc. W 2019 r. osób ze spektrum było 65 tys., w 2023 – ponad 130 tys. A to tylko dane z Narodowego Funduszu Zdrowia. Nie uwzględniają osób gotowych (albo zmuszonych), żeby za diagnozę płacić. Dotyczy to i dzieci, i dorosłych. Jeśli chodzi o tę drugą grupę, raporty NFZ pokazują wzrost jeszcze większy. W 2019 r. notowały 1,8 tys. kobiet i 7 tys. mężczyzn ze spektrum autyzmu, a w 2023 r. już 6 tys. kobiet i 15 tys. mężczyzn. Przy czym spośród rozmówców wypowiadających się w tekście nikt nie robił badań w ramach funduszu. Mówią, że „to nie jest na ich system nerwowy".

Urszula Dawgiałło. W diagnozie znalazła inspirację, założyła firmę.

Rain Man narzuca ton

Jak ocenia prof. dr hab. Ewa Pisula z Wydziału Psychologii UW, która poświęciła naukowe życie badaniu autyzmu, zmiany statystyk w Polsce i na świecie to wynik splotu wielu przyczyn. – *Jest wśród nich rosnąca świadomość autyzmu, są zmiany w kryteriach i sposobie jego definiowania, a także szerszy dostęp do diagnozy, czasem umożliwiającej uzyskanie orzeczenia o niepełnosprawności.*

Jednocześnie rozwija się podejście zdystansowane wobec medykalizacji autyzmu, ustawiające go w perspektywie społeczno-kulturowej, nie jako patologię, lecz jako alternatywną, rzadszą ścieżkę rozwoju, powodowaną przez naturalną genetyczną zmienność. Trudności czy natwet cierpienie, które na tej ścieżce mogą się pojawiać, są skutkiem tego, że świat jest zbudowany dla osób neurotypowych. Choć na tle zmieniającego się rozumienia autyzmu granice neurotypowości też opisuje się z rosnącym trudem.

Pierwsze prace nad uchwyceniem autyzmu (od greckiego „autos", czyli „sam") jako osobnej diagnozy niemal jednocześnie toczyły się w latach 30. w Austrii i w Stanach Zjednoczonych. W Baltimore psychiatra Leo Kanner opisał 11 dzieci, u których dopatrzył się podobieństw m.in. w zaburzonym kontakcie z rówieśnikami, niechęci lub niezdolności do mówienia, w osobliwych reakcjach, takich jak fascynacja światłem albo niechęć do niektórych dźwięków, w powtarzaniu pewnych ruchów i w obsesyjnej potrzebie stałości otoczenia. Na tej podstawie wyodrębnił nową jednostkę chorobową, którą nazwał autyzmem wczesnodziecięcym.

Pediatra Hans Asperger w Wiedniu wśród pacjentów swojej kliniki zaobserwował grupę chłopców z trudnościami społecznymi, a jednocześnie wysoką inteligencją. Nazwał ich zaburzenie „psychopatią autystyczną". Jego praca, nieprzetłumaczona na angielski, została dostrzeżona dopiero po 40 latach. – *Przez dekady autyzm był uznawany za jedną z psychoz, formę schizofrenii dotykającą dzieci. Dopiero w latach 80. zaczęto widzieć go jako zaburzenie rozwojowe* – opowiada prof. Ewa Pisula. Popularnym świadectwem wiedzy

Joanna Jurewicz. Po diagnozie zrozumiała, że wbrew temu, co jej się wydawało, nie jest dla bliskich mało ważna.

o autyzmie z tamtego czasu jest nakręcony w 1988 r. słynny „Rain Man" z Dustinem Hoffmanem, wcielającym się w rolę geniusza zatrzaśniętego w klatce własnego umysłu (film powstał zresztą na podstawie prawdziwych doświadczeń mężczyzny, który za jego sprawą na pewien czas też stał się gwiazdą). Obraz był na tyle przejmujący, że ukształtował masowe wyobrażenie o autyzmie na kolejne lata.

A w nauce, za sprawą brytyjskiej psychiatry Lorny Wing, coraz głośniej mówiło się już o zmiennym stopniu nasilenia objawów z różnych obszarów. Z czasem w użycie wszedł termin zespół Aspergera, opisujący „lżejszy autyzm", bez powiązania z niepełnosprawnością intelektualną, z mieszczącym się w normie rozwojem językowym. Dziś badacze próbujący logicznie porządkować szafki z objawami i etykietami diagnostycznymi uznali, że prościej będzie objąć je wszystkie jednym hasłem – spektrum autyzmu. Zespół Aspergera znika z klasyfikacji (także przez to, że upamiętniony w nazwie badacz okazał się mrocznym moralnie współpracownikiem nazistów). A granice diagnozy spektrum określa tzw. diada autystyczna, czyli trudności w utrzymywaniu interakcji społecznych i komunikacji oraz skłonność do nietypowych lub nadmiernie sztywnych zachowań, czynności i zainteresowań.

We współczesnych statystykach aż 70 proc. osób doświadczających objawów z diady jest w intelektualnej normie. 30 proc. to osoby z niepełnosprawnością intelektualną i nasilonymi innymi trudnościami. – *Te proporcje są zupełnie odwrócone w stosunku do tego, jak myśleliśmy o autyzmie przez dziesięciolecia* – dodaje Ewa Pisula. Potocznie i trochę stereotypowo, głównie w odniesieniu do osób z intelektualną niepełnosprawnością, używa się określenia „autyzm," a w odniesieniu do tych z inteligencją w normie (lub wyższej) częściej mówi się o spektrum.

Dr House
zachęca do diagnozy

Marta przez lata dużo z tego wiedziała. W teorii wiedzy o autyzmie była świetna – jako studentka psychologii, matka syna ze spektrum i pracowniczka przedszkola dla dzieci z autyzmem. – *W trakcie diagnozy drugiego syna, młodszego, pani psychiatra dyskretnie zasugerowała, że często zaleca się, aby rodzice dzieci badanych pod kątem autyzmu sami poddali się konsultacji.* I tak, w wieku 34 lat, kobieta dowiedziała się, że sama mieści się w spektrum.

Historia Marty jest dosyć typowa – na jej trudności nikt przez lata nie zwracał uwagi, bo większość dziewczynek w spektrum zachowuje się odpowiednio do społecznych oczekiwań – są cichutkie, niekłopotliwe, własne trudności skwapliwie maskują. Marta zaczęła mówić w czwartym roku życia, ale potem cały czas siedziała z nosem w książkach, nie snuła się po mieście z koleżankami, bo ich nie miała. Czytywała też młodzieżowe poradnicze gazety, ale nie po to, żeby rozwiązywać swoje problemy, tylko żeby dowiedzieć się, jakie problemy powinna mieć. Po tym, jak usłyszała, że straszy ludzi, bo wcale się nie uśmiecha, przed lustrem ćwiczyła miny, aż w końcu uśmiech przykleił jej się do twarzy na stałe. Ale wśród diagnostów krąży też opowieść o mężczyźnie, który na trop własnej diagnozy wpadł sam, obserwując badanie psychiatryczne syna i odpowiadając w myślach na zadawane pytania. Rosnąca świadomość autyzmu i liczba badań dzieci to jeden z możliwych kanałów wzrostu diagnoz wśród dorosłych – ich rodziców.

Ale bywa i tak, że przez lata pracuje się na tzw. autystyczne wypalenie, które w końcu ujawnia się, jak u Marcina, po dwudziestce. – *Rozumienie emocji i intencji innych ludzi od dzieciństwa wymagało ode mnie wysiłku, główkowania. Po dłuższym kontakcie byłem wyczerpany. Myślałem, że wszyscy tak mają, choć też często nie rozumiałem, dlaczego ktoś ma do mnie żal czy pretensje. Dopiero niedawno pojąłem, że osoby neurotypowe, patrząc na czyjąś twarz, automatycznie orientują się, czy ktoś jest na przykład zły albo smutny. Dzięki temu też rzadziej wpadają w kłopoty w relacjach.* Po drodze Marcin zdążył się przeforsować – pojechał jako trener na obóz sportowy, w stałe towarzystwo ludzi, za których odpowiadał. Przez tydzień przeżywał powtarzające się napady paniki. Do gabinetu psychiatry zaprowadził go kolega.

Joanna Jurewicz, profesor indologii, w wieku 59 lat została namówiona do diagnozy przez psychoterapeutkę, ale i przez dorastającą córkę, zainspirowaną serialem „Dr House", kolejnym brawurowym przedstawieniem autyzmu. – *Oglądała i komentowała: mamo, przecież to o tobie!* Naukowczyni przyznaje, że przez lata miała problemy w komunikacji. – *Byłam tak spanikowana rozmową z drugim człowiekiem, że nie mogłam znaleźć słów. Każdy wykład musiałam naczytywać po kilka razy. W większości grup i relacji czułam się mało ważna, osobna, „ostatnia w kolejności dziobania". Do dziś z trudem przychodzi mi też panowanie nad sytuacją* ▶

▶ *finansową, zmagam się z kredytami i zobowiązaniami*. Joanna Jurewicz czasem słyszy od innych neurotypowych osób „Ten problem to ja akurat też mam". – *Odpowiadam: kłopot w tym, że u mnie to wszystko występuje naraz.*

Diagnosta czeka

Spektakularny wysyp diagnoz budzi pytania, czy część z nich nie jest na wyrost. Także ze stron dość nieoczekiwanych jak pełnomocnik ds. osób niepełnosprawnych w rządzie PiS, Paweł Wdówik. Minister jeszcze kilka lat temu martwił się nadreprezentacją dzieci z zespołem Aspergera, generującą potężne koszty dla systemu (chodziło o kształcenie specjalne). Ale wśród specjalistów trudno znaleźć zrozumienie dla takiego podejścia. Kinga Wojaczek, założycielka Stowarzyszenia Innowacji Społecznych Mary i Max, wspierającego osoby w spektrum autyzmu, spotyka mnóstwo ludzi, którzy doczekali się rozpoznania w wieku nastoletnim lub dorosłym. I nie ma wątpliwości, że ich życie byłoby dużo łatwiejsze, gdyby stało się to w okresie szkolnym i gdyby wtedy uzyskali wsparcie. Jednocześnie psycholożka, choć doświadczona w pracy z osobami ze spektrum, podkreśla, że diagnozę powinien przeprowadzać psychiatra z szeroką wiedzą o innych zaburzeniach.

A inni terapeuci i lekarze potwierdzają: spektrum autyzmu można pomylić z trudnościami lub nietypowością zachowań, która wynika z zupełnie innych przyczyn. W teście ADOS-2 (Autism Diagnosis Observation Schedule), szeroko stosowanym przy badaniu pod kątem spektrum, osoba neurotypowa, ale po przeżyciu traumy, może uzyskać rezultaty podobne do osoby z autyzmem. Objawy przypominające spektrum pojawiają się też w niektórych psychozach. Przy tym formalnie, aby uzyskać certyfikat uprawniający do posługiwania się wspomnianym testem – np. będąc logopedą albo pedagogiem – wystarczy przejść dwudniowy kurs w cenie ok. 2,5 tys. zł i ćwiczebnie wykonać diagnozę dwóch przypadków. Na szkolenie w prywatnym ośrodku bez problemu przyjęto autorkę tego tekstu – psycholożkę bez praktyki w zawodzie.

Kompleksowa medyczna diagnoza – którą przeszli wszyscy nasi rozmówcy – to uwzględnia. Składa się na nią szereg badań i wywiadów rozłożonych na miesiące, prowadzonych przez przynajmniej dwuosobowy zespół – psychologa i psychiatrę. Koszt takiego badania to ponad 2 tys. zł.

Niemniej zarówno indywidualni specjaliści, jak i sieciowe przychodnie „wychodząc naprzeciw potrzebom Pacjentów" – bo neuroróżnorodność w ostatnich latach intryguje szerokie kręgi Polaków – oferują samo badanie ADOS-2, dwugodzinne, za jedyne tysiąc złotych. I nie wszyscy informują, że nie jest to pełna diagnoza. – *Niebezpieczeństwo jest jeszcze jedno* – zwraca uwagę psycholog z Warszawy. – *Część psychoterapeutycznych pacjentów mocno fiksuje się na takich informacjach na swój temat. A one nie dość, że mogą być niepełne lub błędne, to czasem zamykają ich na inne formy pracy albo sprawiają, że przestają szukać bardziej odpowiedniego rozwiązywania swoich problemów.*

Superbohaterka się boi

Diagnoza rzetelna i staranna przestawia jednak suwaki życia w różnych wymiarach. Emocjonalnym i rodzinnym – jak u Joanny Jurewicz. Badaczka i autorka wielu oryginalnych interpretacji starożytnych tekstów sanskryckich napisała osobistą książkę o przewrocie we własnym rozumieniu siebie. Tytuł dała „Pod lodem", bo zazwyczaj w ten sposób odbiera rzeczywistość – widzi, ale miejscami mętnie, przez nieprzekraczalną barierę. – *Po diagnozie zrozumiałam, że wbrew temu, co mi się wydawało, nie jestem dla rodziny i przyjaciół mało ważna, że to nie tak, że mnie nie lubią. Ja po prostu nie jestem w stanie w pełni wejść do ich świata*. Wciąż pisząc, próbuje to lepiej tłumaczyć, także samej sobie. „Niedziela Wielkanocna. Są prawie wszyscy – moja córka, siostra, kuzynki, ich rodziny. (…) A ja jestem obok. (…) Między nimi dzieje się coś, w czym nie umiem uczestniczyć. Podobno ponad 80 procent komunikatów jest niewerbalnych, z nich tka się sieć z promieni słonecznych. Delikatna, piękna, misterna, nieomal ją widzę, ale już wiem, że nie dołączę do tkania".

U Urszuli Dawgiałło suwak przesunął się w przestrzeni zawodowej. W diagnozie znalazła inspirację, założyła firmę. W sklepie internetowym sprzedaje pomoce przydatne dla osób autystycznych – nauszniki ochronne, konstrukcje, które można układać. Remontuje też gabinet, w którym będzie zatrudniać specjalistów wspierających osoby w spektrum.

U Agnieszki suwak jeszcze się chybocze. – *Przydatne jest mieć więcej wiedzy o sobie, ale wkurza mnie modne ostatnio mówienie o neuroróżnorodności, że to są jakieś supermoce*. Agnieszka cieszy się, że powstają firmy i projekty nakierowane na zatrudnianie osób ze spektrum jako konkurencyjnych pracowników – skrupulatnych, spostrzegawczych, szczerych i nieszablonowo myślących. Sama taka jest, odnosi zawodowe sukcesy. – *Ale ja bym to chętnie oddała, od kiedy sobie uświadomiłam, że przez moje ograniczenia nigdy nie spełnię niektórych marzeń. Na przykład o samotnej podróży. Bo jeśli dopadnie mnie atak paniki związany z przestymulowaniem, w obcym kraju, nie zdołam sobie poradzić*. Atak paniki, na przykład z powodu zalewu bodźców, czasem objawia się potężnym rozdzierającym krzykiem z jednoczesnym zatykaniem uszu. Popkulturowe przekazy o ludziach z autyzmem utrwaliły wiele takich scen. Z drugiej strony, dzięki temu, że Agnieszka chodzi na spotkania grupy terapeutycznej, widzi, że rozwiązania się znajdują. Ciągnęło ją na targi fantastyki, ale też bała się zbyt wielu ludzi i wrażeń. – *Na grupie wymyśliliśmy, że mogę obejrzeć i odwiedzić to miejsce wcześniej – oswoić się, żeby przestrzeń mnie nie stresowała, zaopatrzyć się we wszystkie bariery – słuchawki, okulary przeciwsłoneczne, apaszkę wypsikaną własnymi perfumami. I pójść, nawet jeśli będę dziwacznie wyglądać.*

Prof. Ewa Pisula podkreśla, że zmieniające się dane o tym, jak częstym doświadczeniem jest autyzm, a także o tym, jak często atypowość towarzyszy intelektualnej normie, powinny mieć konsekwencje dla polityki społecznej. – *Trzeba włożyć wysiłek we wspieranie ludzi tak, żeby edukacja i inne obszary życia były w pełni dostępne osobom w spektrum autyzmu. Także dlatego, że choć ich potrzeby bywają bardzo duże, zaniedbując je, marnuje się ogromny potencjał.*

Marta, zdiagnozowana wraz z własnymi dziećmi, mówi, że człowiek ze spektrum i bez to jak samochód na benzynę i diesel. – *Oba jeżdżą, z zewnątrz się nie różnią, ale inaczej zbudowane są ich silniki. Nie wlejesz benzyny do diesla ani ropy do benzynowego*. Co jest benzyną, a co ropą? – *Doświadczenia. Osoby neurotypowe być może potrzebują więcej kontaktów społecznych, a dla osób ze spektrum często większe znaczenie mają bodźce sensoryczne – dotyk, dźwięki, kolory*. Choć może nawet ten podział jest za ostry, zbyt zero-jedynkowy, skoro w codziennym życiu trudno znaleźć osobę, która całkowicie mieści się w ramach jakkolwiek rozumianej normy. Może zbyt uparcie ignorowaliśmy fakt, że tworzymy świat, w którym przecież prawie dla każdego jest zbyt dużo hałasu, chaosu i samotności. Może masowy wysyp diagnoz neuronietypowości ma nam to właśnie uzmysłowić.

JOANNA CIEŚLA

Szy

Lukas Pod
piłkarskie
Pracu

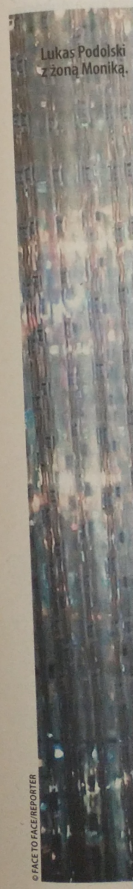

Lukas Podolski z żoną Moniką.

© FACE TO FACE/REPORTER

Szychta Poldiego

Lukas Podolski mógł odcinać kupony od wspaniałej piłkarskiej kariery, ale wrócił na Śląsk… do roboty. Pracuje dla Górnika Zabrze w wielu rolach.

MARCIN PIĄTEK

Przyszedł do klubu latem 2021 r. na ostatki futbolowej kariery, ale od tej pory stał się tu kimś więcej niż piłkarzem z największym dorobkiem, jaki kiedykolwiek grał w Ekstraklasie. Oprócz wykonywania swych podstawowych boiskowych obowiązków Poldi (jak nazywają Podolskiego koledzy i kibice) załatwił dla Górnika sponsora, pomógł w sprowadzeniu kilku piłkarzy (na jednego nawet wyłożył własne pieniądze), postarał się o autokar, z którego drużyna korzysta podczas meczów wyjazdowych, o sprzęt na siłownię, o system ▶

Lukas Podolski z żoną Moniką.

© FACE TO FACE/REPORTER

▶ drenażu bocznego boiska, a znajomości w Turcji – grał parę lat temu w tamtejszych klubach – przekuł na promocyjne ceny zimowego obozu. – *Mam kontakty, mogę pomóc, klub korzysta, więc czemu miałbym tego nie robić?* – pyta retorycznie Poldi.

Dla zabrzańskich trybun jest bogiem. – *Mógłby grać u szejków albo u jankesów za ciężkie miliony, mieszkać w willi nad oceanem, ale wybrał grę dla Górnika i życie na Śląsku, gdzie szaro i smog. Gdy nie może grać, podróżuje z Torcidą* [grupa najbardziej fanatycznych kibiców klubu – red.] *na mecze wyjazdowe. Swój chłop* – mówi wychodzący z klubowego sklepiku kibic. Jan Urban, trener Górnika, również jedna z klubowych legend: – *Widząc jego zaangażowanie na treningach albo w meczach, nasuwa się pytanie, jak to możliwe, że tak mu się chce? Odpowiedź jest prosta: Lukas kocha piłkę.*

O takich jak Podolski mawia się: rasowy napastnik. W lewej nodze zawsze miał dynamit; gdy trafił czysto, piłka chciała rozerwać siatkę. Lata lecą – w czerwcu skończy 39 – ale na Ekstraklasę wciąż wystarczy: na razie do 20 goli dołożył 18 asyst; w poprzednim sezonie miał bezpośredni udział przy co trzeciej bramkowej akcji Górnika, często jego trafienia były nominowane do gola kolejki. Pogoni Szczecin strzelił bramkę z połowy boiska. – *PESEL robi swoje, nie zawsze ma siły na cały mecz. Ale nie robi problemu, by poprosić o zmianę albo gdy nie wybiega w podstawowym składzie. Nie gwiazdorzy* – mówi trener Jan Urban.

Wszystko kręci się wokół piłki

Smykałkę do piłki ma po ojcu, Waldemarze, który grał w takich klubach jak Górnik Knurów, ROW Rybnik i Szombierki Bytom (był rezerwowym składu mistrzów Polski z 1980 r.). Jego matka grała w piłkę ręczną w Sośnicy Gliwice. Miał dwa i pół roku, gdy rodzice zdecydowali, że przyszłość lepiej rokuje w zachodnich Niemczech niż w Polsce Ludowej, która wówczas, w 1988 r., chwiała się już mocno w posadach. Podolscy zostawili Gliwice, zabrali Łukasza oraz jego starszą o kilka lat siostrę i osiedli w Bergheim, nieopodal Kolonii.

Już jako Lukas przeszedł pełen cykl piłkarskiego dojrzewania i z tysięcy trampkarzy znalazł się w garstce tych, którzy wykazali dość talentu, determinacji i zdrowia, by awansować do pierwszej, występującej w Bundeslidze drużyny, która stała się dla niego trampoliną do gry w Bayernie Monachium, Arsenalu Londyn i Interze Mediolan, a przede wszystkim w reprezentacji Niemiec, której jest trzecim najlepszym strzelcem w historii (49 goli) oraz mistrzem świata z 2014 r.

Z kłopotliwego dylematu, które narodowe barwy reprezentować, wybawili Podolskiego działacze Polskiego Związku Piłki Nożnej. Nie byli zainteresowani jego grą dla Biało-Czerwonych. Ale inna sprawa, że sam Lukas specjalnych wątpliwości nie miał. Jako produkt futbolowy ma bowiem rodowód stuprocentowo niemiecki i wszystko – czyli odpowiednią bazę, zaplecze, *know-how* oraz nauczycieli – zawdzięcza swej przybranej ojczyźnie. Futbol, mówi Lukas, ten podwórkowy i ten w akademii, pomagał wyrobić sobie pozycję w rówieśniczej grupie, nadać znaczenie, no i pomagał w trudnej dla każdego imigranckiego dziecka adaptacji. Na boisku trzeba było wykazać się zdrowiem i umiejętnościami, nie odstawiać nogi i walczyć na łokcie, czyli pomyślnie przejść test charakteru.

Co do swego charakteru Poldi nie ma wątpliwości: śląskie geny, twardość wykuwana w jego rodzinie od pokoleń w kopalniach. – *Również dlatego chciałem grać w Zabrzu, bo czuję, że coś zawdzięczam temu regionowi i tutejszym ludziom, którzy cały tydzień ciężko zapieprzają, a potem w weekend piłka to dla nich najważniejsza rozrywka* – mówi. Grę dla Górnika swego czasu obiecał też babci, do której przyjeżdżał na każde wakacje do gliwickiej dzielnicy Sośnica, gdzie dość solidarnie kibicuje się Górnikowi. W rodzinie Podolskich nie było inaczej, wakacje Łukasza kręciły się głównie wokół piłki, za którą na co dzień ganiał po podwórkach, a w weekendy chodził z rodziną na stadion przy Roosevelta, klub stał się jego pierwszą kibicowską miłością, a wiadomo, jak to z takimi miłościami bywa: są już na zawsze. – *Przyjechałem tu głównie dla fanów, bo podzielam ich emocje. Sam zaczynałem jako kibic i jako kibic skończę* – mówi.

Górnicza caryca

Z tymi szejkami to prawda. Mając do wyboru wyrażone w zachodniej walucie siedmiocyfrowe oferty z klubów amerykańskich, saudyjskich – jak również pewnego meksykańskiego, którego przedstawiciele osobiście pofatygowali się do Podolskiego, aby roztoczyć przed nim wizję lukratywnego końca kariery w pięknych okolicznościach przyrody – wybrał Górnika. Razem z żoną Moniką i trójką dzieci zamieszkali w Katowicach, to ich kolejny życiowy przystanek wynikający z futbolowej drogi Lukasa. – *Są na świecie ładniejsze miejsca do życia, ale generalnie nasze dni kręcą się wokół dzieci, ich szkoły i zajęć. Wszędzie byłoby tak samo* – uważa.

Górnik to klub nieutulony w żalu po czasach świetności (14 tytułów mistrza kraju, finał Pucharu Zdobywców Pucharów przypadających na czasy PRL, od lat nieliczący się w walce o jakiekolwiek tytuły, którego podstawową troską jest utrzymanie się w Ekstraklasie. Co zresztą nie zawsze się udawało. W futbolowej gospodarce wolnorynkowej klub nie potrafił się odnaleźć, a jedyna nadzieja na przełom zaświtała kilkanaście lat temu, gdy głównym udziałowcem został ubezpieczeniowy gigant Allianz. Pompowane rokrocznie w ramach sponsoringu miliony nie przyniosły jednak oczekiwanego skutku, a pojawiająca się w końcu zniecierpliwiła sponsorów i w 2019 r. spakowali manatki. Od tego czasu klub jest całkowicie w rękach miasta Zabrza. – *Faktycznie prawo do podejmowania decyzji dotyczących funkcjonowania Górnika zarezerwowała sobie prezydent miasta Małgorzata Mańka-Szulik. Jest na każdym meczu, wchodzi do szatni jak do siebie, belferskim tonem* [uczyła kiedyś matematyki – red.] *potrafi zrugać tych, którzy zwracają się do niej nieodpowiednim tonem, no i przede wszystkim osobiście decyduje o polityce personalnej. Nie tylko jeśli chodzi o osoby zarządzające klubem, ale również w kwestii transferów* – opowiada osoba związana z klubem.

Pani prezydent, zwana również w Zabrzu carycą, pociąga sznurkami Górnika tak sprawnie, że klub zadłużył się na ponad 20 mln zł, a gdyby przyłożyć do niego reguły prawa handlowego, kwalifikuje się już do postępowania upadłościowego. Od dobrych kilku miesięcy nie ma prezesa ani dyrektora sportowego, ma za to zaległości w wypłatach wobec zawodników oraz wlekącą się od 13 lat – i finansowaną z miejskiej kasy – budowę stadionu. W Zabrzu mówi się o tym, że to celowe przeciąganie, aby pani prezydent mogła obiecywać realizację kolejnego etapu w kolejnych kampaniach samorządowych, poza tym obiektem zarządza miejska spółka Stadion w Zabrzu, w której znajduje się wiele ciepłych posadek. – *Klub to dla carycy narzędzie polityczne, ale mam wrażenie, że na kibiców już nie działa. Ostatnio na meczach regularnie słychać okrzyki: „Mańka-Szulik, oddaj Górnik"* – opowiada osoba związana z klubem.

Pani prezydent ledwo co dostała się do drugiej tury wyborów samorządowych, a Podolski oficjalnie wsparł jej rywalkę, Agnieszkę Rupniewską, co oznacza, że kibice Górnika pójdą za nią. Napastnik nie trzyma języka za zębami i otwarcie mówi o tym, że grający w Ekstraklasie klub, który nie ma władz i nie płaci piłkarzom na czas,

jest niepoważny. Jakiś czas te
burzę, publikując zdjęcia zap
wej akademii: zrujnowany sp
ni, brudne pomieszczenia,
płatami farba na drzwiach.
*w Kolonii, jako dzieciak, m
warunki do treningu niż chło
brzu. Boisko, na którym gra
rezerw, to błoto i dziury. Ska
dzi. W klubowej akademii s
nież 16-letni syn Lukasa, o kt
mówi się, że jest w swym roc
z najlepszych, pod warunk
chce. – Trenował tam, gdz
przednio: w Turcji, w Jap
porównanie, jeśli chodzi o u
woju. Ja wiem, że otoczenie
ko, trzeba też mieć w sobie
chęć spełnienia marzeń, ale
jak z treningami, zapleczer
to zawodnicy nie mają pod
wek, narzekań.*

Przyciąga miliony

W Zabrzu Poldi ma wię
konać się, jak w praktyce
sche Wirtschaft. Również
polityki transferowej. Jeg
nie w budowę kadry to ni
do menedżerów i osobist
też wykładanie pieniędzy,
bowej kasie brak. W przypa
go skrzydłowego Daisuke
raptem o 30 tys. euro. – *Jes
do Katowic zapłaciłem, b
nany, że to dobry wybór. P
poszedł do ligi belgijskiej,
na transferze na czysto p
euro. Ja nie mam z tego*
Podolski.

W klubie dojrzewają na
nie dobry interes uda się zb
na transferze przebojow
Lawrence'a Enaliego, który
dolskiego dołączył do klub
to z punktu widzenia przec
umiarkowana atrakcja, a
feru osobiście namawia P
go za partnera w ataku, pe
zmianie. Takie argumenty
liego, a wcześniej napastn
cji młodzieżowej Szymon
który uznał, że u boku P
zrobić karierę niż jako
wowy w Legii Warszawa.
za niego 15 tys. euro, Włc
rok, strzelił dziewięć goli
za 2,2 mln euro do Sturm
Jan Urban: – *Nie ma dwóc
takty Lukasa się przydają.
ma dobre rozeznanie co d
data, to ludzie traktują go
mu nie wcisną.*

jest niepoważny. Jakiś czas temu wywołał burzę, publikując zdjęcia zaplecza klubowej akademii: zrujnowany sprzęt na siłowni, brudne pomieszczenia, łuszcząca się płatami farba na drzwiach. – *30 lat temu w Kolonii, jako dzieciak, miałem lepsze warunki do treningu niż chłopcy dziś w Zabrzu. Boisko, na którym gra nasza drużyna rezerw, to błoto i dziury. Skandal* – twierdzi. W klubowej akademii szkoli się również 16-letni syn Lukasa, o którym w klubie mówi się, że jest w swym roczniku jednym z najlepszych, pod warunkiem że mu się chce. – *Trenował tam, gdzie grałem przednio: w Turcji, w Japonii, więc ma porównanie, jeśli chodzi o warunki do rozwoju. Ja wiem, że otoczenie to nie wszystko, trzeba też mieć w sobie głód, ambicję, chęć spełnienia marzeń, ale z drugiej strony jak z treningami, zapleczem wszystko gra, to zawodnicy nie mają podstaw do wymówek, narzekań.*

Przyciąga miliony

W Zabrzu Poldi ma więc okazję przekonać się, jak w praktyce wygląda *polnische Wirtschaft*. Również na przykładzie polityki transferowej. Jego zaangażowanie w budowę kadry to nie tylko telefony do menedżerów i osobiste namowy, ale też wykładanie pieniędzy, których w klubowej kasie brak. W przypadku japońskiego skrzydłowego Daisuke Yokoty chodziło raptem o 30 tys. euro. – *Jeszcze za samolot do Katowic zapłaciłem, bo byłem przekonany, że to dobry wybór. Pograł u nas rok, poszedł do ligi belgijskiej, Górnik zarobił na transferze na czysto półtora miliona euro. Ja nie mam z tego nic* – opowiada Podolski.

W klubie dojrzewają nadzieje, że równie dobry interes uda się zbić lada moment na transferze przebojowego napastnika Lawrence'a Enaliego, który za namową Podolskiego dołączył do klubu. Gra w Zabrzu to z punktu widzenia przeciętnego ligowca umiarkowana atrakcja, ale gdy do transferu osobiście namawia Podolski i ma się go za partnera w ataku, perspektywa ulega zmianie. Takie argumenty przekonały Enaliego, a wcześniej napastnika reprezentacji młodzieżowej Szymona Włodarczyka, który uznał, że u boku Poldiego łatwiej zrobić karierę niż jako wieczny rezerwowy w Legii Warszawa. Górnik zapłacił za niego 15 tys. euro, Włodarczyk pograł rok, strzelił dziewięć goli, sprzedano go za 2,2 mln euro do Sturmu Graz. Trener Jan Urban: – *Nie ma dwóch zdań, że kontakty Lukasa się przydają. Nie dość, że sam ma dobre rozeznanie co do jakości kandydata, to ludzie traktują go poważnie. Lipy mu nie wcisną.*

Do milionowych korzyści, jakie biedny Górnik odniósł z obecności Podolskiego, należy również zaliczyć pomoc w ściągnięciu sponsora, niemieckiej firmy Schuettflix z branży budowlanej. – *Lukas jest naszym ambasadorem i zabiegał, żebyśmy wsparli klub, przede wszystkim akademię* – mówi Christian Langbehn, odpowiedzialny w firmie za kwestie marketingowe. Ale mimo że zrobił do tej pory więcej, niż od niego oczekiwano, podziękowań się nie doczekał. – *Nikt mi jeszcze nie powiedział, nawet w cztery oczy: Łukasz, dzięki, super, pomogłeś. Nie rozumiem tego, nie wiem, czy to zazdrość, czy zawiść, a przecież chodzi o dobro klubu, a klub jest nasz, wspólny. Przecież mógłbym tu przyjeżdżać tylko na treningi i na mecze, potem spędzać czas z rodziną i powiedzieć: jest właściciel, zarząd, niech oni się martwią, niech załatwiają* – mówi Podolski.

Ostatnio głośno o tym, że napastnik rekomenduje potencjalnych chętnych do przejęcia Górnika. Mnożą się plotki, że bez jego cichego przyzwolenia żaden dobrodziej nie ma w klubie racji bytu, a Poldi będzie już nie tylko grającym pośrednikiem od transferów i sponsorów, ale szykuje sobie w klubie jakieś dyrektorskie stanowisko. Jak przystało na człowieka, którego osobisty majątek szacowany jest według brytyjskich tabloidów na 180 mln funtów – na który składają się jego wieloletnie zarobki piłkarskie, prężnie rozwijająca się sieć lokali z kebabami (obecnie 35 w Niemczech, w Zabrzu ma być otwarty lada moment) – mógłby właściwie sam kupić Górnika od ręki, ale nie składa takich deklaracji. Transakcja oznacza bowiem nie tylko wyłożenie 8 mln zł (na tyle opiewa zlecona przez miasto wycena kontrolnego pakietu akcji klubu), ale również tzw. dobrodziejstwo inwentarza, czyli ponad 20-milionowy dług. Poza tym futbol to dużo bardziej ryzykowny i nieprzewidywalny biznes niż gastronomia.

Nieprzewidywalny biznes

Patrząc na Górnika, Podolski widzi jednak nie tyle ligowego średniaka z długami, ile jedną z najbardziej zasłużonych w historii polskiego futbolu firm, posiadającą w regionie stabilny potencjał kibicowski, której trzeba wreszcie stworzyć warunki, aby mogła nawiązać do lat świetności. – *Ale to nie będzie tak, że ktoś przyjdzie, ciepnie miliony i będziemy mieli mistrza. Najpierw trzeba pospłacać długi, poukładać biznes, ustalić cele, wybrać ludzi. To musi potrwać* – tonuje nastroje.

Jak to w futbolu: największe wyzwanie to piłkarze. Trzeba ich nie tylko znaleźć, ale przede wszystkim utrzymać. Wydaje się to mało prawdopodobne, bo lojalność i przywiązanie do klubowych barw nie leżą w naturze dzisiejszych piłkarzy. Skoro pierwsza poważna oferta z zachodniej Europy sprawia, że swoich zawodników nie są w stanie utrzymać Legia, Lech ani Raków Częstochowa będący własnością miliardera Michała Świerczewskiego, to Górnikowi raczej też to się nie uda.

Trener Jan Urban potwierdza: przekleństwo polskiej piłki ligowej to słaba pozycja w transferowym łańcuchu, co w przypadku Górnika oznacza, że nie stać go na odrzucanie propozycji z klubów austriackich albo belgijskich. – *Piłka to także biznes, a jeśli w biznesie dostajesz dobrą ofertę, sprzedajesz. W futbolu nie można się przed tym wzbraniać, bo udane transfery są dowodem, że klub umie wychować albo stworzyć odpowiednie warunki do rozwoju. W ten sposób też buduje się markę* – uważa. Zdaniem trenera cała sztuka to zapewnić oczekiwane wyniki, opierając zespół na piłkarzach z różnych powodów niesprzedawalnych, przy których będzie rozwijała się młodzież. I umiejętnie zapełniać personalne luki. Wygląda na to, że znajomości Poldiego jeszcze nieraz się przydadzą.

MARCIN PIĄTEK

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398-56-56
fax. (052) 398-56-06
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach

ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

Bezduch

Rozmowa z Ignacym Dudkiewiczem, filozofem, autorem książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem".

JAKUB HALCEWICZ: **– Chciałby pan odzyskać Kościół? Dla kogo?**

IGNACY DUDKIEWICZ: – Dla wierzących, uczniów, dla tych, którzy uznają, że historia i posłannictwo Jezusa jest prawdziwą opowieścią o świecie.

Jacek Żakowski pytał kiedyś Jacka Kuronia „Kto ukradł Polskę?". A gdyby zapytać, kto ukradł Kościół?

Po pierwsze, ukradł go polsko-watykański układ z czasów papieża Jana Pawła II. Najwyżsi urzędnicy Kościoła wiele w nim zniszczyli i zasiali we wspólnocie zatrute ziarna. Personalnie największy udział w tym mieli abp Józef Kowalczyk, nuncjusz w latach 1989–2010, a później prymas, oraz Stanisław Dziwisz, który przez lata odgrywał kluczową rolę w tym układzie w Rzymie.

Po drugie, Kościół ukradli wszyscy ci księża i politycy, którzy pozwolili na zlanie się w Polsce w jedno tożsamości chrześcijańskiej i prawicowej. To jest ogromna krzywda zadana Kościołowi jako idei powszechnej wspólnoty. A po trzecie, Kościół kradną procesy laicyzacji i sekularyzacji, klasyczne dla krajów globalnej Półno... i Zachodu w obecnych czasach późne... kapitalizmu, liberalizmu i indywidua... zmu. One wypłukują wszystko, co wspó... notowe. Choć neoliberalizm nie jest w st... nie wypłukać indywidualnej duchowości... to z jej wspólnotowym wymiarem rad... sobie świetnie i jest silniejszym czynn... kiem sekularyzacji niż błędy biskupów... Jednocześnie biskupi sami zrobili dużo... żeby przyspieszyć procesy odchodzenia od Kościoła.

A co to jest „pastwisko"?

To słowo wzięte z Biblii, występuje choćby w psalmie: „Pan moim pasterzem,/ nie brak mi niczego./ Pozwala mi leżeć/ na zielonych pastwiskach,/ prowadzi mnie nad wody, bym odpoczął". Mamy w nim figurę opiekuńczego pasterza i bezpiecznych owiec. Jednocześnie „pastwisko" to takie zwykłe słowo, może oznaczać bliską nam łąkę. Albo teren ograniczony płotem pod napięciem, gdzie zagania się bydło i je tam zostawia, tylko czasem ktoś przyjdzie i przegoni je z miejsca na miejsce, korzystając z posiadanej

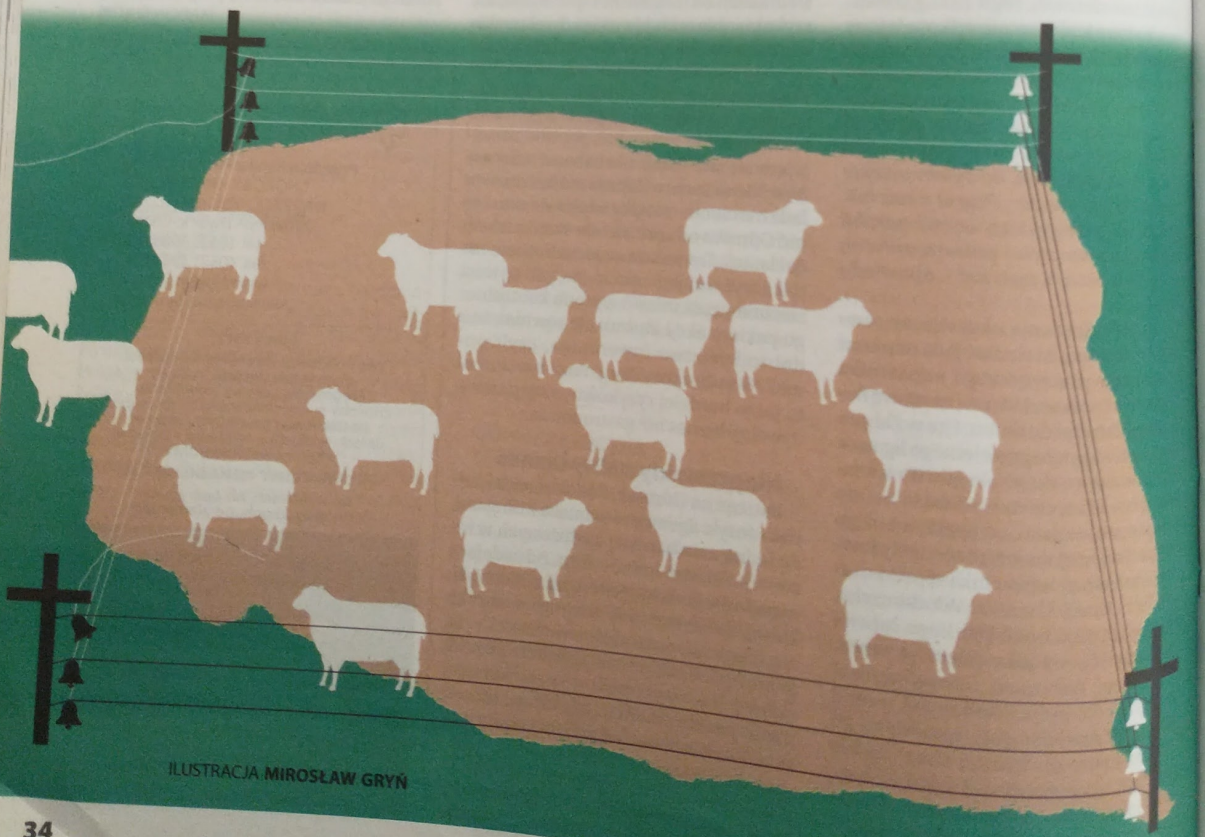

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

władzy. A na koniec w słowie „pastwisko" ukrywa się jeszcze inne: „pastwienie się".

Kto jest bydłem, a kto pasterzem na tym polskim pastwisku?

Bydłem mogą być wierni, przeganiani przez księży i biskupów. Albo księża podlegli przełożonym. Na pastucha pod napięciem natykają się np. ci księża, którzy chcą zwracać się do ludzi na peryferiach wiary, do czego zresztą zachęca papież Franciszek. W dzisiejszym Kościele w Polsce pełno jest takich drutów pod napięciem – to druty uwarunkowań, zależności. Ale nie ma pasterza. Niestety, nie jest nim Chrystus. Ani papież, raczej kontestowany.

Pastwiskiem może być także Polska, na której pasie się Kościół ze swoim klerykalizmem i wszechwładzą biskupów. Ale ja już nie zgadzam się na „granie w Kościół" na klerykalnych zasadach. Na wizję, w której muszę się oglądać na biskupów, bo są „następcami apostołów" i jako tacy decydują o sposobie interpretacji Ewangelii i dopuszczaniu mnie do sakramentów. To jest samoreprodukująca się kasta wybranych, która mówi: „mamy monopol na wszystko". Odmawiam udziału w tej grze. Chrześcijaństwo mówi o czym innym.

Abp Tadeusz Wojda, nowy przewodniczący episkopatu, w pańskiej książce „Pastwisko" pojawia się na trzech stronach z blisko 800. Wystarczy?

Nie był dotąd istotną postacią polskiego Kościoła ani życia publicznego. I nie wiadomo, czy będzie.

To dlaczego został wybrany?

Zadziałały różne mechanizmy, przede wszystkim eliminacji. Przewodniczącym episkopatu może zostać ordynariusz, czyli biskup diecezjalny (jest ich czterdziestu kilku), ale w Polsce utarła się praktyka, że metropolita (stoją wyżej w hierarchii i jest ich 14). Odpadli arcybiskupi Stanisław Gądecki i Marek Jędraszewski, bo skończyli urzędowanie, kard. Kazimierz Nycz, który ogłosił przejście na emeryturę, oraz odwołany abp Andrzej Dzięga. Została dziesiątka, w tym niewybieralni, bo albo niebawem przejdą na emeryturę, albo nie mają szans na poparcie większości biskupów, jak abp Wojciech Polak czy kard. Grzegorz Ryś. Zostało kilku zachowawczych hierarchów. Spośród nich przewodniczącym został abp Wojda, a wice – abp Józef Kupny. Ale to już nie miało większego znaczenia.

Nie ma w Kościele alternatywy dla opcji zachowawczej?

Mógłby nią być abp Adrian Galbas. Ale jak na standardy biskupie jest za młody, a swoją archidiecezją katowicką kieruje od niedawna, co w oczach instytucji Kościoła i osób nią zarządzających jest argumentem przeciwko. Dodatkowo kojarzy się ze stosunkowo pozytywnym podejściem do zmian społecznych, a krytycznym do stanu Kościoła i sposobu kierowania nim przez ostatnie 10 lat przez Gądeckiego i Jędraszewskiego. To go obciąża. Krótko mówiąc: Kościół w Polsce jest zabetonowany.

Abp Kupny to metropolita wrocławski. Jego dwóch poprzedników, Henryk Gulbinowicz i Marian Gołębiewski, zostało ukaranych za tuszowanie pedofilii. Ten drugi niedawno zmarł, a abp Kupny pochował go w katedrze. Bo, jak wymijająco tłumaczył zaraz po wyborach w KEP, pogrzeb to nie jest uroczystość i w zasadzie ma charakter pokutny...

Wykazał kompletny brak empatii dla osób skrzywdzonych i brak zrozumienia warstwy symbolicznej tego pogrzebu. Abp Gołębiewski uczestniczył w systemowym ukrywaniu brutalnego gwałciciela dzieci, jakim był ks. Paweł Kania (wydalony później ze stanu duchownego). Łamiąc kościelne przepisy, nie informował w jego sprawie Watykanu. Wraz z biskupami Edwardem Jakiem i Janem Tyrawą przez lata pozwalał Kani na pracę z dziećmi, także po jego zatrzymaniach i wszczynaniu śledztw prokuratorskich.

Abp Gołębiewski to pierwszy bohater książki. Poszedł pan do niego na kawę. Jak smakowała?

Mój dziadek był Żydem i więźniem Auschwitz, a po 1945 r. zeznawał w Norymberdze i napisał książkę „Dzień powszedni ludobójcy" o codziennym życiu Rudolfa Hössa, częściowo na podstawie rozmów z nim w więzieniu. Przy zachowaniu absolutnie wszelkich proporcji podczas spotkania z abp. Gołębiewskim nasuwały mi się pewne skojarzenia z pracą dziadka. Rozmawiałem z miłym starszym panem, który snuł opowieść o tym, jak służył Kościołowi, a potem jako biskup prowadził pokutny żywot. I mówił to w jadalni wielkości całego mojego mieszkania, w którym żyję z żoną i dwójką dzieci.

Łatwo się tego słuchało?

Nie. Ale szedłem tam jako dziennikarz, który musi spróbować zrozumieć, co myśli taki człowiek. Zdaniem abp. Gołębiewskiego Watykan po prostu musiał utrącić kilku emerytów, padło na niego, ale sam nie miał sobie nic do zarzucenia. Nie było w jego przypadku pokuty, zadośćuczynienia, jakiegokolwiek przywracania sprawiedliwości. A na koniec nowy wiceszef episkopatu pochował go w katedrze. ▶

REKLAMA

Kielce

Muzeum Historii Kielc:
CIEKAWE MIEJSCE

Stała wystawa o tysiącletniej historii Kielc

Wystawy czasowe w Dużej i Małej Galerii

Otwarte wystawy w przestrzeni miasta

Warsztaty dla uczestników w każdym wieku

Spacery historyczne po Kielcach

Spotkania edukacyjne w szkołach i przedszkolach

Wydawnictwa o mieście

Józef Szermentowski, Rodzina Malarza. Lekcja geografii

Szczegóły na stronie
www.mhki.kielce.eu

Ignacy Dudkiewicz – filozof, bioetyk, działacz społeczny, publicysta i dziennikarz, redaktor naczelny magazynu „Kontakt". Pracuje nad doktoratem o jakości polskiej debaty bioetycznej.

▶ Napisał pan książkę o władzy w Kościele, jednocześnie publicznie mówiąc, że nie interesują pana biskupi. O co tu chodzi?

Rozdzielam bycie dziennikarzem od bycia katolikiem. Analizowanie tego, kim są biskupi, jakie są między nimi relacje, w jaki sposób realizują swoją władzę, jest istotne dla rozumienia całego Kościoła jako instytucji, jako wspólnoty, a także dla rozumienia życia społecznego w Polsce. Bo Kościół wciąż jest silną częścią tego życia.

Jednocześnie biskupi mnie nie interesują jako katolika. Do niczego w mojej wierze nie są potrzebni. Trudno, aby byli autorytetami w jakiejkolwiek sprawie, biorąc pod uwagę to, jak się zachowują. Wybory prezydium episkopatu pokazały, że biskupi nie uświadamiają sobie, w jakim stanie są Kościół i przestrzeń społeczna wokół niego ani w jaką stronę to wszystko zmierza.

Czyli czego sobie nie uświadamiają?

Jeżeli interesuje ich przyszłość chrześcijaństwa w Polsce, a nie przyszłość instytucji, którą reprezentują i którą współtworzą, to potrzeba istotnych zmian – w sposobie istnienia Kościoła, relacjach władzy, życia biskupów, stosunku do świata i polityki, finansach, sposobie nauczania oraz we współudziale wiernych w podejmowaniu decyzji.

Chyba że interesuje ich bycie syndykami masy upadłościowej. Na razie do tego to zmierza. Biskupi będą zarządzać jeszcze potężną, ale upadającą instytucją – wciąż z wieloma nieruchomościami, zasobami, ludźmi. Tylko z każdym rokiem będzie wszystkiego mniej: władzy, wiernych, wpływów, pieniędzy, księży – to ostatnie odczują najszybciej, biorąc pod uwagę obecne zaciągi do seminariów.

Podejrzewam, że biskupi nie zdają sobie sprawy także z tego, jak bardzo nie są już słuchani – nawet przez tych, którzy wciąż trwają w Kościele. Będzie się to pogłębiać, bo zmiana pokoleniowa oznacza m.in. odejście od Kościoła. Nawet nie wrogość, lecz zupełną obojętność.

Władza, o której pan pisze, wydaje się całą treścią Kościoła.

Jest nią w Kościele instytucjonalnym. We wspólnotach parafialnych nie musi tak być. To zależy od ich siły, od pojedynczego księdza i od świeckich. Znam miejsca, w których kościół parafialny jest żywą wspólnotą. Ale w dużym obrazku chodzi o władzę, wpływy i pieniądze, o nimb i prestiż. Przy czym np. abp Głódź jest bogaty, a kard. Dziwisz nie, w jego przypadku koperty krążą w dwie strony – zawsze dostawał mnóstwo pieniędzy, ale też mnóstwo rozdawał, pomagał. Problem w tym, że przez lata sensem jego funkcjonowania było utrzymywanie kościelnego stanu quo. Żeby nie było problemów. Żeby je rozwadniać. W ten sposób realizował potężną władzę.

Jeden z biskupów powiedział panu, że posłuszeństwo „należy przeżywać jako szczytową formę wolności". Co się za tą nowomową kryje?

Brak przejrzystości i jakichkolwiek instytucji kontrolnych. Albo ich zatarasowanie. Np. nuncjatura nie monitorowała tego, co się dzieje w Kościele w Polsce. Nie pełniła swojej funkcji. W efekcie ktoś, kto ma informacje o nadużyciach, zostaje z nimi sam. Może pójść do biskupa, wtedy ryzykuje, że zostanie mu przypięta łatka tego, z którym są problemy, bo sieje zamęt – i poślą go do domu emerytów, jak ks. Andrzeja Kobylińskiego, który już pod koniec lat 90. zgłaszał władzom kościelnym problem klerykalnej pedofilii. Może też pójść do nuncjatury. Tak zrobił ks. Adam Świeżyński, który opowiedział o mobbingu w gdańskiej kurii kierowanej przez abp. Głódzia. Usłyszał w nuncjaturze, że rozmowa jest w cztery oczy, ale już tego samego dnia Głódź poznał jej treść. Obaj księża, Kobyliński i Świeżyński, stracili w Kościele jakiekolwiek zadania. Pracują na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Lepiej się nie wychylać.

Jasne, że relacje księży z biskupami są lepsze tam, gdzie władzę mają kard. Ryś czy abp Galbas. Ale biskupi się zmieniają, dla księży to jest totolotek, nie wiedzą, na kogo trafią i od kogo będzie zależeć zasób ich portfela, miejsce zamieszkania, możliwości życia towarzyskiego i kulturalnego, rodzaj pracy i jej ciężar.

Najważniejsze w tej instytucji są klerykalizm i obrona wizerunku?

Kościół jest na wskroś przesiąknięty klerykalizmem, a relacje w nim są spaczone. Proboszcz boi się biskupa, bo biskup może wiele. Ale i biskup się boi swoich proboszczów, zwłaszcza gdy wie, że większość ma inne poglądy niż on albo gdy popiera inną partię niż on. A wikarzy boją się i biskupów, i proboszczów. To nie ma sensu. Tak poważne zaburzenie relacji jest nieewangeliczne i krótkowzroczne, nawet z punktu widzenia korporacyjnej pragmatyki; ci ludzie odchodzą, wypalają się, krzywdzą innych, są chamscy wobec wiernych, bo sami są pod presją. Wierni czują, że nie mają znaczenia, i trudno, żeby było inaczej.

A arcybiskup potrafi powiedzieć prymasowi „spier...".

Usłyszał to abp Polak, prymas Polski, gdy zasugerował abp. Głódziowi powołanie komisji historycznej do zbadania sprawy ks. Henryka Jankowskiego, historycznego kapelana Solidarności, który wielokrotnie wykorzystał nastolatkę. Jednocześnie abp Polak, zapytany niedawno o pochówek w katedrze wrocławskiej wspominanego wcześniej abp. Gołębiewskiego, powiedział, że rozumie oburzenie, ale taka jest tradycja.

Jest pan nim rozczarowany? To jedna z niewielu osób, które dawały nadzieję na zmiany w Kościele.

Nie jestem. Przeżyłem już tyle rozczarowań związanych z biskupami, że więcej nie chcę. Nie oczekuję, że biskupi Galbas, Polak czy Ryś przyniosą zmiany. Szkoda mojej nadziei. Mam jej ograniczone pokłady i wolę je inwestować gdzie indziej. Wierzę, że ich diecezje są zarządzane trochę bardziej po ludzku niż inne. Widzę też, że rozumieją problem przemocy seksualnej i starają się zrobić w tej kwestii więcej niż większość kolegów. Ale nie spodziewam się zbyt wiele.

Na pytanie: „Kto rządzi w Kościele?", pada w „Pastwisku" jedna, pozornie śmieszna, ale przejmująca odpowiedź: „Nikt albo Duch Święty, ze wskazaniem na nikt". To słowa Zbigniewa Nosowskiego z „Więzi".

Najpierw stawiałem rozmówcom pytanie, kto rządzi w Kościele w Polsce, ale potem zmieniłem je na pytanie, co rządzi. Odpowiedzi kilkudziesięciu osób wskazują, że rządzą nim: przeszłość, strach i bezwład. Nie konkretni ludzie – ich władza jest wtórna wobec mechanizmów.

Wierzący doświadczają w dzisiejszym Kościele pustki?

W Kościele instytucjonalnym Boga nie widzę. Mam poważne wątpliwości, czy wszyscy biskupi są wierzący. Ale szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Istnienie polskiego Kościoła w jego obecnym kształcie dowodzi jedynie siły systemu, który funkcjonuje nawet wyprany z Boga.

Ale na poziomie egzystencjalnym nie mam poczucia pustki. Dla mnie Duch Święty w Kościele działa, tylko nie przez instytucję, ale przez sakramenty i przez wspólnotę. Działa od dołu, nie od góry. W chrześcijaństwie naprawdę o coś chodzi.

ROZMAWIAŁ JAKUB HALCEWICZ

© LESZEK ŻYCH

Ptasie pogotowie

W Pomorskim Ośrodku Rehabilitacji Dzikich Zwierząt „Ostoja" udało się uratować już 15 tys. zwierząt, w większości ptaków. Dużo pacjentów mają zwłaszcza w sezonie lęgowym.

© LESZEK ZYCH

Wśród pacjentów Ostoi są między innymi łabędzie.

JOANNA PODGÓRSKA

Czesi O! – wita się z gośćmi kruk Odyn. Jak tłumaczą pracownice Ostoi – to z lenistwa. Wcześniej wykrzykiwał „Cześć, Odyn!", ale sobie skrócił. Gdy ma nastrój, mówi pełnymi zdaniami, potrafi naśladować intonację, przedrzeźniać inne ptaki, a nawet pinczerka Pikusia – podopiecznego pani prezes. Wieczorami wybucha czasem diabolicznym śmiechem, co pełniących nocne dyżury pracowników nadal przyprawia o dreszcze.

– *Towarzyski, niesamowicie inteligentny, cwany, bezwzględny i bardzo cierpliwy* – opisuje Odyna prezeska Ostoi Beata Rydelek. – *Szuka najdrobniejszych szczelin w ścianach woliery i rozdłubuje.* Ściany woliery Odyna trzeba było specjalnie wzmocnić i zrobić betonową wylewkę, po tym jak zrobił podkop do sąsiedniej woliery, w której rezydowała wrona. Wyłożył ścieżkę kawałkami twarożku, by zwabić sąsiadkę, złapał ją za nogę i zrobił helikopter. Wronę udało się uratować w ostatniej chwili. Teraz, żeby się nie nudził, dostaje edukacyjne zabawki dla małych dzieci.

Odyn znalazł się w Ostoi 10 lat temu jako podlot ze złamanym skrzydłem. Ani pierwsza, ani druga operacja się nie udały. Nie mógł wrócić do natury. Jest tu jedynym rezydentem. – *Działamy na zasadzie szpitala. Leczymy i wypuszczamy. Jeśli się nie uda, niestety usypiamy* – mówi Małgorzata Stachurska, technik weterynaryjna. – *Ptasie azyle są przepełnione. Mam zresztą wątpliwości, czy ptaki, które w naturze były wolne, powinny resztę życia spędzić w klatce.*

Zaczęło się w jednej z gdyńskich klinik weterynaryjnych, gdzie trafiały dzikie zwierzęta. Tu je leczono, ale warunków, żeby przetrzymywać je na czas rehabilitacji, nie było. Pracownicy zabierali je do domów. W 2011 r. Beata Rydelek, która pracowała w klinice jako księgowa, wymyśliła ideę ośrodka rehabilitacji. W Gdyni nie dało się go założyć, więc powstał w Pomieczynie, na należącym do niej terenie. Ośrodek stale się rozrasta. Właśnie kończy się budowa nowej rozlotówki – miejsca, gdzie ptaki ćwiczą przed wylotem na wolność. Ma część otwartą – do tzw. wylotów miękkich, gdy ptak sam decyduje, kiedy odlecieć, i część do wylotów twardych, gdy ptak po zaobrączkowaniu zostaje wypuszczony z ręki. Za chwilę nowe wyposażenie dostanie szpitalik. To poważna inwestycja, rzędu pół miliona złotych, Ostoja ma zyskać ▶

▶ własny rentgen, aparat do USG i sprzęt do narkozy wziewnej.

– Ptaków nie trzeba już będzie wozić do kliniki na badania, a to bardzo ważne, bo to dla nich potworny stres. No i szybciej będą mogły zyskać pomoc – deklaruje Beata Rydelek.

Do Ostoi trafiają zwierzęta (oprócz ptaków także ssacza drobnica: jeże, wiewiórki, zające) z niemal całego Pomorza. Współfinansują je Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska, okoliczne gminy i władze Trójmiasta. Bardzo pomaga także Zakład Utylizacyjny z Gdańska, organizując co roku akcję „Wypożycz choinkę", z której dochód trafia do ośrodka.

Miasta są coś ptakom winne. Zabierają naturalną, dziką przestrzeń do życia. A na ich terenie czekają na ptaki liczne pułapki. Jedna z nich to oczywiście szyby. Ptaki nie widzą przezroczystych powierzchni. Pejzaż, który w promieniach słońca odbija się w szybach, traktują jako ciąg dalszy wolnej przestrzeni. To zagrożenie dla wszystkich gatunków, ale dla długodziobych i wielkookich słonek – szczególne. Złamany dziób czy uszkodzona gałka oczna praktycznie eliminują je z dzikiego życia. Kolejne zagrożenie to zatrucia – stosowanymi w rolnictwie pestycydami, truchłami myszy, które zjadły trutkę, czy chlebem, którym dokarmiają je ludzie. Ptaki nie trawią soli, a gdy chleb jest spleśniały, zatrucie może być śmiertelne. Najczęściej jego ofiarą padają łabędzie i kaczki.

– Zimy są coraz łagodniejsze, więc łabędzie i kaczki coraz częściej zostają na zimowanie – opowiada Małgorzata Stachurska. *– Nie trzeba ich dokarmiać, same by sobie poradziły. A ludzie często robią to dla zabawy. Nie dlatego, że autentycznie chcą pomóc, ale żeby zwabić ptaki i zrobić lepsze zdjęcie. Wczesne objawy takich zatruć to widoczne osłabienie. W stanach silnych zatruć włączają się objawy neurologiczne. Bywa, że ptaki nie są zdolne nawet się poruszać. Niestety, świadomość, że ptaków nie powinno się karmić chlebem, dociera do ludzi bardzo powoli.*

Ofiarą szczególnie tajemniczego zatrucia była samica bielika Halinka. Znaleziono ją przy padlinie kota. Podczas badania w jej krwi wykryto Morbital – środek służący do eutanazji zwierząt w klinikach weterynaryjnych.

– Możemy się tylko domyślać, co się stało: ktoś uśpił kota i zakopał go w pobliżu domu, ale zbyt płytko. Truchło wykopały zwierzęta, lisy, czy może psy, a Halinka się poczęstowała – mówi Beata Rydelek.

Stężenie Morbitalu w jej krwi było bardzo wysokie. Halince podawano kroplówki z witaminami i środkami wzmacniającymi. Cudem przeżyła i po miesięcznej rehabilitacji wypuszczono ją na wolność z obrączką i nadajnikiem. Stąd wiadomo, że odwiedzała okolice Malborka, Elbląga i Grudziądza. Potem nadajnik zgubiła.

Dla ptaków w miastach niebezpieczne bywają też taśmy klejące, którymi owija się pnie drzew dla ochrony przed owadami, czy nawet zwykłe lepy na muchy, wywieszane w kawiarnianych ogródkach – groźne dla drobnych, polujących na owady ptaków. Przylejają się do nich, a one szamocząc się, uszkadzają skrzydła, tracą oblepione klejem pióra.

Ptaki padają także ofiarą ludzkiej bezmyślności, głupoty, chciwości czy okrucieństwa. Do Ostoi często trafiają białe gołębie – wypuszczane podczas ślubów jako specjalna atrakcja. Ptaki tracą orientację, gubią się. Przywiezione do ośrodka, po rehabilitacji lądują ostatecznie w zaprzyjaźnionym gołębniku. To ptaki hodowlane; nie poradziłyby sobie na wolności. Smutny bywa też los zwykłych miejskich gołębi. Zakładane na balkonach gniazda ludzie potrafią wyrzucić do śmieci – razem z pisklakami.

Najbardziej drastyczna była historia z Pucka. W listopadzie ubiegłego roku zatrzymano tam obywatela Włoch, który był podejrzany o nielegalny odłów i przetrzymywanie ptaków objętych ścisłą ochroną gatunkową. Gdy policjanci z Wydziału do Walki z Przestępczością Gospodarczą Komendy Wojewódzkiej w Gdańsku weszli na jego teren, odkryli ponad 450 ptaków: droździków, kwiczołów, czeczotek, śpiewaków i kosów. Trzymane w ciasnych wolierach, bez dostępu do naturalnego światła. Pokarm i woda były zanieczyszczone kałem. Puck leży na trasie południowobałtyckiego szlaku migracyjnego ptaków. Mężczyzna odławiał je w sposób profesjonalny. Miał specjalistyczne sieci, instalację głośnikową służącą do ich wabienia. Szpaler posadzonych symetrycznie drzew tworzył rodzaj leja, w który trafiały, kuszone dodatkowo powieszonymi jabłkami i sztucznymi owocami jarzębiny. Nie miały szans, by się wymknąć. Włoch „legalizował" je później hodowlanymi obrączkami i wywoził za granicę. Wszystkie odebrane mu ptaki trafiły do Ostoi.

To była największa operacja w historii ośrodka. Sama rejestracja trwała trzy dni. Część ptaków padła z wycieńczenia, część trzeba było poddać eutanazji. Miały

© LESZEK ZYCH (3)

Białe gołębie hodowlane często trafiają do ośrodka. Wypuszczane podczas ślubów jako specjalna atrakcja, tracą orientację, gubią się. Powyżej: **dla długodziobych słonek szczególnym zagrożeniem są miejskie szyby. Złamany dziób eliminuje te ptaki z dzikiego życia.**

Kruk Odyn. Piekiel… sprawne skrzydło – … i od 10 lat jest stałym

połamane skrzy… wy od źle założo… jednak po obser… już na wolność. … pozbawienia. D… nad zwierzętam… objętych ścisłą …

Teraz w Osto… i spokojnie, ale t… gowym. Wtedy … sić wypadłe z g… jest to potrzeb… poszukać gniaz… Jeśli to niemożli… stycznej placów… trzeba mu zape… zasada 3 x C: cie… później trafiają … sto niepotrzebni… kie sytuacje: up… już pióra, wygl… ców. Siedzące na… bezradne, ale je… obrażeń, reagu… otoczenie, najle…

„Ptaki wycho… uczą się latać. P… po wyjściu z gni… rium rodziców i… ochraniane i co…

Kruk Odyn. Piekielnie inteligentny, ma niesprawne skrzydło – nie mógł wrócić do natury i od 10 lat jest stałym rezydentem Ostoi.

połamane skrzydła lub uszkodzone stawy od źle założonych obrączek. Większość jednak po obserwacji i rehabilitacji trafiła już na wolność. Włochowi grozi pięć lat jej pozbawienia. Dostał zarzut znęcania się nad zwierzętami oraz posiadania zwierząt objętych ścisłą ochroną gatunkową.

Teraz w Ostoi jest stosunkowo pusto i spokojnie, ale to cisza przed sezonem lęgowym. Wtedy ludzie zaczynają przynosić wypadłe z gniazd pisklęta. Nie zawsze jest to potrzebne. Najlepiej spróbować poszukać gniazda i odłożyć tam pisklę. Jeśli to niemożliwe – zawieźć do specjalistycznej placówki. Zanim ptak do niej trafi, trzeba mu zapewnić spokój. Obowiązuje zasada 3 x C: ciepło, cicho, ciemno. Nieco później trafiają do Ostoi podloty. Też często niepotrzebnie; w ośrodku mówią na takie sytuacje: uprowadzenie. Młode mają już pióra, wyglądają podobnie do rodziców. Siedzące na ziemi mogą się wydawać bezradne, ale jeśli nie mają widocznych obrażeń, reagują na bodźce, obserwują otoczenie, najlepiej zostawić je w spokoju.

„Ptaki wychodzą z gniazd, zanim nauczą się latać. Przez nawet kilka tygodni po wyjściu z gniazda pozostają na terytorium rodziców i są przez nich karmione, ochraniane i co najważniejsze – uczone życia. Takiego ptaka najlepiej odłożyć na najbliższy gęsty krzak. Abyśmy mieli pewność, że podjęliśmy właściwe kroki, możemy go obserwować ze sporej odległości. Jeśli w okolicy pojawią się dorosłe ptaki – rodzice – można pisklę spokojnie zostawić. Rodzice będą się bali podejść do swojego dziecka w obecności ludzi, ale jak tylko znikniemy z pola widzenia, na pewno do niego powrócą. Nie jest prawdą, że dorosły ptak, czując zapach człowieka, który dotykał pisklę, odrzuci je. Ptaki rozpoznają swoje pisklę dzięki wzrokowi i słuchowi" – edukują pracownicy Ostoi.

Ale nie mają złudzeń, wkrótce ośrodek zapełni się zabranymi z plaży podlotami mew siwych, srebrzystych, śmieszek, dla których trzeba potem załatwiać tony ryb. Pojawią się młode puszczyki, urodzone w dziuplach parkowych drzew. Siedzą na ziemi, nawołują się z rodzicami. Mają silne dzioby i pazury, przy pomocy rodziców umieją wspiąć się z powrotem po pniu do dziupli, ale i tak zostają uprowadzone.

– *Dlatego zawsze prosimy, by ludzie, którzy przynoszą do nas ptaki, dokładnie określili miejsce, z którego zabrali pisklęta czy podloty* – mówi Małgorzata Stachurska. – *Zdarzało się nam odwozić i odkładać do gniazd puszczyki czy żurawie.*

Inny problem jest z bocianami. Słabsze młode bywają wyrzucane z gniazd w wyniku rodzicielskiej selekcji, by łatwiej wykarmić te silniejsze, lepiej rokujące. Takie ptaki udaje się odchować, ale łatwo przyzwyczajają się do człowieka i w zasadzie przestają być dzikie. Ich powrót do natury bywa problematyczny. Małgorzata Stachurska opisuje historie młodych bocianów, które zostały wypuszczone na wolność. Jeden poleciał prosto pod szkołę i natrętnie żebrał wśród dzieci o kanapki. Inny wylądował pod Biedronką i próbował kraść ludziom zakupy. Jeszcze inny terroryzował klientów stacji benzynowej.

Teraz wśród pacjentów Ostoi są łabędzie, mewa, kilka gołębi, słonka, zięba, grubodziób, kopciuszek, kacze pisklęta w inkubatorze. Ale zdarza się, że trafiają tu gatunki rzadkie. Był rybołów ze złamanym skrzydłem (w Polsce żyje ok. 40 par). Niestety, nie udało się go przywrócić naturze. Była sowa jarzębata, która na nasze tereny tylko zalatuje. Ale najbardziej egzotyczny pacjent to jerzyk alpejski, widywany w Polsce bardzo rzadko. Ten był osłabiony i zniosły go do nas prądy powietrzne. Nakarmiony i nawodniony wrócił na swoją trasę.

JOANNA PODGÓRSKA

REKLAMA

FESTIVAL MYSTIC

CZWARTEK 6 CZERWCA

MACHINE HEAD

BRUCE DICKINSON
THE MANDRAKE PROJECT

BIOHAZARD

PIĄTEK 7 CZERWCA

MEGADETH

PARADISE LOST
FAN-PICKED SETLIST

ACCEPT

SOBOTA 8 CZERWCA

BRING ME THE HORIZON

KERRY KING

SATYRICON

4 DNI, 5 SCEN, PONAD 90 ZESPOŁÓW

5-8.06.2024 GDAŃSK, PL

INFO & BILETY:

WWW.MYSTICFESTIVAL.PL

MYSTIC COALITION

ANTYRADIO

Weszliśmy! I co z tego wyszło?

To już inna Polska, inny świat, inna Europa. Ale lepiej w niej zostać, niż odejść… po angielsku. Bilans dwóch dekad naszego członkostwa w Unii.

Od euforii do realizmu Z szefem MSZ Radosławem Sikorskim rozmawiają Marek Ostrowski i Łukasz Wójcik ..... s. 41
Wspólne interesy i linie podziałów Łukasz Wójcik ..... s. 45
Pokolenie Erasmusa Jędrzej Winiecki ..... s. 49
Co mogą europosłowie Tomasz Bielecki ..... s. 52
Czarne wizje Zielonego Ładu Edwin Bendyk ..... s. 54
Wieczne reformy Piotr Buras ..... s. 56
Twarde liczby, niezbite fakty Polityka Insight ..... s. 58

Europa nie składa się z samych Polsk

Rozmowa z ministrem spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim o naszym drugim, po rządach PiS, powrocie do Europy i o roli, jaką Warszawa może odegrać w Unii.

MAREK OSTROWSKI, ŁUKASZ WÓJCIK: **– Dużo mówi się o tym, jak przez 20 lat Unia zmienia Polskę. A czy Polska zmieniła Unię?**

RADOSŁAW SIKORSKI: – Uważam, że zmieniamy Unię przez to, że na przykład uczymy zachodnich partnerów wrażliwości na naszą historię. To istotne, bo Europa zrośnie się dopiero wtedy, gdy będziemy czuli nawzajem swoje wrażliwości. A mamy braki w tej wiedzy po obu stronach. My nie rozumiemy, jak wielką katastrofą dla Europy Zachodniej była pierwsza wojna światowa. Dla nas jej wynik był satysfakcjonujący, bo odrodziło się państwo polskie. Oni z kolei nie rozumieją, jak bardzo różniła się okupacja niemiecka w Polsce od tej, którą znają z Europy Zachodniej. Czyli jak wielką tragedią dla Polaków była druga wojna światowa. W budowaniu wspólnej europejskiej świadomości jest jeszcze sporo do zrobienia. Natomiast po tych 20 latach w Unii z pewnością Europa rozumie to, że Polska jest krajem z ambicjami, który rozwija się, wspina w europejskiej hierarchii i ma jeszcze duże rezerwy wzrostu.

Czy czas rządów PiS był w tym 20-leciu jakąś wyrwą?

Tak, politycy Prawa i Sprawiedliwości sami to podkreślają. Uważają, że to, co w ramach Unii Europejskiej jest cywilizowaną rywalizacją w ramach uzgodnionych reguł, oznacza zdradę interesu narodowego. A według nich polega on na tym, żeby zamiast negocjacji, dążenia do korzystnego kompromisu – natrzeszczeć na innych, obrażać się, domagać swojego kosztem Unii jako całości. Mnie te osiem lat PiS nie zaskoczyło, bo poprzednio MSZ ▶

Radosław Sikorski – ur. 1963 r.; minister spraw zagranicznych RP w latach 2007–14 i od grudnia 2023 r. Wcześniej m.in. marszałek Sejmu (2014–15) oraz minister obrony narodowej (2005–07). W latach 80. dostał azyl polityczny w Wielkiej Brytanii, gdzie studiował na Uniwersytecie Oksfordzkim. Potem jako reporter wojenny wyjechał do Afganistanu. Jest autorem książek, m.in. „Prochy świętych".

▶ odziedziczyłem po Annie Fotydze [w 2007 r. – red.]. Było podobnie jak dziś, tylko teraz szkody są głębsze. Jaki jest wynik takiej polityki? Oni generalnie Polskę nie tylko zmarginalizowali, ale też osłabili. To widać wyraźnie w wielu rankingach dotyczących demokracji, wolności prasy czy korupcji.

Czy w jakiś sposób PiS zmienił Unię Europejską?

Paradoksalnie ta polityka PiS miała wpływ na Unię Europejską, ale w kierunku odwrotnym, niżli rządzący przewidywali. Swoją głupią retoryką, łamaniem zasad i niszczeniem praworządności PiS na przykład sprowokował Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej do przyjęcia roli, której wcześniej nie pełnił – Trybunału Konstytucyjnego UE. Zgodnie z żelaznym prawem nieprzewidzianych konsekwencji. PiS uważało, że walczy o „Europę Ojczyzn", ale co to właściwie znaczy? To z kolei nacjonalistyczna demagogia dla ludzi, którzy nie mają nic do powiedzenia w sprawach europejskich. Oczywiście Europa była, jest i na zawsze pozostanie Europą Ojczyzn. Tylko hasło „Europa Ojczyzn" nam nic nie mówi, choćby o podziale kompetencji między instytucjami unijnymi i państwami członkowskimi, o kształcie traktatów czy o systemie głosowania.

Unia jest konfederacją państw i samych Europejczyków, którzy nadal mają swoje ojczyzny. Jakoś nie zauważyłem, żeby po dekadach członkostwa w Unii Hiszpan przestał być Hiszpanem, Włoch Włochem, a Francuz Francuzem.

Jaki był pomysł PiS na Europę?

Politycy PiS powtarzali, że chodzi im o to, aby w Unii Europejskiej państwa były traktowane równo. Czyli Polska równo z kim? Z Maltą? Z Luksemburgiem? Jesteśmy jednym z pięciu największych państw w Unii i powinniśmy mieć wpływ na kierunek, w którym Unia podąża – przecież on nie jest dany raz na zawsze. Zmieniają się okoliczności i warunki, zmieniają się koalicje.

Jakiś przykład?

Słynna sprawa, która kilka lat temu bulwersowała polską opinię publiczną. Po tym, jak minister Antoni Macierewicz zerwał w obraźliwy sposób kontrakt na francuskie śmigłowce, było podejrzenie, że Francja nam odpłaciła, proponując unijną dyrektywę organizacji czasu pracy zawodowych kierowców. Byliśmy już wtedy europejskim mocarstwem w dziedzinie transportu. Grzmiano więc o „ataku na polski interes". Choć trzeba przyznać, że ten interes wcale nie był taki oczywisty. Dyrektywa powoduje, że kierowcy zarabiają więcej, ale firmy tracą konkurencyjność. A część z nich to zachodnie firmy zarejestrowane w Polsce, tylko zatrudniające polskich kierowców.

Teraz ukraińscy kierowcy robią nam to, co myśmy kiedyś zrobili kierowcom z Zachodu. I co jest w naszym interesie? Czy aby nie to, żeby ukraińscy kierowcy, gdy jeżdżą po Unii Europejskiej, mieli płacone jak europejscy kierowcy? Jedni tracą, inni zyskują. Jak widać na tym przykładzie – i wbrew temu, co twierdzą nacjonalistyczni demagodzy – interes narodowy nie zawsze jest oczywisty i może się zmieniać.

Czy Polska ma wpływ na to, co się dzieje w Brukseli?

Oczywiście. Chociażby w sprawie obronności czy pomocy Ukrainie. Ale trzeba pamiętać, że Europa nie składa się z samych Polsk. Mamy wpływ stosownie do naszej wagi, ludności i stanu gospodarki. A sukcesem jest, gdy dzięki naszej sprawności jesteśmy w stanie grać w wyższej kategorii wagowej.

Teraz wracamy do wyższej kategorii? W sprawie migracji polityka obecnego rządu w dużym stopniu pokrywa się z tym, co robił PiS.

Jeśli chodzi o migrację, to nasi obywatele uważają, że zewnętrzna granica strefy Schengen musi być pod kontrolą. Że jeśli mamy mieć wolność podróżowania wewnątrz strefy, to ktoś gdzieś musi sprawdzać paszporty i wizy. Inaczej to nie ma sensu. I oczywiście nasza wrażliwość jest trochę inna niż, powiedzmy, ultraliberalnych środowisk gdzieś w Europie Zachodniej. Ale w tej sprawie jako kraj frontowy mamy rzeczywiście inną wrażliwość od krajów „wewnętrznych" Unii. Na tej samej zasadzie pochodzi zagrożenia Rosją w Unii również zależy od geografii.

Jak można zmieniać europejski główny nurt?

Do tego potrzeba rządu, który jest wiarygodny, przestrzega przyjętych reguł, respektuje traktaty, ma obytych przywódców. A rząd, który sam stawia się w kącie, obraża się na wszystkich, co więcej) – personalnie ludzi obraża, jest skazany na porażkę. Dam przykład Fransa Timmermansa. Jeszcze zanim został komisarzem, ten holenderski katolik był jednym z najbardziej propolskich polityków w Europie Zachodniej. Że łzami w oczach opowiadał mi, jak jego ojciec jako dziecko był maskotką dywizji Stanisława Maczka. Po czym, gdy upomniał się o praworządność w Polsce, spotkał go klasyczny polski hejt. Myśmy już do tego przywykli, ale na zachodzie Europy to nie uchodzi. Takie zmasowane ataki *ad personam* zraziły wielu Europejczyków do polskich nacjonalistów. I w tym sensie poprzedni rząd ułatwił mi zadanie, bo dziś wystarczy ludzi nie obrażać i już są zadowoleni.

Jaka powinna być Unia przyszłości według Radosława Sikorskiego?

Chciałbym ściślejszej integracji w dziedzinach, w których domagają się tego Polacy i inni Europejczycy. Przykładowo Unia nie miała żadnych kompetencji w dziedzinie zdrowia. Przyszła pandemia i niewiele brakowało, abyśmy się pożarli w sprawie maseczek, respiratorów i szczepionek. Komisja Europejska powiedziała jednak, że to nie jest tak naprawdę kwestia zdrowia, tylko jednolitego rynku i wolnego przepływu dóbr. I państwa nie mogą zakazać eksportu maseczek do innego kraju członkowskiego. Okazało się również, że Europejczycy chcą, żebyśmy mieli własne zapasy leków, bo za bardzo uzależniliśmy od zewnętrznych dostawców. Oczekują też minimalnych standardów, na przykład w leczeniu raka. To może być nowy obszar integracji.

Eurofobowie nie rozumieją, że unijne standardy – choćby regulacje weterynaryjne – to ułatwienie dla biznesu, a nie utrudnienie. Przy 27 narodowych standardach, żeby coś sprzedawać w całej Unii, ten sam produkt trzeba by modyfikować na 27 różnych sposobów.

Czy potrzebujemy głębszej integracji również w polityce obronnej?

W świetle badań i w obliczu wojny w Ukrainie tego właśnie oczekują Europejczycy. Bo boją się i Władimira Putina, i o wynik listopadowych wyborów w Stanach Zjednoczonych. Uważają, według mnie słusznie, że Unia Europejska z dochodem 15 bln euro nie powinna być bezbronna.

Co na to Amerykanie?

USA nie chcą się angażować w każdy problem, który pojawia się na naszych granicach. Oni mają problem na południowej granicy i my mamy problem na południowej granicy. Ale nie prosiła nas, żebyśmy im pomagali. A jak próbowaliśmy interweniować w Libii w 2011 r., to się okazało, że bez amerykańskiego rozpoznania i bez amerykańskich Tomahawków nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Z takimi wyzwaniami w naszym bezpośrednim otoczeniu powinniśmy radzić sobie sami.

I są na to szanse?

Parlament Europejski zaproponował – miałem na to wpływ – stworzenie sił szybkiego reagowania o wielkości ciężkiej brygady, czyli między 5 i 10 tys. żołnierzy. Przypominam, że po wojnach w byłej Jugosławii obiecywaliśmy sobie 70 tys. żołnierzy i nic z tego nie wyszło. Dziś jest unijny plan zorganizowania wspólnego dowództwa, mamy już budżet obronny. Gdy Rosja zaatakowała Ukrainę, mieliśmy już co wydawać jako Unia – 7 mld

© MICH. RADOSŁAW SIKORSKI

Europoseł Radosław Sikorski (w środku) z misją dostawy pojazdów dla ukraińskiej armii, sierpień 2023 r.

© ARCH. RADOSŁAW SIKORSKI

euro w 18 miesięcy. Wkrótce będzie kolejne 5 mld na ten rok. Więc dzieje się, ale oczywiście za mało i za wolno.

Jeśli jednak mamy problem z ustalaniem wspólnej polityki zagranicznej Unii, to będziemy mieli jeszcze większy – ze wspólną polityką obronną. Kto będzie dowodził?

Musimy się zdecydować, czy chcemy „Europy Ojczyzn" albo strefy wolnego handlu, które przecież nie prowadzą wojen, nie mają budżetów obronnych, łańcuchów dowodzenia. Czy jednak chcemy efektywnego mocarstwa, które jest w stanie działać. Bo jeśli oczekujemy rezultatów, to trzeba dać Unii odpowiednie narzędzia. To ważne, bo wkrótce – w rozrastającej się Unii – o jednomyślność będzie coraz trudniej.

Czy zatem polski rząd popiera ograniczenie zasady jednomyślności w UE?

Zadam proste pytanie: czy to dobra sytuacja, gdy jeden kraj unijny spowalnia albo blokuje nakładanie sankcji na Rosję?

Nie, ale możemy sobie wyobrazić sytuację, w której większość państw Unii decyduje w sprzeczności z polskim interesem, np. w sprawach wschodnich.

Uważam, że jednomyślność powinna obowiązywać na wieki wieków w głosowaniach dotyczących rozszerzenia i w sprawach dotyczących tożsamości narodowej – np. aborcji, nauczania historii, religii czy w kwestiach obyczajowych. To są wszystko rzeczy, które powinny przynależeć do szczebla narodowego, zgodnie z zasadą subsydiarności.

Ale teraz pomówmy o dziedzinach, które można i trzeba usprawnić. Rzeczywiście nie da się prowadzić wojen metodą kolejnych głosowań i mikrozarządzania z centrali. To jest nasze polskie doświadczenie z Iraku. Dlatego Europejska Partia Ludowa za naszą zgodą zaproponowała, żeby w przyszłości ustanowienie unijnej misji wojskowej wymagało jednomyślności. Ale już o jej kontynuacji czy bieżącym zarządzaniu powinna decydować większość.

Na tym polega demokracja. Czy w Sejmie czasami nie przegrywa się głosowania? A poza tym, jeżeli w Unii dochodzi do sytuacji, w której wszyscy są przeciwko nam, to coś jest nie tak z naszą zdolnością perswazyjną, z naszą zdolnością do budowania koalicji. Uznajemy, że coś jest kluczowe dla naszego interesu i nie jesteśmy w stanie skrzyknąć mniejszości blokującej? Przypominam, że Parlament Europejski zdefiniował odejście od jednomyślności jako głosowanie większością czterech piątych państw, to więcej niż większość konstytucyjna w polskim Sejmie.

Odwróćmy to pytanie. Co w takim razie z państwami członkowskimi, które permanentnie sytuują się poza unijnym mainstreamem?

W tym przypadku nie używałbym słowa „mainstream", bo to oznacza tylko dominujący nurt. A mówimy o państwach, które łamią traktaty, tak jak nasz kraj przez ostatnie lata. Albo prowadzą zupełnie odrębną politykę zagraniczną.

Mieliśmy kryzys grecki po 2009 r. Dlaczego? Bo państwa łamały traktatowe zasady zadłużania się. Lekarstwem na to stał się mechanizm wzajemnego przeglądu standardów w finansach publicznych. W tej chwili podobny mechanizm przeglądu działa też w dziedzinie praworządności. Każdy ma jakieś niedociągnięcia, co roku jest raport Komisji w tej sprawie. Ale jak koledzy w klubie mówią ci: „Stary, większość z nas uważa, że złamałeś regulamin", to nie jest powód do obrażania się ani do obrażania ich. Wtedy trzeba powiedzieć „przepraszam": „O, faktycznie, poprawię się".

Porażki w głosowaniach mogą się zdarzyć. Ale to nie jest powód do podważania Unii, tylko do poważnej dyskusji z partnerami. Przecież obowiązujący dziś w Unii mechanizm głosowania wynegocjował premier Jarosław Kaczyński i ratyfikował prezydent Lech Kaczyński.

Jaki jest plan Rosji na Ukrainę? Okupacja w starym stylu?

Wystarczy zobaczyć, co robią na już okupowanych terytoriach. Rusyfikacja, deportacja, kradzież dzieci, niszczenie elit, grabież majątku. Typowy kolonialny podbój.

Jak przekonywać Amerykanów, że sprawy Ukrainy i Europy są wciąż dla nich ważne?

Po pierwsze, to kwestia wiarygodności Stanów Zjednoczonych, bo prezydent Joe Biden obiecał przecież wsparcie dla Ukrainy. Po drugie, mamy mocne argumenty. Amerykanie często nam zarzucają, że jako Europejczycy jesteśmy „pasażerami na gapę" w sprawach obronności. Kolejni prezydenci USA, nie tylko Donald Trump, bezskutecznie apelowali do europejskich sojuszników o większe wydatki na zbrojenia. Ale akurat jeśli chodzi o pomoc Ukrainie, Unia Europejska i osobno poszczególne państwa członkowskie wydały w sumie dwa razy więcej pieniędzy niż USA. Gdy mówię o tym w amerykańskich mediach, wywołuje to pozytywne zaskoczenie. I reakcje w stylu „OK, no to sami też musimy zrobić więcej".

A racje geopolityczne ich przekonują?

Takich właśnie argumentów używam od początku wojny w rozmowach z Republikanami. Tłumaczę im, że Ukraina to test, czy wolno zabrać kawałek cudzego terytorium tylko z powodów historycznych czy lingwistycznych. Pytam, czy Wielka Brytania ma prawo do odbicia Irlandii, a Chiny – Tajwanu? To akurat do nich przemawia. Bo jeśli Ukraina się obroni, to Chiny też mogą ▶

▶ dojść do wniosku, że odbieranie „zbuntowanych" prowincji jest trudniejsze, niż się wydaje.

A co pan zrobiłby lepiej niż PiS wobec Ukrainy po wybuchu wojny?

Gdy po rosyjskiej blokadzie Morza Czarnego Unia otwierała granice dla ukraińskich produktów żywnościowych, można było to zrobić poprzez zwiększenie kontyngentu bezcłowego. Nie trzeba było od razu dopuszczać Ukrainy do jednolitego rynku bez negocjacji. Donald Tusk ostrzegał, ale rządowi PiS zabrakło zdolności perswazyjnej albo po prostu wyobraźni.

A dlaczego Unia nie dogadała się jeszcze w sprawie przekazania Ukraińcom rosyjskich rezerw ulokowanych w Europie?

Jestem za. Ale proszę pamiętać, że to będzie precedens. Jeszcze jako europoseł rozmawiałem o tym w Departamencie Skarbu USA. I Amerykanie wtedy mówili: „Niemożliwe". A dziś przekonują nas, abyśmy skonfiskowali rosyjskie pieniądze. To nie jest mała rzecz dla architektury światowego systemu bankowego. To będzie miało poważne konsekwencje, dobre i złe. Bo z jednej strony potencjalni agresorzy zrozumieją, że gdy zaczną wojnę, to stracą pieniądze. Ale z drugiej strony spadnie zaufanie banków centralnych do siebie nawzajem. Ja jestem za konfiskatą. Premier Donald Tusk o to aktywnie zabiega. Ale, jak w każdej sprawie, potrzebna jest koalicja. Niektórzy jeszcze się nie zgadzają. Choć akurat Belgowie, u których jest większość tych pieniędzy, mówią: „Proszę bardzo, tylko dajcie nam solidną podstawę prawną".

Europa się zrośnie, gdy poczujemy nawzajem swoje wrażliwości. A są tu braki po obu stronach.

Jest taka podstawa?

140 krajów potępiło rosyjską agresję w głosowaniu na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Większość świata powiedziała Rosjanom: „Złamaliście Kartę Narodów Zjednoczonych, dokonaliście aktu agresji, zbrodni wojennej. Jesteście agresorem i dokonujecie zniszczeń na terytorium waszej ofiary". To oznacza, że my – jako społeczność międzynarodowa – mamy wręcz obowiązek przyjścia z pomocą ofierze i ukarania agresora. Konfiskata rosyjskich pieniędzy znajdujących się pod naszą kontrolą i przekazanie ich Ukraińcom to pierwsza rzecz, którą możemy zrobić.

Jak dziś wyglądają relacje Polski z Ukrainą?

Mamy strategiczne partnerstwo z pewnymi sektorowymi i historycznymi trudnościami, które zawsze występują między sąsiadami. Jestem w niemal codziennym kontakcie z moim ukraińskim kolegą. A przypominam, że gdy przyjechałem do Ukrainy w grudniu, zaraz po objęciu MSZ, to mi powiedziano, że nie ma ani jednego projektu współpracy przemysłowej, nie ma współpracy służb specjalnych. Atmosfera wzajemnych stosunków była fatalna.

Poza naprawą stosunków z Ukrainą po nowym rządzie spodziewaliśmy się jednak ambitniejszej polityki europejskiej. A premier Tusk w wielu sprawach zajmuje stanowisko sceptyczne, choćby w temacie Zielonego Ładu.

Pozwólcie, że posłużę się przykładem. Gdy byłem europosłem, głosowałem za przyjęciem propozycji Komisji w sprawie samochodów elektrycznych. Mój osobisty pogląd jest taki, że plan zakończenia rejestracji aut spalinowych w Unii do 2035 r. jest niewykonalny. Nie będzie dość stacji do ładowania aut elektrycznych. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że alternatywy były jeszcze ambitniejsze. Chcemy uchronić planetę przed ugotowaniem się, to oczywiste. Ale chcemy zrobić to w tempie, które będzie dla nas do zniesienia. W ramach Unii musimy być solidarni z tymi, którzy na transformacji energetycznej najwięcej stracą. Ale przypomnę też, że gdyby nie problemy z praworządnością za czasów PiS, to unijny Fundusz Solidarności Energetycznej mógł być dla Polski co najmniej dwa razy większy.

Taka ambitna polityka zagraniczna wymaga odpowiednich kadr. A ministerstwo wskutek obniżenia kryteriów dla służby zagranicznej mocno ostatnio podupadło.

Chętnie uderzę się w piersi PiS, bo to oni obniżyli te kryteria. Jedną z pierwszych ich decyzji było odejście od konkursu w służbie cywilnej, potem przenieśli to na służbę zagraniczną. Wcześniej góra kilkanaście procent ludzi w służbie zagranicznej było spoza MSZ – profesorowie, żołnierze, zdarzali się nawet dziennikarze POLITYKI. Ale nigdy nie było tak, żeby większość była spoza ministerstwa, i to często bez znajomości języków krajów urzędowania. A w tej chwili tak jest. Zmieniamy to.

Gdy wchodziliśmy do Unii 20 lat temu, na okładce POLITYKI pojawiły się słowa: „Polska wraca do Europy". Czuć było entuzjazm podzielany przez znaczną większość Polaków.

A dziś mamy znaczących polityków, którzy mówią, że zagrożenie dla Polski jest większe na Zachodzie niż na Wschodzie. I gdy Unia wymaga respektowania pewnych zasad, to podnoszą larum, bo oni by chcieli łamać własną konstytucję, łamać traktaty. I nikt nie ma prawa się wtrącać. W 2004 r. Stanisław Lem powiedział, „Wkrótce Europa przekona się, i to boleśnie, co to są polskie fobie, psychozy i historyczne bóle fantomowe".

Polscy nacjonaliści mentalnie nigdy do Unii nie weszli. Oni postrzegają suwerenność jako polską hegemonię. Kilka lat temu, u szczytu dyskusji w Polsce po osławionym wyroku Trybunału mgr Julii Przyłębskiej w sprawie aborcji, wiceambasador Polski w Pradze [Antoni Wręga – red.] napisał pismo do rządu czeskiego, że dokonywanie aborcji Polkom w Czechach jest naruszeniem naszej suwerenności. Bo przecież polski Trybunał zdecydował i cała Europa ma się do Polski dostosować. A jak nie, to jest naruszenie naszej suwerenności. Po prostu jesteśmy imperium.

PiS zmienił stosunek Polaków do Unii?

Tak. I uważam, że to będzie najdłuższe trwanie PiS. Tymi ośmioma latami nienawistnej, kłamliwej propagandy o Unii Europejskiej zaszczepili potwora eurofobii. Takiej, którą ja znam z Wielkiej Brytanii z lat 80. i 90. I która doprowadziła do brexitu. Powtarzając kłamstwa, przekonali niektórych Polaków do spaczonego obrazu Unii. Przy czym Wielka Brytania była płatnikiem netto, a my jesteśmy beneficjentem netto, więc zohydzanie Unii w Polsce jest tym głupsze i tym bardziej karygodne. PiS udało się zaszczepić wielu Polakom przeświadczenie, że Unia Europejska to jest jakieś ciało zewnętrzne, przed którym musimy się bronić. Absurd!

ROZMAWIALI MAREK OSTROWSKI I ŁUKASZ WÓJCIK

KUP TERAZ

Przeczytaj, jak powstawały podwaliny Unii Europejskiej w naszym Pomocniku Historycznym „DZIEJE WSPÓLNEJ EUROPY". Dostępny na sklep.polityka.pl

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

20 LAT W UE

Stare małżeństwo

Jak zmieniła się Unia Europejska, odkąd 20 lat temu do niej weszliśmy? Mniej jest w niej idei i pozytywnej energii, więcej wyrachowania i poważnych podziałów.

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

ŁUKASZ WÓJCIK

Unia zmienia ludzi i społeczeństwa. Potwierdzającym tę maksymę przykładem jest – podobna nieco do Polski – Irlandia, która do europejskich wspólnot przystąpiła w 1973 r. W kolejnych dekadach państwo to przeszło społeczną, obyczajową i ekonomiczną rewolucję, katalizowaną przez integrację europejską. Ilustracją niech będzie fakt, że przed 1973 r. prawo obligowało wychodzące za mąż Irlandki do rezygnacji z pracy w sektorze publicznym. Skasowanie tego przepisu wymusiły na Dublinie właśnie wspólnotowe regulacje.

Zjednoczonej części Europy mało co tak dobrze wychodziło jak kokietowanie, przyjmowanie i „przetwarzanie" nowych członków. Perspektywa akcesji wymuszała bowiem na kandydatach prodemokratyczne reformy i w ten sposób rozpowszechniała coś, co dziś można już nazwać europejskim modelem; sporo wiemy o nim w Polsce.

Ten mechanizm działa w dwie strony, akcesje zmieniały też Unię. Najbardziej ta sprzed 20 lat, gdy dziesiątka państw, w tym Polska, przezwyciężając historyczne klątwy, wróciła do Zachodu. Miejmy nadzieję, że już na stałe. ▶

▶ I właśnie od tych dwóch dekad narasta spór w samej UE. Przez większość tego okresu układ sił w Unii wydawał się stabilny – aż do brexitu i rosyjskiej agresji na Ukrainę z 2022 r.

Szerzej czy głębiej

Po akcesji Polski i pozostałych dziewięciu państw wielu ekspertów oczekiwało ograniczenia dominującej roli duetu Francja–Niemcy. Nowym członkom, szczególnie tym ze wspólnym doświadczeniem komunizmu, nie udało się jednak zbudować spójnego bloku. Po 2004 r. zyskał głównie Berlin, który – dzięki powiązaniu swojej gospodarki z m.in. polską i czeską – wyraźnie zyskał względem Paryża. Rola Niemiec wzrosła jeszcze po kryzysie greckim, gdy Angeli Merkel udało się przeforsować restrykcyjny model zarządzania wspólną walutą.

Jednocześnie rozpoczął się tzw. długi brexit – Wielka Brytania, wciąż formalnie wewnątrz Unii, coraz częściej ograniczała się do blokowania ambitniejszych pomysłów integracyjnych. Gdy więc ostatecznie wyszła z UE w 2020 r., wydawało się, że nastąpi przyspieszenie integracyjne. Jednak nic takiego się nie stało, głównie z powodu kryzysu przywództwa w Niemczech po odejściu Merkel. Rosyjska agresja na Ukrainę z 2022 r. jeszcze bardziej osłabiła pozycję Berlina – pod znakiem zapytania stanął niemiecki model gospodarczy oparty na tanich surowcach energetycznych z Rosji na eksporcie. I jednocześnie zawaliła się dotychczasowa koncepcja polityki wschodniej Unii.

Po rosyjskiej agresji UE podjęła bezprecedensowe dla siebie decyzje, m.in. finansując dostawy broni dla Ukrainy, wprowadzając kolejne pakiety sankcji przeciw Rosji, co wymusiło reorientację energetyczną na niespotykaną dotychczas skalę, oraz otworzyła swoje granice dla milionów ukraińskich uchodźców. W końcu też Unia zdecydowała się przyspieszyć procesy integracyjne z kilkoma państwami wschodniej flanki, przede wszystkim z Ukrainą.

Była to również szansa dla naszego regionu. Pojawiły się głosy, że Polacy i Bałtowie mieli jednak rację w sprawie Rosji. Polska zyskała miano „humanitarnego mocarstwa", przyjmując miliony Ukraińców i stając się hubem logistycznym dla walczącej Ukrainy. Czy to przełożyło się na naszą pozycję w UE? Z pewnością polski głos jest bardziej słyszalny, ale jednocześnie do Unii wraca przeświadczenie, że ostatecznie z Rosją trzeba się będzie jakoś dogadać. Osłabła też unijna pomoc dla Ukrainy, nie tylko wskutek wyczerpania zapasów sprzętu wojskowego. Jednak to właśnie Ukraina może się okazać następnym impulsem dla zmiany układu sił w Unii.

Kilka dni po rosyjskiej agresji Kijów złożył wniosek o przyjęcie do UE. Na fali entuzjazmu dla walczących wszystko potoczyło się błyskawicznie – już w czerwcu 2022 r. Ukraina została oficjalnym kandydatem, a w grudniu 2023 r. Unia rozpoczęła z Kijowem negocjacje akcesyjne. Szybko się nie skończą, bo wraz z opadnięciem wojennych emocji Europejczycy zaczynają powoli zdawać sobie sprawę, jak wiele problemów niesie ze sobą akcesja tak wielkiego, rolniczego kraju walczącego o przetrwanie.

Dziś Francja i kilka innych państw tzw. starej Europy narzeka też, że rozszerzenie w naturalny sposób rozcieńcza Unię, podczas gdy musi ona pogłębiać integrację, by przetrwać w coraz bardziej wrogim świecie. W Paryżu dało się usłyszeć nawet głosy, że poszczególne akcesje, a szczególnie ta z naszym udziałem, były w zasadzie brytyjskim spiskiem, mającym zahamować integrację i zatrzymać ją na poziomie ledwie strefy wolnego handlu.

Klęska naturalna

Unia coraz bardziej przypomina stare małżeństwo, w którym miłość już dawno się wypaliła. Pozostały wspólne interesy, przyzwyczajenia i obawa o koszty ewentualnego rozwodu. Po pierwszych, bardziej ideowo-romantycznych dekadach, do głosu doszedł prymat rozwoju ekonomicznego i wiara w to, że z czasem rozwiąże on wszystkie problemy społeczne Europejczyków.

Przejawem takiej perspektywy są np. triumfalne komentarze liderów Unii wobec coraz słabszych wskaźników ekonomicznych Wielkiej Brytanii po brexicie. Emmanuel Macron mówił w zeszłym roku, że Londyn jeszcze przez lata będzie żałował swojej decyzji. Być może. Choć już badania opinii na Wyspach nie są tak jednoznaczne. Problem jest innej natury – Unia wciąż traktuje brexit jak katastrofę naturalną, której nie można było uniknąć. „Unii brakuje autorefleksji, namysłu nad własnymi ułomnościami. Taka była od samego początku" – mówił były brytyjski komisarz UE Chris Patten, rozgoryczony w dzień po brexitowym referendum.

Wstępowaliśmy do Unii, która korzeniami sięga lat 50., choć w swoim nowoczesnym wymiarze powstała sporo później, w 1992 r., wraz z przyjęciem traktatu z Maastricht. Już z Polską i z traktatem lizbońskim przyjęła formę obowiązującą z grubsza do dziś. Bloku 27 państw, które do wspólnej puli przekazały część swojej suwerenności jako inwestycję – aby Unia, którą współtworzą, ją pomnożyła. Traktat z Lizbony miał też ważny wymiar techniczny. Wyjaśnił kilka sporów kompetencyjnych, nadał Unii osobowość prawną i wprowadził – pierwszy raz w historii – procedurę wyjścia z UE. Nie zażegnał jednak kryzysów, w większości przewlekłych. Do najważniejszych należały kryzys finansowy z 2008 r. i jego konsekwencje, brexit, pandemia, spór o drogę dalszej integracji, a ostatnio rosyjska agresja na Ukrainę. Unia poradziła sobie z nimi umiarkowanie. Co gorsza, próby ich rozwiązywania rozpaliły kolejne kryzysy.

Migracja

Od bardzo dawna przewidywano, że jednym z czołowych wyzwań będą te związane z migracją. Unia jako całość od lat 90. była liderem międzynarodowej pomocy rozwojowej. Wielu jej członków, szczególnie tych z kolonialną przeszłością, przeznaczało na pomoc byłym koloniom ponad 0,7 proc. PKB. Budowali tam szkoły, studnie, fundowali szczepionki. Zamysł był taki, że poprawa warunków życia gdzieś „na końcu świata" powstrzyma jego mieszkańców od ruszenia w drogę do Europy.

Nie powstrzymała. I w sumie trudno ocenić, czy te europejskie starania miały szanse powodzenia wobec narastającej presji klimatycznej, a co za tym idzie – społecznej i politycznej. Faktem są liczby: według Komisji w 2021 r. do Unii dostało się 2,7 mln migrantów, w 2022 r. – 5,1 mln.

Skutkiem było rozdwojenie jaźni: Unia nadal pomagała „na końcu świata" i czuła się z tym dobrze, z drugiej strony musiała wykorzystywać coraz brutalniejsze metody, aby powstrzymać migrantów na swoich granicach. I przez lata udawało się odseparować te dwa porządki. Z czasem pogranicznicy zdominowali dyplomatów, a polityka zagraniczna stała się jeszcze jednym instrumentem obrony granic. Pieniądze pomocowe, zamiast na wsparcie rozwoju, zaczęły iść na przekupywanie władców państw tranzytowych, aby powstrzymywali migrantów dowolnymi metodami. Unia (lub jej członkowie indywidualnie) zawierała kolejne umowy – pierwszą z Turcją, niedawno do tej listy dołączyły m.in. Egipt, Tunezja i Maroko.

Skuteczność takiej polityki transakcyjnej jest również umiarkowana. Dziś

migracja budzi niepokoje społeczne niemal we wszystkich państwach Unii, a długofalowo przekształca tamtejsze sceny polityczne, najczęściej z korzyścią dla skrajnej prawicy. Widać to wyraźnie m.in. we Włoszech (Giorgia Meloni), Szwecji (Szwedzcy Demokraci) czy ostatnio w Holandii (Geert Wilders) i na Słowacji (Robert Fico). Migracja rodzi też coraz większe podziały między państwami bezpośrednio nią dotkniętymi, które domagają się solidarności od tych, do których migranci (jeszcze) nie docierają tak licznie. To pierwszy podział.

Drugi wywołała wspólna waluta. To paradoks, bo euro – narodzone w 1999 r. – miało być kluczowym narzędziem głębszej integracji. A dziś coraz głębiej dzieli Unię. Weźmy dla przykładu trzech największych unijnych „awanturników" ostatnich lat: Wielką Brytanię, Węgry i Polskę. To nie przypadek, że żadne z nich nie przyjęło euro, a Unię i wspólną walutę potraktowały jako odrębne pakiety.

Niedokończone euro

Jednak euro w początkowym zamyśle nie miało być tylko opcją dodatkową przy wejściu do Unii. Brytyjsko-niemiecki politolog Ralf Dahrendorf postrzegał wspólną walutę przede wszystkim jako narzędzie geopolityczne i źródło przyszłej unijnej potęgi. Tymczasem w ciągu ostatnich dwóch dekad euro spełniło zaledwie minimalne oczekiwania – wciąż działa i jest nieźle zarządzane na poziomie technicznym. Aż tyle i tylko tyle. Nie ze swojej winy – liderzy Unii, gdy już powołali euro do życia, właściwie zrezygnowali z dalszej ekonomicznej i monetarnej integracji. A bez dokończenia tych procesów również wspólna waluta jest niedokończonym projektem.

Największym hamulcowym były tu Niemcy, dla których dalsza integracja fiskalna miała (wciąż ma?) wymiar przede wszystkim ekonomiczny. Brytyjczycy i Duńczycy, którzy chyba lepiej odczytali, do czego to prowadzi, od razu ▶

▶ wynegocjowali dla siebie „opt-outy". Podobnie Polska, Węgry, Szwecja i Czechy – wszystkie te państwa świadomie zrezygnowały z udziału. A Unia nie nalegała. I w grudniu zrobiła to znów – podjęła decyzję o rozpoczęciu negocjacji akcesyjnych z Ukrainą, nie podnosząc kwestii związanych z euro.

W rezultacie wspólna waluta jest dziś siłą odśrodkową, a nie dośrodkową w Unii. Najgłośniejszy przypadek ostatnich lat to oczywiście Grecja, która w 2015 r. była już jedną nogą poza strefą, zmuszana do kolejnych radykalnych reform. Z kolei w 2018 r. nowy włoski rząd, złożony z ugrupowań prawicowych, całkiem na poważnie chciał porzucić euro, podjął nawet techniczne przygotowania. Na przekór oczekiwaniom euro prowokowało ekonomiczne rozchodzenie się bogatej unijnej północy i biednego południa.

Wszystkie te lata braku konsekwencji, rozgrzebania sprawy unii bankowej, wspólnego rynku kapitałowego, wspólnych obligacji doprowadziły europejską walutę do martwego punktu. Spełnia ona swoje minimalne zadanie, tzn. ułatwia wymianę handlową w ramach strefy. Ale nic poza tym. A euro, tak jak amerykański dolar, mogło stać się jednym z najważniejszych narzędzi prowadzenia globalnej polityki przez UE. Nie stało się nim w wyniku decyzji politycznej.

Pandemia i fundusze

Dla zwolenników euro i dalszej integracji w 2020 r. błyskiem nadziei była może i powolna, ale skuteczna reakcja Unii na pandemię. Z początku państwa członkowskie na własną rękę zaczęły się dogadywać z koncernami farmaceutycznymi w sprawie szczepionek. Jednak już w drugiej połowie 2020 r. Niemcy, którzy wówczas przewodniczyli Unii, zaczęli naciskać na Komisję w sprawie wspólnych zakupów. Berlin argumentował, że tylko w ten sposób można powstrzymać rywalizację cenową, tak brutalnie widoczną w przypadku maseczek i respiratorów – w jej wyniku biedniejsze państwa UE byłyby na straconej pozycji.

Komisja w końcu przejęła inicjatywę. Co prawda odrębne umowy z AstraZeneca zdążyły podpisać Niemcy, Holandia, Włochy i Francja, ale ostatecznie zdecydowano się powierzyć zamówienia szczepionek – wraz z unijnymi pieniędzmi – wyłącznie Komisji. Niektórzy zarzucają jej m.in. zbytnią rozrzutność, ale do wewnątrzunijnej wojny cenowej o szczepionki nie doszło.

Pokazało to naturę Unii jako wspólnoty opartej na mediacji i przynajmniej formalnej równości. W żadnej innej strukturze takie państwo jak Polska nie byłoby traktowane na równi z Niemcami – w tym przypadku: jeśli chodzi o dawki szczepionki. W żadnej innej bogate państwa nie oglądałyby się na te biedniejsze – po prostu wykupiłyby dostępne specyfiki po wyższych cenach.

Z podobnej, optymistycznej perspektywy można ocenić decyzję o utworzeniu unijnego funduszu pandemicznego NextGenerationEU. To odrębny, wieloletni budżet o wartości 750 mld euro, przeznaczony (w ramach Krajowych Planów Odbudowy, KPO) m.in. na rozmaite inwestycje, uzbierany dzięki wspólnemu zadłużeniu się Unii na skalę wcześniej niespotykaną. Dlatego wielu ekspertów mówiło wtedy, że Unia zamienia się w państwo z krwi i kości, które może już wspólnie się zadłużać. To nieprawda, według rządów północnych państw Unii, szczególnie niemieckiego, wspólne zadłużenie się na fundusz popandemiczny było aktem jednorazowym, a nie początkiem państwowości Unii. Ówczesny minister finansów Niemiec, a dzisiaj kanclerz Olaf Scholz powiedział nawet wtedy, że jego kraj „nigdy nie zgodzi się na takie więzienie".

Mark Leonard w książce pod optymistycznym tytułem „Dlaczego Europa będzie rządzić w XXI w." (2005 r.) – więcej na s. 56 – postawił tezę, że Unia jest próbą urzeczywistnienia Panoptykonu, idealnego więzienia wymyślonego przez Jeremy'ego Benthama. Ten angielski filozof zaproponował konstrukcję takiego zakładu karnego, w którym niewielu strażników mogłoby kontrolować wielu więźniów. Czy raczej – w którym osadzeni pilnowaliby sami siebie. To dość niefortunne porównanie Leonarda mówi jednak wiele o roli, jaką – według swoich zwolenników – Unia ma odgrywać we współczesnym świecie. Europejczycy powinni się w niej chować, nawet kosztem ograniczenia swojej wolności. Bo tylko wewnątrz jej murów będą bezpieczni w świecie, który jest dla nich coraz mniej przyjazny.

Zasady zamiast siły

Większość państw tzw. starej Europy woli porządek globalny oparty na zasadach, nie sile. Źródła takiej perspektywy są dwojakie. Po pierwsze, historyczne – właśnie dzięki zasadom, nie sile, Europejczykom z Zachodu udało się przezwyciężyć wojenną traumę. I po drugie, perspektywa wynikająca z faktu, że nawet najpotężniejsze państwa europejskie nie mogą się równać z amerykańską czy chińską potęgą.

Dobrym przykładem tej dbałości o zasady jest spór o praworządność w Unii. Jej wymóg, choć wyraźnie zapisany w Traktacie o UE, nigdy nie był oczywisty dla wszystkich członków. Szczególnie po dojściu do władzy populistów, m.in. w Polsce i Węgrzech, którzy zaczęli ograniczać niezależność sądownictwa. Skutki próby wyegzekwowania praworządności – groźbą stał się art. 7 Traktatu, który przewiduje kary za nieprzestrzeganie tej zasady, z odebraniem głosu w Radzie Unii włącznie.

Przez ostatnie siedem lat, odkąd Komisja wszczęła procedurę z art. 7 przeciw Polsce i Węgrom, sprawa stała się jednym z głównych tematów w UE. Argument Komisji brzmi: Unia nie może funkcjonować bez praworządności, nie tylko na polu ekonomicznym (przyznawanie środków unijnych), ale też politycznym – jako wspólnota prawa. Z drugiej strony kary mogłyby zadziałać na korzyść populistów, którzy w swoich krajach pozowaliby wówczas na ofiary i dalej wzmacniali eurosceptycyzm wśród wyborców.

Dlatego przez ostatnie lata sprawa pozostawała w zawieszeniu. Komisja uruchomiła procedurę, ale nie doszło do głosowań w Radzie Unii. Polska pod nowymi rządami jest na drodze do oczyszczenia z zarzutów, ale wciąż nie może się pochwalić ustawami przywracającymi niezależność sądownictwa. Z kolei Komisja nie może wycofać się z art. 7 wobec Polski „na piękne oczy", bo Węgry od razu podnieśliby argument o nierównym traktowaniu. Na razie więc Polska – w ramach pocieszenia – dostała pierwszy przelew z Krajowego Planu Odbudowy, też blokowany dotychczas z powodu praworządności.

• • •

Zwolennicy integracji europejskiej od samego początku stawiali przed nią dwa zasadnicze cele. Po pierwsze, miała tak powiązać Europejczyków siecią zależności – handlowych, kulturalnych czy w końcu osobistych – aby zbudowane w ten sposób zaufanie uniemożliwiło w praktyce powrót do kontynentalnych konfliktów i wojen. I po drugie, integracja miała z czasem zatrzeć różnice ekonomiczne między państwami i społeczeństwami. Czy Unia Europejska osiągnęła tak ujęte cele? W świetle tego, co się dzieje wokół migracji, euro, polityki zagranicznej czy kwestii praworządności, niełatwo być optymistą. Niemniej „zasada" Moneta wciąż obowiązuje – Unia zaskakująco dobrze reaguje na kryzysy i wtedy właśnie załatwia sprawy, których w innych okolicznościach by nie załatwiła. Jak stare dobre małżeństwo.

ŁUKASZ WÓJCIK

Karnawałowy pochód młodzieży w Limassol na Cyprze, 2011 r.

Erazmianie

Europejczycy uważają system wymiany uniwersyteckiej Erasmus za jedną z największych zdobyczy integracji.

JĘDRZEJ WINIECKI

Erasmus wziął się z gniewu. I upokorzenia, którego w dziekanacie wydziału prawa uniwersytetu La Sapienza doznała studentka piątego roku Sofia Corradi. Był 1958 r., właśnie wróciła do Rzymu z rocznego stypendium Fulbrighta na Uniwersytecie Columbia. W Nowym Jorku uzyskała amerykański tytuł magistra, uczestniczyła w ceremonii rozdania dyplomów, swój odbierała w todze i kwadratowym birecie na uniwersyteckim trawniku. Było jak w filmie, przyzna po latach. Oczekiwała, że rok sfinansowany w ramach prestiżowego programu w bardzo mocnej amerykańskiej uczelni zostanie zaliczony na poczet trzech pozostałych do zdania egzaminów w uniwersytecie macierzystym. Jej wniosek uznano jednak za kaprys, pobyt w Columbii za wakacje i niewiele więcej. Urzędnicy publicznie, przy czekających w kolejce studentach, beształi Corradi, radząc, by „panienka" poszła do domu i wreszcie zabrała się do porządnej pracy.

Lubiła się uczyć, trzy brakujące egzaminy zdała bez problemów. Skończyła studia z dodatkową satysfakcją, bo kancelarie rozchwytywały ją ze względu na intrygujący punkt w życiorysie. Jednak nie zapomniała o upokorzeniu z dziekanatu. Została w akademii, by zrealizować zadaną sobie misję: zamierzała zrobić wszystko, co się da, by żaden inny student nie doświadczał despektu, który ją spotkał. Jako profesorka specjalizująca się w kształceniu ustawicznym i edukacji dorosłych od 1969 r. przez 18 lat zabiegała o uruchomienie europejskiego programu wymiany uniwersyteckiej.

Stawiała przy tym konkretne warunki. Domagała się wsparcia finansowego dla wyjeżdżających, by na zagraniczne studia stać było także osoby z mniej zamożnych środowisk. Postulowała też budowę procedur, które gwarantowałyby uznanie przedmiotów zaliczonych na innych uczelniach. Oba elementy – w postaci niewielkiej zapomogi, dziś wynoszącej małe kilkaset euro, oraz systemu punktów ECTS – są filarami programu Erasmus.

Patron nie był przypadkowy. Erazm z Rotterdamu, rzecznik wartości ważnych dla współczesnej Unii Europejskiej, choćby pacyfizmu, odcisnął na europejskiej kulturze nadal wyczuwalne piętno. Nadawał się też na wzorzec naukowego wiercipięctwa. ▶

▶ Na przełomie XV i XVI w. zjeździł znaczną część zachodniej, renesansowej Europy. Lubił godziny w siodle, zaglądał na czołowe uczelnie od Włoch po Wyspy Brytyjskie, szukał książek, uciekał przed nudą, biedą, prześladowaniem i epidemiami. Jak współcześni naukowcy szukają grantów, tak Erazm najmował się na korepetytora i doradcę. Urzędnikom udało się także wykorzystać łacińską formę jego imienia jako skrótowca. Erasmus ma bowiem swoje angielskie rozwinięcie, oznaczające europejski (E) regionalny (R) program lub schemat (S) działań (A) na rzecz mobilności (M) uniwersyteckich (U) studentów (S) .

Inicjatywa zainspirowana staraniami Sofii Corradi ruszyła w 1987 r. Na początek wzięło udział 3244 studentów, pochodzili z 11 państw. Pomogły okoliczności zimnej wojny, mobilizujące integrującą się Europę, oraz szerokie wsparcie środowiska naukowego, potrzebne do przełamania powszechnego oporu stawianego przez „małych biurokratów". Prof. Corradi nazywana jest Mammą Erasmus. Erazmianie nadal ślą jej listy, opisując, w jaki sposób zagraniczne semestry odmieniły ich kariery, życie prywatne i sposób patrzenia na świat. Sondaże podpowiadają, że Europejczycy uważają Erasmusa za trzeci największy sukces Unii (ważniejsze są tylko utrzymujący się od końca drugiej wojny światowej pokój oraz swoboda przemieszczania, kojarzona przede wszystkim z udogodnieniami strefy Schengen). Polscy studenci mogli korzystać z unijnych stypendiów jeszcze przed akcesją Polski, więc 1 maja 2004 r. tysiące z nich było już na zagranicznych uczelniach.

Erasmus rośnie, co roku korzysta z niego około miliona osób, w obecnej formule uczestniczą w nim także wykładowcy i pracownicy naukowi, licealiści, praktykanci, młodzi absolwenci, co do zasady nieco częściej jeżdżą kobiety. Po blisko czterech dekadac liczba uczestników sięgnęła 15 mln. W obecnej unijnej siedmiolatce budżetowej na obsługę programu przeznaczono 28 mld euro, które w latach 2021–27 pozwolą wyjechać 12 mln osób. W 2014 r. Komisja Europejska ogłosiła, że program Erasmus skojarzył tak wiele par, że już wtedy doprowadził do narodzin około miliona dzieci. Mamą dwójki z nich jest Anne: – *Pochodzę z północno-zachodniej Francji, z Angers. A mieszkam w Saarbrücken, gdzie studiowałam w roku akademickim 2003/04.*

Niemcy do pewnego stopnia były Anne pisane, choć nie spodziewała się, że zwiąże się z nimi na stałe. Wcześniej była tam na trzech wymianach licealnych, znała język, wybór kraju był więc naturalny. Studiowała prawo międzynarodowe i podatkowe na uniwersytecie w Nantes. U sąsiadów jej wydział oferował pobyt albo w Saarbrücken, albo we Frankfurcie nad Odrą, ostatecznie wybór padł na miasto nad Saarą. Jej niemieccy współlokatorzy mieli przyjaciela, też Niemca, który pojawił się na jednej z imprez – zostanie później mężem Anne. Jej sytuację upraszczało to, że inni studenci z uczelni nie palili się do wyjazdu, jeśli już, to najchętniej wybraliby się do Wielkiej Brytanii. – *Nastawili się na dokończenie studiów bez zbędnych przerw, by jak najwcześniej ruszyć z pracą zawodową.*

Program Erasmus skojarzył już tyle par, że doprowadził do narodzin około miliona dzieci.

Po studiach para miała epizod paryski, Anne studiowała na uniwersytecie Paris II – Assas, później poszukiwała zajęcia w Saarbrücken, co się jednak nie udało. Wartością – spory w tym udział Erasmusa – okazała się za to równoczesna znajomość francuskiego, niemieckiego i angielskiego, dzięki nim znalazła pracę w doradztwie podatkowym w Luksemburgu. Leżącym na tyle blisko, że mogła przez osiem lat codziennie do niego dojeżdżać.

Anne pracuje dziś w niemieckim ministerstwie gospodarki, mąż (nie był studentem Erasmusa) jest sekretarzem stanu w jednym z ministerstw landowego rządu Kraju Saary. – *Saarbrücken leży na granicy i blisko Luksemburga, stąd jego bardzo międzynarodowy charakter. Cała nasza rodzina ma podwójne obywatelstwo. W mieście działa też francusko-niemiecka szkoła, dzieci są w pełni dwujęzyczne, choć pewnie z racji miejsca zamieszkania niemieckość nieco w nich przeważa.* Czy może to wpłynąć na przyszłą mobilność dzieci? – *Nie mają sprecyzowanych oczekiwań co do miejsca, w którym zamierzają żyć. Jeśli będą chciały coś zmienić, to mają do dyspozycji choćby Francję, bo świetnie ją znają. Podobnie często bywają u mojego brata w Cambridge, więc w grę wchodzi także Wielka Brytania.*

Trzynastoletnia córka Anne już korzysta z uczniowskiej mobilności, ma za sobą pierwszą wymianę, pojechała do Francji. W kwietniu przyjmowała rewizytę francuskiej koleżanki. – *Bez wątpienia należę do pokolenia Erasmusa* – dodaje Anne. – *Do pewnego stopnia moją historię opowiada francuska komedia „L'Auberge espagnole", która weszła do kin w czasie naszych studiów.* W filmie, w Polsce znanym jako „Smak życia", widzowie śledzą perypetie Francuza Ricarda, który w Barcelonie wpada w wir międzynarodowej grupy studentów.

Głównym kierunkiem pozostają właśnie uczelnie hiszpańskie, a także niemieckie, francuskie i włoskie. Czołowe placówki – jak uniwersytety w Grenadzie, Bolonii, Walencji, Lizbonie oraz walencka politechnika – przyjmują w każdym roku akademickim sporo ponad 2 tys. erazmiańskich studentów. W roku wejścia Polski do Unii naukę w Universidade da Coruña rozpoczęła Irena, studentka politologii i socjologii z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Poznańskie studia stały na wyższym poziomie naukowym, a atmosfera galisyjskiego wydziału była do tego stopnia swobodna, że niektórzy wykładowcy palili trawkę ze swoimi studentami. Początkowym kłopotem był język, bo hiszpański wyuczony w Polsce okazał się wysoce niewystarczający, konieczne były intensywne lekcje w szkole językowej, wspierane wieczorną pracą za barem, tę wymuszało niewysokie stypendium. Język trzeba było znać, bo przedmioty należało zaliczać, pisząc prace. Niektórzy wykładowcy do zagranicznych studentów podchodzili dość liberalnie, ale byli i tacy egzaminatorzy, którzy cudzoziemców traktowali na równi z Hiszpanami.

Irena mocno związała się z Hiszpanią, po Erasmusie i obronie w Polsce wróciła na studia podyplomowe z prawa europejskiego. W pierwszej pracy zajmowała się obsługą projektów unijnych, jej pierwsza pensja wynosiła 1,2 tys. euro na rękę i była wyższa od zarobków hiszpańskich koleżanek i kolegów, którzy na podobnych stanowiskach dostawali o 300–400 euro mniej. Powołaniem Ireny był jednak świat mody. Przeszła do koncernu odzieżowego Inditex, który potrzebował kogoś znającego polski i gust modowy Polek. – *Erasmus dał mi język, samodzielność i gotowość na zmiany. Żyjąc w Hiszpanii, wielokrotnie się przeprowadzałam, w związku z pracą dwa lata spędziłam w Kanadzie. Największym odkryciem była pewność siebie i świadomość, że sobie poradzę,*

© PAP/EPA

Od niej się zaczęło... Pedagożka Sofia Corradi przez 18 lat walczyła o wspólny program wymiany studenckiej.

żując w innym kraju. Gdybym wtedy nie wyjechała, na pewno byłoby mi trudniej. Rodzice nie daliby rady sfinansować zagranicznych studiów, więc prędzej czy później pewnie wylądowałabym w Anglii za barem lub na zmywaku, skąd trudniej byłoby trafić na stanowisko zgodne z wyuczonym zawodem.

W tym samym roku akademickim sporo dalej na północ, w bretońskim Rennes, Karolina poznała Wojtka. Oboje studiowali w Poznaniu europeistykę i ekonomię na dwóch różnych uczelniach i w budynkach oddalonych od siebie o kilkaset metrów. Znajomość zawarli jednak w Bretanii, podczas imprezy z okazji Halloween. Zacieśnieniu relacji służyło to, że Wojtek dysponował Fiatem Cinquecento, namiętnie jeździli na jednodniowe wycieczki (by oszczędzać na noclegach), raczej bocznymi drogami (by nie płacić za autostrady), mając w zasięgu m.in. Paryż.

O Erasmusa musieli się wystarać. Jak przyznają, trzeba było pokonać sporą konkurencję, bo są z rocznika wyżu. Co oznaczało, że na egzaminach wstępnych o jedno miejsce na polskiej państwowej uczelni, z nieodpłatnymi studiami, biło się po kilkanaście osób, łapali się faktycznie najlepsi, którzy później walczyli o stypendia.

Jednak Polska nie miała wtedy zbyt wiele do zaoferowania. To był czas wysokiego bezrobocia i niskich pensji. – *Nasz kolega, Łukasz, który zresztą też był stypendystą Erasmusa* – wspomina Wojtek – *wygrał miejski program stażowy, na początek dostał 250 zł. Na szczęście to rzucił, poszedł robić doktorat na uczelnię, później został jej rektorem.* Karolina: – *Po skończeniu polskich studiów dość szybko dostałam pracę w firmie ubezpieczeniowej w Dublinie, zrobiło się z tego prawie 10 lat.* Po drodze dołączył Wojtek: – *Zrezygnowałem z całkiem fajnej pierwszej pracy w Poznaniu. Zdobyłem ją pośrednio dzięki Erasmusowi i dość kuriozalnie. Podczas egzaminu poprawkowego do profesora zadzwonił znajomy, szef miejscowego oddziału brokerów. Potrzebował kogoś z francuskim, nie umiał znaleźć. Słyszałem rozmowę, siedziałem przy tym samym stole, zgłosiłem się i w następny poniedziałek już pracowałem.*

Irlandia okazała się jednak kłopotliwa logistycznie. Mając dwóch erazmiańskich synów, potrzebowali większego metrażu, ten był dostępny dalej od miejsc pracy, wynikające stąd niedogodności przyspieszyły decyzję o wyprowadzce do Luksemburga, gdzie pracują w tych samych branżach (Wojtek został nawet w tej samej firmie). – *Nigdy do końca nie rozważaliśmy powrotu do Polski* – przyznaje Karolina. – *Nasze dzieci są obywatelami Europy. Uczą się w luksemburskiej szkole, mówią w pięciu językach.*

Gdy Wielka Brytania opuszczała Unię, podniósł się lament tamtejszych środowisk uniwersyteckich, biorących rozbrat także z Erasmusem. Zjednoczone Królestwo jest akademicką potęgą, pozostając drugim – po Stanach Zjednoczonych – najważniejszym krajem docelowym dla zagranicznych studentów z całego świata. Nie dotyczy to jedynie Oksfordu i Cambridge, ale także dziesiątek szkół mniej znanych. Przedbrexitowy raport dla Izby Lordów czyta się jak panegiryk na cześć Erasmusa. Przypomniano w nim, że w ramach programu z ówczesnego budżetu Unii (na lata 2014–20) do Wielkiej Brytanii miał trafić miliard funtów. Kwota ta powędrowała na konta uczelni, studentów (130 tys. przyjezdnych żaków rocznie) i wykładowców.

Brytyjskie ministerstwo nauki namawiało, by Erasmusa nie sprowadzić jedynie do pozycji statystyczno-księgowych. Przestrzegało, że odcięcie od kontynentu i programu, który niweluje nierówności, uderzy także w obywateli Królestwa, zwłaszcza tych ze społeczności defaworyzowanych oraz osób z niepełnosprawnościami. Erasmus był popularny wśród brytyjskich studentów, w roku akademickim 2014/15 wyjechało ich 15,6 tys. Raport przytaczał uniwersalne konkluzje badań nad uniwersytecką mobilnością. Wyjeżdżającym grozi mniejsze ryzyko bezrobocia zaraz po ukończeniu studiów. Pensje początkowe absolwentów z doświadczeniem wyjazdowym bywają z reguły wyższe i efekt ten jest wzmacniany w grupach najbardziej wrażliwych na wykluczenie społeczne.

Z drugiej strony stypendia bywają niewystarczające. Zwłaszcza w krajach najdroższych erazmianie z uboższych stron kontynentu muszą żonglować swoimi niewielkimi budżetami, poznać adresy dyskontów i tanich kantyn. Co więcej, w założeniu program ma służyć budowie europejskiej tożsamości, podnosić kompetencje językowe, uczyć samodzielności i zdolności dostrzegania różnic kulturowych. Zgodnie z zasadą, że podróże kształcą. Sceptycy dodają, że nie robią tego automatycznie, wyjazd zagraniczny niekoniecznie może posłużyć poszerzeniu horyzontów.

Popularność Erasmusa wśród studentów z Polski i reszty tzw. nowej Europy była od początku bardzo duża, brała się z ciekawości i aspiracji zawodowo-naukowych. Wejście Polski do Unii przypadło na erę tanich lotów. Na to nałożyły się jeszcze postęp technologiczny, rozwój serwisów społecznościowych i komunikatorów internetowych ułatwiających podtrzymywanie kontaktów ze znajomymi sprzed lat. Często sporadycznych, ale wystarczających do tego, by zupełnie nie utracić łączności z dawną erazmiańską paczką.

JĘDRZEJ WINIECKI

Autor był na wymianie erasmusowej na Uniwersytecie Jyväskylä w Finlandii w 2004 r.

Parlament Europejski to jedyna instytucja UE wyłaniana w głosowaniu bezpośrednim. Czy nadchodzące czerwcowe eurowybory wzmocnią jego rolę?

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

Frakcje ruszają do akcji

Europejczycy zaczęli głosować na członków PE w wyborach powszechnych w 1979 r. i już od tego czasu izba pozostaje w rozdarciu. Ma być forum dla publicznych i nawet ostrych konfliktów, w których powinna wykuwać się wspólna polityka Europy. A jednocześnie ma dostarczać demokratycznego fundamentu dla integracji, którą przez dekady budowano na próbach ujarzmiania sporów. Robiono to za pomocą procedur technokratycznych, mozolnie ucierając kompromisy, najlepiej z dala od publiki.

To oznacza w codzienności europosłów balansowanie między standardowym politykowaniem (jak w Sejmie, Bundestagu czy Kortezach) a mrówczą, wręcz dyplomatyczną robotą w rokowaniach między frakcjami politycznymi i grupami narodowymi. A i tak często europarlament rezygnuje ze swego prawa weta, ustępując wobec groźby sprzeciwu ze strony rządów państw Unii Europejskiej.

Fabryka kompromisów

Posłowie nie mają inicjatywy prawodawczej, ale ich uprawnienia, poważnie rozszerzone traktatem lizbońskim, czynią z europarlamentu mocnego gracza. Współstanowi prawo, współdecyduje w kwestiach budżetu UE, wyłania i kontroluje Komisję Europejską, ma możliwość jej obalenia w drodze wotum nieufności. Jednak w praktyce pierwsze skrzypce pozostają w rękach krajów członkowskich. Propozycje nowych przepisów przedkłada Komisja Europejska – muszą w zdecydowanej większości zostać zatwierdzone zarówno przez europosłów, jak i przez ministrów 27 państw w Radzie UE. Jednak to państwa Unii przesądzają o losie większości kompromisów, które rodzą się w żmudnych trójstronnych rokowaniach, tzw. trylogiach, negocjacjach delegacji europarlamentu i Rady UE z udziałem Komisji Europejskiej. Europosłowie swymi poprawkami bardzo często korygują kierunek tych nowych przepisów, lecz jednocześnie bardzo rzadko mogą narzucać kluczowe zmiany.

Pośród zwyczajowych utyskiwań europoselskich na Radę (chodzi czasem o Radę UE złożoną z ministrów, a czasem o Radę Europejską złożoną z przywódców państw Unii) rzadkie, lecz zarazem spektakularne, bywają przypadki wielkiego sprzeciwu wobec woli rządów. Jak z oporem wobec ACTA sprzed dekady czy słabo nadzorowanej wymiany danych finansowych z Ameryką w ramach systemu bankowego SWIFT. Z kolei wiosną 2022 r. europarlament wyprzedził o parę miesięcy zgodę Rady Europejskiej na szybkie wprowadzenie Ukrainy na ścieżkę akcesji do UE. Głosowanie nie było wiążące, ale stało się w Brukseli silnym wyłomem wobec ówczesnego akcesyjnego sceptycyzmu krajów unijnego Zachodu.

Od kilkunastu lat rośnie w Unii przewaga tzw. wymiaru międzyrządowego, większą rolę odgrywają szczyty przywódców i Rada UE. Maleje z kolei znaczenie tzw. wymiaru wspólnotowego, zakorzenionego m.in. w procedurach europarlamentarnych. Mimo to europosłom w 2014 r. udał się spory krok emancypacyjny, gdy szefem Komisji Europejskiej został Jean-Claude Juncker. Zgodnie z traktatem lizbońskim kandydata na to stanowisko przedstawia Rada Europejska (na szczycie UE), „uwzględniając wybory do Parlamentu Europejskiego", co rodzi polityczno-prawnicze spory, która z dwóch instytucji może mieć inicjatywę wskazania osoby, którą później muszą zatwierdzić obie z nich.

W żargonie unijnym Juncker był czołowym kandydatem (z niemiecka: *Spitzenkandidat)* wysuniętym w eurowyborach, wraz z programem politycznym, przez Europejską Partię Ludową (EPL), czyli centroprawicową międzynarodówkę, do której należą m.in. PO, PSL i niemiecka chadecja. EPL zyskała najlepszy wynik w eurowyborach, zbudowała największą frakcję i przekonywała, że dlatego szefem Komisji powinien zostać jej człowiek, negocjujący koalicję z innymi frakcjami na podstawie swych manifestów wyborczych. Dość szybką nominację Junckera uznano w PE za sukces „wymiaru wspólnotowego". On sam objaśniał, że po tak prowadzonej kampanii mógł stać się bardziej politycznym szefem Komisji.

Jednak już pięć lat później państwa Unii wyszły z kontrą wymierzoną w europarlamentaryzację i oparte na niej upolitycznianie działań Komisji Europejskiej. Po stanowczym odrzuceniu rozmów o ówczesnym głównym kandydacie Manfredzie Weberze szczyt UE zakulisowo nominował niemiecką minister obrony Ursulę von der Leyen, która w czasie eurowyborów z 2019 r. nie zdradzała się z żadnymi ambicjami co do posad w Brukseli. W poirytowanym porażką idei *Spitzenkandidata* europarlamencie Niemka przeszła głosowanie zaledwie dziewięcioma głosami. Obecnie, zabiegając o drugą pięcioletnia kadencję na czele Komisji, występuje jako czołowa kandydatka EPL, formalnie rekomendowana do tej roli przez Donalda Tuska oraz greckiego premiera Kyriakosa

W Brukseli (fot. z lewej) **toczy się większość prac europarlamentu. Sesje plenarne odbywają się w Strasburgu. A wszystko przez to, że w Luksemburgu nie było dużej sali…**

Mitsotakisa. A że chodzi jedynie o przedłużenie jej urzędowania w Brukseli, to mało kto w europarlamencie uznaje to za rzeczywisty renesans idei kandydatów narzucanych Radzie przez europosłów.

Uporczywy kontroler

PE zdołał za to wybić się na pozycję dość uporczywego kontrolera działań Komisji w kwestiach praworządności. Debaty i rezolucje w sprawie Polski i Węgier bywały nużące, ale równoważyły obojętność sporej części Rady UE i niektóre głosy w Komisji opowiadające się za spuszczeniem z tonu w kwestiach sądownictwa. Zwłaszcza Frans Timmermans, centrolewicowy były już wiceszef Komisji, potrafił zręcznie grać koalicją z europosłami w zabiegach, by Bruksela nie darowała PiS-owi ataków na praworządność. Z drugiej strony pandemia, wojna w Ukrainie, kryzys cenowy na rynku energii nieraz powodowały marginalizację Parlamentu w sprawach, które leżały w centrum zainteresowania Europejczyków. Traktatowy ustrój Unii, ograniczone uprawnienia Brukseli oraz wybór rządów UE, by działać bardzo szybko i we własnym gronie (przy udziale Komisji Europejskiej), sprawiły, że rola europosłów pozostawała niewielka w kwestiach szczepionkowych, nadzwyczajnych oszczędności w związku z kryzysem energetycznym, decyzji o pieniądzach na dozbrajanie Ukrainy i sankcjach nakładanych na Rosję.

Czy zatem nadchodzące czerwcowe eurowybory mogą na poważnie coś zmienić? Tak, a dowodem rozsławiony protestami rolników Zielony Ład. Przyspieszenie transformacji energetycznej nie było naczelnym hasłem unijnej centroprawicy oraz centrolewicy w 2019 r., ale dobry wynik zielonych w kilku kluczowych państwach oraz ciułanie głosów z frakcji zielonych przez Ursulę von der Leyen przy zatwierdzaniu jej na szefową Komisji dodawały politycznej energii pracom nad Zielonym Ładem, który zyskał potwierdzenie także Rady Europejskiej. Teraz spora część europosłów kontestuje niektóre elementy unijnej polityki w nadziei, że ambicje Zielonego Ładu zostaną przytemperowane rezultatem czerwcowych wyborów (więcej na ten temat na s. 54). W ten sposób zielona transformacja, podobnie jak dawniej recepty na kryzys finansowy, może pozostać jednym z nielicznych wspólnych tematów europejskich wyborów, które co do zasady bywają sumą odrębnych 27 wyborów w 27 krajach Unii.

Trwają już dyskusje, kogo w nowej kadencji otoczyć kordonem sanitarnym.

Eurowybory sprzed pięciu lat zakończyły duopol centroprawicy, czyli frakcji występującej obecnie pod nazwą Europejskiej Partii Ludowej, oraz centrolewicowych Socjalistów i Demokratów (S&D), które pierwszy raz nie zdobyły łącznie ponad połowy miejsc. Formalnym członkiem koalicji, na której oparła się Ursula von der Leyen, stał się klub Odnowić Europę (łączy liberałów i europosłów Emmanuela Macrona), dodatkowo poszczególni posłowie popierali ją w kluczowych głosowaniach. Takie pokawałkowanie głównego nurtu wzbudzało w Brukseli obawy, że znacznie trudniej będzie przepychać decyzje w rokowaniach aż trzech–czterech frakcji. Minione pięć lat okazało się nie aż tak trudne, zresztą odejście od tandemu centroprawicy i centrolewicy lepiej odzwierciedlało poglądy wyborców. W kolejnej kadencji będzie podobnie, choć według sondaży koalicja skurczy się z obecnych 60 proc. do ok. 55 proc. miejsc w izbie.

Strach przed ekstremą

Z sondażowych przewidywań wynika, że EPL pozostanie największą frakcją, ma zyskać około jednej czwartej z 705 mandatów (obecnie też 25 proc.). Drugie miejsce utrzyma S&D (19 proc. wobec obecnie 20 proc.), a Odnowić Europę (11 proc., teraz 14 proc.) walczy o trzecie miejsce ze skrajnie prawicową frakcją Tożsamość i Demokracja (12 proc. zamiast obecnych 8 proc., w dużej mierze dzięki niemieckiej AfD). Natomiast frakcja konserwatystów (obecnie 27 Polaków ze Zjednoczonej Prawicy i 10 Włochów na 67 wszystkich jej członków) powinna utrzymać się na poziomie ok. 10–11 proc., choć z mocniejszym udziałem europosłów z partii premier Giorgii Meloni.

Nowy skład PE będzie wymuszać intensywne poszukiwania dodatkowych sojuszników przy uchwalaniu poszczególnych przepisów i przy zatwierdzeniu von der Leyen na kolejną kadencję. Frakcja zielonych (prognozowane 6 proc.) ma apetyt na trwałe wejście do tzw. superwielkiej koalicji. Z drugiej strony kierownictwo EPL życzliwiej patrzy raczej w prawą stronę, w poszukiwaniu co najmniej taktycznego porozumienia z europosłami Meloni.

Regularnie eurowyborom towarzyszą obawy, że „ekstrema sparaliżują izbę". Trwają więc już dyskusje, kogo w nowej kadencji otoczyć kordonem sanitarnym, który odgradza skrajne partie (jak AfD) od reszty izby przy obsadzie stanowisk w komisjach europarlamentarnych oraz piętnuje nawet czysto taktyczne i doraźne aliânse z ich członkami. Takim ugrupowaniem będzie węgierski Fidesz. W PE znaczy nieporównanie mniej niż jeden Viktor Orbán w Radzie Europejskiej czy jego minister w Radzie UE lub komisarz w Komisji. Bo o ile w europarlamencie można łatwo zmontować koalicję do przegłosowania np. Fideszu, o tyle na szczycie UE jeden Węgier ma prawo weta, zgodnie z logiką przewagi wymiaru międzyrządowego nad wspólnotowym. ■

© TOBIAS ARHELGER/SHUTTERSTOCK, OLRAT/SHUTTERSTOCK

Gra w Zielony

To dziś najważniejszy i najbardziej emocjonalny unijny spór, w którym argumenty rzeczowe mieszają się z dezinformacją i tępą propagandą.

EDWIN BENDYK

Europejski Zielony Ład budzi dziś intensywne emocje, biją w niego protestujący rolnicy. W gorącej atmosferze łatwo zapomnieć, skąd się ta inicjatywa w ogóle wzięła. Chwilę przed poprzednimi wyborami do Parlamentu Europejskiego ogłoszono przełomowe ostrzeżenie o zasięgu kryzysu klimatycznego. Raport „Globalne ocieplenie o 1,5 st. C" opublikowali naukowcy z Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatycznych ONZ. Alarmistyczny dokument wywołał zaskakująco szeroką dyskusję, w Polsce inspirując sztukę wystawioną w warszawskim Teatrze Powszechnym. Do opinii publicznej przebił się uproszczony komunikat: jeśli nie weźmiemy się na serio do walki ze zmianami klimatu, to już w 2030 r. nadejdzie katastrofa.

Komunikat zyskał ewangelizatorów, najbardziej rozpoznawalna stała się szwedzka nastolatka Greta Thunberg. Pociągnęła młodych na całym świecie, także w Polsce, którzy regularnie zaczęli wychodzić na ulice. W kontrapunkcie do tego wzmożenia jesienią 2018 r. wybuchły protesty żółtych kamizelek. Mieszkańcy francuskiej prowincji, zwłaszcza ci odcięci od komunikacji publicznej, zaprotestowali przeciw dodatkowemu opodatkowaniu paliwa do samochodów. Uznali, że padli ofiarą niesprawiedliwych i dyskryminujących obciążeń wynikających z troski o klimat. Płonący Paryż tworzył spektakularne tło dla szczytu klimatycznego ONZ, zwołanego wtedy w Katowicach. Prezydent Andrzej Duda przekonywał delegatów, że węgiel będzie służył

© GETTY IMAGES

© GETTY IMAGES

Polsce jeszcze 200 lat, a polski rząd decydował o budowie elektrowni węglowej Ostrołęka C.

Wyborom do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. towarzyszyły ostrzeżenia o wlaniu się do izby brunatnej, populistycznej fali, ale silniejsza okazała się fala zielona, niesiona protestami młodych i mobilizacją proekologicznych formacji politycznych. Wprowadziła do PE wystarczająco wiele posłanek i posłów, by zmienić brukselski układ sił. W samą porę, bo z dostępnych wtedy raportów wynikało, że unijne deklaracje o staniu się globalnym liderem proekologicznej transformacji były mocno na wyrost.

To otworzyło pole do zielonego resetu. Dość szybko Rada Europejska przyjęła zobowiązanie o intensywnych działaniach zmierzających do utrzymania wzrostu temperatury atmosfery na poziomie 1,5 st. C w stosunku do okresu przedprzemysłowego. Z zastrzeżeniem, że spełnienie tego celu nie może zaszkodzić konkurencyjności europejskiej gospodarki i powinno uwzględniać specyfikę poszczególnych krajów członkowskich, o co biła się zwłaszcza Polska. Dalej niż Rada poszła Ursula von der Leyen. Kandydując na stanowisko przewodniczącej Komisji, domagała się, by do połowy wieku to Europa stała się pierwszym kontynentem neutralnym klimatycznie.

Von der Leyen zapowiedziała, że w ciągu pierwszych 100 dni urzędowania przedstawi Zielony Ład dla Europy, z angielska nazywany Green Deal – nawiązanie do amerykańskiego programu reform New Deal z lat 30. nie było przypadkowe. Założenia inicjatywy obejmowały stworzenie planu zrównoważonych inwestycji, wprowadzanie bodźców ekonomicznych mających wpływać na zachowania konsumenckie, nałożenie granicznego podatku węglowego, który zatrzyma import produktów obciążonych wysokim śladem węglowym, czyli wytwarzanym z udziałem intensywnych emisji gazów cieplarnianych itd.

Nowo wybrana Komisja na przedstawienie Europejskiego Zielonego Ładu w grudniu 2019 r. potrzebowała 11 dni. Rada Europejska propozycję Komisji „odnotowała", zatwierdziła też strategiczny cel osiągnięcia neutralności klimatycznej przez UE do 2050 r. W konkluzjach z tamtego szczytu napisano, że „na tym etapie jedno państwo członkowskie nie może, jeśli o nie chodzi, zobowiązać się do realizacji tego celu". Chodziło o Polskę.

Narodziny Ładu i nowej europejskiej polityki klimatycznej odzwierciedlają wszelkie zawiłości unijnego procesu decyzyjnego. Ład to strategia, która nie jest dokumentem normatywnym, czyli prawem obowiązującym państwa. Sposobem na jej realizację są szczegółowe decyzje ucierane między Komisją, Radą Unii Europejskiej i Parlamentem. Ambicje Ładu nabrały mocy prawnie obowiązującej w postaci europejskiego prawa o klimacie przyjętego w 2021 r. To właśnie ten akt zobowiązuje państwa członkowskie do osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r. i do redukcji emisji gazów cieplarnianych o 55 proc. do końca obecnej dekady.

Zarzuty, że polityka klimatyczna to wymysł Brukseli lub dyktat kierowanej przez Niemkę Komisji, są wyrazem nieuczciwej demagogii. O ile bowiem sam Ład to autorski projekt Komisji, o tyle już europejskie prawo o klimacie wykuwało się w procesie intensywnych i złożonych negocjacji, z udziałem szefów rządów wszystkich państw członkowskich i większości w PE. W tym procesie Komisja nie ma wcale głosu dominującego.

Doskonale pokazały to prace nad innym z filarów Ładu, prawem o odbudowie zasobów przyrodniczych (Nature Restoration Law). Po wielu perypetiach zostało uchwalone w lutym przez Parlament, i to mimo sprzeciwu większości posłów Europejskiej Partii Ludowej, największej formacji w PE. Przyjęty tekst był uzgodniony z Radą, dlatego wydawało się, że zgodnie z dotychczasową praktyką jej akceptacja będzie tylko formalnością. Okazało się jednak, że ten punkt zdjęto z programu jej kwietniowego posiedzenia, bo m.in. Polska, lecz także Austria, Belgia, Finlandia, Włochy, Holandia zapowiedziały, że będą głosować przeciw lub się wstrzymają, uniemożliwiając uzyskanie odpowiedniego poparcia. Co zmieniło ich stanowisko? Oczywiście protesty rolników i obawa, że przepisy zwiększające zakres ochrony środowiska zaognią niezadowolenie.

Jednym z jego głównych powodów był inny element Ładu, strategia „Od pola do stołu". Też jest dokumentem Komisji, na rzeczywistość państw członkowskich i ich mieszkańców, również rolników, oddziałuje poprzez akty normatywne przyjmowane w unijnym procesie decyzyjnym. Tak więc to nie Komisja narzuciła obowiązek ugorowania 4 proc. gruntów rolnych, bo wynika on bezpośrednio z normy dobrej kultury rolnej przyjętej w rozporządzeniu Parlamentu i Rady w grudniu 2021 r. Ład to także plan „Gotowi na 55", dotyczący działań na rzecz redukcji emisji gazów cieplarnianych. Mocy nabrał poprzez modyfikacje systemu handlu emisjami ETS, nowelizującymi rozporządzenie o emisjach z transportu morskiego i lotnictwa, granicznego podatku węglowego oraz Społecznego Funduszu Klimatycznego. Komisja wszakże ma obowiązek pilnować, by państwa członkowskie stosowały się do przyjętych przez nie zobowiązań. W ten sposób staje się łatwym celem ataków ze strony polityków chcących zrzucić odpowiedzialność za decyzje wywołujące społeczne napięcia. Mimo że były one kształtowane i podejmowane często z udziałem owych polityków.

Podnoszony jest postulat, by Polska „wyszła z Zielonego Ładu". To oczekiwanie absurdalne, bo jak nie można było do Ładu „wejść", tak nie można z niego „wyjść". Warszawa mogłaby wystąpić z inicjatywą nowelizacji niewygodnych przepisów, ale ich odkręcenie wymagałoby uruchomienia całej machiny negocjacyjnej z udziałem rządów pozostałych 26 państw, Europarlamentu i Komisji. Nie jest także prawdą, że nakładając na siebie obostrzenia, oddajemy w Europie pole Chinom i Stanom Zjednoczonym. One jeszcze szybciej modernizują swoje zielone branże (s. 56). Problem polega bardziej na tym, że Unia wyraźnie traci do nich dystans. Demagogiczna krytyka Zielonego Ładu i próby osłabienia ambicji przyjmowanych wspólnie decyzji nie poprawią konkurencyjności europejskiej gospodarki, nie wzmocnią też poszczególnych państw członkowskich. Przeciwnie, to najlepszy przepis na porażkę w kluczowym wyścigu cywilizacyjnym. ■

Demagogiczna krytyka Zielonego Ładu nie poprawi konkurencyjności europejskiej gospodarki.

Unia stoi
przed wyzwaniami
nieznanymi od dekad.
Jeśli ma przetrwać,
musi się zmienić,
także przy udziale Polski.

PIOTR BURAS

Na wspólnym ringu

Kilka miesięcy po wejściu Polski do Unii Europejskiej ukazała się książka poświęcona przewidywaniom, że światem XXI w. będzie rządzić Europa. Autor, 30-letni wówczas brytyjski analityk Mark Leonard, nie twierdził, że rozszerzona Unia zdobędzie globalną hegemonię. W europejskim stuleciu, którego nadejścia się spodziewał, Stary Kontynent byłby raczej inspiracją dla reszty globu. Model społeczno-gospodarczy, siła postępującej integracji, brak zainteresowania geopolityką – ten europejski sposób działania, pisał Leonard, stanie się światowy. Wizja ta była tyle wyrazem fascynacji autora, ile odbiciem ducha czasu. Największe w historii rozszerzenie Unii świadczyło o potędze i żywotności przedsięwzięcia. Thomas Friedman pisał wtedy, że zglobalizowany świat jest płaski, coraz mniejszą rolę grają w nim dotychczasowe podziały polityczno-gospodarcze. Nic dziwnego, że logika etapu zdawała się obiecywać ekspansję modelu opartego na ekonomicznej racjonalności i współpracy.

Dwadzieścia lat później pochwała idei integracji nie straciła na aktualności. Jednak optymizm ustąpił miejsca fatalistycznym przepowiedniom. I choć wizje upadku Europy czy całego Zachodu pełne są przesady, to Unia znalazła się w punkcie zwrotnym. Nie dlatego, że apetyt świata na powielanie jej eksperymentu jest ograniczony. Problem polega raczej na tym, że zdezaktualizowały się ważne przesłanki, na których oparta została unijna konstrukcja. Zmieniły się fakty, pisze wybitny grecki znawca integracji Loukas Tsoukalis w wydanej niedawno książce o „dorastaniu Europy" („Europe's Coming of Age").

Pozostaje pytanie, co Europa z tym fantem zrobi. Unia jest dzieckiem ery postępującej otwartości, liberalizacji, globalizacji i współpracy. Swobodny przepływ dóbr, usług, ludzi, informacji, technologii i kapitału – nie tylko w Europie, ale na skalę światową – uchodził przez dekady za podstawę dobrobytu. Dotyczy to zwłaszcza krajów europejskich, które od handlu międzynarodowego zależą w dużo większym stopniu niż dysponujące ogromnymi rynkami wewnętrznymi i własnymi surowcami Stany Zjednoczone czy Chiny. To dlatego dla Unii tak ważne są wspólne międzynarodowe reguły gry, umożliwiające korzystanie z kontaktów i wymiany na skalę globalną. Budowane za ich pośrednictwem współzależności między państwami i kontynentami miały być, zgodnie z unijno-europejską ortodoksją, gwarancją nie tylko zamożności, lecz również bezpieczeństwa. Bo w tak poukładanej rzeczywistości ostra konfrontacja miała się przestać opłacać.

To już jednak przeszłość. Do tej wizji nie udało się przekonać reszty świata, zwłaszcza Chin, które doszły do wniosku, że gra nie według ustalonych przez Zachód reguł nie leży w ich interesie, nie jest najlepszą receptą na nadrobienie zaległości ani na sięgnięcie po gospodarczą dominację. Chiny uruchomiły domino, przewracając kolejne filary porządku, na którym wyrósł model Unii, z którego Europejczycy są tak dumni. Z ery współpracy przeszliśmy w erę konfrontacji, coraz bardziej brutalnej. Wydana dwa lata temu nowa książka Marka Leonarda dotyczy już tego, jak powiązania międzynarodowe wykorzystywane są jako narzędzia nacisku, opresji i szantażu.

Ten nowy paradygmat ekonomiczny wystawia Unię na ciężką próbę. Analitycy z brukselskiego think tanku European Policy Centre, Georg Riekeles i Paweł Świeboda, twierdzą wręcz, że to moment „być albo nie być". Instrumenty nowej ery, stosowane na coraz większą skalę i z coraz większym zapamiętaniem przez Chiny, ale i Stany Zjednoczone, to subwencje państwowe, kontrole importu i eksportu, protekcjonizm, ochrona technologii oraz walka o surowce. Tymczasem Unia Europejska zbudowana jest na założeniu, że rynek pozostaje neutralny, interwencja państwa musi być ograniczona, normy i regulacje prawne zaś wystarczają do zapewnienia równowagi i ochrony interesów wszystkich zainteresowanych. Taka była recepta na sukces dziwnego, zdecentralizowanego tworu niebędącego ani państwem, ani klasyczną organizacją międzynarodową, bez wielkiego budżetu (tylko 1 proc. PKB wszystkich krajów członkowskich), bez wspólnej polityki przemysłowej i wspólnych podatków. Ale czy ten model

© GETTY IMAGES

jest do utrzymania w sytuacji, gdy zmienia się natura relacji między państwem i rynkiem, a wielcy światowi gracze biorą się za łby?

Wyścig toczy się o to, kto będzie kontrolował technologie i surowce potrzebne do przestawienia się na zielone tory. Chiny, w ramach tzw. zielonego komunizmu, przebudowują pod tym kątem całą swoją gospodarkę. Amerykanie dają m.in. upusty podatkowe dla rodzimych producentów samochodów elektrycznych. Europa w tym wyścigu nie jest pozbawiona szans, ale jej instrumentarium wygląda anachronicznie. Upustów podatkowych wprowadzić nie może, bo podatki to domena państw członkowskich. Wielkich środków na wsparcie zielonej transformacji i rozwój technologiczny na szczeblu centralnym też nie ma, bo państwa niechętnie dzielą się kasą. Niemniej Unia próbuje, ułatwia procedury, luzuje przepisy, ale to wszystko mało. By umożliwić krajom członkowskim pościg, pozwala nawet na większą pomoc publiczną, przymykając oko na negatywne skutki uboczne dla wolnej konkurencji na wspólnym rynku. Te występują, skoro najbogatsi członkowie, jak Niemcy, mają zdecydowanie większe możliwości subsydiowania własnego przemysłu niż Polska czy Rumunia.

Aby osiągnąć efekt skali, który zapewniłby Europie bezpieczeństwo gospodarcze i obronił jej model dobrobytu, konieczna jest radykalna zmiana. Krążą propozycje wartego 100 albo nawet 500 mld euro wspólnego funduszu na zielone inwestycje. Projekt strategii bezpieczeństwa ekonomicznego już jest, potrzeba jeszcze wspólnej strategii przemysłowej, która zdefiniowałaby europejskie dobra publiczne i obszary mające podlegać ochronie. Sam rynek i jego regulacje raczej już nie wystarczą. Dla Unii byłby to przewrót kopernikański. Takie zmiany oznaczałyby kolejne przesunięcie suwerenności ze szczebla narodowego na europejski i najdalej idące pogłębienie integracji od co najmniej 30 lat.

Punktem wyjścia do niego są jeszcze inne zmieniające się fakty. Swoją agresją Rosja nie rozbiła Ukrainy, ale poczucie bezpieczeństwa Europy już tak. Jest jeszcze perspektywa powrotu Donalda Trumpa, postulującego cięcie więzi transatlantyckich, a bez USA Unia jest dziś bezbronna. Stąd propozycje mające prowadzić do powstania silnego europejskiego filaru w polityce bezpieczeństwa i obrony. Według badań opinii publicznej pomysł ten cieszy się poparciem dużej części Europejczyków. Tyle że taka Unia zmieniłaby się nie do poznania.

Wiadomo, że wspólna europejska armia to mrzonki. Jasne też jest, że kraje Unii same muszą więcej wydawać na zbrojenia, koordynować swoje zakupy i tworzyć zachęty dla przemysłu oraz do rozbudowy potencjału zbrojeniowego. Inaczej nie zbudują przeciwwagi dla Rosji. Widać jednak również, że bez wspólnego funduszu (też 100 mld euro lub więcej), bez wspólnych, czyli zarządzanych przez Brukselę, zamówień i bez poświęcenia części narodowej autonomii w wymiarze wojskowo-zbrojeniowym celów tych osiągnąć się nie da. Współfinansowanie europejskiej obrony na dużą skalę byłoby przełomem, bo nic tak nie łączy jak wspólnie zaciągnięty dług, a inaczej tak wielkich funduszy raczej nie udałoby się wygenerować. Rację więc mają ci, którzy twierdzą, że to polityka obronna przesądzi o tym, jakim bytem stanie się Unia w ciągu następnych kilku lat.

> Współfinansowanie europejskiej obrony na dużą skalę byłoby przełomem, bo nic tak nie łączy jak wspólnie zaciągnięty dług.

A to nie koniec zmian. Rozszerzenie Unii o Ukrainę uważa się za konieczne, choć nikt nie wie, jak je przeprowadzić. Moment krytyczny, w jakim UE się dzisiaj znalazła, nie polega na tym, że czeka nas europejskie superpaństwo, czym straszą populiści. Chodzi o to, że status quo jest nie do utrzymania. Brak europejskiej odpowiedzi na zagrożenia dla bezpieczeństwa, rozwoju i dobrobytu nie uchroni nas przed głęboką zmianą. Bierność i opieszałość w dostosowaniu Unii do nowych realiów spowoduje tylko, że o kierunku i konsekwencjach tej zmiany decydować będą inni naszym, czyli wszystkich Europejczyków, kosztem.

Polscy krytycy integracji twierdzą, że dzisiejsza Unia nie jest już tą samą, do której wstępowaliśmy w 2004 r. To prawda. I niebawem jej transformacja jeszcze bardziej przyspieszy. I byłoby fatalnie, gdyby stało się inaczej. Przez 20 lat polski wkład w ten ciągły proces dostosowywania Unii do zmieniających się realiów był stosunkowo skromny. Byliśmy nowicjuszem, potem kluczowe kryzysy omijały nas szczęśliwie dość szerokim łukiem. Polsce trudno było wpisać się w nowe unijne priorytety (jak zielona transformacja), tym bardziej że rząd PiS nie był zainteresowany polityką konstruktywną i ustawiał się do Unii plecami.

Za to dzisiaj Polska może mieć swoje pięć minut. Nikt nie ma dobrego pomysłu na to, jak rozwiązać unijne dylematy, brakuje silnego przywództwa. Ten i przyszły rok mogą zdecydować, w jakim kierunku ustawiony zostanie wektor integracji na długie lata. W czerwcu Unia ma przyjąć strategiczny plan działania prawie do końca obecnej dekady, kwestie bezpieczeństwa ekonomicznego i obrony znajdą się na szczycie spraw do najpilniejszego rozstrzygnięcia. W tej drugiej domenie kluczowe decyzje zapaść muszą jeszcze w tym roku: w odniesieniu do dalszej pomocy militarnej dla Ukrainy i przygotowania się na ewentualny powrót Trumpa na początku roku przyszłego. W pierwszej połowie 2025 r. to Polska będzie kierować pracami Unii – niewykluczone, że w jednym z najgorętszych momentów w jej historii.

Oczywiście nikt nie lubi wielkich zmian, a ich obecne dramatyczne spiętrzenie jest główną przyczyną lęków i zagubienia obywateli, wzrostu populizmu i niechęci do Unii. Obroną status quo – czyli dotychczasowego kształtu budżetu, priorytetów unijnych polityk czy zakresu tradycyjnie pojmowanej suwerenności – nie wzbudzi się jednak topniejącego entuzjazmu Europejczyków. Badania opinii zlecone przez think tank European Council on Foreign Relations wskazują, że większość obywateli wcale nie podziela dumy elit politycznych z osiągnięć Unii w przezwyciężaniu kryzysu covidowego czy pomocy dla Ukrainy. Dlatego alternatywą dla antyunijnego populizmu nie jest dzisiaj ani ściganie się z nim na delegitymizowanie Unii, ani też apologia projektu europejskiego i nostalgiczne wspominki o jego dotychczasowych dokonaniach. Może być nią tylko niestroniąca od krytycznego spojrzenia propozycja transformacji UE w taki sposób, by potrafiła się mierzyć z dramatycznie zmienioną rzeczywistością.

Unia w tym stuleciu pewnie nie będzie rządzić światem, ale lepszej gwarancji bezpieczeństwa i rozwoju mieć nie będziemy. ■

Jak zmieniła się Polska, jak zmieniliśmy się my?

W Polsce żyje już „pokolenie UE", czyli pokolenie osób, które urodziły się i wchodziły w dorosłość w kraju należącym do Wspólnoty. Z ich perspektywy obecność w Unii jest oczywista – tak samo jak swobodne podróżowanie po Europie ze smartfonem w ręku, powszechny dostęp do internetu, nowoczesne dworce i autostrady. Wiele z tych udogodnień jest jednak dobrodziejstwem ostatnich dwóch dekad i osiągnęliśmy je przy znaczącym wsparciu unijnym.

Te zmiany, obejmujące różne obszary życia gospodarczego i społecznego, prezentujemy w formie grafik i wykresów, żeby dostrzec skalę przeobrażenia naszego kraju i z większym optymizmem patrzeć w przyszłość. Mamy nadzieję, że tak jak przez ostatnie dwie dekady, tak i przez kolejne lata niezmienne pozostanie jedynie poparcie Polek i Polaków dla obecności w Unii Europejskiej.

Dwie dekady wzrostu Polski

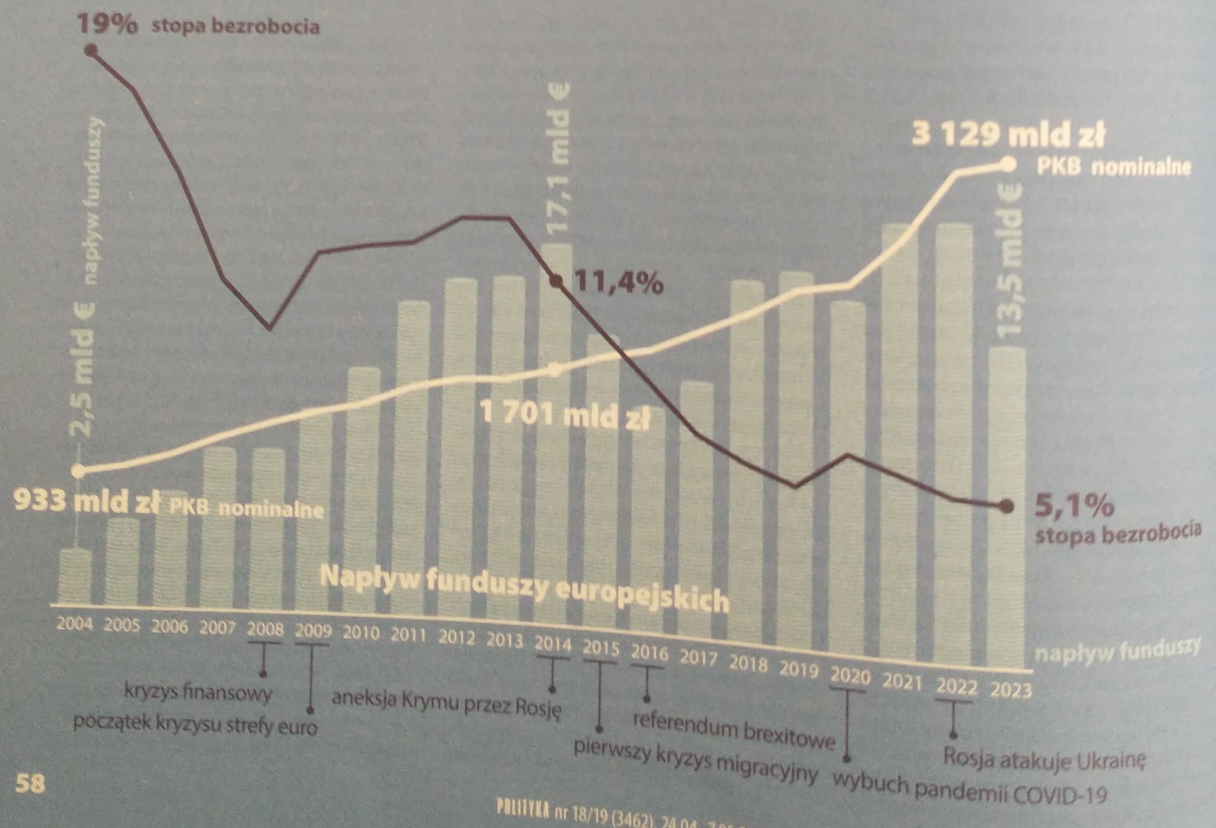

Źródło: GUS, Eurostat, KE

Gospodarka

Wiele się zmieniło, ale polska gospodarka niezmiennie rośnie pomimo kryzysów, pandemii i zawirowań politycznych.

U wrót grupy G-20

2004 **25.** → 2022 **21.**

Polska awansowała o cztery miejsca w globalnym rankingu wielkości gospodarki.

Źródło: Bank Światowy

PKB per capita – 80% średniej unijnej

2004
24 439 zł
47% średniej UE

2023
81 379 zł
80% średniej UE

Źródło: Eurostat, GUS

Otrzymaliśmy prawie trzy razy więcej, niż wpłaciliśmy

Skumulowane saldo przelewów z i do UE w latach 2004–2023

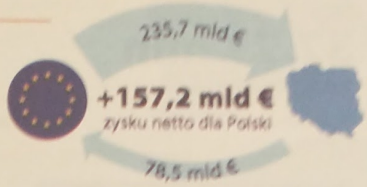

Źródło: MF, MI, Money.pl

Pracuje nas mniej niż w UE, ale podnieśliśmy efektywność

Współczynnik aktywności zawodowej

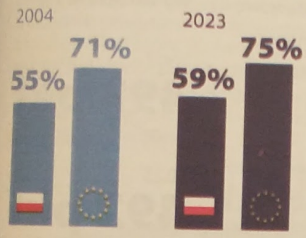

Produktywność – średnia wartość dodana wytworzona przez jednego pracownika w Polsce

2004
24,5%
średniej unijnej

2023
53,8%
średniej unijnej

Źródło: Eurostat

Energia odnawialna – skokowy wzrost

Udział OZE w miksie energetycznym

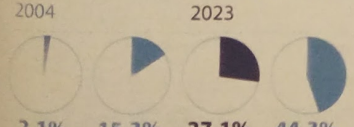

2,1% Polska | **15,3%** UE | **27,1%** Polska | **44,3%** UE

Do końca 2023 r. zainstalowano blisko **1,4 mln** mikroinstalacji PV o łącznej mocy **10,5 GW**

Źródło: GUS, ARE, Instrat

Polscy eksporterzy zyskują na wspólnym rynku

Wartość eksportu towarów

2004 **265 mld zł**
2023 **1 604 mld zł**

Źródło: Bank Światowy, GUS

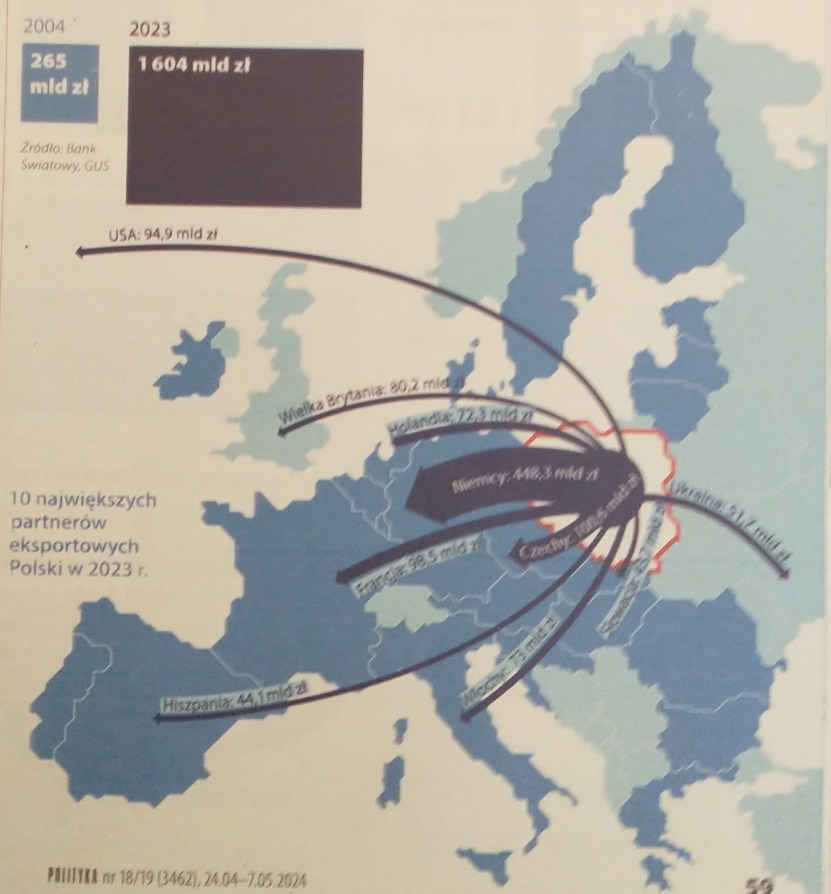

10 największych partnerów eksportowych Polski w 2023 r.

Społeczeństwo

Starzejemy się, ale udało nam się podnieść standard życia i edukacji. Ograniczyliśmy emigrację, a Polska staje się miejscem podróży i stałego pobytu obcokrajowców.

Jest nas mniej

2004
38,19 mln
8,8% populacji UE

2023
37,77 mln
8,2% populacji UE

Źródło: Eurostat, GUS

Jesteśmy starsi

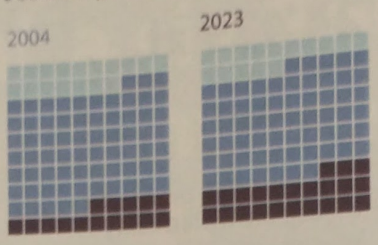

Źródło: Eurostat, GUS

Żyjemy dłużej

2004
74,9
UE: 78,3

2023
77,2
UE: 80,6

Źródło: Eurostat, GUS

Wyrównujemy dysproporcje

Współczynnik Giniego to wskaźnik nierówności społecznej, który przyjmuje wartości 0–100 (im niższa wartość, tym rozkład dóbr jest bardziej równomierny)

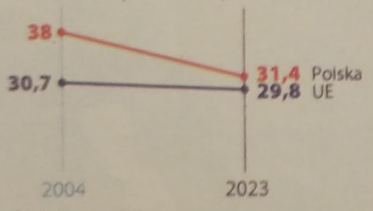

Źródło: Eurostat, GUS

Odsetek osób poniżej relatywnej granicy ubóstwa w Polsce

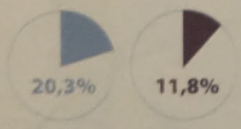

Źródło: Eurostat, GUS

Jesteśmy lepiej wykształceni

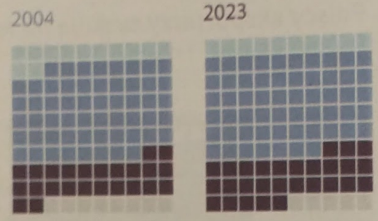

Jeszcze lepiej wygląda to wśród osób w wieku 25–34, gdzie wykształcenie wyższe ma aż **41%** Polek i Polaków, równając tym samym praktycznie do średniej unijnej (42 proc.).

Przeganiamy Europę w poziomie edukacji podstawowej i średniej. Wyniki testów PISA

2003
493 pkt
średnia OECD: 500

2023
492 pkt
średnia OECD: 478

Źródło: OECD, GUS

Studia są nie tylko czasem nauki, ale również podróżowania – aż 1,4 mln studentek i studentów z Polski skorzystało z programu Erasmus+, kształcąc się i poznając inne kraje Unii.

Polska staje się krajem atrakcyjnym dla turystów, imigrantów i uchodźców z Ukrainy

Saldo przyjazdów i wyjazdów

Od 2016 r. więcej osób imigruje do Polski, niż z niej wyjeżdża na stałe.

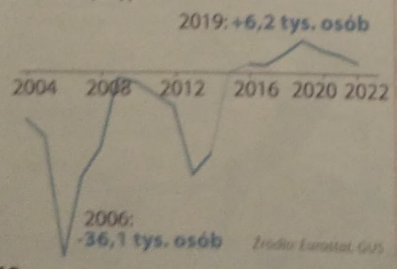

Źródło: Eurostat, GUS

Ilu ukraińskich uchodźców przyjechało do Polski?

Granicę po wybuchu wojny przekroczyło **10 mln.**

Numer PESEL otrzymało **1,5 mln** uchodźców.

Liczba zarejestrowanych uchodźców na początku 2024 r. wyniosła **957 tys.**

Źródło: ZUS

Szacunkowa liczba turystów z zagranicy w Polsce

2004
3,93 mln

2023
7,07 mln

Źródło: GUS

W miastach

To miasta, zwłaszcza te największe, przyciągnęły przez ostatnie 20 lat najwięcej ludzi i kapitału. Włodarze metropolii skutecznie walczą o poprawę jakości powietrza i bardziej zrównoważony transport.

Odsetek ludności mieszkający na terenach zurbanizowanych (miasta i przedmieścia)

2005
58,26%
2020
69,46%

Źródło: Eurostat

W metropoliach

Liczba mieszkańców 12 największych miast
2023 **6 882 000**

Liczba mieszkańców obszarów metropolitalnych 12 największych miast
2023 **15 511 082**

Przyjezdni, oprócz centrów, coraz częściej wybierają życie w gminach sąsiadujących – w obszarach metropolitalnych 12 największych miast żyje już ok. **42%** Polek i Polaków.

Źródło: GUS, UMP

Autobusy elektryczne podbijają polskie ulice

Po polskich miastach na koniec 2023 r. jeździło **1179** autobusów elektrycznych, co stanowi 6,5% całej floty. Zakup wielu z nich możliwy był dzięki unijnemu programowi „Infrastruktura i środowisko", który w dwóch zrealizowanych dotychczas edycjach dofinansował zakup ponad **3,3 tys.** jednostek taboru pasażerskiego w komunikacji miejskiej.

Źródło: PSPA, NFOŚiGW, GUS

Skutecznie walczymy o czyste powietrze

Łączna emisja głównych źródeł zanieczyszczeń (pyły, tlenki azotu, dwutlenek siarki)

2004
2488 t
2023
1493 t

Elementem walki z kryzysem klimatycznym są unijne programy wsparcia, których celem jest poprawa jakości powietrza poprzez dofinansowywanie wymiany kotłów węglowych, termomodernizację budynków czy wprowadzanie norm spalania.

Źródło: GUS

Na wsi

Wpływ Unii widoczny jest również poza metropoliami. Dotacje napędzały rolnictwo, a regulacje pozwalały na skuteczniejszą ochronę środowiska.

Rolnicy pozostają największymi beneficjentami wejścia do UE

Ponad
74 mld €

uzyskała Polska w ramach wspólnej polityki rolnej. Według danych na 2021 r. otrzymaliśmy aż **8,8%** środków przewidzianych na ten cel w całej Unii.

Źródło: MF, PE, GUS

Rośnie wielkość gospodarstw i ekologicznych upraw

Średnia wielkość gospodarstwa

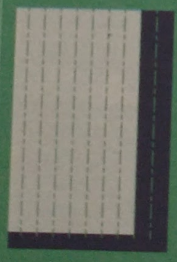

+35%
2004
8,4 ha
2023
11,42 ha

Liczba gospodarstw ekologicznych

+130%
2006
9187
2022
21 193

Źródło: MF, PE, GUS

Inicjatywy unijne pomagają chronić polską przyrodę

„Natura 2000" to program sieci obszarów objętych ochroną przyrody na terytorium Unii Europejskiej.

Obszar specjalnej ochrony siedlisk – odsetek powierzchni kraju

2004
3,8%
2023
11,2%

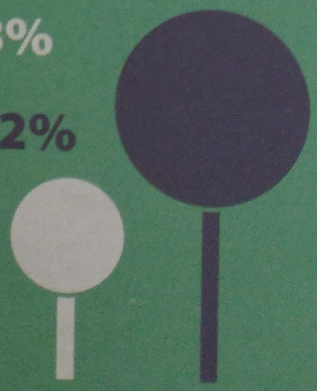

Źródło: GUS

W podróży

Rozbudowaliśmy infrastrukturę – zwłaszcza drogową i lotniczą. Wyższe dochody pozwalają nam na częstsze podróże w czasie wolnym.

Podróż samochodem przestaje być udręką

3,1 tys. km

Tyle autostrad i dróg ekspresowych powstało lub zostało zmodernizowanych ze wsparciem unijnym w latach 2007–20.

Źródło: GDDKiA, KE

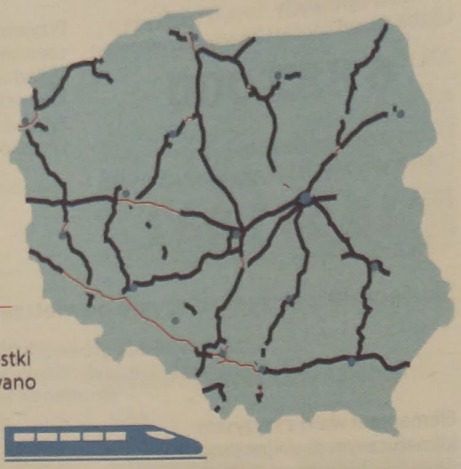

Z unijnym wsparciem w latach 2007–20 zakupiono **4332** jednostki taboru kolejowego i przebudowano **1725 km** linii kolejowych, czyli 9% w skali kraju.

Źródło: KE

Mamy (za) dużo samochodów, ale jeździmy coraz bezpieczniej

Duża liczba samochodów (na 1 tys. osób) wskazuje na bogacące się społeczeństwo, ale ich nadmiar może być problemem w kontekście obecnych i planowanych regulacji unijnych.

2004 **293** — 2023 **701**

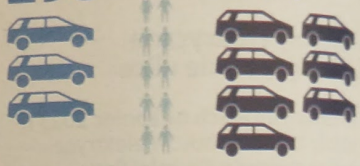

Mimo wzrostu liczby pojazdów zdecydowanie spadła liczba ofiar śmiertelnych wypadków samochodowych.

2004 **5712** — 2023 **1896**

Źródło: Eurostat, GUS

Ruch pasażerski na polskich lotniskach

2004 **8,88 mln** — 2023 **40,92 mln**

Źródło: Eurostat, GUS

W domu

Wiemy, jak zmieniła się nasza rzeczywistość w skali makro, ale zmieniliśmy się również my sami – jesteśmy bogatsi, sekularyzujemy się, a nasze rodziny upodobniają się do modelu państw zachodnich.

Jak zmieniły się gospodarstwa domowe?

Przeciętny dochód rozporządzalny na jedną osobę

2004 **735 zł** — 2022 **2678 zł**

Średnia wielkość gospodarstwa domowego (osoby)

2004 **3,07** — 2022 **2,47**

Średnia powierzchnia użytkowa nowego mieszkania w budynku wielorodzinnym

2005 **58 m²** — 2020 **52 m²**

Dostęp do szerokopasmowego internetu

2004 **8%** — 2022 **92,6%**

Źródło: GUS

Odchodzimy od dotychczasowego modelu rodziny

Liczba nowych małżeństw

2004 **200 tys.**

2024 **156 tys.**

Mediana wieku zawierania pierwszego małżeństwa

2004 **24** — 2023 **29** UE: 28,4

2004 **26** — 2023 **32** UE: 30,7

Źródło: Eurostat, GUS

Średni wiek kobiet w momencie narodzin pierwszego dziecka

2004 **25,5** UE: 28,8

2023 **28,2** UE: 29,7

Źródło: Eurostat, GUS

Odsetek katolików chodzących w niedzielę do kościoła

2004 **43,2%**

2023 **29,5%**

Źródło: SAC

Polska

Jesteśmy entuz

Wskaźnik poparcia dla UE

Dwie dekady na

2004 wejście Polski do UE

2011 prezydencja P w Radzie UE

Niemcy i Austr jako ostatnie kraje „starej" UE otwierają rynki dla pracowników z Polski

2017 uruchomieni art. 7 Traktat ze zmianami

2019 powstanie u energetyczn z inicjatywy Donalda Tus

Źródło: Opracowan

POLITYKA INSIG liderów biznesu serwisy analityc nie polskich i m i analityczki Pol podcastowych

Polska w Brukseli

Unia zmieniała Polskę przez ostatnie 20 lat, ale również my wpływaliśmy na jej decyzje i działania. Chcemy pamiętać głównie te pozytywne momenty, jak Partnerstwo Wschodnie czy tworzenie unii energetycznej.

Jesteśmy entuzjastyczni wobec Unii

Wskaźnik poparcia dla UE	2004	2009	2014	2019	2024
	76%	85%	84%	88%	85%

Źródło: CBOS

Dwie dekady na jeden rzut oka

2004 wejście Polski do UE

2005 Frontex – unijna agencja z siedzibą w Warszawie rozpoczyna działalność

2007 wejście do strefy Schengen – zaczynamy podróżować po Unii bez kontroli granicznych

2009 Jerzy Buzek przewodniczącym Parlamentu Europejskiego

inauguracja, z inicjatywy Polski i Szwecji, Partnerstwa Wschodniego zacieśniającego relacje UE z krajami Europy Wschodniej

2011 prezydencja Polski w Radzie UE

Niemcy i Austria jako ostatnie kraje „starej" UE otwierają rynki dla pracowników z Polski

2014 Donald Tusk zostaje szefem Rady Europejskiej

misja ministrów spraw zagranicznych Polski, Niemiec i Francji do Kijowa w trakcie Euromajdanu

2016 Komisja Europejska uruchamia wobec Polski mechanizm monitoringu ochrony państwa prawa

2017 uruchomienie wobec Polski procedury art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej w związku ze zmianami w sądownictwie

2019 powstanie unii energetycznej z inicjatywy Donalda Tuska

2021 wchodzi w życie Fundusz Odbudowy UE, czyli instrument wsparcia gospodarek po pandemii; 49,8 mld euro dla Polski

2025 prezydencja Polski w Radzie UE

Źródło: Opracowanie własne

Nie odnajdujemy się w labiryntach unijnej biurokracji

Chociaż przez 20 lat Polacy piastowali najwyższe stanowiska w UE, to jest nas mało w strukturach unijnych.

Odsetek Polaków w strukturach KE

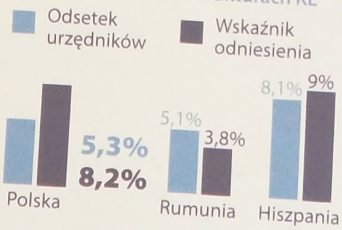

Wskaźnik odniesienia określa, jaki odsetek urzędników powinien pochodzić z danego kraju na podstawie jego populacji. Polska pozostaje znacząco poniżej tego progu.

Polscy europosłowie w poszczególnych grupach

Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy (ECR)	**PiS 27 posłów**
Europejska Partia Ludowa (EPP)	**PO + PSL 16 posłów**
Postępowy Sojusz Socjalistów i Demokratów (S&D)	**Nowa Lewica 7 posłów**
Odnówmy Europę (RE)	**Polska 2050 1 posłanka**
Zieloni – Wolny Sojusz Europejski (G/EFA)	**1 posłanka**

Źródło: Opracowanie własne

POLITYKA INSIGHT to źródło wiedzy o polskiej i europejskiej polityce oraz gospodarce dla liderów biznesu, decydentów politycznych i dyplomatów. Od 11 lat dostarcza swoim odbiorcom serwisy analityczne dostępne w abonamentach, przygotowuje raporty i prezentacje na zlecenie polskich i międzynarodowych instytucji oraz organizuje debaty i konferencje. Analityków i analityczki Polityki Insight można usłyszeć w regularnie publikowanych autorskich seriach podcastowych, m.in. Nasłuchu i Energii do zmiany. **www.politykainsight.pl**

Autorzy infografik: Maciej Michalik, Marcin Pijaj, Marcin Bąba
Koncepcja graficzna: Kinga Su
Współpraca: Adam Czerniak, Katarzyna Dębska, Aleksander Kieroński

Boeingiem na skróty

Dobre samoloty produkują solidni inżynierowie, a nie sprytni buchalterzy. Ale w kontekście ostatnich wpadek największej firmy w branży trzeba zapytać, czy wciąż chodzi o produkowanie dobrych samolotów.

ANDRZEJ LUBOWSKI Z SAN FRANCISCO

Jeśli to nie Boeing, nie lecę – do dziś firma sprzedaje kubki do kawy i T-shirty z tym sloganem. Ciekawe, ilu pasażerów zada sobie takie pytanie przed wylotem na majówkę?

To hasło jest pamiątką ze świetnej przeszłości. Z czasów, kiedy Boeing był dumą amerykańskiego przemysłu, symbolem niezawodności, towarem nr 1 na liście eksportu USA. Kiedy jego samoloty nie gubiły drzwi ewakuacyjnych w powietrzu – a to przydarzyło się w styczniu maszynie Alaska Airlines. Kiedy nie musiały co rusz awaryjnie lądować – cztery świeże przypadki; najnowszy z początku kwietnia (Southwest Airlines). Kiedy regulatorzy lotnictwa na całym świecie nie uziemiali maszyn Boeinga z obawy przed kolejną awarią. I kiedy w katastrofach tych maszyn nie ginęły setki ludzi – w niespełna pięć miesięcy w dwóch tragicznych wypadkach Boeinga 737 MAX 8 zginęło 348 osób.

28 października 2018 r. pierwszy z nich, linii Lion Air, wystartował z Bali w kierunku Dżakarty. Po niespełna sześciu minutach automatyczny pilot skierował dziób w dół. Powtórzył ten manewr trzy razy, ale załodze udało się go obejść i samolot bezpiecznie dotarł do celu. Następnego dnia ten sam samolot z nową załogą wystartował z Dżakarty. Automatyczne urządzenie sterujące znów włączyło się po trzech minutach lotu i samolot zanurkował 250 m. Tym razem piloci nie dali rady i po 12 minutach lotu maszyna spadła do Morza Jawajskiego. Zginęło 181 pasażerów i ośmiu członków załogi.

10 marca 2019 r. identyczny los spotkał ten sam model 737 MAX 8 w locie 302 Ethiopian Airlines, z Addis Abeby do Nairobi. Maszyna zaczęła opadać półtorej minuty po starcie. Kokpit wypełnił się lawiną alertów dźwiękowych i wizualnych. Mimo interwencji pilotów sześć minut po starcie samolot uderzył w ziemię. Zginęło 149 pasażerów i cała załoga.

Jednym z pasażerów była 24-letnia Samya Stumo. Leciała przez Addis Abebę do Kenii, aby otworzyć tam biuro swojej organizacji non profit. Nie miałoby to zapewne większego znaczenia, gdyby nie fakt, że była bliską krewną Ralpha Nadera. Nader to czterokrotny kandydat na prezydenta USA. Jako 31-latek zasłynął krucjatą przeciwko przemysłowi samochodowemu, zarzucając mu lekceważenie bezpieczeństwa kierowców. W wydanej w 1965 r. książce „Niebezpieczny przy każdej prędkości" pastwił się nad Chevroletem Corvair, w którym jego zdaniem „stylistyczna pornografia wzięła górę nad integralnością techniczną". Swoje opinie przedstawił w Kongresie, co sprawiło, że jego książka trafiła na listę bestsellerów i skłoniło rynek do porzucenia Corvaira. Książka przyczyniła się też do przyjęcia pierwszej w historii USA ustawy o bezpieczeństwie pojazdów silnikowych i ruchu drogowego.

W oczach wielu Nader stał się orędownikiem dobra wspólnego. „Korporacje zostały zaprojektowane tak, aby być naszymi sługami, a nie panami" – mówił na wiecu w Madison Square Garden. Zaniedbania w sektorze motoryzacji zestawiał z polityką linii lotniczych, stawiających bezpieczeństwo na piedestale. Katastrofa Boeinga 737 MAX 8, w którym zginęła bliska mu osoba, znów wciągnęła Nadera na scenę polityczną. Dopilnował, aby prawda wyszła na jaw.

Liczenie centów

Co się stało? Według ówczesnego prezesa Boeinga Dennisa Muilenburga winni byli niedostatecznie przeszkoleni zagraniczni piloci. Nie dopełniono procedur – oznajmił po katastrofie. To tłumaczenie zakończyło swój żywot z chwilą, gdy do publiki dotarło, że goniąc za sukcesem giełdowym, firma spychała względy bezpieczeństwa na drugi plan.

Boeing przeszedł w ostatnich latach długą drogę. Jeden z pionierów lotnictwa William Edward Boeing, założyciel firmy i jej prezes w latach 1916–34, był konstruktorem i pilotem. Z ostatnich trzech prezesów tylko jeden to inżynier. Z dwóch pozostałych jeden ma licencjat z historii Ameryki i MBA, a drugi – nadal u steru, do końca tego roku – zakończył edukację na licencjacie z rachunkowości. Ich relacje z samolotem przez lata odbywały się z fotela pierwszej klasy.

Przez długie dekady Boeing kładł nacisk na innowacje, jakość i komunikację. Inżynierowie regularnie się spotykali, współpracowali z dostawcami i odbiorcami. Koniec lat 60. to era śmiałych inicjatyw. Wtedy powstał jumbo jet, czyli dwupoziomowy Boeing 747. Zaprojektowany w 1966 r. pierwszy lot odbył dwa

© BOEING

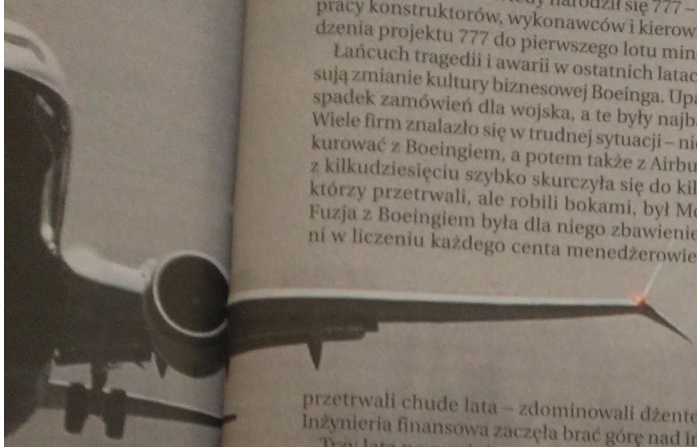

lata później. Z tego okresu pochodzi także 737, najpopularniejszy na świecie wąskokadłubowy samolot pasażerski średniego zasięgu. Jeszcze lata 90. – wtedy narodził się 777 – były czasem współpracy konstruktorów, wykonawców i kierownictwa. Od zatwierdzenia projektu 777 do pierwszego lotu minęło trzy i pół roku.

Łańcuch tragedii i awarii w ostatnich latach fachowcy przypisują zmianie kultury biznesowej Boeinga. Upadek ZSRR oznaczał spadek zamówień dla wojska, a te były najbardziej lukratywne. Wiele firm znalazło się w trudnej sytuacji – nie były w stanie konkurować z Boeingiem, a potem także z Airbusem. Liczba graczy z kilkudziesięciu szybko skurczyła się do kilku. Jednym z tych, którzy przetrwali, ale robili bokami, był McDonnell Douglas. Fuzja z Boeingiem była dla niego zbawieniem. Jego zaprawieni w liczeniu każdego centa menedżerowie – bo głównie tacy przetrwali chude lata – zdominowali dżentelmenów Boeinga. Inżynieria finansowa zaczęła brać górę nad inżynierią lotniczą.

Trzy lata po mariażu związek inżynierów odpowiedział strajkiem na cięcia premii i ubezpieczeń zdrowotnych. Ale komunikat z góry był prosty: czas zrozumieć, że nie jesteście już centrum wszechświata. Wzięli to za żart. Ich produkt jest szalenie złożony, wymaga najwyższej klasy ekspertyzy. Oczywiście, że są centrum wszechświata! Ale to nie był żart.

Gdy w 2002 r. inżynier z Boeinga z doktoratem z fizyki próbował przekonać analityka giełdowego, że model oparty na wynikach finansowych nie przystaje do budowy samolotów, ten mu przerwał: „Myślisz, że jesteś inny, ale ten model obowiązuje wszystkich. Pasuje do damskiej odzieży, do butów sportowych, do układów scalonych i do ciebie". Inżynier odpowiedział: „Jeśli ten model się sprawdzi, to ty i wszyscy, którzy uważają podobnie, będziecie szczęśliwi. Ale jeśli ja mam rację, to wszyscy będziemy bardzo nieszczęśliwi".

W 2005 r., w ramach deregulacji promowanej przez administrację George'a W. Busha i Republikanów w Kongresie, zmieniono naturę relacji między regulatorem sektora lotniczego FAA a producentami samolotów i liniami lotniczymi. Postawiono na samodyscyplinę. Jeśli inspektorzy z FAA dostrzegli jakieś uchybienie, nie musieli już informować centrali i wszczynać dochodzenia. Mogli przekazać uwagi menedżerom w strukturach producenta. Adwokaci tych zmian szacowali, że przemysł lotniczy zaoszczędzi dzięki temu 25 mld dol. w ciągu dekady.

Wiosną 2004 r. Boeing zabrał się do 787, czyli Dreamlinera. A w następnym roku pojawił się nowy prezes Jim McNerney. To on najdłużej w ostatnim półwieczu – w latach 2005–15 – kierował firmą. Powiedział inżynierom, że plan jest po to, aby go wykonać, a nie aby go kwestionować. Głęboko ciął zatrudnienie, słuchał głównie giełdy i zasłynął z outsourcingu.

Budowa 787, wspaniałej maszyny, okazała się koszmarem. Użycie materiałów kompozytowych i przede wszystkim daleko posunięty outsourcing produkcji spotęgowały kłopoty. Pierwszy klient – All Nippon Airways – dostał Dreamlinera 40 miesięcy później, niż planowano. Koszty były ponaddwukrotnie wyższe niż budżet. W styczniu 2013 r. całą flotę Dreamlinerów uziemiono z powodu pożarów, które rozpoczęły się w akumulatorach samolotu.

Mimo kłopotów akcje miały się znakomicie. Po części dlatego, że firma agresywnie sama je wykupywała. Według „The New Republic" Boeing opracował system „masażu" raportów, przekraczania oczekiwań i pompowania popytu na swoje akcje ▶

REKLAMA

Kielce

#ŁączymyPokolenia

muzeum zabawek i zabawy

Przenieś się w czasie!

Poznaj historię kieleckiego zabawkarstwa, które zbudowało to Muzeum.

Największe zbiory zabawek z czasów PRL-u, kolekcje historyczne, etnograficzne, artystyczne oraz współczesne.

Odkryj zajęcia muzealne dla różnych grup wiekowych, które przybliżają ciekawostki o zabawkach.

Weź udział w warsztatach wzmacniających relacje między rodzicem a dzieckiem.

Szczegóły na stronie
www.muzeumzabawek.kielce.eu

► ...z precyzją porównywalną z doskonałością odrzutowca, który zjeżdżał z linii montażowej w czasach świetności Boeinga". W latach 2013–19 Boeing wypłacił dywidendę w wysokości 17,4 mld dol., co stanowiło ponad 40 proc. zysków.

Zyski na MAX

Koniem pociągowym Boeinga przez długie lata był 737 – najczęściej zamawiany samolot pasażerski wszech czasów. Ale nawet najlepszy koń się starzeje. Wiosną 2011 r. American Airlines powiadomiły Boeinga o intencji zastąpienia 737 Airbusem 320neo, który zużywał mniej paliwa. Zaprojektowanie nowego samolotu, jego budowa, certyfikacja i przeszkolenie załóg to dobre kilka lat, więc aby utrzymać ważnego klienta, Boeing zaoferował modernizację 737 – wersję 737 MAX, z większym i inaczej montowanym silnikiem.

Aby 737 MAX naśladował zachowanie oryginału i aby wyeliminować szkolenie pilotów na symulatorze, Boeing zainstalował nowe oprogramowanie stabilizatora lotu MCAS (ten skrót będzie się powtarzał w procesach sądowych). Firma uznała modyfikację za tak nieistotną, że usunęła wzmiankę o niej w instrukcji pilota, choć wewnętrzny dokument Boeinga z czerwca 2018 r., czyli sprzed pierwszego tragicznego wypadku, mówi, że jeśli reakcja na omyłkową aktywację systemu MCAS zabierze pilotowi więcej niż 10 sekund, skutki mogą być katastrofalne.

Niespełna dwa miesiące po pierwszej katastrofie Boeing podniósł dywidendę, przyjął program wykupu akcji o wartości 20 mld dol., przyznał prezesowi Muilenburgowi większy pakiet opcji i premię w wysokości 13 mln dol. Po drugiej katastrofie wszystkie samoloty 737 MAX 8 zostały uziemione, ale w USA organy regulacyjne wysyłały sygnały, że maszyny szybko ruszą w powietrze. Zarząd Boeinga proponował FAA, aby przyszłe szkolenia pilotów odbywały się za pośrednictwem iPadów. Piekielnie mu zależało na wznowieniu lotów – zamówionych było ponad 5 tys. samolotów, a co miesiąc dziesiątki schodziły z linii montażowej.

Kilka miesięcy po katastrofach 737 MAX podczas przesłuchania w Kongresie Muilenburg, jeszcze jako prezes Boeinga, powiedział: „Gdybyśmy wiedzieli wtedy to, co wiemy dzisiaj, to uziemilibyśmy 737 MAX natychmiast po pierwszym wypadku". Dwa miesiące później stracił posadę.

Uziemienie 737 MAX kosztowało linie lotnicze ok. 4 mld dol. – Southwest Airlines, które kupiły więcej samolotów 737 MAX 8 niż jakakolwiek inna linia lotnicza, odwołały tysiące lotów. Związek pilotów pozwał Boeinga za utracone wynagrodzenia.

W 2021 r. Departament Sprawiedliwości nałożył na Boeinga karę 2,5 mld dol. za świadome wprowadzenie w błąd FAA co do natury MCAS. Stworzono fundusze rekompensat dla rodzin ofiar (500 mln) i dla linii lotniczych (1,8 mld), których samoloty nie mogły pracować w ciągu 20 miesięcy. Nikt nie poszedł do więzienia. Raport Kongresu częścią winy obarczył regulatora, zarzucając FAA, że w niektórych przypadkach działała wspólnie z Boeingiem, aby zataić ważne informacje dotyczące obu tragedii.

David Calhoun, zanim zastąpił w fotelu prezesa Muilenburga, przez 11 lat był członkiem rady nadzorczej. Przejmując Boeinga w 2020 r., przyznał, że wewnątrz firmy jest znacznie gorzej, niż myślał. Priorytety? Naprawić relacje z rozgniewanymi liniami lotniczymi, odzyskać zaufanie zagranicznych regulatorów, uspokoić prezydenta Donalda Trumpa. No i oczywiście poderwać 737 MAX do lotu.

Jeszcze zanim został prezesem, bronił swojego poprzednika, twierdząc, że ten wszystko robił, jak należy, i powinien zachować stołek. Miesiąc później, gdy Muilenburg wyleciał, Calhoun uspokajał opinię publiczną, inwestorów i rząd: „Mieliśmy plan rezerwowy. Ja jestem planem rezerwowym". Przyznał, że jego poprzednik gnał na złamanie karku.

Calhoun nie wspomniał jednak, że to windowało kurs akcji i dlatego rada nadzorcza niczego nie kwestionowała. Co więcej, obiecała mu 7 mln bonusu, jeśli 737 MAX zacznie znów latać. „Celem jest podniesienie maszyny bezpiecznie. Kropka. Jeśli tego nie zrobię, możecie mnie wyrzucić" – mówił. Po ostatnich incydentach z latającymi drzwiami Boeing zapowiedział, że prezes Calhoun odejdzie z firmy z końcem tego roku.

Obawy o bezpieczeństwo lotów nie wydają się hamować apetytu Amerykanów na latanie. Airlines for America, grupa reprezentująca największe linie lotnicze, prognozowała, że w marcu i kwietniu popyt na bilety lotnicze będzie o 6 proc. wyższy niż rok wcześniej, a liczba lotów pasażerskich przekroczy w tych dwóch miesiącach 167 mln. Prognozę tę sporządzono, zanim pojawiła się wiadomość o zagadkowej śmierci sygnalisty, byłego pracownika Boeinga. Pracował dla firmy przez ponad 30 lat, w 2017 r. przeszedł na emeryturę. Był m.in. kierownikiem kontroli jakości 787. Przed śmiercią powiedział BBC, że pracownicy pod presją świadomie montowali części niespełniające norm, że informował o tym przełożonych, ale nie podjęto żadnych działań.

Centrala firmy przeniosła się w 2001 r. z przedmieść Seattle, swego miejsca narodzin, do Chicago – daleko od produkcji. Uznano, że to firma finansowa, a nie inżynieryjna. A skoro tak, to w fotelu prezesa sprawdzi się ktoś, kto może nie wiedzieć, co to MCAS, ale wie doskonale, co to ROE (stopa zwrotu z kapitału). Dwa lata temu centrala Boeinga ponownie się przeprowadziła – do Arlington w Wirginii, jeszcze dalej od produkcji. Prezes argumentował to sąsiedztwem klientów i bogactwem inżynierskich talentów. Nie wspomniał, że pod nosem są rząd, Kongres i Pentagon.

Duopol

Firmie nie grozi upadek. Kolejka oczekujących na nowe samoloty jest długa na kilka lat. Na rynku dużych samolotów pasażerskich od z grubsza ćwierć wieku panuje duopol – liczą się tylko Boeing i Airbus. Obie firmy regularnie zarzucają sobie nieuczciwą konkurencję. Boeing, że rządy krajów paneuropejskiego konsorcjum wspierają Airbusa. Airbus, że rząd federalny i rządy stanowe pomagają Boeingowi. Obie strony mają rację. Od czasu do czasu ten ping-pong prowadzi do formalnych oskarżeń, zwykle kierowanych do Światowej Organizacji Handlu (WTO), która po długich deliberacjach uznaje obie strony za winne, po czym obie ogłaszają zwycięstwo.

Za prezydentury Trumpa Ameryka chciała wyglądać na stanowczą i nałożyła cła na samoloty Airbusa, Europejczycy odpowiedzieli pozwami do WTO o odszkodowanie. Po zmianie lokatora Białego Domu obie strony zawarły rozejm na pięć lat. Zgodziły się też, że przyszłe finansowanie badań i rozwoju będzie przejrzyste i wolne od faworyzowania producentów krajowych. Szanse na to są bliskie zeru.

2023 r. przyniósł Airbusowi 3,8 mld euro zysku. Boeing zanotował 2,2 mld dol. strat. Obie strony unikają porównań jakości swych produktów. Szef Airbusa mówi – zapewne niezbyt szczerze – że nie cieszą go kłopoty rywala, bo to cios w reputację całego przemysłu. Ale ludzie nie przestaną latać i nie poczekają, aż skończą się tragiczne niespodzianki. Linie lotnicze nie przestaną też inwestować we flotę, a do wyboru mają praktycznie tylko dwóch producentów.

Do czasu katastrofy w Etiopii wszystko szło jak po maśle. W latach 2000–18 notowania akcji Boeinga wzrosły 10-krotnie – z 44 dol. do 440. W ostatnich pięciu latach, po dwóch katastrofach, spadły o 49 proc., podczas gdy akcje Airbusa zyskały 30 proc. Festiwal horrorów podziurawił reputację Boeinga. Nikt nie wie, ile czasu i pieniędzy będzie kosztować jej cerowanie. Bo kultury korporacyjnej nie da rady zmienić na cito.

ANDRZEJ LUBOWSKI

POLITYKA

ARTSALON

SZTUKA | ARCHITEKTURA | WZORNICTWO

SZTUKA WPISANA W KRAJOBRAZ

GALERIE POD GOŁYM NIEBEM
Odtrutki na chaos cywilizacji

PRZYTULIĆ UKWIAŁY
Makramy jak rafy koralowe

MALOWANIE Z ZIEMI
Stanisław Baj od 25 lat szuka istoty rzeki

WAŻNY JEST KONTEKST
O zarządzaniu instytucją sztuki współczesnej

Gratka dla wszystkich miłośników malarstwa romantycznego i malowniczych krajobrazów:
wystawy specjalne z okazji 250 rocznicy urodzin Caspara Davida Friedricha w Dreźnie:
24.08.–17.11.2024 w Gabinecie Miedziorytów w Zamku Rezydencyjnym oraz szlaki śladami artysty. **24.08.2024–05.01.2025** w Galerii Albertinum

SACHSEN. LAND VON WELT.

Reklama współfinansowana ze środków podatkowych na podstawie budżetu uchwalonego przez członków parlamentu Saksonii (Sächsischer Landtag).

Dresden. Elbland.

ARTSALON *na początek...*

Kwartalnik SALON o architekturze, wzornictwie i sztuce ma już ponad 5 lat, własną nagrodę za wnętrza użyteczności publicznej, przyznawaną w ramach Nagrody Architektonicznej POLITYKI, a teraz także wspólną z tygodnikiem publikację na majówkę. Całe 40 stron! Niesamowita okazja, by zainteresować naszym tytułem szersze grono. Z kilku obszarów tematycznych, które nas zajmują, wybrałam sztukę. W niepewnych czasach ludzie zawsze uciekali w świat wrażliwości artystycznej. „Pomaga znaleźć trop wymykającej się nadziei" – przekonywał Jerzy Nowosielski.

Fot. Jacek Kucharczyk

Zapraszamy do ogrodów piękna, parków niezwykłych rzeźb, do miast pełnych zadziwiających instalacji artystycznych. Im więcej oglądamy, tym więcej jesteśmy w stanie zobaczyć. Jan Dobkowski, jeden z ostatnich wspaniałych malarzy z pokolenia powojennego, wciąż aktywny zawodowo, opowiadał mi przed rokiem, jak ważne jest, by nie przestawać się dziwić. Tylko dzięki temu możemy odkrywać nowe i być twórczy. Zgromadziliśmy w tym wydaniu fascynujące historie artystów i ich pomysły na działalność – ze Stanów Zjednoczonych, z Włoch, Francji i Polski. Wszystkie prezentowane projekty mają w sobie coś nierealnego i mistycznego. Przekierowują uwagę widza na mądrość natury.

Z wiarą, że sztuka może uratować świat

Małgorzata Tomczyk
Redaktor Prowadząca

Wszystkie wydania SALONU znajdziesz na:
sklep.polityka.pl

POLITYKA

Koncepcja wydania, Redaktor Prowadząca Małgorzata Tomczyk, e-mail: m.tomczyk@polityka.pl **Redakcja, korekta** Mirosława Kopoczek, Ewa Wołoczko
Projekt graficzny Bożena Kalinowska **Fotoedycja** MT Saska **Opracowanie zdjęć, produkcja** Joanna Zatorska
Dyrektor Biura Reklamy Izabela Kowalczyk-Dudek, tel. 22-451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl **Reklama** Mariola Galewska, tel. 22-451-61-67, e-mail: m.galewska@polityka.pl
Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe.

PUNKTY WIDZENIA

Dla Marca Chagalla sztuka jest stanem duszy, dla Cycerona – filozofią na życie, dla Ewy Kuryluk – unikatową odbitką jednostkowego losu. **OPRÓCZ DOZNAŃ CZYSTO ESTETYCZNYCH DZIEŁA SZTUKI CZĘSTO SKŁANIAJĄ DO GŁĘBSZEJ REFLEKSJI, INICJUJĄ ZMIANĘ POSTRZEGANIA.** Tej wiosny, przemierzając muzea i galerie, celebrujemy tradycję i otwieramy się na nowe głosy w sztuce.

tekst **ZOFIA MAŁYSA-JANCZY**

18 kwietnia – 15 września 2024 KRAKÓW

„Złote runo – sztuka Gruzji" – Muzeum Narodowe

Legendy o Gruzji jako krainie zasobnej i urodzajnej od starożytności rozpalały wyobraźnię, czego przykładem jest historia o Argonautach, którzy wyruszyli tam na poszukiwanie złotego runa. Wystawa w Muzeum Narodowym w Krakowie to pierwsza w Polsce tak obszerna ekspozycja sztuki gruzińskiej. Na przekrojową prezentację skarbów z Kaukazu składają się dzieła liczące od kilku tysięcy lat do kilku dekad. W ramach wystawy zgromadzone zostały takie przykłady dziedzictwa kultury gruzińskiej, jak znaleziska archeologiczne, starożytne złoto Kolchidy, średniowieczne kodeksy, nowożytne pejzaże, malarstwo Pirosmaniego czy sztuka awangardowa XX wieku.

18 maja – 19 sierpnia 2024 SOPOT

Ewa Kuryluk „Spotkanie na brzegu morza" – Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie

Sopocka PGS rok 2024 mianowała rokiem artystek. Wkrótce w galerii otwarta zostanie indywidualna wystawa Ewy Kuryluk (ur. 1946), interdyscyplinarnej artystki działającej w obszarze malarstwa, grafiki, kolażu, instalacji, tkaniny oraz fotografii. Na wystawie zobaczymy m.in. wczesne prace Kuryluk, w większości w Polsce nigdy niepokazywane, oraz monumentalną i jedną z najsłynniejszych instalacji z tkaniny – „Teatr Miłości" z 1986 r. Ekspozycję uzupełni wybór autofotografii będących zapisem kolejnych etapów życia artystki, zdaniem której „sztuka powinna być unikatową odbitką jednostkowego losu: nie tyle tworzeniem, co utrwalaniem na czułej kliszy ziarnistości naskórka, gestu ręki, rytmu serca i własnego cienia w ostrym słońcu".

KLONN

tam, gdzie sztuka spotyka smak
w cieniu 200-letniego klonu

RESTAURACJA KLONN
JAZDÓW 1B, 00-467 WARSZAWA
KLONN.PL

ZAREZERWUJ STOLIK
RESTAURACJA@KLONN.PL
+48 22 100 63 63

Fot. „Sztuka Gruzji" – zawieszka © Georgian National Museum, medalion © Musée du Louvre, Dist. RMN-Grand Palais / Thierry Ollivier, krzyż ©The Trustees of the British Museum. All rights reserved, Niko Pirosmani „Uczty wanie Mołokanów", 1905 © National Agency for Cultural Heritage Preservation of Georgia (Niko Pirosmanashvili State Museum), serwis prasowy PGS Sopot

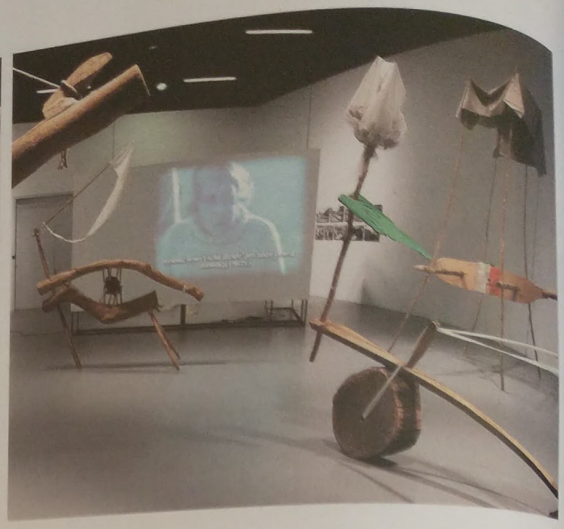

21 marca – 8 grudnia 2024 KRAKÓW

„Bereś" – Cricoteka

Jerzy Bereś (1930–2012) to rzeźbiarz i performer przez lata świadomie zajmujący pozycję outsidera, który nie wystawiał swoich dzieł na znak sprzeciwu wobec panujących w sztuce mód i tendencji. Przekrojowa prezentacja jego prac otwiera się w 60. rocznicę pierwszej indywidualnej wystawy artysty, zorganizowanej z inicjatywy Grupy Krakowskiej, z którą Bereś związany był od 1966 r. W Cricotece twórczość artysty kontestującego porządki estetyczne, społeczne i polityczne zaprezentowano w kontekście obecnej sytuacji politycznej i nurtów postantropocentrycznych, kwestionujących nadrzędną pozycję człowieka w świecie.
Kto pragnie ujrzeć na krakowskim Rynku Głównym ogniska godności, wolności, miłości i prawdy, niech śledzi kalendarz wydarzeń towarzyszących. Na jesień np. zaplanowano odtworzenie słynnej „Manifestacji romantycznej" z 1981 r. Beresia.

1 marca – 5 maja 2024 OPOLE

Angelika Markul „Gardło diabła" – Galeria Sztuki Współczesnej

Praktyka artystyczna Angeliki Markul (ur. 1977) zakorzeniona jest w zainteresowaniu nieznanymi i niebezpiecznymi miejscami. Swoje prace artystka realizowała m.in. w skażonej promieniotwórczo strefie w Czarnobylu oraz na dotkniętej falą tsunami Fukushimie. W nowej odsłonie projektu „Gardło diabła" Markul pochyla się nad nieokiełznaną potęgą przyrody, miejscem człowieka w historii świata, upływem czasu, pamięcią, a także tym, co nieuniknione i przekraczające ludzkie możliwości.

22 marca – 16 czerwca 2024 WROCŁAW

Yuriy Biley „EUROPA II" – Studio BWA

Yuriy Biley (ur. 1988) to artysta wizualny i kurator, zajmujący się tematami związanymi z doświadczeniem migracji oraz badaniem koncepcji złożonych tożsamości. Współzałożyciel oraz członek Open Group, reprezentującej Polskę na tegorocznym Biennale Sztuki w Wenecji, w swojej twórczości często opiera się na osobistych doświadczeniach, traktując je jako punkt wyjścia do pogłębionej refleksji o charakterze uniwersalnym. W ramach wrocławskiej wystawy Biley przyjrzy się niepodległościowym dążeniom trzech krajów, z którymi jest związany – Ukrainy, Polski i Niemiec.

Fot. „Bereś" – Marek Gardulski; serwis prasowy GBW w Opolu; „Europa II" – Piotr Czyż

GREEN MOUNTAIN
*****

WASZ EVENT, NASZE DOŚWIADCZENIE, WIDOK NA ŚNIEŻKĘ.

Szkolenia, konferencje i spotkania integracyjne organizowane w Karpaczu z pięciogwiazdkowym serwisem.

Tylko dla czytelników **10% rabatu** na organizację wydarzenia u specjalisty ds. MICE.

Hasło: **POLITYKA**

www.green-mountain.pl

Fot. „Bereś" – Marek Garduński, serwis prasowy GSW w Opolu, „Europa II" – Piotr Czyż

RAJMUND ZIEMSKI
SYSTEM WCZESNEGO OSTRZEGANIA

Wielka konfrontacja z widokiem toksycznego krajobrazu, w którym **WSZYSTKIE ISTOTY, LUDZKIE I NIE-LUDZKIE, UCZĄ SIĘ FUNKCJONOWAĆ,** choć stają w obliczu zagłady. **CZY JEST NADZIEJA NA PRZETRWANIE?** O tym jest wystawa zainicjowana przez Fundację Rajmunda Ziemskiego, Ziemski ART.

tekst PIOTR SARZYŃSKI

Zmarły blisko 20 lat temu Rajmund Ziemski to artysta ceniony przez świat sztuki, ale chyba ciągle niewystarczająco znany szerszej publiczności. Tę sytuację ma szansę zmienić wystawa w Pałacu Czapskich ASP w Warszawie (do 26.05), która następnie odwiedzi Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu (7.06–25.08).

Pomysł był ryzykowny, albowiem kuratorka wystawy Diana Lelonek (czołowa przedstawicielka nurtu sztuki ekologicznej, laureatka Paszportu POLITYKI 2018) sięgnęła po mniej znane cykle malarskie: „Ptaki" powstałe wkrótce po ukończeniu studiów oraz pejzaże „Spojrzenia".

W obu Ziemski stosował – jak to trafnie określiła współtworząca scenariusz wystawy Joanna Kania – „metafory na granicy naiwnej dosłowności". W pierwszym przypadku są to hybrydalne ludzko-ptasie istoty, w drugim – motyw oczu wyłaniających się z dystopijnych, ponurych pejzaży. Owe metafory, choć powstały dekady temu, kierują uwagę na problemy, które dziś wydają się jednymi z najpoważniejszych dla planety: niszczenia natury, zmierzchu epoki antropocenu, relacji istoty ludzkie – istoty nie-ludzkie. A to oznacza, że można uznać Ziemskiego za jednego z nielicznych rodzimych twórców, którzy – nieco profetycznie – przewidzieli przyszłe problemy świata, prekursorsko kierując swoją intuicję w stronę ekologii. **Jego obrazy stają się więc wyjątkowo aktualne, a co za tym idzie – mogą okazać się bliskie wrażliwości współczesnego odbiorcy i uwierającym go niepokojom.**

Diana Lelonek za punkt wyjścia do ekspozycyjnej narracji wybrała właśnie cykl „Ptaki", który tak charakteryzuje Joanna Kania: „Stają się coraz bardziej drapieżne i coraz mniej dekoracyjne, odchodzą w chaos, rozpada się oniryczno-bajkowa próba stworzenia harmonijnego współistnienia człowieczej i ptasiej natury". Ale według Diany Lelonek tli się w tym jeszcze nadzieja.

Fot. prace – A. i E. Ciołkowie, portret – Wojciech Stan

„Wystawa skupia się na współistnieniu ludzi i ptaków jako gatunków stowarzyszonych. Wiele gatunków ptaków przystosowało się do współdzielenia przestrzeni z ludźmi, są mistrzami adaptacji do toksycznych warunków tworzonych przez człowieka" – tłumaczy. Ptakom Ziemskiego towarzyszą więc dzieła (instalacje, fotografie, wideo) wielu artystów, którzy uważnie przyglądają się owemu światu na styku ludzkiego i ptasiego, próbują rozumieć, szukają analogii.

„Pejzaże" („Spojrzenia") są rodzajem niemego, ale ważnego komentarza dla tych ludzko-ptasich potyczek. Są jakby głosem samej przyrody. Tak je opisuje Joanna Kania: „Płótna zamieniają się w kłębowisko malarskiej materii. Jesteśmy świadkami procesu kształtowania się świadomości wyłaniającej się z chaosu. Z niezharmonizowanych chluśnięć farby, spływającej w dół płótna lub narastającej gruzłowatymi warstwami, dosięga nas wzrok, jakby właśnie przebudzony, spoglądający po raz pierwszy. Na innych obrazach spojrzenie skierowane jest przed siebie, nieco nieobecne, skupione na niedostępnym nam widoku. Czasem pojawia się zarys głowy, jedna z nich jakby porośnięta piórami, prawie ptasia. Na żadnym nie ma ust. Obrazy nie mówią. Mierzą się z nami wzrokiem. Przygląda nam się istnienie niebędące żadnym konkretnym gatunkiem zwierzęcia, owada czy rośliny, świadomość poza formą, cały żyjący świat nie-ludzki, i nawet niekoniecznie zwierzęcy, który na co dzień przywykliśmy tytułować »przyrodą nieożywioną« – chmury, sterty ziemi, powietrze i może kamienie. Te spojrzenia są natarczywe lub smutne, czasem nieobecne, częściej naglące i niespokojne".

Diana Lelonek uzupełnia tę wizję: „Pejzaże konfrontują nas z widokiem skażonego, toksycznego krajobrazu, w którym wszystkie istoty, zarówno te ludzkie, jak i te nie-ludzkie, uczą się funkcjonować, próbują przetrwać lub wspólnie stają w obliczu wymierania".

Dorobek Ziemskiego jest osobnym i wyrazistym elementem powojennej polskiej sztuki. Pojawiają się w nim tradycje kolorystów, doświadczenia ekspresjonistów, malarstwa materii, a nawet surrealizmu. Najnowsza wystawa ujawnia wizerunek artysty wrażliwego, przeczuwającego zagrożenia i na wiele lat przed rozwojem ruchów ekologicznych potrafiącego sprawić, by to nie ludzie patrzyli na naturę, ale natura przyglądała się ludziom. Prace pokazywanych na wystawie artystów dowodzą, że to spuścizna bardzo aktualna. Wystawę zatytułowano „System wczesnego ostrzegania". To nawiązanie do kanarków wykorzystywanych niegdyś w kopalniach do ostrzegania przed wybuchem metanu. Dziś cała przyroda zdaje się pełnić rolę takiego systemu. Czy to jednak system „wczesny", czy może już przedostatni trel? ■

„Pejzaż 27/69" (1969), olej, płótno, 120,5 x 80,5 cm.
„Ptak" (lata 1956–58), gwasz, papier, 41,4 x 29,5 cm.
Wpatrujące się w odbiorcę oczy z cyklu „Pejzaże" oraz obrazy z cyklu „Ptaki" są kanwą wystawy. Dzieła Rajmunda Ziemskiego zestawiono z pracami współcześnie tworzących artystów. To m.in. Joanna Rajkowska, Anna Siekierska, Weronika Zalewska, Matthias Garff, Diana Lelonek, Bartek Zalewski oraz ZOE (Małgorzata Gurowska, Agata Szydłowska).

Rajmund Ziemski (1930–2005). Jeden z czołowych twórców powojennego malarstwa polskiego. Przedstawiciel „pokolenia Arsenału" – debiutował na wystawie „Przeciw wojnie, przeciw faszyzmowi" w 1955 r. Mistrz „pejzażu wewnętrznego", pokazujący świat ludzkich i nieludzkich emocji. Artysta totalny, życie poświęcił sztuce – malowaniu i nauczaniu.

„CYWILIZACJA ZAFUNDOWAŁA NAM TYLE GRÓŹB, ŻE PODSTAWOWYM **ZADANIEM ARTYSTÓW TERAZ JEST OSTRZEGAĆ.** MOJE OBRAZY NIE MÓWIĄ O UROKACH ŚWIATA, ONE PRZESTRZEGAJĄ PRZED OBŁĘDEM, DEHUMANIZACJĄ".

Fot. prace – A. i E. Grotkowie, portret – Wojciech Stan

Patronem medialnym wystawy „System wczesnego ostrzegania" jest POLITYKA

DWA ŚWIATY

Sztuka i natura przenikają się ze sobą od stuleci. **WSPÓŁCZEŚNI ARTYŚCI CORAZ CZĘŚCIEJ GODZĄ SIĘ JEDNAK NA REGUŁY GRY PRZYRODY.** Świadomie tworzą dzieła przemijające.

tekst **JOANNA DOBKOWSKA-KUBACKA**

Pomysły eksponowania sztuki na tle natury, fuzji dwóch rodzajów piękna, tak aby podkreślały się nawzajem, ma za sobą wieki tradycji. Np. rzeźby ustawione pod gołym niebem nabierają coraz to nowego wyrazu w zależności od tego, jak zmienia się ich otoczenie. Inaczej prezentują się na tle gęstego listowia, inaczej w zestawieniu z ośnieżoną połacią trawnika. Kluczowe dla ich wyglądu są nie tylko pory roku, ale i dnia. Sam kąt padania promieni słonecznych „rzeźbi". Światło wydobywa lub spłaszcza wypukłości, wpływa na postrzeganie faktury, a także koloru. Mgła, ostre słońce, gra cieni – wszystko to zmienia wyraz stworzonych przez człowieka i wkomponowanych w krajobraz obiektów.

Ta mnogość możliwych odsłon jednej rzeczy z reguły cieszy twórców. Z drugiej strony, wpisanie dzieła w pejzaż to wyzwanie większe niż jego prezentacja w aseptycznych wizualnie salach galerii czy muzeum. Nie tylko dlatego, że natura jest zmienna, a bywa, że nieprzewidywalna. Ona bez pardonu narzuca reguły gry. Przytłacza rozmachem. Ale też zostawia artyście wolność wyboru: czy chce on zaakcentować różnicę między dwoma światami, czy też pójść na symbiozę. Wtedy dzieło wtapia się w krajobraz. Wydaje się, że wyrosło prosto z gleby, a człowiek nie przyłożył nawet do tego ręki. Z czasem, w rytm deszczów i wiatru, zacierają się granice i sztukę pochłania ekosystem. To jest ideał, do którego dąży wielu współczesnych twórców.

EDOARDO TRESOLDI

WIELE WARSTW PRZEZROCZYSTOŚCI

Jak mówi ten włoski twórca wizyjnych instalacji – przezroczystość prowadzi do nieskończoności. Jego dzieła wyglądają jak grafika komputerowa albo filtr nałożony na realny pejzaż za pomocą narzędzi tzw. rozszerzonej rzeczywistości. Można ich jednak dotknąć i przekonać się, że zbudowano je z całkiem przyziemnego materiału: drucianej siatki.

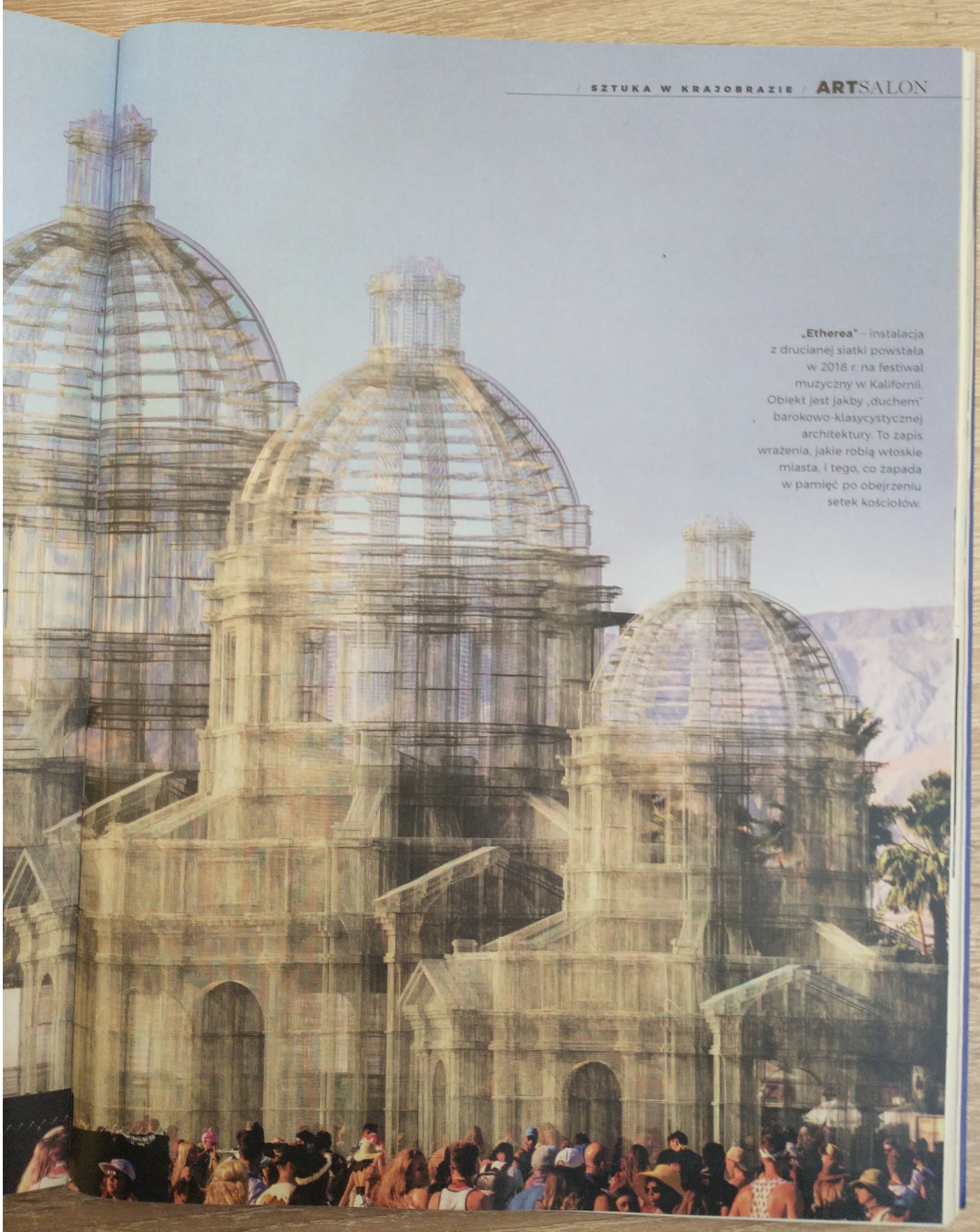

„Etherea" – instalacja z drucianej siatki powstała w 2018 r. na festiwal muzyczny w Kalifornii. Obiekt jest jakby „duchem" barokowo-klasycystycznej architektury. To zapis wrażenia, jakie robią włoskie miasta, i tego, co zapada w pamięć po obejrzeniu setek kościołów.

Fot. Roberto Conte (obiekty), Cristiano Corsi

Oc
c
począ
sce

insta
w prz

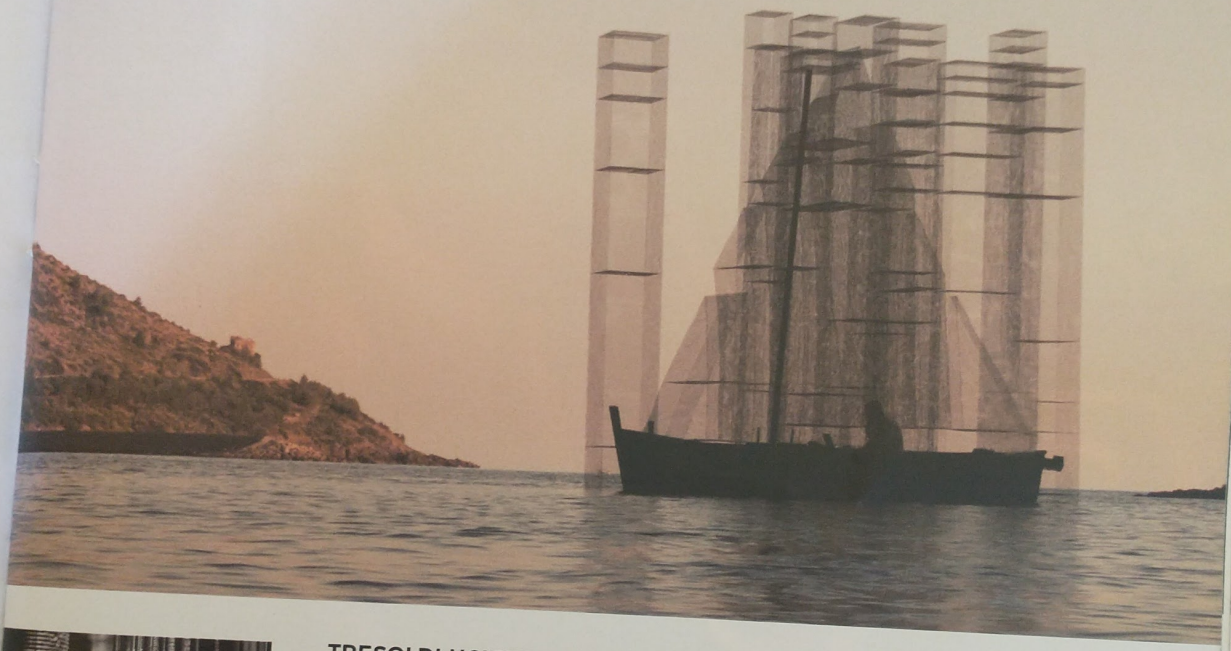

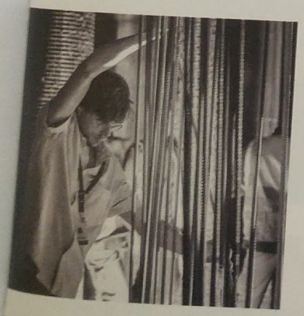

Edoardo Tresoldi
Od planu zdjęciowego do land artu. Artysta początkowo zajmował się scenografią do filmów. Od 2013 r. zaczął specjalizować się w monumentalnych instalacjach lokowanych w przestrzeni publicznej.

Fot. Roberto Conte (obiekty), Cristiano Coini

TRESOLDI UCIEKA PRZED DOSŁOWNOŚCIĄ. SZKICUJE, STAWIA NA NIEDOPOWIEDZENIE. ZA POMOCĄ AŻUROWEGO MATERIAŁU NADAJE KONSTRUKCJOM LEKKOŚĆ I POETYCZNOŚĆ.

„Locus". Statek widmo, a jednocześnie scena muzyczna wykreowana na potrzeby festiwalu Derive w Sapri w 2017 r. **„Archetipo"** – rajska fantazja, gdzie ogród i architektura jak ze snu przeplatają się nawzajem. Dzieło powstałe na zlecenie szejka uświetniło wielką (na 1900 osób) imprezę w Abu Dhabi.

Zastosowanie drutu przywodzi na myśl ogrodzenia, płoty. Kojarzy się z pułapką, ograniczaniem wolności. Tresoldi udowadnia, że nic podobnego. W jego wykonaniu ów materiał poszerza horyzonty, wprowadza widza w inny wymiar. Dzięki przejrzystości odrealnia konstrukcje. Umożliwia też jednoczesną percepcję wielu nakładających się na siebie warstw. Rytm krzyżujących się regularnie linii najmocniej odczuwa się, będąc w ruchu. Z każdym krokiem ukazują się nowe perspektywy, odsłaniają kolejne hipnotyzujące obrazy.

Kolejnym narzędziem ekspresji, którym Tresoldi się posługuje, są kanoniczne elementy architektury: kolumny, filary, kopuły, oraz czyste bryły geometryczne. Włoch tak świetnie wyczuwa ducha klasyki, że potrafi się nią bawić. Odtwarza ją przecież w zupełnie nieklasycznym materiale, czyli w siatce drucianej, która ma charakter surowy, wręcz industrialny. Dzięki niej jednak mógł wprowadzić do swojej sztuki niedookreślenie, nawet poczucie nieskończoności. Solidne drewno czy kamień wydawały się artyście zbyt konkretne. Nie dawały szansy na tak totalny dialog z otoczeniem, jaki leżał w jego zamiarach.

Instalacje są widmowe, eteryczne, wydają się naszkicowane ołówkiem na tle nieba. Ażurowość zastosowanego materiału sprawia, że wizja artystyczna przenika się z otaczającym obiekt pejzażem, widoki nakładają się na siebie, łączą, natura wkracza do obszaru sztuki przez oka siatki. Zachodzi proces specyficznej osmozy. Kładąc nacisk na współistnienie dzieła z konkretnym otoczeniem, sztuka Edoarda Tresoldiego wpisuje się w nurt site-specific art. →

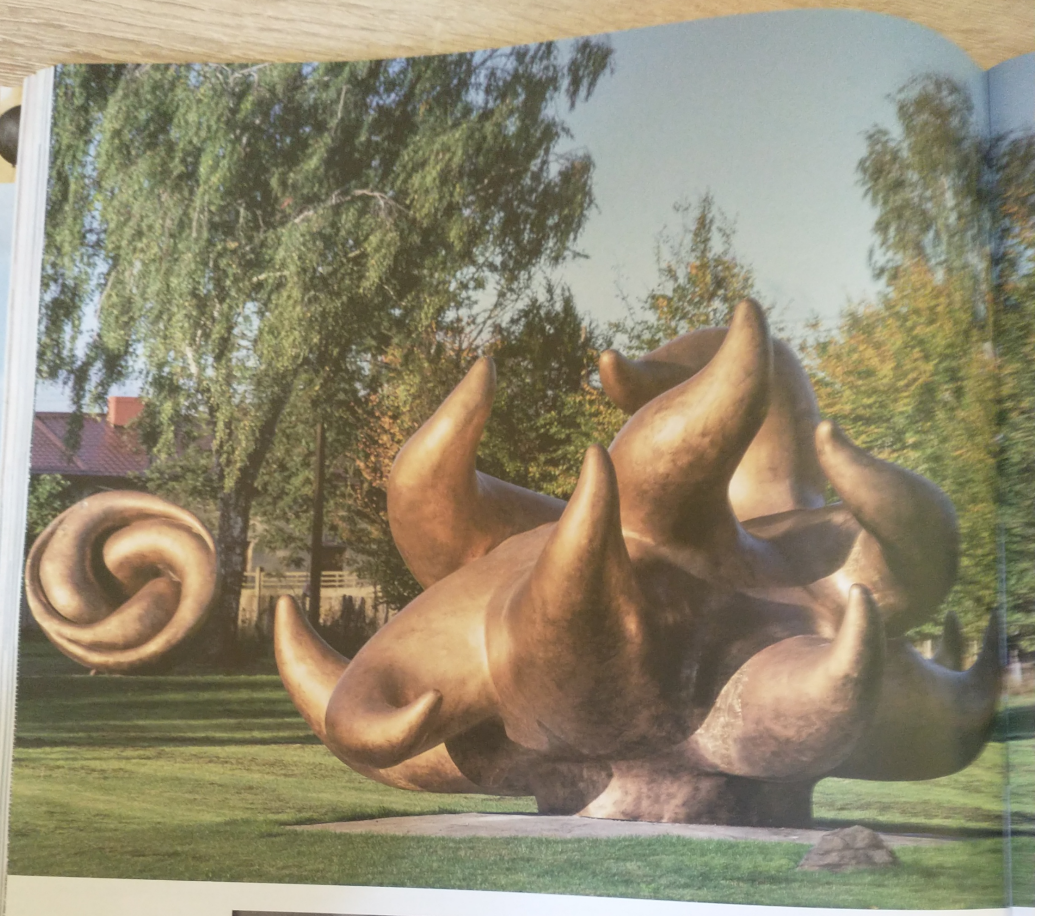

Xawery Wolski
Wykorzystuje w pracy wiele materiałów, m.in. pleksi, terakotę, drut. Ale jego najbardziej monumentalne dzieła powstają z brązu. Jak np. „Pulpi" – wielka ośmiornica ustawiona w parku w Dańkowie. Działa jak magnes, hipnotyzuje. Zaprasza, by zbliżyć się do macek rozwijających się na wszystkie strony. – Mam wrażenie, że jej gigantyczna masa wchodzi w rezonans z całą planetą – mówi rzeźbiarz.

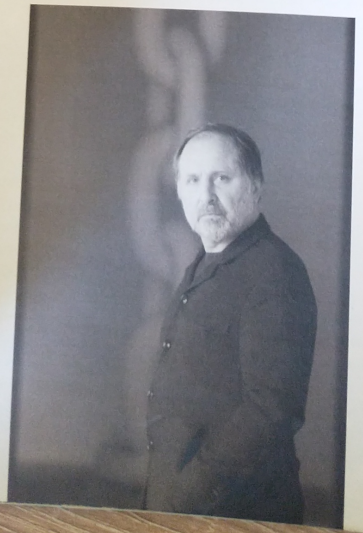

W INTENCJI TWÓRCY SPIRALNE KULE O ZMYSŁOWYCH LINIACH MAJĄ „UKAZYWAĆ ODWIECZNY RUCH, KTÓRY MOŻNA ZAOBSERWOWAĆ ZARÓWNO W MIKROSKOPIJNYCH SKUPISKACH ATOMÓW, JAK I W KOSMICZNYCH RUCHACH PLANET".

Fot. Jacek Kucharczyk

Zdaniem artysty. „Obcując z naturą, człowiek przyzwyczaja się, że pewne prace wykonuje się podczas ciepłych pór roku, inne zimą. W sposób naturalny odcinamy się od świata zewnętrznego, aby sięgać do wnętrza. Przejawem takiej oto kontemplacji jest rzeźba »Przejrzystość«, powstała dzięki tysiącom nawierceń, przez które pulsuje światło ledowe. Możemy obserwować ją jedynie w przestrzeni zamkniętej, w półmroku".

XAWERY WOLSKI

NA ZIEMI PRZODKÓW

Polski rzeźbiarz po latach spędzonych za granicą wrócił w rodzinne strony i osiadł w odziedziczonym po rodzicach majątku w Dańkowie na Mazowszu. To magiczne miejsce, niemal jak ilustracja do „Pana Tadeusza": dwór szlachecki, ocieniony starodrzewiem, otoczony parkiem liczącym ponad sześć hektarów. Dalej rozciągają się pola, łąki, lasy. Kilka pokoleń Wolskich tu gospodarowało. Na tej ziemi, w tej glebie, ojciec, dziad i pradziad Xawerego tworzyli nowe odmiany zbóż. Historia miejsca ma duże znaczenie dla rzeźbiarza, który w pewnym sensie kontynuuje rodzinną tradycję. Nie zajmuje się genetyką roślin, ale w pracy czerpie inspiracje z otaczającej Dańków przyrody.

– Formy, które powstają w pracowni, zainspirowane są światem zewnętrznym. To formy organiczne, obłe. Unikam ostrych krawędzi, którymi najeżona jest współczesna architektura – mówi rzeźbiarz. Jednocześnie zastrzega: – Nie wszystkie rzeźby wytrzymują dialog z przyrodą. Są prace, których moc owocuje w przestrzeni zamkniętej, w przysłowiowym white cube umożliwiającym odbiór odizolowany od zewnętrznych bodźców.

Wiele jednak z prac Wolskiego eksponowanych jest w otoczeniu zieleni w dworskim parku, który artysta przekształcił w park rzeźb. Jak znaleźć najwłaściwsze miejsce dla danego dzieła?

– Do całości pochodzę intuicyjnie. Niekiedy od początku znam przeznaczenie konkretnej rzeźby; kiedy indziej przemieszczam ją z miejsca na miejsce i przez kilka dni obserwuję, jak prezentuje się z różnych stron, jak uwydatniają się poszczególne perspektywy, jak pada na nią światło i czy w końcu spełnia ona „swoje oczekiwania", czyli czy cały jej potencjał unaocznia się w danej przestrzeni. Istotnym jest, aby rzeźby i przyroda uzupełniały się ze sobą. Zwracam uwagę, by nie było niepotrzebnych dominantów, a całość mogła być postrzegana równocześnie – wyjaśnia artysta.

Park rzeźb w Dańkowie zaprasza. To miejsce, które można przyrównać do wielkiego rezerwuaru energii magazynowanej w różnorodnych formach: otwartych bądź zamkniętych, introwertycznych (kule) lub ekstrawertycznych (ośmiornica). Część z nich przenika się z przyrodą, inne wyglądają, jakby na trawnik spadły z kosmosu. →

JOHN GRADE

ORĘDOWNIK NATURALNEJ DEGRADACJI

Mieszka i pracuje w Seattle. To artysta analityk. Zanim przystąpi do dzieła, studiuje organizmy oraz ich symbiozę z otoczeniem. Obserwuje procesy i zjawiska naturalne, bada systemy rzeczne i prądy oceaniczne. Analizuje uwarunkowania katastrof naturalnych, takich jak pożary lasów czy trzęsienia ziemi. Fascynują go ekosystemy – ich złożoność, kompleksowość oraz dynamika. Interesuje migracja gatunków, ale i sieci mykoryzowe (czyli systemy połączeń między roślinami a grzybami). W pracy wykorzystuje czujniki mierzące wilgotność powietrza, ciśnienie, temperaturę, a nawet pole elektromagnetyczne. →

Fot. John Grade, artysta z instalacją „Wawona" – Young Lee

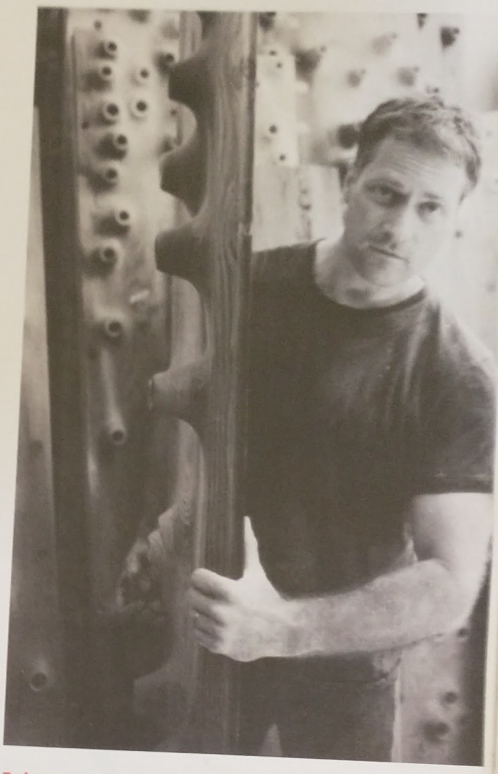

John Grade
Materiały dobiera według ekologicznego klucza. Do instalacji „Wawona" wykorzystał deski ze zdemontowanego kadłuba statku. Praca „Elephant Bed" (z lewej) nawiązuje do skały osadowej tworzącej białe klify na południu Anglii. Wykonana z biodegradowalnego materiału, po zakończeniu cyklu ekspozycji została wrzucona do kanału La Manche i rozpuściła się w morzu.

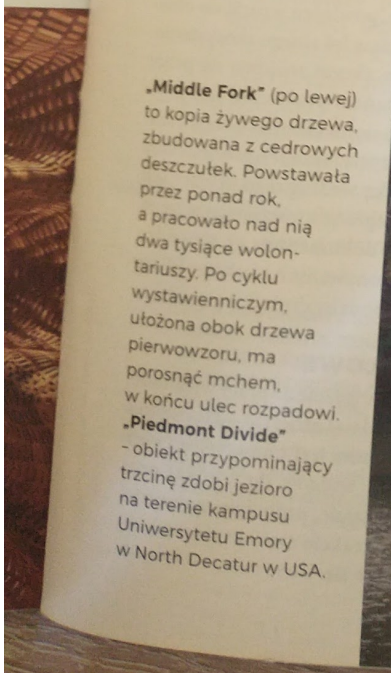

„Middle Fork" (po lewej) to kopia żywego drzewa, zbudowana z cedrowych deszczułek. Powstawała przez ponad rok, a pracowało nad nią dwa tysiące wolontariuszy. Po cyklu wystawienniczym, ułożona obok drzewa pierwowzoru, ma porosnąć mchem, w końcu ulec rozpadowi. **„Piedmont Divide"** – obiekt przypominający trzcinę zdobi jezioro na terenie kampusu Uniwersytetu Emory w North Decatur w USA.

ARTYSTA Z GÓRY ZAKŁADA ROZPAD SWOICH DZIEŁ. NAWET GO PROJEKTUJE!

Instalacja „Canopy Tower" to lej zawieszony na wielkiej obręczy, przymocowany do drzew, kołyszący się na wietrze. Można wejść do środka, by z artystycznej perspektywy kontemplować niebo i zieleń. **Projekt „Collector".** Azurowe „jogi" najpierw ponad rok były zanurzone w morzu. Potem, gdy już obsiadły je rozmaite morskie żyjątka i oplotły wodorosty, zostały wyciągnięte na powierzchnię i przetransportowane na pustynię. Służą jako karmnik dla ptaków.

John Grade uważa, że artysta powinien „zanurzyć się" w otoczeniu, zrozumieć je do głębi, a następnie, wykorzystując działające w nim siły, stworzyć obiekt współpracujący z naturą, nie zaś – jak to się niestety aż za często dzieje – działający przeciwko niej. Przykazanie numer jeden: nie niszczyć tego co jest!

NIC NA ZAWSZE

Grade ma ambicję, by jego sztuka nie stanowiła obciążenia dla przyrody, a wręcz przeciwnie – by wspomagała ją i podlegała jej prawom.

Projektuje inspirowane biologicznymi organizmami, skomplikowane instalacje, zwykle w wielkiej skali, zawsze przeznaczone do konkretnego miejsca – przemyślane i ściśle dopasowane do zastanych warunków.

Prace są często ruchome, bo w naturze mało co ciągle trwa w miejscu, a do tego w niezmienionym stanie. Wszystko się zmienia. Dzieła Grade'a więc też. Z założenia są nietrwałe. Konsekwentnie podlegają prawom przyrody, włącznie z finalnym rozpadem. Mają zostać zjedzone przez owady, rozszarpane przez zwierzęta lub rozpuszczone w wodzie. Rozłożone na cząsteczki. Materiał, z którego je wykonano, powinien wrócić do obiegu materii i stać się częścią lokalnego ekosystemu. Każdy stan, w którym akurat znajdują się prace Johna Grade'a, jest stanem przejściowym, gdyż w przyrodzie wszystko się nieustannie przeobraża, biorąc udział w cyklu życia i śmierci, powstawania oraz niszczenia. Sztuką według tego artysty jest również proces dezintegracji stworzonego przezeń obiektu. W tym celu dokumentuje go na wideo oraz fotografiach wykonywanych klatka po klatce przez automat uruchamiany czujnikami ruchu.

DZIEŁO ZESPOŁOWE

Grade nie działa sam, angażuje do pracy wiele osób, a nawet przewiduje udział zwierząt – szczególnie ceni termity. Jego sztuka jest immersyjna (wiele z instalacji zaprasza widzów do środka) oraz interaktywna. Dotykajcie, próbujcie, poczujcie! Sztuka ma żyć, a w trakcie swojej tymczasowej egzystencji – zmieniać się.

Fot. Brian Fitzsimmons, Maria Grada

Hołd złożony naturze. W Sopocie stanęła „Kuksonia Giętka”

Fot. Mateusz Arbatowski

W Parku Hestii, przy siedzibie sopockiego ubezpieczyciela, stanęła nowa rzeźba autorstwa Julii Woronowicz. Trzymetrowy, wykonany ze stali pomnik powstał w oparciu o wizję artystyczną Raportu Rocznego Grupy ERGO Hestia 2021 pt. „Współbycie. Historia Kuksonii Giętkiej”. Tytułowa Kuksonia to najstarsza roślina lądowa, która dała początek znanym nam dzisiaj roślinom i zwierzętom.

– Symbolicznie przywróciliśmy Kuksonię do życia – komentuje Maria Rosa, dyrektorka biura marketingu i PR ERGO Hestii, prezeska Fundacji Artystyczna Podróż Hestii. *– Najpierw poprzez nasz Raport Roczny, teraz także dzięki rzeźbie. Wierzymy, że będzie nie tylko wizualnym uatrakcyjnieniem okolicy, ale przede wszystkim przyczynkiem do wielu dyskusji o kondycji naszego otoczenia i naszej roli w nim. Kuksonia to prehistoryczna roślina, a jej niezwykłe ewolucyjne losy są przykładem elastyczności, przetrwania, symbiozy, reagowania na zmiany i porozumienia.*

„UKŁON W STRONĘ PODMIOTÓW POZALUDZKICH”

Autorką rzeźby i artystycznej wizji Raportu Rocznego Grupy ERGO Hestia jest Julia Woronowicz, laureatka 20. edycji konkursu Artystyczna Podróż Hestii. Jej narracji towarzyszy postantropocentryczny komentarz – hipotetyczna relacja z przyszłości, opowiedziana w solarpunkowej stylistyce.

– Na co dzień zajmuje się głównie mitologią polską we wszystkich jej odsłonach – pradawnej i futurystycznej, udokumentowanej i zmyślonej – tłumaczy artystka. – Ten projekt jest próbą spojrzenia znacznie dalej niż ten mały, antropocentryczny wycinek historii naszej planety. Pomnik Kuksonii, najstarszej rośliny lądowej, to ukłon w stronę podmiotów pozaludzkich, które zamieszkiwały Ziemię na długo przed pojawieniem się na niej człowieka. To opozycja wobec majestatycznych rzeźb mężczyzn na koniach i mistycznych figur religijnych. To próba przyjęcia perspektywy wykraczającej poza zasięg ludzkiego spojrzenia – perspektywy bytu, którego historia zaczęła się 443 miliony lat temu. A także hołd złożony organizmowi, dzięki któremu mamy tlen i możemy w ogóle wznosić pomniki.

KUKSONIA SOPOCKA

Kuksonia to uosobienie roślinności. Rozwijała się, reagując uważnie na zmiany klimatyczne i środowiskowe. Sięgając niegdyś nawet 40 metrów, stopniowo kurczyła się, zbliżając się do podłoża i wszczepiając w grunt z coraz większą mocą. Cechuje ją – podobnie jak ludzi – ogromna elastyczność w postawie, a także nieugiętość przetrwania.

– Poprzez wspaniałe doświadczenie współpracy z poznańskim geologiem, poznałam prehistoryczne i historyczne okoliczności życia na terenie współczesnego Sopotu, od syluru po antropocen. Ziemia ma około 4,6 miliarda lat, Kuksonia kilkaset milionów, a ludzkość 200 tysięcy i trwa tu tylko krótką chwilę. To ciekawe, że pomimo naszego pojawienia się w ostatniej sekundzie życia Planety uznajemy, że posiadamy do niej niepodzielne prawo – dodaje Julia Woronowicz.

Julia Woronowicz (ur. w Warszawie, 1997)
Artystka wizualna, malarka i performerka (jako Pola Nuda), mieszka i pracuje w Warszawie. W 2020 obroniła dyplom magisterski na wydziale Rzeźby na ASP w Warszawie, w 2023 dyplom magisterski na wydziale Intermediów w Poznaniu, na UAP-ie. Nagrodzona potrójną nagrodą specjalną w 43. konkursie im. Marii Dokowicz (2023). Finalistka konkursu malarskiego Strabag Kunstforum 2023 oraz Bielskiej Jesieni 2023. Rezydentka Residency Unlimited w Nowym Jorku w 2022 roku. Zwyciężczyni oraz laureatka Nagrody Specjalnej konkursu Artystyczna Podróż Hestii 2021 w Polsce. Laureatka konkursu malarskiego Rozwiń skrzydła z Generali 2021. Maluje polską mitologię (starożytną i futurystyczną), ukazuje historię z nie-męskiego punktu widzenia, tworzy obiekty i pomniki bytów nieludzkich (od najstarszych roślin lądowych po pierogi z bursztynem). Stosuje alternatywne wersje rzeczywistości oraz zawłaszczanie cudzych historii z dzieciństwa. Jako piosenkarka pod pseudonimem Pola Nuda tworzy electropopowe piosenki utrzymane w lo-fi stylizacji.

www.artystycznapodrozhestii.pl

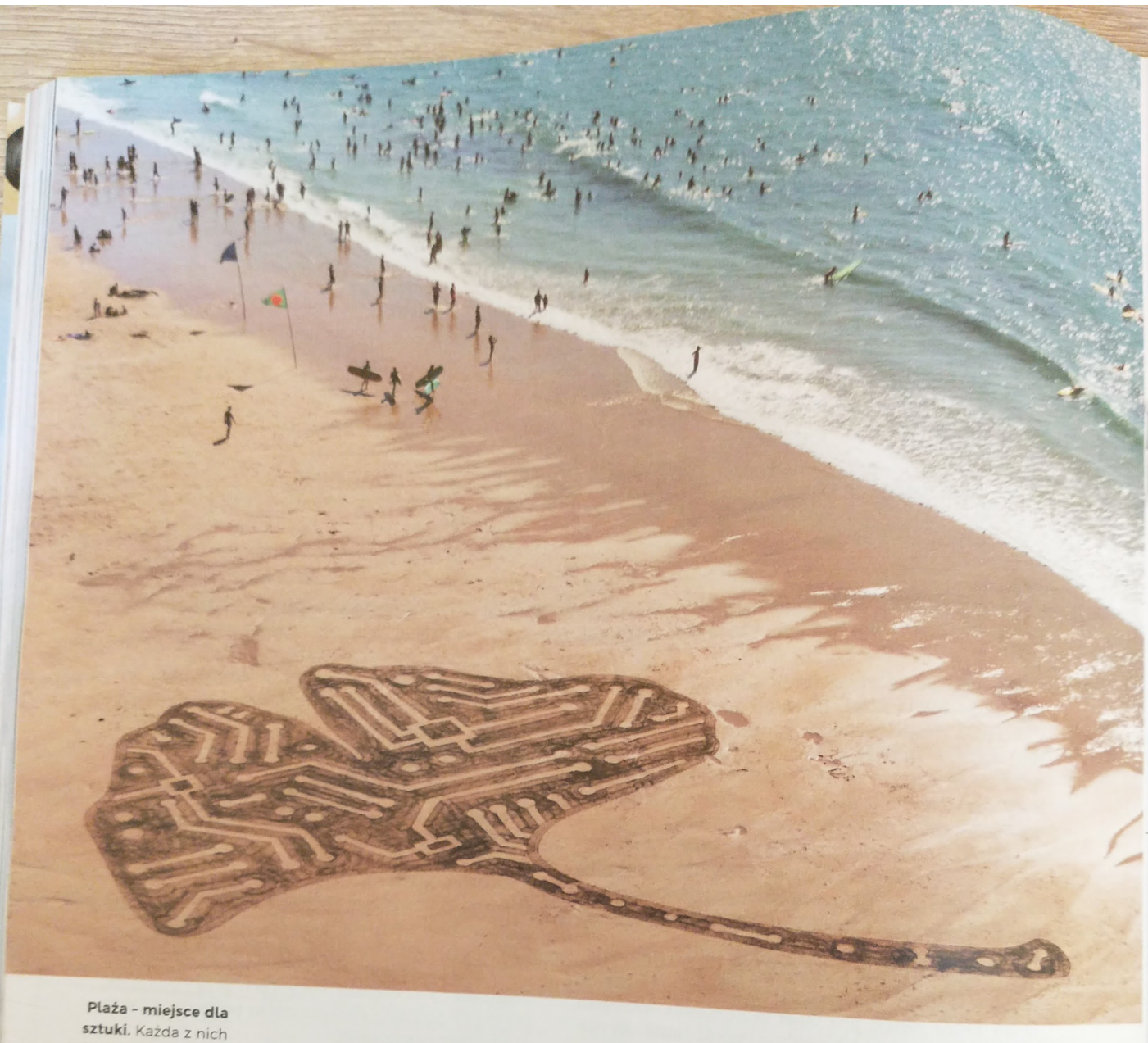

Plaża - miejsce dla sztuki. Każda z nich miała swoją specyfikę i właściwy sobie piasek: ubity bądź sypki, o swoistym odcieniu. Do każdej trzeba się dopasować, jeśli chodzi o kształt i skalę rysunku. Czasem ktoś spacerujący po plaży nagle wchodzi w obręb dzieła, dopełnia go, uzmysławia obserwatorowi jego wielkość. Dougados uwiecznia swoje prace na fotografiach. Wiele z nich znalazło się w albumie „Between The Lines" autorstwa Samuela. Książkę można zamówić m.in. na shop.snap-collective.com.

SAMUEL DOUGADOS

ARTYSTA ODPŁYWÓW

Samouk, zapalony surfer, wielbiciel plaż. Chodzi na nie zawsze z grabiami, aparatem fotograficznym i deską surfingową. Tworzy wielkoformatowe rysunki na piasku i te trzy sprzęty są mu potrzebne. Grabie – bo właśnie nimi wykonuje dekoracyjne kompozycje, które potrafią ciągnąć się nawet kilometr i wymagają kilku (na ogół od 2 do 4) godzin pracy. Grabie w roli artystycznego narzędzia są nietypowe, ale w specyficznych warunkach „beach art" (sztuki plażowej, bo tak Dougados określa swoją twórczość) sprawdzają się najlepiej. Samuel posługuje się nimi z prawdziwą maestrią. Wie, jak prowadzić je po podłożu, kiedy przycisnąć, a kiedy lepiej odpuścić. Czuje to. Nie obraża się, gdy ktoś nazywa go wirtuozem grabi.

Z kolei aparatu fotograficznego potrzebuje, by „zapisać" rysunek, zrobić dokumentację. Wybiera najwyżej położone obok plaży miejsce i wykonuje zdjęcie z góry i z dystansu. Wtedy najlepiej widać skalę i piękno jego pracy. Deska surfingowa przydaje się, gdy jest już po wszystkim albo w wolnej chwili, by dla odprężenia posurfować.

Dougados pracuje do spółki z oceanem. Fale wygładzają powierzchnię, utwardzają piasek, szykują podłoże dla mistrza. Można to porównać do zagruntowania płótna pod obraz. Ale tu artysta nie może godzinami zastanawiać się nad jedną kreską, musi się spieszyć, bo ma na swoją twórczość ograniczony czas. Gdy nadejdzie przypływ, woda bez pardonu zmyje kompozycję. Rysownik przystaje na dyktowane przez naturę warunki. W końcu były one jasne od początku. Zostają fotografie. Pozwalają sztuce Dougadosa przetrwać. ◂◂

Fot. Samuel Dougados

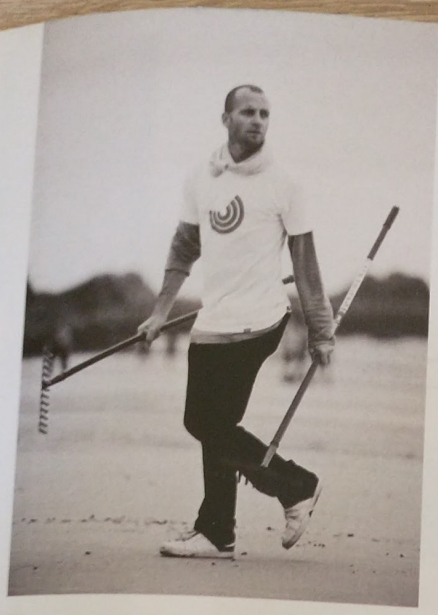

Samuel Dougados
Sztuką zajął się w 2008 r. w Biarritz, francuskim mieście położonym nad brzegiem oceanu. Od tego czasu rysował na wielu plażach na świecie. Traktuje land art jako formę medytacji. Ciągnąc grabie po piasku, liczy jednocześnie kroki. Dochodzi do niego dźwięk fal rytmicznie bijących o brzeg. Rzeczywistość odpływa, umysł wpada w trans.

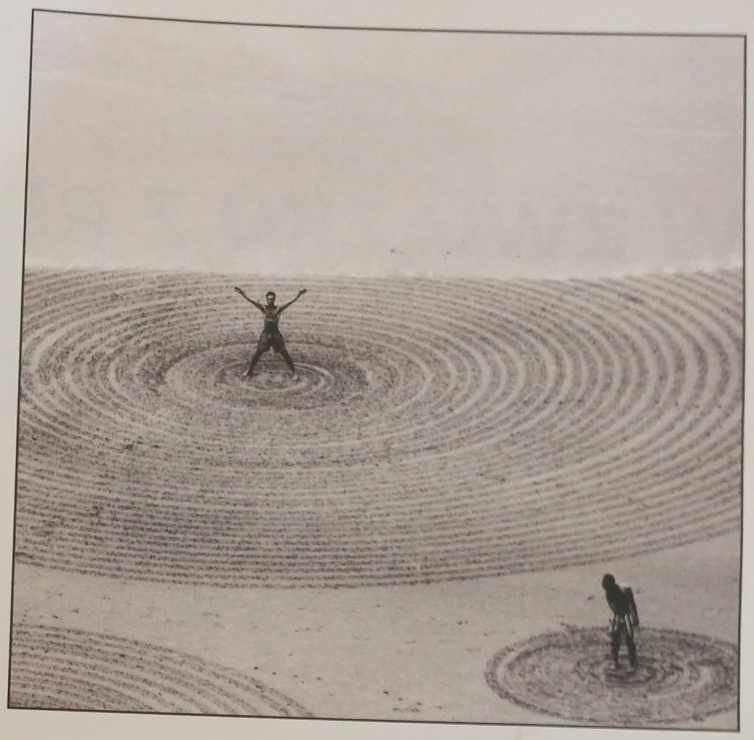

REKLAMA

„Bezwzględne wyeliminowanie rzeźby. Polska rzeźba pierwszej połowy lat 70." w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku.

Zdjęcie: Jacek Kucharczyk

Od 16 marca Muzeum Rzeźby Współczesnej w Orońsku zaprasza na niezwykłą wystawę „Bezwzględne wyeliminowanie rzeźby. Polska rzeźba pierwszej połowy lat 70." Ekspozycja przedstawia ważny moment powojennej historii polskiej rzeźby, kiedy pod wpływem nowych praktyk artystycznych, występujących w tym czasie na świecie, przeszła ona spektakularną przemianę.

Na wystawie prezentowane są prace ponad 30 artystek i artystów: Jana Berdyszaka, Jerzego Beresia, Karola Broniatowskiego, Krystiana Burdy, Elżbiety Cieślar, Emila Cieślara, Wandy Czełkowskiej, Andrzeja Dłużniewskiego, Barbary Falender, Pawła Freislera, Wiktora Gutta, Oskara Hansena, Władysława Hasiora, Anny Jarnuszkiewicz, Jerzego Jarnuszkiewicza, Krystyna Jarnuszkiewicza, Grzegorza Kowalskiego, Jana Kucza, Zofii Kulik, KwieKulik (Zofii Kulik i Przemysława Kwieka), Przemysława Kwieka, Zbigniewa Makarewicza, Marii Pinińskiej-Bereś, Waldemara Raniszewskiego, Adolfa Ryszki, Macieja Szańkowskiego, Aliny Szapocznikow, Olgierda Truszyńskiego, Jana Stanisława Wojciechowskiego i Barbary Zbrożyny.

Wystawa będzie czynna do **18.08.2024**
Kuratorzy: **dr Tamara Książek**,
dr hab. **Waldemar Baraniewski**,
dr hab. **Jan Stanisław Wojciechowski**
Współpraca kuratorska: **dr Jarosław Pajek**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Wystawa pod honorowym patronatem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie
Mecenas Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku: Polska Grupa Energetyczna
PGE
Partnerzy: Granity Sikwara - kamień naturalny, Podniose.pl
Patronat medialny: TVP Kultura, SALON, Zwierciadło, Artinfo.pl Pismo Artystyczne Format, Radio Radom 87,7 FM, Zebrra.tv

Fot. Samuel Dougados

W ZWIĄZKU Z RZEKĄ

Stanisław Baj, rocznik 1953, tworzy sztukę, która działa jak odtrutka na cywilizacyjny chaos. **MALUJE Z ZIEMI. SZUKA ISTOTY RZEKI.** Pogodzony z nurtem życia, skupiony na sprawach ostatecznych, dzieli się swoim mistycznym przeżyciem i spokojem.

tekst **MAŁGORZATA TOMCZYK** | zdjęcia **JACEK KUCHARCZYK**

Dołhobrody na Podlasiu – pogranicze trzech kultur, religii i języków, gdzie wciąż żyje się w rytmie pór roku i pulsowania Bugu. Tu jest wszystko, czego artyście potrzeba. Stodołę, stawianą jeszcze w latach 50. wespół z ojcem, przerobił na pracownię. W wolnych chwilach sadzi drzewa, kosi trawę, lubi pracować fizycznie. Wrócił na ojcowiznę, choć mógł pozostać w Warszawie, gdzie od kilkudziesięciu lat wykłada na ASP. Twierdzi, że mentalnie nigdy nie opuścił Podlasia. Dobrze rozumie wiejską kulturę i zasady, które pozwalają trwać małym społecznościom.

Bug wydaje się pana obsesją, skąd ona się wzięła?

Szczerze? Sam nie wiem. Na początku skakałem za tą wodą, czasem aż pod Wyszków. Dopiero gdy zacząłem obserwować ją w jednym zakolu, ze skarpy na Sugrach, zacząłem widzieć więcej: zmienność żywiołu, upływający czas. O świcie często poluję na mgły, wtedy rzeka wydaje się niewinna. W mroku nocy kojarzy się z przepastnością śmierci, jest dla mnie symbolem przemijania. Ktoś mógłby powiedzieć: jaki banalny temat. Sam kiedyś trochę się go wstydziłem, ale ile w nim tajemnicy i dramaturgii. Chciałbym oddać istotę rzeki w malarstwie. Uchwycić miękkość linii między światłem i cieniem, żeby było idealnie jak w naturze. Katuję się tym dążeniem, nie mogę odpuścić. Coraz więcej we mnie pokory, ale i mobilizacji.

Bug na pana obrazach od ponad 25 lat zmienia swój nastrój w zależności od pory roku, pogody, temperatury światła. Kiedy jest najciekawszy do malowania?

Latem, kiedy ma niski stan i wynurzają się kamienie, które niemiłosiernie tną lustro wody jak diament. Czasem tak mnie ten widok zahipnotyzuje, że maluję, choć na rzece nie widać już niczego.

Podglądanie pana podczas pracy kojarzy się ze spektaklem teatralnym. Żywiołowym, okupionym sporym wysiłkiem.

Rzeczywiście, maluję niespokojnie i sposobem. Mam jeden szeroki pędzel, trochę z lenistwa, trochę z wygody, by na płasko i szybko zamalować to, na czym nie chcę się skupiać. Moim marzeniem jest dorównać mistrzom kaligrafii japońskiej – namalować cały obraz jednym pociągnięciem pędzla.

Środkiem Bugu biegnie granica między strefą Schengen a Białorusią. Jak żyje się na pograniczu?

Teraz spokojnie. Kryzys humanitarny na granicy wydaje się zażegnany. Są drobne niedogodności, np. kiedy chcę jechać nad rzekę malować, wcześniej muszę meldować się u straży granicznej. Mają na mnie oko, ale dzięki temu czuję się bezpieczniej. Chociaż na ułożone wzdłuż rzeki zasieki z concertiny, ostrożyletkowego drutu, nie mogę patrzeć. Rzeka nimi jakby cierniem ukoronowana.

Udziałem ludzi tutaj nieraz były ekstremalne sytuacje.

Pamięć o dramatach, które dotknęły całe rodziny, wciąż żyje w kolejnych pokoleniach. Często wspominam opowieść mojej babki, która latem 1915 r., kiedy armia rosyjska pod naporem Niemiec wycofywała się z Królestwa Polskiego, w 10 minut musiała się spakować i uciekać w głąb Rosji.

W pracowni w rodzinnych Dołhobrodach na Podlasiu. Rzeka pod pędzlem Baja wydaje się tajemnicza i samotna, biegnąca jakby obok ludzkiego życia. Ale obrazuje zmiany, meandry, dynamikę losów. Artysta od ponad 25 lat maluje jedno i to samo zakole Bugu. Prace te były wystawiane od Paryża po Ateny. Dziś, o ile w ogóle pojawiają się na aukcjach, natychmiast znajdują nabywców.

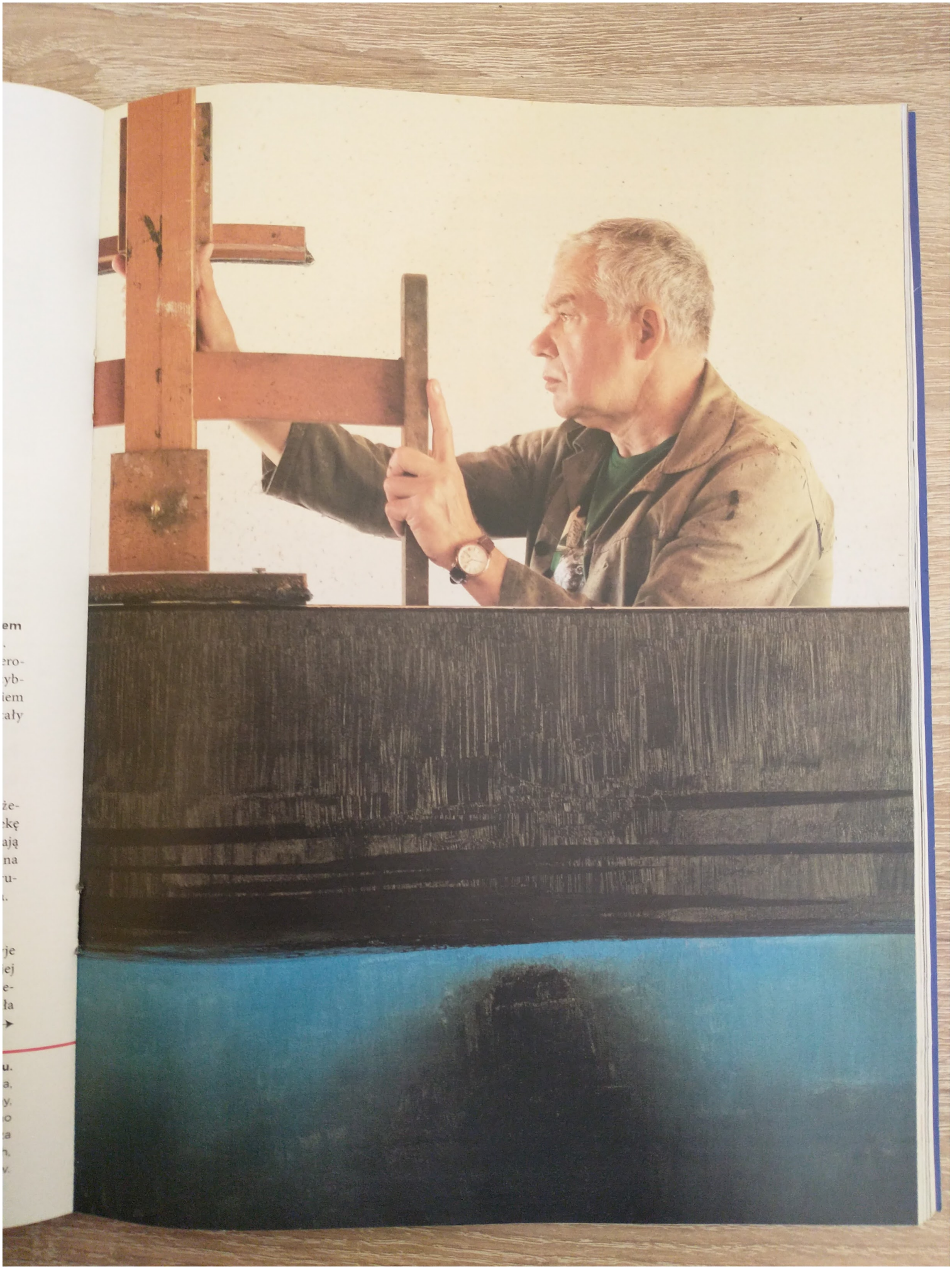

PEJZAŻE NADBUŻAŃSKIE NASADZONE NA PŁÓTNA W RÓŻNYCH FORMATACH WYPEŁNIAJĄ PRACOWNIĘ. ARTYSTA WCIĄŻ TWORZY, BO SZUKA WŁAŚCIWEGO WYRAZU. GODZINAMI WPATRUJE SIĘ W GŁĄB RZEKI. JEST W TYCH SEANSACH NAD WODĄ COŚ Z MISTERIUM. DOŚWIADCZANIE POTĘGI I TAJEMNICY.

W stodole przerobionej na pracownię znajduje się też biblioteka i gabinet, wszędzie panuje niesamowity porządek. Przy wejściu, w ogródku polnych kwiatów stoi figura Chrystusa Frasobliwego, podarowana malarzowi przez znajomego kolekcjonera.

To był exodus, ponad 2 miliony osób, głównie kobiety i dzieci, szło dzień i noc, tygodniami. Po drodze dosięgały ich bombardowania, umierali ze spiekoty, głodu, w wyniku epidemii. Bieżeńcy. Moja babka po miesiącu dotarła do Besarabii, a po upadku carskiej władzy wróciła do odrodzonego państwa polskiego. Miała szczęście.

Przywiązanie do ziemi przodków, poczucie swobody w kontakcie z naturą, wrażliwość. Co jeszcze ukształtowało w panu dorastanie na wsi?

Mój upór w dążeniu do celu jest również stąd. Wywodzi się z etosu pracy żmudnej, powtarzalnej, przy ziemi. Byłem świadkiem nieodwracalnych przemian kulturowych. Na moich oczach odchodził świat nie tylko tego codziennego znoju, ale też pachnący sianem, mlekiem od krowy, jabłkami z sadu.

To także świat porozumiewający się wieloma językami, mową chachłacką, której też poświęcił pan trochę czasu.

To prawda, wraz z moją partnerką, Iwoną Wyszatycką, zebraliśmy i wydaliśmy w 2018 r. słownik mowy chachłackiej, mieszanki białoruskiego, ukraińskiego, rosyjskiego i polskiego, a w nim pieśni, wierzenia, przysłowia przetłumaczone na język polski. Język to bezcenne dziedzictwo, nie mogliśmy patrzeć obojętnie, jak kultura chłopska oparta na słowie mówionym odchodzi w zapomnienie.

Co się panu w tamtym świecie podobało?

Zgodność modlących się w cerkwi i kościele katolickim, drzwi w drzwi. To był również świat niezwykle zmysłowy – śpiewało się w polu, przy kuchennym piecu. A Antoni Marciocha, najbardziej ekstrawagancki w okolicy, śpiewał co rano na powitanie całej wsi. Pamiętam go, bo miał odwagę żyć po swojemu, w końcu wyruszył siną w dal, co zrobiło na mnie ogromne wrażenie. →

Bug odgrywa szczególną rolę w rodzinnej wsi Stanisława Baja. Dołhobrody to miejsce wielokulturowe i wieloreligijne, które kształtuje ludzi, a dzika rzeka od zawsze spajała to wszystko. – Była jak żyła czy nerw w ludzkim organizmie – podkreśla malarz. Ostatni wiek to, niestety, całe mnóstwo dramatycznych historii z nią związanych, zwłaszcza po II wojnie światowej, gdy ludzie zostali przez Bug rozdzieleni. Byli blisko siebie, po obu stronach rzeki, ale zmiany polityczne odcięły ich w drastyczny sposób.

WCIĄŻ NIE UDAŁO SIĘ NAMALOWAĆ WSZYSTKICH MOMENTÓW ISTNIENIA RZEKI. IM CZĘŚCIEJ PRZYJEŻDŻA NA SKARPĘ NA SUGRACH, TYM BARDZIEJ OTWIERA SIĘ PERSPEKTYWA. TO WYZWALA ZACHŁANNOŚĆ NA MALOWANIE.

I pan wyjechał – do Zamościa do liceum plastycznego, do Warszawy na studia. Jak różne były to światy?
Warszawa już wtedy jarzyła się neonami, życie toczyło się w niej wartko i barwnie. Spędziłem też kilka miesięcy w Paryżu. Miasto pociągało, ale mentalnie nie byłem w stanie odciąć się od wsi. Na wystawie podyplomowej w galerii Kordegarda w 1978 r. pokazałem obrazy „Fura z gnojem" i „Świński szał", a nad wejściem na wystawę zawisły snopy. Nie wywołało to entuzjazmu salonów.

Chciał pan wzbudzić kontrowersje dosadnością obrazu wsi?
Bardziej chodziło mi o utrwalenie tego, co przemija z postępem. Konfrontacja tych dwóch światów była dla mnie eksperymentem. Nie miałem jednak ambicji skandalisty.

Pisarz Wiesław Myśliwski zaprosił pana do tworzenia okładek swoich książek.
Było mi bardzo miło. Cenię sobie naszą szorstką, męską przyjaźń. Wiesio jest najlepszym kompanem do rozmów o sztuce. Kiedy napisał „Ucho igielne", poprosił mnie, bym pojechał do Sandomierza i namalował jak najbardziej wieloznacznie tytułowe Ucho na okładkę. Nie byłem pewien, czy spełnię pokładane we mnie nadzieje, ale misja została wypełniona. Powstało osiemnaście prac do wyboru, a pomysł tak się spodobał wydawcy, że kontynuujemy tę współpracę. Wszystkie wznawiane książki Myśliwskiego mają teraz fragmenty moich obrazów na obwolutach. Dla malarza to ciekawa przygoda – dać słowu odpowiedni obraz, i nobilitacja.

Od wielu lat pracuje pan również z młodzieżą na ASP.
To wydarzyło się przez przypadek, ale nie żałuję. Kontakt z młodymi ludźmi sprawia, że wciąż się uczę, dzisiaj chyba ja więcej od nich niż odwrotnie. Moi studenci świetnie poruszają się w świecie multimediów, buszują po internetowych forach, przynoszą stamtąd świeże tematy, to inspirujące. Poza tym, wiadomo, młodość ma swoje prawa, lubi się buntować. Mnie to się podoba.

Jest pan świetnym portrecistą, nie tylko rzeki. Krytycy piszą, że jako jeden z nielicznych maluje pan naprawdę, pokazuje pan „naturalny stan człowieczy, podstawowe doznanie godności człowieka".
Sekret tkwi chyba w tym, że znałem dobrze wszystkich swoich modeli, ich losy. Nie musieli pozować, pozwalali się malować. Portretowanie bliskich było napędzane bezradnością. Trudno było pogodzić się z tym, że z każdym przyjazdem na wieś kogoś ubywało. Chciałem zatrzymać ludzi na płótnach. Te ćwiczenia z utraty zaprowadziły mnie w końcu nad rzekę. Tam mierzę się z przemijaniem, kłócę z Bogiem, próbuję zgadnąć sens. Wierzę. ◂◂

Indywidualnie. Erik tworzy na zamówienie i konsultuje się z klientem. – Lubię wiedzieć, że makrama powstaje dla konkretnej osoby, do konkretnej przestrzeni – przyznaje. Jest w stanie wykonać średnio sześć makram rocznie. Ważą czasem po kilkadziesiąt kilogramów, a największa miała wymiary ponad 1 x 3 m.

PRZYTULIĆ **RAFĘ**

Nie wyobrażałem sobie siebie jako kogoś, **KTO CAŁYMI DNIAMI SIEDZI W FOTELU, DZIERGAJĄC I SZYDEŁKUJĄC. A TAK SIĘ STAŁO. I UWIELBIAM TO – MÓWI ERIK SPEER**, były instruktor nurkowania, który wyplata rafę koralową techniką makramy.

tekst **NATALIA MAZUR** | zdjęcia **ERIK SPEER**

Erik Speer
W wieku 15 lat przeprowadził się z pustyni nad ocean, do Karoliny Południowej. Ukończył College of Charleston z dyplomem z biologii morskiej. Ruszył na dwa lata w świat, pracując jako instruktor nurkowania. Potem był pomysł na studia w Parsons School of Design, ale jako fashion designer nie spełniał się. Pozostała jednak fascynacja makramami. Wymyślając wzory, czerpie z doświadczeń nurka, realizując je, może pracować rękami, co kocha najbardziej. Nimi wiąże, szydełkuje, tka, plecie. Nie dba o perfekcję. Bo przecież natura nie jest perfekcyjna.

Patrzę na wiotkie koralowce, miękkie otwornice, puszyste ukwiały. Erik je dziergał, tkał i wyplatał, zmieniając w elementy wielkiej makramy. To jego teraźniejszość. Wcześniej kawał życia spędził pod wodą. Spodziewam się, że zaraz usłyszę historię artysty-nurka szukającego medium, które pozwoli mu odtworzyć podwodny świat. Ale nie, o tym, że sznurek zamienił się w korale, zdecydowała seria – nomen omen – przeplatających się przypadków.

Erik chciał być naukowcem. Dorastał w Nowym Meksyku, w Roswell. Co z tego, że – jak mówią – rozbiło się tam UFO, skoro dla dzieciaków niewiele tam do roboty?

– Szukałem sobie zajęć. Czytałem dużo naukowych książek, lubiłem matematykę. Jednocześnie przyjemność sprawiały mi prace manualne. Nie miałem cierpliwości do rysowania, wolałem rzeźbę. Ulubionym materiałem była glina, przyjemna w dotyku i dająca szybki efekt. Ale to było tylko hobby – opowiada.

Co roku z siostrami i rodzicami wyprawiali się na teksańskie wybrzeże. Chłopakowi z pustynnych okolic plaża wydawała się rajem. Dopiero gdy wrócił tam jako dorosły, przekonał się, jak zniszczone przez człowieka jest to miejsce.

SKOK NA GŁĘBOKĄ WODĘ

Nurkować zaczął jako nastolatek w miejscach o niebo piękniejszych – w college'u nauczycielka biologii morskiej organizowała wyprawy nurkowe na Bahamy, do Kostaryki, na wyspy Galapagos.

– Poznałem świetnych ludzi, zaprzyjaźniłem się z dziewczyną, która uznała, że nurkowanie w różnych miejscach świata jest tym, co chce robić w życiu. Rzuciła szkołę i została instruktorką. Stała się dla mnie inspiracją – mówi Speer.

Mimo to jeszcze parę lat podążał ścieżką wytyczoną w dzieciństwie. Skończył college, poszedł na studia medyczne. Pracując w szpitalnym laboratorium, zrozumiał, że nie ma duszy naukowca. Gdyby życie było drogą kreśloną przez GPS, w tym momencie włączyłoby się szukanie nowej trasy. →

Zanim zawiesi i udrapuje makramę w domu klienta, pracuje czasem miesiącami. Wcześniej szuka surowca. Stara się wspierać małych producentów naturalnej przędzy, buszuje po second handach, odkupuje nici od tkaczek emerytek. **Nauka, nurkowanie, tkanie...** Czy kolejnym celem artysty będzie upcykling mebli? Prognostykiem - udoskonalone stare krzesło.

Chciał zostać instruktorem nurkowania. Uprawnienia zdobył w Hondurasie. Pracował w Malezji, Chorwacji.

– Gdy często nurkujesz w tym samym miejscu, stajesz się niemal częścią rafy. Zaczynasz rozpoznawać konkretne ryby i masz wrażenie, że podpływają, żeby cię pozdrowić – wspomina.

Podwodną przygodę przerwał wypadek. Speer musiał wrócić do Stanów na leczenie i na długo zrezygnować z pracy. System znów zaczął szukać nowej trasy.

TRZECI WYMIAR

Erik lubił sztukę, design. Dobrym wyborem wydawało mu się projektowanie ubioru. Zaczął naukę w nowojorskiej Parsons School of Design. Szył, znów używał rąk. Z płaskich kawałków powstawała nowa, trójwymiarowa rzecz.

– Problem w tym, że dziś projektant nie jest krawcem. Robi szkice i wysyła za granicę. Ubrania szyje kto inny. A ja najbardziej lubiłem chodzić po nielicznych w Nowym Jorku fabrykach – przyznaje.

W znalezieniu kolejnego celu pomogły zajęcia z Rachel Zoe. Raz poleciła studentom, by w ciągu tygodnia upletli tyle koronek techniką makramy, ile dadzą radę. „Oczywiście wiem, co to jest makrama", prychnął Speer i... zajrzał do Google'a.

RAFY KORALOWE ZMIENIAJĄ SIĘ BŁYSKAWICZNIE. DZIŚ WYGLĄDAJĄ ZUPEŁNIE INACZEJ NIŻ WTEDY, GDY NURKOWAŁEM PO RAZ PIERWSZY. CHCĘ ZACHOWAĆ ICH WSPOMNIENIE – MÓWI ERIK. ODTWARZA JE Z WEŁNY, LNU, BAWEŁNY, SKÓRY.

– Przez ten tydzień poznawałem podstawy, a to, co uplotłem, było bardzo prymitywne. O tyle miałem łatwiej, że znałem wiele żeglarskich węzłów – mówi Erik, któremu spodobało się to wyplatanie.

ŚCIEG WODNY

Speer nie poprzestawał na wzorach, które wypluwa wyszukiwarka na hasło „makrama". Szukał nieoczywistych materiałów, wymyślał wzory i sploty. Znajomi zaczęli prosić o jego prace. „To wygląda tak... wodnie", mówili. „Hmm... rzeczywiście", przyznawał. I zaczął częściej sięgać do obrazów zapamiętanych z nurkowania. Właściciele jego makram chwalili się nimi na Instagramie, posypały się zamówienia.

– Nie mam odwagi nazywać siebie artystą. No bo co ja takiego robię: łączę sznurki w wielkie... kurzołapy – śmieje się. – Ale skoro to, co tworzę, wywołuje emocje, to może mógłbym się nim czuć. ◂◂

TWORZYMY
NA DŁUŻEJ
MODUŁOWE STOISKO BMW ZAPROJEKTOWANE
PRZEZ MAJA GANSZYNIEC STUDIO. PO JEGO ROZŁOŻENIU
WSZYSTKIE ELEMENTY ZYSKAJĄ DRUGIE ŻYCIE
JAKO MEBLE W ZIELONEJ PRZESTRZENI MIEJSKIEJ.
MAJA
GANSZYNIEC
STUDIO
BMW iX2 xDrive30: zużycie energii, cykl mieszany WLTP w kWh/100 km: 16,3–17,7; zasięg elektryczny WLTP w km: 417–449.

Maja Ganszyniec
Jedna z najbardziej wziętych polskich projektantek, ambasadorka polskiego wzornictwa w świecie. Studiowała design na Politechnice w Mediolanie i w Royal College of Art w Londynie, w 2008 r. ukończyła architekturę wnętrz na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Na jej koncepcjach można się uczyć, czym jest projektowanie odpowiedzialne i gospodarka cyrkularna.

DROGOCENNE DRUGIE ŻYCIE

Za luksus uważa naturalne drewno: świerk jest premium, dąb to złoto. **PROJEKTUJE TAK, ŻEBY ZOSTAWIAĆ PO SOBIE TRWAŁE PIĘKNO, ALE ŻADNYCH TRWAŁYCH ŚMIECI.** U Mai Ganszyniec cyrkularność nie jest chwytem marketingowym, tylko realnym sposobem działania.

rozmawiała KATARZYNA RZEHAK

Kiedyś luksus błyszczał i onieśmielał, teraz najdroższe marki uciekają od przepychu. Co jest dzisiaj premium w designie?

Rzeczywiście, kody tak zwanego starego premium przestają obowiązywać, bo świat się zmienia. Zaczynamy doceniać projektowanie, które bierze pod uwagę przyszłość produktu. Zastanawiamy się, czy i jak się podda recyklingowi. Dzisiaj premium oznacza również, że znane jest pochodzenie surowców, z których powstał produkt, procesy technologiczne są transparentne, a to, co dostajemy – na przykład krzesło czy kanapa – jest „czyste".

IKEA, dla której projektowałam, parę lat temu postanowiła wprowadzić do produkcji mebli płytę wiórową z zerową emisją substancji szkodliwych. I taka właśnie płyta stała się bezpiecznym standardem na wielu rynkach. Z kolei sofy Revo, jakie zaprojektowało studio Pearson Lloyd dla Profim, którego jestem dyrektorką kreatywną, nie mają tradycyjnej drewnianej konstrukcji. Tak zwane skrzynie, które są podstawą ich formy, zamiast z drewna, wykonano z wtórnego tworzywa REPP, czyli przetworzonego, spienionego polipropylenu.

Szkoda drewna?

Tak. Każde drewno jest dziś luksusem, materiałem premium. Dębów prawie już nie ma, to unikatowe, bezcenne drzewa rosnące setki lat. Dąb w projektowaniu powinien być złotem. Dlatego w produkcji masowej najlepiej, żebyśmy sięgali po materiały już raz użyte i przetworzone. I takie, które będzie można przetworzyć po raz kolejny. W jeszcze większym stopniu dotyczy to marek luksusowych, od których oczekujemy najwyższych standardów, w tym właśnie cyrkularności. Szczególnie one powinny dawać drugie życie produktom, bo używają najcenniejszych dziś, bo rzadkich surowców.

Fot. portret – Tomasz Kuczma, serwisy prasowe firm Profim i BMW

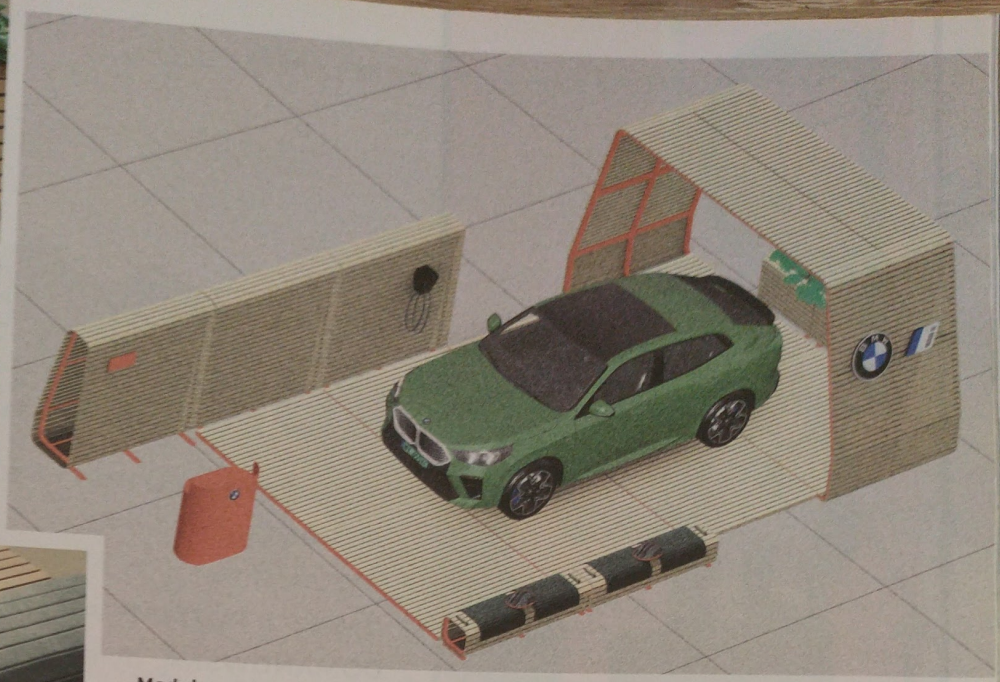

Modułowe stoisko ekspozycyjne dla elektrycznych samochodów BMW wykonano z lekkich szczebelków ze świerkowego drewna. Można je dowolnie przekształcać, tworząc za każdym razem inną kompozycję przestrzeni. Po wykorzystaniu stoiska jego elementy staną się meblami plenerowymi w przestrzeni miejskiej czy w parku. Więcej na: www.bmw.pl/bmw-x-majaganszyniec

Krzesło Normo (na stronie obok), powstałe dla marki Profim, to manifest nowego projektowania. Konstrukcja jest polipropylenu z odzysku. W produkcji nie użyto zszywek – tapicerka została zaciągnięta na specjalnym sznureczku, a elementy nie są klejone – po zakończeniu życia produktu można je rozdzielić i poddać recyklingowi.

Fot. portret – Tomasz Kuczma, serwisy prasowe firm Profim i BMW

Czyli dzisiaj to jest premium, co można wykorzystać i przetworzyć wiele razy i co po wielokrotnej eksploatacji zniknie gładko i bezśladowo. Masz przykład takich rozwiązań dla marek z najwyższej półki?

Ostatnio zaprojektowałam modułowe stoisko ekspozycyjne dla elektrycznych samochodów BMW. Składa się z wizualnie lekkich, ażurowych elementów, przypominających meble parkowe. Mamy tu platformę, ławeczkę, kwietnik, ścianki działowe, recepcję i przestrzenny pawilon. Wszystko z eleganckich szczebelków z drewna świerkowego. Najważniejszy jest fakt, że to stoisko „wielorazowego użytku" – można je składać i rozkładać, adaptując do różnych przestrzeni i miejsc. A po wykorzystaniu wszystkie elementy będzie można przenieść w przestrzeń miejską i wykorzystać jako meble plenerowe. W parku czy na placu zabaw.

Pamiętam jak w 2021 r. Maria Porro, pierwsza kobieta na stanowisku prezesa mediolańskich targów Salone del Mobile, zarządziła koniec marnotrawstwa i wyrzucania na śmietnik stoisk budowanych przez wielkie marki. Wszystko, co dało się wykorzystać powtórnie, miało dostać nowe życie. Czy takie podejście obowiązuje też przy projektowaniu produktów?

Zamiast odpowiedzi pokażę krzesło, które zaprojektowałam dla Profim. Nazywa się Normo, bo chciałabym, żeby takie podejście do designu stało się normą. To krzesło wyprodukowano w ponad połowie z materiałów z recyklingu – po latach będzie je można przetworzyć w 96 procentach. Zamiast drewna użyliśmy w nim polipropylenu, w 100 procentach z odzysku. W tym krześle nie ma też zszywek, które się nie poddają recyklingowi.

Tapicerka bez zszywek?

Zastosowaliśmy prostą, ale innowacyjną technikę, polegającą na zaciąganiu tapicerki na mebel za pomocą specjalnego sznureczka. Bezpieczna, praktyczna i eko. Dodam, że nie użyto w tym krześle ani kropli kleju.

A dlaczego odpowiedzialny design unika kleju?

Bo sklejonych materiałów nie można potem rozdzielić, a jeśli warstw nie można odseparować to równocześnie nie da się ich poddać recyklingowi.

Zgodzisz się z tezą, że nasz czas, czyli ponowoczesność nie lubi trwałości, która była wartością w poprzednich epokach. Co po nas zostanie?

Nie wiem, czy ponowoczesność nie lubi trwałości, ale wiem, że zostanie po nas to, co wybierzemy, żeby zostało. ◂◂

WAŻNY JEST **KONTEKST**

O ZARZĄDZANIU INSTYTUCJĄ SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ oraz planach wystawienniczych na najbliższe miesiące **ROZMAWIAMY Z EULALIĄ DOMANOWSKĄ**, dyrektorką Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie.

rozmawiała **ZOFIA MAŁYSA-JANCZY**

Eulalia Domanowska
Krytyczka sztuki, kuratorka ponad stu wystaw w Polsce i Europie, między innymi Tony'ego Cragga i Henry'ego Moore'a w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku. Autorka wielu publikacji poświęconych zagadnieniom sztuki współczesnej. Specjalizuje się w sztuce nowoczesnej i współczesnej, interesuje się szczególnie sztuką w przestrzeni publicznej i krajobrazie. Redaktorka naczelna Kwartalnika Rzeźby „Orońsko". W latach 2015–2019 dyrektorka Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku. Od 2022 r. dyrektorka Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie.
Na zdjęciu: Eulalia Domanowska w styczniu 2023 r. otwiera w PGS wystawę prac artystów – laureatów Paszportów POLITYKI.

Była pani dyrektorką Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku. Od 2022 r. kieruje pani Państwową Galerią Sztuki w Sopocie. Ma pani duże doświadczenie na stanowisku dyrektorskim. Jaki model zarządzania instytucją sztuki współczesnej jest pani najbliższy?

Przede wszystkim jest to model dostosowany do miejsca, gdzie znajduje się galeria, do jej charakteru. PGS w Sopocie jest galerią sztuki współczesnej. Zajmujemy się aktualnymi trendami w sztuce, czasami, gdy jest to zasadne, sięgając też do historii. Na przykład obecnie prezentujemy w galerii zestawienie dwóch artystów – Władysława Hasiora i Daniela Rycharskiego. Ich twórczość ma wiele punktów wspólnych, od zainteresowania wsią po wątki religijne.

Jeśli chodzi o sam model zarządzania, ważnych jest dla mnie kilka aspektów. Przede wszystkim budowa zespołu, działania edukacyjne oraz współpraca z podmiotami zewnętrznymi – instytucjami sztuki, placówkami badawczymi, fundacjami oraz organizacjami działającymi w obszarze sztuk wizualnych. Budowanie programu instytucji sztuki współczesnej opiera się nie tylko na pokazywaniu ciekawych zjawisk z polskiej oraz międzynarodowej sceny artystycznej. Równie ważny jest program edukacyjny oraz program wydarzeń towarzyszących, przede wszystkim spotkań z artystami, kuratorami, teoretykami kultury. Wizualny ogląd wystawy nie wystarcza już odbiorcom. Wystawy czysto estetyczne, które dominowały w ubiegłym wieku, są nieadekwatne do tego, co dzieje się współcześnie w polu artystycznym.

Jakie obszary sztuki współczesnej uważa pani za szczególnie warte prezentowania?

Na pewno działania zogniskowane wokół natury i ekologii. Od lat rozwijamy współpracę z Instytutem Oceanologii PAN, mającym siedzibę w Sopocie, prowadzimy wspólnie program rezydencji artystycznych na statku Oceania. Już dwukrotnie zaproszone artystki wyruszyły z Gdańska na Spitzbergen, w najbliższym czasie planowana jest wystawa podsumowująca ten projekt.

Kluczowe dla mnie jest też zaznaczanie widzialności artystek. Powiem trochę niepolitycznie, bo najlepsze są historie równościowe, ale mam wrażenie, że ostatnio to artystki wiodą prym w sztukach wizualnych. →

Władysław Hasior – Daniel Rycharski „mogę wam opowiedzieć o sobie o was" to wystawa, którą można zobaczyć w PGS w Sopocie do 19 maja. Artystów łączy m.in. zainteresowanie tematyką wsi, transformacji polskiego społeczeństwa, tożsamości, duchowości.
Na zdjęciach z wernisażu wystawy: prace „Ogród zimowy 2" i „Dramat drzew" oraz ich autor – Daniel Rycharski.

REKLAMA

EWA KURYLUK

18.05-19.08.24

SPOTKANIE NA BRZEGU MORZA

KURATORKA: ANNA MUSZYŃSKA
PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI W SOPOCIE,
PLAC ZDROJOWY 2, SOPOT

ORGANIZATOR:
PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI Sopot

WSPÓŁPRACA:
MECENAS:
polpharma
polpharma biologics

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

PATRONI MEDIALNI:
artinfo.pl esopot.pl prestiż SZUM trojmiasto.pl

Rok 2024 to rok kobiet-artystek w galerii. Prezentować będziemy twórczość Ewy Kuryluk i Karoliny Jabłońskiej. Na jesień zaplanowaliśmy z kolei ambitny projekt podejmujący temat feminizmu w polskiej sztuce – tworzonej przede wszystkim przez kobiety, chociaż na wystawie pokazane zostaną także prace autorstwa mężczyzn. To temat szczególnie ważny, również ze względu na obecną sytuację polityczną w naszym kraju.

Eulalia Domanowska i Koen Vanmechelen, współkurator i jeden z uczestników wystawy „Glasstress: odsłonięte rzeczywistości". Wśród prezentowanych w PGS szklanych dzieł sztuki była kompozycja „The Frozen Vanitas"; belgijski artysta Hans Op de Beeck stworzył ją w weneckim Studio Berengo w 2015 r.

NIEKTÓRE PROJEKTY PLANUJE SIĘ Z WYPRZEDZENIEM KILKU LAT. TAK BYŁO W PRZYPADKU WYSTAWY **„GLASSTRESS: ODSŁONIĘTE RZECZYWISTOŚCI", PRZYGOTOWANEJ ZE STUDIO BERENGO,** KTÓRE WE WSPÓŁPRACY Z ARTYSTAMI WSPÓŁCZESNYMI ODNAWIA SŁYNNĄ SZTUKĘ SZKŁA WENECKIEGO.

W orbicie pani zainteresowań znajduje się również prezentowanie sztuki w przestrzeni publicznej. Jakie projekty okazały się dla pani szczególnie ważne w tym kontekście?

Jeden z nich zrealizowany został w zeszłym roku w sopockim Parku Północnym – był to pokaz prac brytyjskiego twórcy Tony'ego Cragga „Alternatywna rzeczywistość". Za Grand Hotelem prezentowaliśmy kilka rzeźb artysty, wciąż można podziwiać tam jedną z nich.

Muszę przyznać, że mam ogromne szczęście, mogąc pracować w Sopocie, gdzie władze sprzyjają rozwojowi oferty kulturalnej, w tym pokazywaniu sztuki w przestrzeni publicznej. Niedawno wspólnie z miastem oraz Fundacją Artystyczna Podróż Hestii zorganizowaliśmy międzynarodowy konkurs Baltic Horizons – na pracę w przestrzeni publicznej. Jako zwycięski projekt wyłoniona została instalacja świetlna litewskiego artysty Andriusa Labašauskasa, która niedługo prezentowana będzie w Parku Północnym.

Jako dyrektorka PGS w Sopocie zasiadam również w komisji do spraw sztuki w przestrzeni publicznej. Warto przy tym zaznaczyć, że przestrzeń publiczna to nie tylko parki i skwery, ale też uczelnie, szpitale czy szkoły. Również fasada budynku PGS stała się niedawno miejscem ekspozycji dzieła sztuki, jakim jest neon „Słońce Sopotu" Jarosława Perszko.

W najbliższym czasie planuję kilka komplementarnych wystaw sztuki, które będą pokazywane jednocześnie wewnątrz galerii i w przestrzeni publicznej. Będą to między innymi pokazy Jarosława Kozakiewicza, Xawerego Wolskiego czy belgijskiego artysty Koena Vanmechelena.

Zrealizowała pani szereg projektów o zasięgu międzynarodowym, między innymi wystawę „Glasstress: odsłonięte rzeczywistości", która odbyła się w zeszłym roku w PGS. Proszę nam opowiedzieć o kulisach powstawania tej ekspozycji.

Była to wyjątkowa wystawa pod wieloma względami. Planowana od kilku lat, od momentu, gdy na wyspie Murano zetknęłam się z działalnością Studio Berengo, którego założyciel, Adriano Berengo, stara się odnowić słynną tradycyjną wenecką sztukę szkła. Idea ta realizowana jest poprzez zapraszanie do współpracy światowej klasy artystów, takich jak Ai Weiwei, Tony Cragg czy Joana Vasconcelos. W zeszłym roku w projekcie wzięli udział także dwaj polscy artyści, Maurycy Gomulicki i Xawery Wolski. Cieszę się, że wystawę udało się zrealizować w PGS w Sopocie, myślałam o niej już jako dyrektorka Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku. Wiedziałam, że można ją zrealizować tylko pomiędzy poszczególnymi edycjami Biennale w Wenecji, gdyż w trakcie jego trwania Studio skupione jest na ekspozycjach towarzyszących Biennale. Niebawem wybieram się zresztą do Wenecji, żeby zobaczyć, co Studio Berengo przygotowało w tym roku.

Wyjazdy na festiwale sztuki czy weneckie Biennale to ważny aspekt pracy osoby kierującej galerią sztuki współczesnej.

Tak, przykładowo podczas preview na Biennale w Wenecji spotykają się specjaliści, krytycy sztuki, dziennikarze. Z jednej strony to szansa, by zobaczyć wystawy, z drugiej – okazja do spotkań z artystami, dyrektorami. To bardzo ciekawy, dynamiczny czas, w trakcie którego powstaje wiele planów muzeów i galerii na najbliższe lata. W tym roku zamierzam spotkać się między innymi z przedstawicielkami Muzeum Sztuki Współczesnej z Helsinek HAM. Poza tym każda wizyta w Wenecji pozwala mi odkryć coś nowego, nie tylko w pawilonach w Giardini. ◂◂

Fot. dzięki uprzejmości PGS Sopot, Tomasz Maryks, Adrian Sokołowski

Fot. Zleta Studio

ZIĘTA W PROCESIE

JEGO DZIADEK FORMOWAŁ STAL KOWALSKIM MŁOTEM, ON DEFORMUJE JĄ W TECHNOLOGII FIDU. **OSKAR ZIĘTA**, PROJEKTANT PROCESÓW, ARCHITEKT, INŻYNIER, ARTYSTA I PRZEDSIĘBIORCA. W INSTYTUCIE WZORNICTWA PRZEMYSŁOWEGO W WARSZAWIE TRWA JEGO WYSTAWA „ZIETA ILUSTROWANY", ZESTAWIAJĄCA STALOWE OBIEKTY Z ICH ILUSTROWANYMI INTERPRETACJAMI. TECHNOLOGICZNO-ARTYSTYCZNY WYMIAR PROJEKTU DOPEŁNIAJĄ MULTIMEDIALNE EKSPOZYTORY THE FRAME FIRMY **SAMSUNG**.

Ile czasu zajęło Ci przygotowanie najlżejszego krzesła na świecie (ważącego tylko 1600 g) i dlaczego było to dla Ciebie takie ważne?
Moje projekty są z reguły długodystansowe. Od pierwszych szkiców do pełnego wdrożenia często mijają lata. Krzesło Ultraleggera jest efektem mojej fascynacji ultralekkością. To obiekt monomateriałowy, zaawansowany technologicznie, ale i o dużej roli społecznej. Lekka, a przy tym stabilna Ultraleggera jest przyjazna dla osób, które nie mogą podnosić ani przesuwać ciężkich rzeczy. To krzesło solidne, wytrzymuje ciężar ponad tony. Można przekazywać je z pokolenia na pokolenie. A dzięki temu, że powstaje z naturalnego stopu aluminium, nadaje się niemal w 100 proc. do recyklingu. Ultraleggera jest krzesłem cyrkularnym, ale na tyle trwałym, że jedynie świadoma decyzja o jego przetworzeniu, np. na aluminiowe puszki, może dopełnić cyrkularną misję i wprowadzić metal do ponownego obiegu.

Rzeczywiście, krzesło jest bardzo wygodne i można je podnieść jednym palcem!
Ludzie szybko zakochują się ultralekkości. Zawsze lubię obserwować reakcje podczas pierwszej styczności z Ultraleggerą. Szczególnie zachwyca mnie szczere zdziwienie ekspresyjnych dzieci.

Stołek PLOPP, czyli „Polski Ludowy Obiekt Pompowany Powietrzem" – z zespawanych dwóch arkuszy blachy, pompowanych do trójwymiarowej formy – przyniósł Ci rozgłos. Trafił do kolekcji Centre Pompidou jako jedno z 12 krzeseł, które zmieniły współczesny design. Choć wzbudzał kontrowersje – niektórzy zarzucali mu nadmiar artyzmu, brak funkcjonalności – z perspektywy lat widać, że jego „inność" przysporzyła mu popularności.
Stworzenie charakterystycznego produktu, z mądrze obrobionego materiału, w technologii, którą wciąż eksploruję, to były moje priorytety od samego początku. PLOPP rzeczywiście w chwili debiutu był odbierany bardziej jako obiekt sztuki niż designu. Po dekadzie jego obecności na rynku funkcjonuje jako obiekt pogranicza, przekraczający definicje sztuki i designu – czyli jak większość naszych projektów. Zdecydowanie jednak PLOPP jest przemiotem niezwykłym, propozycją dla osób ceniących artystyczno-technologiczne akcenty we wnętrzach. I faktycznie, to fantastyczne widzieć PLOPP-y w tylu miejscach na świecie – od prywatnych mieszkań po galerie i muzea.

A gdzie najczęściej PLOPP znajduje swoje miejsce?
Powiedziałbym, że u entuzjastów. U ludzi, którzy potrafią docenić radykalne podejście do designu, jego oryginalność oraz konsekwencję w działaniu projektanta. Cieszę się, że żyjemy w czasach, w których ludzie są na tyle wrażliwi, że mogą otworzyć się na formę budzącą emocje i opowiadającą historię.

Na wystawie w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego połączyłeś siły z artystami. Powstało kilkanaście ilustracji, dla których punktem wyjścia był jeden z zaprojektowanych przez Ciebie przedmiotów. Marzysz, by zapisać się na kartach historii sztuki?
Lubię działać interdyscyplinarnie, łączyć różne wątki. Chciałbym stworzyć z nich jeden ciekawy dokument, tak aby ktoś, kto za 100 lat będzie studiował nasze dzieje, miał ich pełny wymiar. Projekt „Zieta Ilustrowany" może być takim świadectwem. Łączy świat obrazu, koloru, technologii i sztuki. Na wystawie zestawiamy ilustrowaną interpretację metalowych obiektów z realnymi lustrami, lampami czy wazonami. Wspólnie opowiadają o pasji tworzenia. Dopełnieniem ekspozycji są prace Poli Dwurnik i grawerowane linie Jamesa Jeana. Technologicznym akcentem są multimedialne ekspozytory Samsung The Frame, których idea jest tożsama z działaniami Zieta Studio, czyli z łączeniem technologii, sztuki i designu. I tak jak my, Samsung buduje swoją obecność w domowych wnętrzach i przestrzeniach galeryjnych. Oby tylko takie były świadectwa naszych dziejów.
Zapraszam serdecznie do IWP, wystawa potrwa do 10 maja. ■

Fot. Zieta Studio

Fot. dzięki uprzejmości PGS Sopot, Tomasz Maryks, Adrian Sokołowski

RESORT Z POTENCJAŁEM

Dla biznesu, relaksu, urody

Green Mountain, czyli mnóstwo pomysłów na atrakcyjny wypoczynek oraz sprawna organizacja konferencji.

▶ Szukających miejsca na wyjątkowy event firmowy do sprawdzenia swojej oferty zaprasza pięciogwiazdkowy hotel i apartamenty Green Mountain w Karpaczu, u podnóża Śnieżki. Położony z dala od zgiełku, elegancki i doskonale wyposażony, jest idealnym miejscem zarówno na spotkania biznesowe, jak i wypoczynek. Szerokie możliwości organizacji wydarzeń daje zaplecze konferencyjne z pięcioma salami o łącznej powierzchni 400 m². Ofertę dla klientów biznesowych dział MICE dopasowuje indywidualnie, uwzględniając oczekiwania, także te kulinarne. W Green Mountain mogą wybrać między kuchnią włoską w Restauracji Albero a rodzimą w restauracji Kuchnia Po Polsku. To także idealne miejsce dla poszukujących odpoczynku, relaksu i wyciszenia. W strefie wellness znajdują się baseny, wanny z hydromasażem, sauny, a także salon Dr Irena Eris Beauty Partner. Lokalizacja w otulinie Karkonoskiego Parku Narodowego gwarantuje piękne widoki na górski krajobraz oraz bliskość szlaków turystycznych. Sprzed hotelu goście dotrą na Śnieżkę, najwyższy szczyt Karkonoszy.
www.green-mountain.pl

Z RYSOWANYMI PEJZAŻAMI MIEJSKIMI W TLE

SENSUALNIE, Z WYOBRAŹNIĄ

▶ **Mazda 2 Hybrid** jest elegancka, szybka i zwinna, przyjemna w prowadzeniu, zarówno na głównych arteriach, jak i w wąskich bocznych uliczkach. Została stworzona do miasta. Ma dbać o jego środowisko. Na krótkich dystansach hybrydowy układ napędowy samochodu umożliwia całkowicie elektryczną, a tym samym bezemisyjną jazdę. Wysokiej klasy wnętrze auta, skrupulatnie wykonane przez mistrzów rzemiosła, pozwala pasażerom poczuć się jak w domu. Mazda 2 Hybrid została zaprojektowana niezwykle starannie również pod kątem bezpieczeństwa. Wśród wielu udogodnień wspierających kierowcę są np. czujniki, które sczytują prędkość ze znaków drogowych i sygnalizują jej przekroczenie. Tytuł kampanii promującej nowy model Mazdy to „Reimagine your City" (wyobraź sobie swoje miasto na nowo). Zaangażowany w nią został polski artysta Jan Bajtlik, który współpracuje także z Google, Hermesem i Swatchem. „Uwielbiam analizować przestrzenie miejskie. Można się w nich niemało nauczyć i zyskać świeże perspektywy. Każde miasto ma własny charakter. Przywołałem więc esencję wielu miast, które odwiedziłem, i przelałem ją na obrazy. Mają one swój odrębny charakter, ale są również neutralnym tłem, na którym samochód może zabłysnąć". Opinia Jana Bajtlika na temat Mazdy 2 Hybrid? „Samochody Mazdy mają coś, czego brakuje innym: dynamikę, która sprawia, że w wyglądzie i odbiorze są bardziej sensualne, wyróżnia je także równowaga projektowa". **www.mazda.pl**

THE FRAME 2024 NA WYSTAWIE „ZIETA ILUSTROWANY"

Spotkanie designu, sztuki i technologii

Ekspozycja w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego w Warszawie to wyjątkowy projekt artystyczny, który łączy dyscypliny oraz pozwala autorom wspólnie opowiadać historię tworzenia i wyrażać emocje. Kanwą wystawy są przedmioty zaprojektowane przez Oskara Ziętę. Jej dopełnieniem – ilustrowane interpretacje obiektów, przygotowane przez młodych artystów (to m.in. Karol Banach, Edgar Bąk, Iza Dudzik, Kuba Ferenc, Joanna Gniady, Jakub Kamiński, Agata Królak, Paweł Mildner, Maciej Polak, Paweł Szlotawa, Joanna Wójtowicz). W przestrzeni IWP zobaczymy też prace Jamesa Jeana, Poli Dwurnik i Mariana Misiaka. Część dzieł jest prezentowana na telewizorach The Frame firmy Samsung, które za sprawą Designu Obrazu oraz funkcji umożliwiającej wyświetlanie dzieł sztuki idealnie odnajdują się w domach, ale też galeriach. Wystawa potrwa do 10 maja. **www.samsung.com, www.instytutwzornictwa.com**

REKLAMA

KAROLINA JABŁOŃSKA

PRZETWORY

PRACE Z LAT 2023–24

Karolina Jabłońska
Przetwory.
Prace z lat 2023–24
29.05–28.07.2024

Państwowa Galeria Sztuki
w Sopocie
Plac Zdrojowy 2
81-720 Sopot

Organizatorzy PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI Sopot

Patroni medialni artinfo.pl esopot.pl

prestiż SZUM trojmiasto.pl Gazeta Pomorze

Fot. serwisy prasowe firm

APARTAMENTY NIESPOTYKANEGO FORMATU

Apartamenty Scala zlokalizowane w Śródmieściu Gdańska, 900 m od Neptuna, dają wolność bycia w centrum wydarzeń i przynoszą oddech w parkowej aranżacji osiedla, oddzielonego od głównego turystycznego traktu. **Scala to zupełnie nowy wymiar inwestycji.** Zamiast stanu deweloperskiego lokale wykończone są w Modelu M – podwyższonym standardzie Moderny, gotowym do zamieszkania.

moderna
Superior living

T: 585 733 733
MODERNA.PL

Niewypał

JULIUSZ ĆWIELUCH

Rząd udawał, że inwestuje w produkcję amunicji. Więc polska zbrojeniówka udawała, że ją produkuje. Teraz wojsko udaje, że ma czym strzelać.

Żart o polskiej zbrojeniówce: – *Nasi konstruktorzy jako pierwsi na świecie opracowali amunicję artyleryjską w technologii stealth (obniżona wykrywalność). Amunicja jest tak dobra, że nie wykrywa jej nawet własne wojsko.* Żart opowiada Z., człowiek przez wiele lat związany z branżą wojskową. Ale sam się z niego nie śmieje. – *Bo to w sumie nie jest żart* – tłumaczy.

Akt 1

Dramat polskiego programu amunicyjnego rozpisany jest na wiele aktów. Opowieść można zaczynać w różnych miejscach. Na przykład w punkcie, który w branży określany jest jako początek końca. Początkiem końca była końcówka lat 90. zeszłego wieku, kiedy w Pionkach ostatecznie padła linia do produkcji nitrocelulozy. Składnika bazowego do produkcji prochów. Linia była nieopłacalna, bo była wykalibrowana na produkcję masową. A wojsko od dawna masowo już nie strzelało ani nie kupowało. Nie bardzo zresztą miało za co. i po co. – *Magazyny były pełne. Pamiętam, że kiedy w 1996 r. przejąłem dowództwo dywizji, dokonałem inwentaryzacji stanu posiadania. W magazynach znalazłem m.in. pociski z 1948 r. Zapewniano mnie, że niczego im nie brakuje i nadal nadają się do strzelań* – wspomina gen. Mieczysław Cieniuch, emerytowany szef Sztabu Generalnego.

Kolejnym argumentem za niekupowaniem była wielka natowska unifikacja. Długo przed tym, kiedy 12 marca 1999 r. Polska została przyjęta do Sojuszu, nasi politycy obiecali swoim zachodnim kolegom, że dokonają szybkiej transformacji sprzętowej polskiej armii. W broni strzeleckiej oznaczało to przejście z amunicji kalibru 7,62 na 5,56. W artyleryjskiej do natowskich standardów brakowało nam zaledwie 3 mm. Wojska Układu Warszawskiego używały kalibru 152 mm, a NATO – 155 mm. Okazało się, że Polska potrzebowała 25 lat, żeby nadrobić te 3 mm.

Akt 2

Oficjalnie było świetnie. Zwłaszcza w państwowej telewizji. Nieprzyjemnie zrobiło się dopiero w lutym 2022 r., gdy Rosja napadła na Ukrainę. A już całkiem ▶

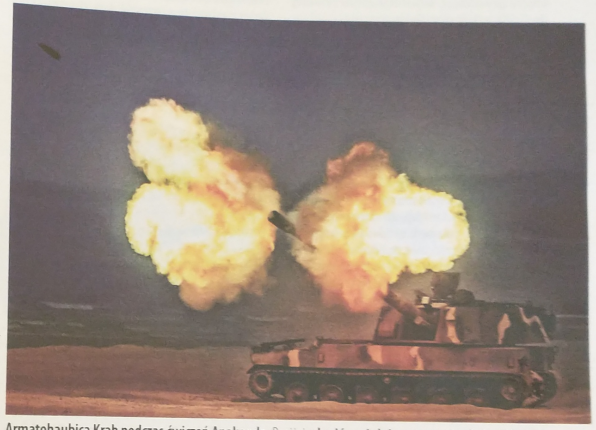

Armatohaubica Krab podczas ćwiczeń Anakonda. Poniżej: ukraińscy żołnierze uczą się obsługi Kraba.

© LESZEK KUJAWSKI, ANATOLII STEPANOV/AFP/EAST NEWS

▶ niemiło, kiedy Unia obnażyła możliwości polskiej zbrojeniówki. W październiku 2023 r. unijni technokraci położyli na stole 500 mln euro w ramach programu Act in Support of Ammunition Production (ASAP). Unia uznała, że potrzebuje rozkręcić produkcję amunicji artyleryjskiej do 2 mln sztuk pocisków rocznie.

Komunikat jest jasny. Wojskowe magazyny są puste. To ważna informacja dla Polaków, na wypadek gdyby ktoś liczył, że w razie wojny inni się z nami podzielą. W połowie marca 2024 r. ogłoszono wyniki konkursu. Polska dostała rekordowo niskie wsparcie. Naszym firmom przypadło zaledwie 2,13 mln euro. Czyli – jak skrupulatnie wyliczył były minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak – 0,42 proc. wartości programu. Błaszczak uznał, że to skandal. I miał rację. To skandal, że zbrojeniówka, za którą jako członek rządu PiS ponosił odpowiedzialność, nie miała w zasadzie nic do zaoferowania. A w tych obszarach, w których miała – materiały wybuchowe – bydgoski Nitro-Chem, wiodący producent trotylu na świecie, nie złożył w ogóle wniosku. Nikt nawet nie pokusił się, żeby odpowiedzieć dlaczego. W konkursie ASAP malutkie Węgry, które dopiero wstają z kolan w zakresie produkcji amunicji, dostały 13 razy więcej niż polskie firmy.

Akt 3

Skrót ASAP można również rozwinąć jako *As Soon As Possible* – tak szybko jak to możliwe. W realiach polskiej zbrojeniówki szybko to się zmieniali prezesi. Liderem grupy PGZ Amunicja jest Mesko SA. Firma, która historycznie rzecz ujmując, ma największe w kraju doświadczenie w zakresie produkcji amunicji. Ale też największe udziały w innych zakładach zbrojeniowych, które produkują komponenty do amunicji.

Mesko jakoś nie miało szczególnego szczęścia do prezesów. Ale za czasów PiS miało tego szczęścia wyjątkowo mało. Po tym jak w maju 2017 r. rozchorował się wieloletni pracownik i urzędujący od 8 lat prezes Waldemar Skowron, w firmie zaczęła się kręcić kadrowa karuzela. W 2018 r. tak przyśpieszyła, że formalnie przez pokój prezesa przewinęły się cztery osoby. Rekordzista zabawił tam dziesięć dni z weekendami. Dopiero Tomasz Stawiński miał szansę zarządzać firmą nieco dłużej. Ale w lipcu 2021 r., na fali kolejnych politycznych przetasowań w PiS, musiał pożegnać się ze stanowiskiem na rzecz Elżbiety Śreniawskiej, radnej świętokrzyskiego sejmiku. Śreniawska wcześniej przez 14 lat szefowała Miejskiemu Przedsiębiorstwu Komunikacji w Kielcach.

Jakie miała kompetencje w produkcji amunicji i rakiet? Prezydent Andrzej Duda uznał, że chyba ogromne. We wrześniu 2023 r. odznaczył prezes Śreniawską brązowym Krzyżem Zasługi za „wysiłek na rzecz umacniania suwerenności i obronności kraju". Dokładnie rok wcześniej zasługi te szczegółowo zbadała kielecka delegatura Najwyższej Izby Kontroli. 54-stronicowy raport, pomimo ponad 600 wykreśleń, które wymusiło Mesko, nadal jest druzgocącym zapisem braku kompetencji i sukcesów.

Akt 4

W tym momencie opowieści należy cofnąć się o niemal sto lat. W latach 20. zeszłego wieku również wierzono, że wojen już nie będzie. W 1922 r. Francja sprzedała Polsce jedną ze swoich linii do produkcji prochu. Bardzo nowoczesną jak na owe czasy. Fabrykę prochu zlokalizowano w Pionkach koło Radomia. Rozpoczęto produkcję i z sukcesami kontynuowano do 2015 r. Kiedy odwiedzałem wówczas ten zakład, poważną bolączką dyrekcji był dylemat: skąd weźmie nowego rymarza? Zakupione od Francuzów urządzenia napędzane były skórzanymi pasami transmisyjnymi. Kolejnym problemem była pogarszająca się jakość lnu. W lnianych woreczkach odbywał się proces suszenia prochów. Pracownice, bo w Pionkach to one przeważały, ręcznie zawieszały te woreczki w urządzeniach suszących. Właściwie zakład, niczego nie zmieniając, mógł zostać wspaniałym skansenem. Wystarczyło biletować wejścia i wszyscy byliby zadowoleni. Ktoś jednak wpadł na pomysł, że w Pionkach powstanie linia do produkcji nowoczesnych prochów.

Siedem lat później kielecka delegatura NIK postanowiła się przyjrzeć, jak wyglądają postępy. Oddajmy głos kontrolerom. „Przeprowadzone 29 marca 2022 r. oględziny maszyn i urządzeń zakupionych w ramach projektu 44,7 wykazały m.in., że część nie została zamontowana i nie była użytkowana. Urządzenia zostały jedynie częściowo odpakowane, posadowione były na paletach transportowych. Żadne z urządzeń nie było użytkowane ani uruchamiane. Budynek, w którym się znajdowały, nie był według wyjaśnień docelowym miejscem, w którym urządzenia miały się znajdować i być wykorzystywane, gdyż budynki docelowe jeszcze nie powstały". W swojej złośliwej dociekliwości kontrolerzy NIK poszli jeszcze dalej. I zaczęli analizować, co tak naprawdę kupiono.

Okazało się, że podobne pytania zrodziły się w samym Mesku, które zleciło zewnętrzną analizę kupionych za ponad 15 mln zł urządzeń. Ponownie oddajmy głos kontrolerom: „Z ekspertyzy wynika, że spośród 18 objętych analizą maszyn/urządzeń 11 było zgodnych z warunkami zamówień, dostarczoną dokumentacją techniczną i kompletnych". 11 to w sumie dużo. Ale nawet pracowników Pionek gniotło, że może nie wszystko poszło jak należy. Tym razem posłuchajmy, co kontrolerom NIK powiedzieli sami pracownicy: „Te maszyny stały zapakowane w pudłach i nikt nie widział, co tam jest. Poprosiłem o inwentaryzację, chciałem mieć pewność, że kupiliśmy to, co potrzebne". Trudno powiedzieć, czy do dziś ktokolwiek zna odpowiedź na to frapujące pytanie. Przekonamy się, kiedy Polska zacznie produkować jakiś proch. Dziewięć lat budowania i dwa lata wojny za wschodnią granicą to widać za mało, żeby Polska wreszcie zmobilizowała się do produkcji prochu.

Akt 5

Jest rok 2023. Próba wyprowadzenia ofensywy przez Ukraińców rozbija się na rosyjskich umocnieniach i polach minowych. Rosyjscy dowódcy czują krew i teraz to oni popędzają swoich żołnierzy do kontrataków. Ukraińcy trzymają ich na dystans głównie dzięki artylerii. W ostrzale Rosjan prym wiodą polskie armatohaubice Krab. 54 takie działa Ukraińcy dostali w prezencie jeszcze w 2022 r. Na podstawie decyzji polskich władz do jednostek wojskowych przyjechały lawety i zabrały sprzęt wprost z wojskowych magazynów. Kolejne 54 Kraby Ukraińcy kupili w czerwcu 2022 r. za 2,7 mld zł.

Polska zbrojeniówka cieszyła się z tego lukratywnego kontraktu bardzo krótko. Rząd PiS zapowiedział, że polska armia potrzebuje docelowo tysiąc takich armatohaubic i zaczął je kupować. Ale głównie w Korei. Kto krytykował takie podejście do własnej zbrojeniówki, tracił pracę. Jedna z takich osób opowiada, czego o Krabie dowiedzieliśmy się dzięki wojnie w Ukrainie: „Sprzęt się ogólnie sprawdził. System kierowania ogniem, systemy naprowadzania, wszystko działa, jak trzeba. Problemy zaczęły się pojawiać później, kiedy okazało się, że na tej wojnie nie ma zmiłuj. Lufa w Krabie powinna przejść przegląd albo wymianę po wystrzeleniu 2,5 tys. pocisków. Ukraińcy mają lufy, z których oddali już 10 tys. strzałów. Mamy potwierdzone przypadki, że z braku amunicji 155 mm metodą chałupniczych przeróbek strzelali pociskami 152 mm. Przy takim użytkowaniu trudno się dziwić, że nie trzymają parametrów. To znaczy, że my również musimy się liczyć z ekstremalnym eksploatowaniem sprzętu. Zarzynamy własny

przemysł, a karm
w tym jest sens?".
Byłego pracown
trudno uznać za o
podejścia do kor
Ale pytanie jest
to, skąd Polska w
wszystkich dział
dukcyjne w kali
dzisiejszy szacow
sków rocznie. W
takiego jak w Uk
czająca do strze
A co z resztą?

Akt 6

Zawsze znajd
wybrnie i z takie
cież wolny ryne
2023. Ale przer
bardzo daleko.
Południowej A
ny producent
Swego czasu t
sąsiadów i szyk
światem, któr
za politykę apa
ła, apartheid si
amunicji zosta
Przyparty d
nowił kupić ta
nicji. Nic wie
z tego. Kulisy
z polskimi sł
„Nie po to p
Putina, żeby
że i kukurydz
jakimś małym
się na tym, że
ale nie zreali
zależało na n
tuacji. A szk
dowiedzieliby
to skończy si
o amunicję.
coś w czasie
bały się to zr

Akt 7

W tym m
daje sobie
jest takieg
Polska mia
wać milion
to z milione
sobie pora
nie ma. I ra
nicję próbu
Niektórzy t
W 2008 r
do produk
znamy po
dy był to

© PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

przemysł, a karmimy koreański, gdzie w tym jest sens?".

Byłego pracownika Huty Stalowa Wola trudno uznać za obiektywnego w kwestii podejścia do koreańskiego konkurenta. Ale pytanie jest zasadne. Podobnie jak to, skąd Polska weźmie amunicję do tych wszystkich dział, skoro nasze moce produkcyjne w kalibrze 155 mm na dzień dzisiejszy szacowane są na 20 tys. pocisków rocznie. W warunkach konfliktu takiego jak w Ukrainie to liczba wystarczająca do strzelania z dwóch Krabów. A co z resztą?

Akt 6

Zawsze znajdzie się jakiś mądrala, który wybrnie i z takiego kłopotu – mamy przecież wolny rynek i sobie kupimy. Jest rok 2023. Ale przenosimy się daleko. Nawet bardzo daleko. Konkretnie do Republiki Południowej Afryki. RPA to gigantyczny producent amunicji dużego kalibru. Swego czasu ten kraj wojował z połową sąsiadów i szykował się na wojnę z całym światem, który obłożył RPA sankcjami za politykę apartheidu. Wojna się skończyła, apartheid się skończył, a wielka fabryka amunicji została.

Przyparty do muru polski rząd postanowił kupić tam kilka tysięcy sztuk amunicji. Nic wielkiego. Okazało się, że nic z tego. Kulisy zdradza człowiek związany z polskimi służbami dyplomatycznymi: „Nie po to pół Afryki pojechało błagać Putina, żeby odblokował ukraińskie zboże i kukurydzę, żeby teraz narazić mu się jakimś małym kontrakcikiem". Skończyło się na tym, że kontrakt został podpisany, ale nie zrealizowany. Żadnej ze stron nie zależało na nagłaśnianiu tej kłopotliwej sytuacji. A szkoda, bo przynajmniej Polacy dowiedzieliby się, że jak wybuchnie wojna, to skończy się na tym, że będziemy błagać o amunicję. Czy inne kraje sprzedadzą nam coś w czasie wojny, skoro w czasie pokoju boją się to zrobić?

Akt 7

W tym momencie już chyba każdy zadaje sobie pytanie: co w tym wszystkim jest takiego skomplikowanego? Skoro Polska miała ambicję, aby wyprodukować milion samochodów elektrycznych, to z milionem pocisków artyleryjskich też sobie poradzi. Po pierwsze, miliona lzer nie ma. I raczej nie będzie. A własną amunicję próbujemy produkować już od 14 lat. Niektórzy twierdzą, że nawet od 16 lat.

W 2008 r. zapadła decyzja, żeby wdrożyć do produkcji armatohaubicę, którą dziś znamy pod nazwą handlową Krab. Wtedy był to dywizjonowy moduł ogniowy Regina. (Podobno matka jednego z generałów miała tak na imię). Ambicje zaprojektowania i wdrożenia do produkcji własnej amunicji kaliber 155 mm szybko prysły. Przemysł uznał takie przedsięwzięcie za „niemożliwe do realizacji z przyczyn ekonomicznych" i przystąpiono do „poszukiwań zagranicznego partnera, z którym współpraca umożliwiłaby uruchomienie w kraju licencyjnej produkcji takiej amunicji". Brzmi dobrze, co może pójść nie tak? Odpowiedź brzmi: wszystko.

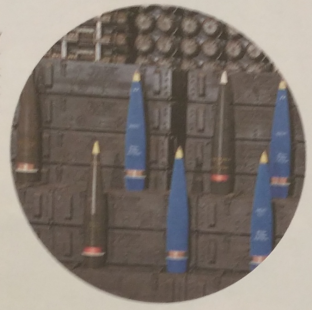

Akt 8

Skorupa. Każdy, kto siedzi w przemyśle amunicyjnym, wie, że skorupa to podstawa. To coś, co wylatuje z lufy napakowane po sam czubek trotylem, a zakończone jest zapalnikiem. Zapalnik po uderzeniu w cel inicjuje wybuch materiału miotającego. Ciśnienie rozrywa skorupę. A resztki skorupy mają rozerwać wszystko, co znajdzie się na ich drodze. W sumie proste. Prześledźmy więc, jak miały powstawać skorupy, które polska zbrojeniówka postanowiła produkować dzięki licencji pozyskanej od słowackiej firmy ZVS Holding.

Umowę podpisano w grudniu 2016 r. Produkcja poszczególnych elementów miała być przenoszona do Polski etapami. Nas interesuje skorupa. Według oficjalnego harmonogramu polonizację produkcji skorup zapisano w III etapie polonizacji produkcji. Zadanie powierzono firmie Mesko SA oddział Kraśnik-Bolechowo. Menedżerowie kontraktu zabezpieczyli się solidnym zapasem czasowym. Trzeci etap realizacji miał się zakończyć w 2018 r. Okazało się, że osiem lat to jednak za mało, żeby zacząć produkować skorupę. Wojsko było jednak wyrozumiałe. W 2018 r. podpisano aneks, na mocy którego realizację trzeciego etapu przesunięto na rok 2021. W tym czasie też się nie udało. Produkcja skorup w zakładach Kraśnik-Bolechowo ruszyła w 2023 r.

Akt 9

Jeśli w tym momencie ktoś z czytających odetchnął z ulgą, popełnił błąd. Żeby pocisk (skorupa wypełniona ładunkiem wybuchowym) mógł wylecieć z lufy, potrzebny jest ładunek miotający. W przypadku amunicji kaliber 155 mm nie jeden, a nawet sześć takich ładunków. W sumie jakieś 18 kg prochu wielobazowego (czyt.: takiego, którego nie potrafimy produkować). I jeszcze ładunek typu BB (Base Bleed) – nazywany również gazogeneratorem. Tylko wtedy ważący 43 kg pocisk poleci na odległość co najmniej 40 km. Im bardziej oddalimy artylerię od linii wroga, tym większa szansa, że jej nie stracimy. Nie chcemy niczego tracić. I znowu wracamy do fabryki skorup.

Kiedy już Kraśnik zaczął produkować skorupy do polskiej amunicji artyleryjskiej, ktoś wreszcie zorientował się, że zakład leży niespełna 160 km od granicy z Białorusią. Za to 514 km od Bydgoszczy, w której znajdują się zakłady Nitro-Chem SA, w których następuje elaboracja skorup, czyli zalewanie ich trotylem. A zapalniki do tej amunicji produkuje firma Dezamet SA, który zlokalizowany jest z kolei 150 km od granicy z Ukrainą. Biorąc pod uwagę, że rosyjskie rakiety dolatują nawet pod Bydgoszcz, to może w sumie nie mieć większego znaczenia. Ale jednak pojawiły się głosy, że trzeba coś z tym zrobić. Nie zdecydowano tylko co.

Akt 10

Na produkcji amunicji dużego kalibru polska zbrojeniówka może zarobić prawie 11 mld zł. Takie pieniądze położył na stole tzw. trzeci rząd Morawieckiego. Pieniądze zostały nawet położone na bardzo konkretnym stole. Wieloletnią umowę ramową na produkcję amunicji artyleryjskiej wojskowa Agencja Uzbrojenia podpisała z konsorcjum PGZ-Amunicja. Tworzą je firmy, o których już wspomniano: Mesko wraz z oddziałami w Pionkach i Kraśniku, Dezamet, Nitro-Chem. Plus Zakład Produkcji Specjalnej Gamrat i Zakłady Elektromechaniczne Belma.

Nowe władze PGZ dopiero próbują okrzepnąć w firmie. Prezesem został Krzysztof Trofiniak, który wdrażał produkcję Krabów. Temat kłopotów z amunicją 155 mm zna od podszewki. Sam się z nim zmagał w trakcie strzelań testowych. Jest nadzieja, że nowy zarząd PGZ, jak mówią wojskowi, dowiezie temat amunicji. Nadzieja – w naszej sytuacji to już coś.

JULIUSZ CWIELUCH

Była gwiazda porno Stormy Daniels stała się ikoną kontestatorek.

© MIKE PONT/GETTY IMAGES

Skandal z końską twarzą

Czy Amerykanki pogrążą Donalda Trumpa przy urnie wyborczej? A może wcześniej – na sali sądowej? Pierwszy proces właśnie się zaczął.

© MIKE FONTGETTY IMAGES

zą

ej?

aczął.

MARIUSZ ZAWADZKI

Większość Amerykanek głosowała dotąd przeciw Donaldowi Trumpowi. I wydaje się to dość zrozumiałe, bo – abstrahując od polityki – kandydat Republikanów wielokrotnie dał się poznać jako niepoprawny męski szowinista.

Dlatego wyniki z wyborów prezydenckich w 2016 i 2020 r. nie zaskakują. W obu przypadkach tylko 42 proc. kobiet zagłosowało na Trumpa. Jednakże liczby przestają być oczywiste, jeśli zajrzeć w statystyki nieco głębiej. Otóż przeciwko Trumpowi były kobiety czarnoskóre (ponad 90 proc.) i latynoskie (70 proc.), ale białe kobiety głosowały w większości na niego! 52 proc. osiem lat temu i nawet jeszcze więcej, bo 55 proc., cztery lata temu.

„Białe kobiety znów poparły Trumpa, który przez całą swoją kadencję, i w ogóle całe życie, wyszydzał je i poniżał" – dziwił się czarnoskóry felietonista „New York Timesa" Charles Blow. Postępowe celebrytki i aktorki, które prowadzą w telewizji ABC popularny talk-show „The View" (m.in. Whoopie Goldberg), pomstowały, że białe kobiety „zachowują się jak karaluchy, które głosują na Raid".

Białe Amerykanki jednak z reguły wybierają Republikanów. Od 1952 r. tylko dwukrotnie poparły kandydatów Demokratów – w 1964 r. Lyndona Johnsona, a w 1996 r. Billa Clintona (który, paradoksalnie, w relacjach z paniami również nie uchodzi za wzór do naśladowania). Dlaczego? Po pierwsze, bo Republikanie z reguły obiecują stabilizację, bezpieczeństwo i konserwatywne wartości. Czyli wszystko to, co Amerykanki w wieku balzakowskim lub postbalzakowskim z reguły preferują (te młodsze, czyli poniżej 30 lat, niekiedy wyznają inne wartości, ale głosują znacznie rzadziej). Po drugie, bo Trump uderza w starą strunę – rasistowską.

22 lutego br. w mieście Athens w stanie Georgia została zamordowana 22-letnia Laken Riley, biała studentka pielęgniarstwa na tamtejszym uniwersytecie. Podejrzanym jest 26-letni nielegalny imigrant z Wenezueli. Prawica oczywiście wykorzystała to zabójstwo, żeby nakręcić ogólnonarodową histerię przeciwko nielegalnym przybyszom. I uderzyć w prezydenta Joe Bidena, bo w ostatnich miesiącach liczba nielegalnych przekroczeń na granicy z Meksykiem jest faktycznie rekordowa.

„Musimy raz na zawsze wyzwolić kraj od Bidena, od jego armii imigrantów i groźnych kryminalistów, których wpuszcza do kraju – krzyczy Trump na wiecach. – Rabunki, gwałty i zabójstwa, czyli cała ta krwawa łaźnia, skończą się w dniu, w którym zostanę prezydentem".

W rzeczywistości jest zupełnie odwrotnie: wśród imigrantów jest relatywnie znacznie mniej groźnych przestępców niż wśród rodowitych mieszkańców. Statystyczny rodowity Amerykanin ma ponad dwa razy większą szansę aresztowania za brutalne przestępstwo niż przeciętny nielegalny imigrant – tak wynika m.in. z badań opublikowanych w 2020 r. przez Uniwersytet Princeton. Jednak opinia publiczna – już nie tylko Republikanie – słucha Trumpa. W badaniu Uniwersytetu Harvarda i Harris Center z końca marca br. 36 proc. ankietowanych (czyli najliczniejsza grupa) stwierdziło, że nielegalna imigracja jest największym problemem Ameryki.

Narodowa histeria stała się faktem i bardzo przypomina coś, co już w Ameryce było. Po wojnie secesyjnej, kiedy zniesiono niewolnictwo, ale południowe stany wprowadziły segregację rasową, powszechna była fobia przed czarnymi, którzy gwałcili białe kobiety. Rzekoma (lub prawdziwa) napaść seksualna na białą kobietę była przyczyną znacznej części z ok. 5 tys. linczów od końca XIX do połowy XX w. Oczywiście gwałty zdarzały się naprawdę, jednakże skala zjawiska była wyolbrzymiona ponad wszelką miarę. Podobnie teraz wyolbrzymiane jest zagrożenie ze strony nielegalnych przybyszów. Ich napływ został przez Trumpa zręcznie przedefiniowany jako problem białych kobiet, na które znów – jak sto lat temu – czyhają rasowo obcy mordercy i gwałciciele.

Demokraci liczą na to, że Amerykanki – także białe – bardziej od imigrantów boją się zakazu aborcji. „My, kobiety, musimy się w 2024 r. zorganizować, bo nasza wolność jest zagrożona. Jesteśmy pierwszym pokoleniem w historii Ameryki, które daje swoim córkom mniej praw, niż same miałyśmy" – alarmowała Jill Biden, żona prezydenta, na niedawnym wiecu w Georgii. Kiedy Trump był przy władzy, nominował do Sądu Najwyższego troje konserwatywnych sędziów. Dzięki temu w dziewięcioosobowym składzie dominują konserwatyści, którzy dwa lata temu anulowali obowiązujące od 1973 r. federalne prawo do aborcji. Teraz każdy z 50 stanów sam niezależnie ustala zasady przerywania ciąży, kilkanaście już tego zakazało. Kobiety żyjące w tych restrykcyjnych stanach, jeśli chcą usunąć ciążę, muszą jechać do jednego z 20 „aborcyjnie liberalnych" stanów. Nie wszystkie mają pieniądze czy odwagę na takie podróże.

W wyborach do Kongresu w 2022 r. wyrok Sądu Najwyższego w sprawie aborcji okazał się, paradoksalnie, ratunkiem dla Partii Demokratycznej. Zamiast miażdżącego zwycięstwa Republikanów, jakie kilka miesięcy wcześniej prorokowały sondaże, skończyło się prawie remisem. Oburzone kobiety z obozu *pro-choice* zagłosowały za Demokratami. Czy dziś nadal są oburzone i w listopadzie przechylą szalę na stronę Bidena? Niestety dla Demokratów nie jest to takie proste.

W wyborach prezydenckich bierze udział dużo więcej ludzi (w 2022 r. kongresmenów wybrano głosami 108 mln osób, w 2020 r. prezydenta i kongresmenów wybierało 156 mln). Wyborcy, którzy głosują regularnie co dwa lata, są dużo bardziej świadomi i zaangażowani politycznie. W tym roku znowu będzie przy urnach ok. 50 mln dodatkowych wyborców – mniej wyrobionych, dla których najważniejsze jest, „czy żyje im się lepiej". Sprawy takie, jak aborcja są dla nich mniej istotne. A jeśli zapytać Amerykanów, czy żyje im się lepiej niż cztery lata temu, to jedna czwarta odpowiada, że „lepiej", jedna czwarta, że „tak samo", a połowa – że „gorzej". Dlatego próby mobilizacji kobiet, które podejmuje sztab wyborczy Bidena, mogą się skończyć porażką.

Nadzieją dla Demokratów pozostaje znowu Sąd Najwyższy, który przed wyborami wyda kolejny istotny wyrok – tym razem w sprawie pigułki aborcyjnej. W zeszłym roku była ona wykorzystana w Stanach Zjednoczonych 600 tys. razy (na milion aborcji ogółem). Jednak w grudniu sąd apelacyjny w Teksasie zakazał używania tej pigułki w wielu przypadkach (np. lekarz nie może jej wypisać pacjentce podczas zdalnej wizyty). Teksański wyrok dotyczy całego kraju, ale na razie nie obowiązuje – do czasu decyzji Sądu Najwyższego. Gdyby został utrzymany i wszedł w życie, kampania mobilizacji kobiet dostałaby duży zastrzyk paliwa.

Szanse na pokonanie Trumpa przez miliony oburzonych Amerykanek są relatywnie niewielkie. Już prędzej zostanie zatrzymany przez jedną: gwiazdę filmów porno Stormy Daniels. 15 kwietnia rozpoczął się w Nowym Jorku proces karny Trumpa – pierwszy z czterech, najmniej istotny, ale bodaj jedyny, w którym wyrok może zapaść jeszcze przed wyborami. Daniels odgrywa w nim rolę sprawczą. Należy się domyślać, że ta 45-letnia „prosta dziewczyna z Luizjany" (jak sama określa swoje korzenie) ▶

▶ wyjątkowo działa Trumpowi na nerwy, bo oboje mają podobną mentalność i poczucie humoru. Kiedy były prezydent przezywa ją na wiecach i na Twitterze „końską twarzą" (*horse face*), ona mówi o nim „malutki" (*tiny*; i nie chodzi tu o wzrost, bo Trump mierzy 1,90 m), a w telewizyjnych talk-show szydzi, że „seks, który uprawialiśmy, to był najmniej imponujący seks w moim życiu".

Oboje mają równie transakcyjne podejście do relacji międzyludzkich, do czego Stormy się otwarcie przyznaje. Kiedy przypadkiem spotkali się w 2006 r., Trump był gwiazdorem telewizyjnego show „The Apprentice", a jej – striptizerce i aktorce porno z dużym biustem – marzył się transfer do mainstreamowego nurtu popkultury. Na turnieju golfowym w Utah występowała w charakterze hostessy. Umówiła się z Trumpem na kolację i poszła do jego pokoju hotelowego, ponieważ obiecywał, że może jej załatwić występ w „The Apprentice". Kiedy po kilku miesiącach się przekonała, że tylko ją zwodził, zakończyła znajomość.

10 lat później, kiedy Trump był kandydatem Republikanów na prezydenta, postanowiła skorzystać z okazji, żeby zarobić na dawnej znajomości. Planowała za pieniądze opowiedzieć wszystko w mediach, ale ostatecznie podpisała zobowiązanie do milczenia w zamian za 130 tys. dol., które przekazał jej Michael Cohen, adwokat Trumpa.

Sprawa wydawała się zamknięta aż do 2018 r., kiedy opisał ją dziennik „Wall Street Journal". Nowojorska prokuratura wszczęła śledztwo, a Stormy wreszcie weszła do popkulturowego mainstreamu, ale nie tak, jak kiedyś marzyła. Wprawdzie wystąpiła w CNN, w talk-show Jimmy'ego Kimmela i nawet w najpopularniejszym w Ameryce programie rozrywkowym „Saturday Night Live", ale jej życie prywatne zamieniło się w cyrk. Przed jej domem nieustannie koczują dziennikarze, siedmioletnia córka nie może nawet wyjść na rower, w mediach społecznościowych i w telefonie ciągle pojawiają się pogróżki od zagorzałych fanów Trumpa. Jej koń został w stajni ostrzelany gumowymi kulami przez nieznanych sprawców.

Stormy pozwała Trumpa o zniesławienie (bo nazywał ją „oszustką"), ale przegrała – sąd w Los Angeles uznał, że wypowiedź jest chroniona przez wolność słowa. Teraz jest mu winna pół miliona dolarów (zwrot kosztów procesowych). Wszyscy dookoła próbują ją wykorzystać, nawet jej własny prawnik Michael Avenatti, który stał się celebrytą i regularnym gościem największych telewizji, ukradł jej 300 tys. dol. (za co został skazany na więzienie). W rezultacie Stormy jest psychicznym wrakiem. Ma poczucie, że cały świat jest przeciwko niej. Opowiada o tym zaskakująco dobry film dokumentalny „Stormy", który kilka dni temu miał premierę na amerykańskim serwisie streamingowym Peacock.

„Mogę wyjść na środek Piątej Alei w Nowym Jorku i kogoś zastrzelić, a i tak nie stracę wyborców" – mówił Trump w kampanii wyborczej 2016 r. I od tamtej pory wszystko zdawało się to potwierdzać. Jednak obecne sondaże rodzą wątpliwość. W badaniu Ipsos przeprowadzonym na zlecenie portalu Politico w marcu br. aż 36 proc. wyborców niezależnych i 9 proc. elektoratu Republikanów stwierdziło, że wyrok skazujący Trumpa w procesie w Nowym Jorku zmniejszyłby szanse ich poparcia. To może się okazać kluczowe w listopadzie, bo zwykłe sondaże wskazują zaledwie jednoprocentową przewagę Trumpa nad Bidenem (marcowa średnia według portalu RealClearPolitics). Dlatego nowojorski proces jest tak ważny.

Jego istotą nie jest 130 tys. dol. potajemnie zapłacone za milczenie – takie umowy są w Ameryce całkowicie legalne – lecz sposób, w jaki pieniądze zostały przekazane. Gdyby Trump wyjął gotówkę z kieszeni, wypisał czek na swoje nazwisko albo wykonał przelew z własnego konta, nie zostałby o nic oskarżony. Było jednak inaczej. Kilka dni przed wyborami 2016 r. Cohen z własnego konta przelał te pieniądze dla Stormy Daniels, a w następnych miesiącach dostał zwrot w kilku ratach. Przy czym przelewy od Trump Organization do Cohena księgowano jako „koszty obsługi prawnej". Prokuratura twierdzi, że to oszustwo księgowe, bo żadnych „usług prawnych" nie było. Ale znów, takie oszustwo samo w sobie byłoby niewielkim wykroczeniem. Chyba że jego celem jest ukrycie przestępstwa. I tak właśnie, zdaniem prokuratury, stało się w tym przypadku.

Celem przelewu Cohena dla Daniels było ułatwienie Trumpowi wygranej w wyborach, a zatem chodzi o wsparcie dla kampanii wyborczej. Tymczasem w USA najwyższa dopuszczalna dotacja wyborcza od osoby prywatnej to 3300 dol. Cohen przekazał więc Trumpowi nielegalną dotację, za co zresztą został w 2018 r. skazany na trzy lata więzienia. Przyznał się do winy i oświadczył, że dokonał przelewu na polecenie Trumpa, tym samym implikując, że ówczesny prezydent był jego wspólnikiem w przestępstwie. Cohen jest już od trzech lat na wolności i będzie kluczowym świadkiem w procesie, w którym Trump może zostać skazany nawet na 4 lata więzienia.

Przez cały pierwszy tydzień procesu wybierano 12-osobową ławę przysięgłych – spośród ponad setki kandydatów. Na Manhattanie, gdzie w wyborach w 2020 r. Trump dostał tylko 14 proc. głosów, trudno znaleźć bezstronnych ławników. Dlatego m.in. były prezydent uważa, że proces jest stronniczy. Jednak z drugiej strony wystarczy, żeby wśród ławników znalazł się jeden, który na koniec uzna, że Trump jest niewinny – wtedy proces skończy się bez wyroku, czyli de facto uniewinnieniem.

W wyborze ławników obrońcy i prokuratorzy biorą aktywny udział, jedni i drudzy mogą arbitralnie skreślić po 10 kandydatów. Zatrudnili więc sztaby researcherów, którzy sprawdzają aktywność potencjalnych ławników w mediach społecznościowych. Już na dzień dobry połowa powołanych osób stwierdziła, że nie mogą być bezstronne – i zostały odesłane do domów. Ci, którzy pozostali, musieli odpowiadać na dziesiątki pytań od sędziego, obrońców i prokuratorów (jakie masz hobby, jakie gazety czytasz, co sądzisz o Trumpie, czy znasz jego książki itd). Wreszcie się udało – ławnicy są wybrani, jednak sędzia Juan Merchan zażądał od mediów, żeby ze względu na ich bezpieczeństwo nie ujawniać ich tożsamości. Wiadomo tylko, że w ławie zasiada siedmiu mężczyzn i pięć kobiet.

Kiedy jej sekretne relacje z Trumpem wyszły na jaw, Daniels wróciła do zawodu striptizerki i wynajętym autobusem ruszyła w objazd po Ameryce – żeby, jak wyjaśnia, zmonetyzować swoją popularność. Jednak w Ameryce nawet striptiz stał się polityczny. W Columbus w stanie Ohio policjanci w cywilnych przebraniach przyszli do klubu i sprowokowali ją, żeby ich dotykała podczas występu. A potem ją zatrzymali, bo w Ohio striptizerki nie mogą dotykać klientów. Po kilkunastu godzinach została wypuszczona z aresztu, a zarzuty wycofano. Wkrótce się okazało, że policjanci są sympatykami Trumpa. Zostali dyscyplinarnie ukarani za prowokację, a władze miasta wypłaciły Stormy 450 tys. dol odszkodowania. Tym sposobem awansowała ze striptizerki na dysydentkę prześladowaną z powodów politycznych.

W wywiadzie dla „Vogue'a" opowiada, że na jej występy w klubach nocnych przychodzą zupełnie inni ludzie niż kiedyś. Nie ma już spoconych mężczyzn w średnim wieku, którzy znają ją z filmów. Zastąpili ich wszelkiej maści kontestatorzy: zbuntowane kobiety, podstarzałe dzieci kwiaty, pary homoseksualne, imigranci – wszyscy, których łączy obrzydzenie do Trumpa. „Jesteś patriotką, ratujesz Amerykę, pokonasz go, kochamy cię!" – mówią jej.

MARIUSZ ZAWADZKI

Zrównoważony rozwój od dziesięcioleci stanowi integralną część kultury korporacyjnej koncernu Henkel. Za dobre praktyki biznesowe firma wielokrotnie bywała wyróżniana – w tym roku znalazła się w gronie laureatów nagrodzonych LPR/Europool Sustainability Awards For FMCG, a od czterech lat sama jest patronem jednej z nagród w konkursie ECU Sustainability Awards przyznając Henkel Sustainability Awards For Retail.

Działania Henkel Polska doskonale wpisują się w szeroko zakrojoną strategię społecznej odpowiedzialności biznesu. Jej trzy główne obszary to: regeneracja planety, czyli tworzenie przyszłości opartej na gospodarce obiegu zamkniętego i zerowej emisji CO_2, rozwój społeczności za sprawą wspierania równości, edukacji i dobrostanu oraz bycie zaufanym partnerem poprzez osiąganie wyników biznesowych przy jednoczesnej dbałości o jakość i bezpieczeństwo produktów. Dlatego też wszystkie projekty i strategie, które otrzymały nagrodę Henkel Sustainability Awards For Retail udowadniają, że w każdym modelu biznesowym jest miejsce na zaimplementowanie działań z zakresu ESG.

Henkel Sustainability Awards For Retail przyznane

European Circular Retail Congress to coroczne branżowe wydarzenia skupiającego społeczność handlu detalicznego i biznesu FMCG. Podczas kongresu zaplanowano wiele wystąpień i paneli dyskusyjnych zorientowanych na prezentowanie konkretnych rozwiązań. W trakcie panelu „Strategia zrównoważonego rozwoju: wytyczanie ścieżki do rentowności ekologicznej w handlu detalicznym" ekspert Henkel, **dyrektor zarządzający działu Henkel Consumer Brands Kiril Marinov**, poruszył takie tematy, jak wykorzystanie zielonych inicjatyw w kontekście zwiększenia przychodów firmy, ekonomiczny i wizerunkowy sens inwestycji przyjaznych środowisku czy konieczność dostosowywania się do zmieniających się wartości konsumenckich.

> *Dla Henkel zrównoważony rozwój oznacza po prostu odpowiedzialność – nie tylko za siebie, ale także za przyszłe pokolenia, co znacząco obrazuje powiedzenie: „Nie odziedziczyliśmy Ziemi po naszych rodzicach, tylko pożyczyliśmy ją od naszych dzieci". Należy pamiętać, że osiągnięcie ekologicznej rentowności wymaga długoterminowego zaangażowania i strategicznych inwestycji w zrównoważone inicjatywy.*

Nieodłączną częścią European Circular Retail Congress jest konkurs ECU Sustainability Awards adresowany do trzech grup: dostawców rozwiązań, producentów i konsumentów, dla których istotne jest funkcjonowanie na rynku z uwzględnieniem potrzeb środowiska naturalnego, wydajności ekonomicznej i solidarności społecznej. Podczas tegorocznej gali Poland & CEE Retail Summit 2024 w Double Tree by Hilton Hotel & Conference Centre w Warszawie, Kiril Marinov wręczył Henkel Sustainability Awards For Retail, czyli nagrody za wysiłek na rzecz zrównoważonego rozwoju w sektorze handlu detalicznego w trzech kategoriach. Nagroda za 'Przywództwo' trafiła do Lidl Polska Sp. z o.o., za 'Handel' do Żabka Polska Sp. z o.o., a za 'Operację' doceniono X-KOM Sp. z o.o.

LPR/Europool Sustainability Awards for FMCG dla Henkel

Tego wieczora Kiril Marinov nie tylko wręczał wyróżnienia, ale również odebrał w imieniu firmy Henkel nagrodę LPR/Europool Sustainability Awards for FMCG w kategorii 'Operacja', co podsumował słowami:

> *Jesteśmy pionierami innowacyjnych rozwiązań i projekt „Biomass Balance Approach", który realizujemy wspólnie z naszym partnerem, firmą BASF jest właśnie tego przykładem. Jego głównym założeniem jest zwiększenie wykorzystania surowców odnawialnych w procesie produkcyjnym naszych wyrobów. To z kolei przyczynia się do zmniejszenia śladu węglowego i redukcji CO_2. Otrzymanie nagrody za takie działania to dla nas powód do ogromnej satysfakcji, ponieważ robimy to dla dobra planety. Bardzo się cieszę, że ten projekt został doceniony i nagrodzony.*

Relację z wręczenia nagród Henkel Sustainability Awards For Retail można obejrzeć na stronie: https://bit.ly/4aPvQr6

Zakazane piosenki

Za kilka dni w szwedzkim **Malmö** rozpocznie się konkurs Eurowizji. Żydzi nie będą mile widziani.

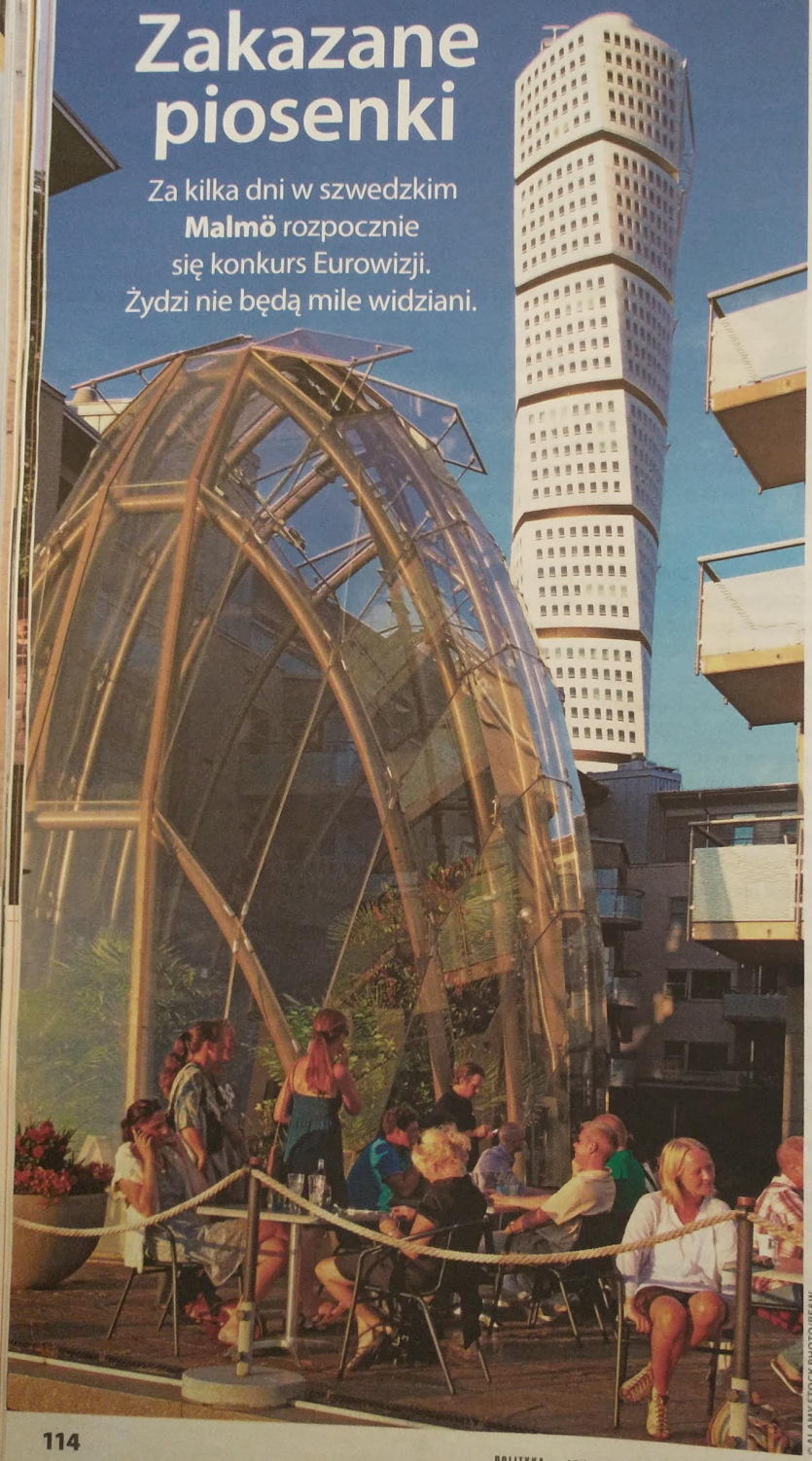

© ALAMY STOCK PHOTO/BEW

KATARZYNA TUBYLEWICZ Z MALMÖ

Malmö to trzecie co do wielkości miasto w Szwecji. Jedna trzecia jego mieszkańców to imigranci. I po raz trzeci – w dniach 7–11 maja – odbędzie się w Malmö konkurs Eurowizji. Trójka w numerologii przynosi szczęście, ale szwedzki ekspert ds. terroryzmu Magnus Ranstorp twierdzi, że trzeba się raczej przygotować na koszmar.

Poziom zagrożenia terrorystycznego w Szwecji jest bardzo wysoki – od sierpnia ub.r. to czwórka w pięciostopniowej skali. Nie dalej niż w marcu aresztowano w Berlinie dwóch mężczyzn, którzy przygotowywali zamach na szwedzki parlament – prawdopodobnie w ramach zemsty za kilka publicznych spaleń Koranu w Szwecji. Sytuację pogarszają napięcia wywołane konfliktem izraelsko-palestyńskim, które właśnie w Malmö są szczególnie odczuwalne.

Malmö jest najbardziej wielokulturowym miastem w Szwecji. Mieszkają tu ludzie ze 180 krajów, a prawie połowa z 362 tys. mieszkańców albo sama urodziła się poza Szwecją, albo ma rodziców urodzonych poza tym krajem – głównie na Bliskim Wschodzie. Malmö to także miasto młode, połowa jego mieszkańców nie skończyła jeszcze 35 lat. To właśnie stąd pochodzi najsłynniejszy szwedzki piłkarz Zlatan Ibrahimović, miejscowa duma. Wystawiono mu nawet tutaj złoty pomnik na miejskim stadionie, który jednak był kilkakrotnie zniszczony po tym, jak Zlatan zdradził rodzimych kibiców, stając się udziałowcem sztokholmskiego klubu Hammarby. Malmö bywa więc miastem silnych emocji.

Niedobre awokado

7 października 2023 r. przez Malmö przejechała głośna kawalkada ponad 300 samochodów z palestyńskimi flagami – był to wyraz radości z powodu masakry dokonanej na Izraelczykach przez Hamas. Wydarzenie potępił premier Ulf Kristersson, ale triumfalne obchody krwawej kaźni trwały w mieście jeszcze kilka dni. Wraz z rosnącą liczbą ofiar izraelskiej interwencji w Strefie Gazy pochwały dla Hamasu ustąpiły miejsca poparciu dla Palestyńczyków. A krytyka brutalnej polityki Izraela mieszała się z hasłami nienawiści do Żydów.

W Malmö doszło też do incydentów przeciw żydowskim mieszkańcom miasta. Komuś namalowano na ścianie domu ▶

BYLEWICZ Z MALMÖ

ó to trzecie co do wiel-
i miasto w Szwecji.
a trzecia jego miesz-
ców to imigranci.
az trzeci – w dniach
ie się w Malmö kon-
ójka w numerologii
ale szwedzki ekspert
nus Ranstorp twier-
aczej przygotować

a terrorystycznego
wysoki – od sierp-
pięciostopniowej
marcu aresztowano
czyzn, którzy przy-
a szwedzki parla-
nie w ramach ze-
ch spaleń Koranu
garszają napięcia
raelsko-palestyń-
almö są szczegól-

ej wielokulturo-
ji. Mieszkają tu
prawie połowa
albo sama uro-
bo ma rodziców
ajem – głównie
Malmö to także
o mieszkańców
lat. To właśnie
ejszy szwedzki
ić, miejscowa
wet tutaj złoty
nie, który jed-
zony po tym,
nych kibiców,
kholmskiego
wa więc mia-

rzez Malmö
kada ponad
skimi flaga-
owodu ma-
kach przez
premier Ulf
hody krwa-
szcze kilka
izraelskiej
chwały dla
rciu dla Pa-
nej polityki
nienawiści

cydentów
m miasta.
domu ▶

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

LIDO w Juracie
- oaza luksusu i radości

Na polskim wybrzeżu nie ma piękniejszego miejsca - wąski skrawek lądu, gęsto porośnięty sosnami, który z jednej strony dotyka zatoki, a z drugiej – szerokiej, piaszczystej plaży, rozciągającej się nad otwartym Bałtykiem. Tak, chodzi o Półwysep Helski, a dokładniej o jego malowniczy zakątek – Juratę. To w jej sercu, u zbiegu głównej ulicy Wojska Polskiego i promenady Międzymorze, rozpoczyna działalność 4-gwiazdkowy condohotel LIDO. 115 apartamentów o metrażu od 25 do 86 m², powiększonych o tarasy lub ogródki.

Nowe Lido? Ta wiadomość zaskoczy niejednego bywalca Juraty. Zaraz, zaraz, hotel Lido mieliśmy tutaj zawsze, oświadczą. I słusznie.

Historia jurackiego Lido sięga lat 30. XX wieku. Już wtedy było ono oazą elegancji i luksusu. Dość powiedzieć, że gości witał lokaj ubrany w zieloną liberię. Hotel słynął z wyśmienitej restauracji i kawiarni z tarasem do tańca, pokrytym taflą białego marmuru. To tam każdego lata bawili się znani artyści, zamożni biznesmeni, politycy z pierwszych stron gazet. Odbywały się koncerty, rauty i bale. Przygrywały wspaniałe orkiestry, m.in. Golda i Petersburskiego oraz swingujący Ilgowski-Rosner Band. Występowały gwiazdy. Eugeniusz Bodo wyśpiewywał swój szlagier „Umówiłem się z nią na dziewiątą", za każdym razem dostawał owacje na stojąco i bisował. Słynny malarz Wojciech Kossak, wielki miłośnik Juraty, na fajfach w Lido bywał niemal codziennie. Często z córką Magdaleną Samozwaniec, która napisała z zachwytem: „Hotel Lido to jak gdyby jakiś luksusowy statek pasażerski, nikt nie ma ochoty z niego wysiadać...".

Dzisiaj też nie byłaby zawiedziona. Dzięki staraniom inwestora spółki JF Invest, nowe Lido, które zastąpiło stary, wysłużony hotel, prezentuje się bardzo okazale. Postawiono na elegancję i prestiż. Lśniąca bielą, prosta bryła budynku jest odniesieniem do historycznej zabudowy Juraty i elitarnego, przedwojennego modernizmu. Z kolei, wnętrza zaskakują nutami luksusu – nawiązaniami do stylu art deco.

Apartamenty starannie wykończone pod klucz, materiałami klasy premium, bez wątpienia zasługują na cztery mocne gwiazdki. Gustownie urządzone pokoje w tonacjach beżu, komfortowe łazienki i – co w Juracie wcale nie jest oczywiste – stały dostęp do Internetu, to wszystko zapewnia wypoczynek, ale i sprawia radość, pozwala oderwać się od codzienności.

W przedwojennym hotelu działała poczta, dzięki której goście bez kłopotu łączyli się telefonicznie z zagranicą (najczęściej z Paryżem) oraz biuro podróży Orbis, oferujące bilety na statki i pociągi. Dzisiejsze Lido, oprócz wykwintnej, ogólnodostępnej restauracji, proponuje luksusową strefę wellness, z saunami, jacuzzi, gabinetem masażu i siłownią oraz jedyny na półwyspie odkryty basen.

Jurata, kiedyś nazywana polskim Palm Beach, zawsze była wspaniałym miejscem do wypoczynku. Teraz jeszcze zyskała na atrakcyjności, a goście – na komforcie.

Nadal bywają tu znani i lubiani. Tym bardziej, że podróż nie jest problemem. Na półwysep można dojechać pociągiem, samochodem, albo dolecieć prywatnym samolotem. Z lotniska w pobliskiej Jastarni kursują taksówki. Kto żegluje, ma do dyspozycji marinę.

Przedwojenni inwestorzy nie bez powodu wybrali to miejsce na uzdrowisko. Przesądziła bliskość morza, sosnowy las i zdrowy mikroklimat. Ale dziś plaża jest tylko jedną z wielu atrakcji. Turystów kuszą kultowe smażalnie ryb i nastrojowe kawiarenki, jakby wyjęte z dawnych czasów. Dodać trzeba wyprawy rowerowe malowniczymi ścieżkami, ciągnącymi się wzdłuż całego półwyspu. Stabilne, przewidywalne wiatry nad zatoką sprzyjają kitesurferom i pływającym na deskach. A molo, o długości aż 320 metrów, zachęca spacerowiczów do podziwiania zachodów słońca.

Lido, które stoi dokładnie pośrodku półwyspu, od tych atrakcji dzieli zaledwie kilkuminutowy spacer – do plaży nad pełnym morzem wystarczy przejść 250 m, równie blisko jest do mola i ścieżki wśród krzewów dzikich róż, rosnących nad zatoką.

Do inwestycji w Juratę przekonuje nie tylko slogan condohotelu: „wypoczywaj i zarabiaj na wynajmie", ale także... wyraźna już zmiana klimatu. Lata stają się gorętsze, a Bałtyk – coraz cieplejszy. Szykuje się zmiana turystycznych trendów. Niewykluczone, że wkrótce polskie wybrzeże zacznie konkurować na przykład z Andaluzją, czy portugalskim Algarve. Lepszej zachęty nie trzeba.

lidojurata.pl

Protest przeciwko udziałowi Izraela w Eurowizji.

▶ swastykę, komuś podłożono pod drzwi atrapę bomby. W prasie można przeczytać o nalepkach w miejscowych sklepach spożywczych – np. na izraelskich awokado – które nawołują do bojkotu Izraela. Media izraelskie piszą o wystawie sklepu z używaną odzieżą, na której wyświetlane są informacje o tym, ile dzieci zabito w Strefie Gazy.

Żydów w Malmö nie ma wielu, ledwie 500 osób, w latach 70. było ich cztery razy więcej. To właśnie oni byli pierwszą grupą wygnańców, którzy znaleźli bezpieczny port w tym pełnym dziś uchodźców mieście na południu Szwecji – gmina żydowska powstała w 1871 r.

Rebecca Stucker, obchodząca szabat i przestrzegająca też innych żydowskich tradycji współczesna mieszkanka miasta, podkreśla w rozmowie z „Dagens Nyheter", że antysemityzm nie jest jedynym powodem, dla którego Żydzi opuszczają miasto. Jednak sama chce zostać. „My, Żydzi, nie możemy po prostu stąd uciec. Ja naprawdę kocham Malmö".

To miasto da się kochać. Jest tu wiele świetnych instytucji kultury, w tym filia sztokholmskiego muzeum sztuki nowoczesnej Moderna Museet. Są dobre restauracje i rewelacyjne projekty nowoczesnej architektury, takie jak ekologiczna dzielnica Västra Hamnen, czyli Port Zachodni. Jej najbardziej znanym budynkiem jest Turning Torso – ikoniczny, 190-metrowy wieżowiec mieszkalny, zaprojektowany przez hiszpańskiego architekta Santiago Calatravę.

Z Malmö blisko też do Kopenhagi. Prowadzi tam most nad Sundem, rozsławiony przez kultowy serial „The Bridge". Gdy wędruje się po mieście śladami bohaterów serialu, można trafić do centralnie położonych dzielnic, które klimatem przypominają nowojorski Harlem i jak on są wielokulturowe. Pod tym względem Malmö wyróżnia się spośród innych szwedzkich miast, w których wielokulturowość została wypchnięta na podmiejskie blokowiska.

Izraelowi nie wypada

Organizacja Eurowizji to dla każdego miasta szansa rozwojowa, zwłaszcza jeśli jest to miasto szwedzkie. Bo Szwedzi są opętani tym konkursem. I jest tak od 1974 r., kiedy wygrała go ABBA. Podczas gdy widzowie wielu innych krajów trochę lekceważą Eurowizję, traktując ją – nie bez podstaw – jako pokaz kiczu, pełni entuzjazmu Szwedzi wybierają swojego kandydata do konkursu podczas trwającego dwa miesiące festiwalu Melodifestivalen.

Bije on w kraju wszelkie rekordy popularności. Przykładowo w 2017 r. finał festiwalu oglądało prawie 4 mln spośród 10 mln Szwedów. Szwecja jest też eurowizyjnym rekordzistą, bo wygrała ten konkurs aż siedem razy. Dlatego organizacja Eurowizji to dla Malmö międzynarodowa promocja, tłumy festiwalowych turystów skłonnych wydać sporo pieniędzy (ma ich przyjechać nawet 100 tys.) i kilka dni dobrej zabawy. W trakcie festiwalu w mieście odbędzie się 160 wydarzeń towarzyszących, w tym liczne koncerty.

Ostatnio w mediach zaczynają się jednak pojawiać informacje o artystach rezygnujących z występów, bo w festiwalu bierze udział Izrael. Rośnie też publiczna presja na szwedzkich muzyków, którzy zamierzają wystąpić podczas tygodnia Eurowizji, aby tego jednak nie robili. „Mam

...ustawę, że więcej artystów zajmie wyraźne stanowisko i zrezygnuje" – mówi Isabella, członek zespołu Crying Day Care, który odwołał już koncert. „Nazywanie piosenkarki zbrodniarzy. To zaczyna się przypominać linczu" – skarży się z kolei wokalistka piosenkarka Rebecca Bergcrantz. Szwedzka uważa, że Izrael jest winny zbrodni przeciw ludzkości i powinien być wykluczony z Eurowizji. Ale nie zgadza się, że odpowiedzialnością za decyzje głównego organizatora festiwalu obciążać ją i innych szwedzkich artystów, którzy chcą koncertować w Malmö, bo w ten sposób zarabiają na życie.

Dyskusja o ewentualnym wykluczeniu Izraela z Eurowizji toczyła się w Szwecji przez kilka miesięcy. W styczniu apel w tej sprawie podpisało tysiąc szwedzkich artystów i ludzi kultury, którzy potępili kampanię humanitarną w Gazie i działania Izraela. Bojkotu domagała się też Partia Lewicy, jej przewodnicząca Nooshi Dadgostar powiedziała, że nie wypada, aby Izrael brał udział w wielkim demokratycznym święcie, którym ma być Eurowizja.

Europejska Unia Nadawcza (EBU), główny organizator festiwalu, odrzuciła jednak te postulaty. Podkreśliła, że Eurowizja nie jest wydarzeniem politycznym. Wykluczenie Rosji z udziału w festiwalu w 2022 r. było według EBU spowodowane nie napaścią na Ukrainę, ale powtarzającymi się naruszeniami zasad członkowskich i ograniczaniem wolności mediów publicznych w tym kraju. EBU zaznacza, że Eurowizja „to konkurs dla nadawców – nie dla rządów".

Krótko po decyzji EBU rozpętała się kolejna afera – tym razem o słowa piosenki „October Rain" Eden Golan, reprezentantki Izraela. W pierwotnej wersji nawiązywały do masakry z 7 października, wyrażały ból oraz smutek. EBU nie zgodziła się na upolitycznianie Eurowizji w ten sposób i ostatecznie Golan zaśpiewa piosenkę noszącą politycznie neutralny tytuł „Hurricane".

Kilka tygodni temu miasto odwiedziła jedna z izraelskich ekip telewizyjnych. Dziennikarze, którzy filmowali demonstrację poparcia dla mieszkańców Strefy Gazy, musieli przerwać pracę z powodu pogróżek i narastającej atmosfery linczu. A gazeta „Times of Israel" napisała: „Osoby podróżujące do Malmö nie powinny chodzić po ulicach z izraelskimi flagami, nawet małymi. Można między sobą mówić po hebrajsku, ale nie należy krzyczeć po hebrajsku do przyjaciół czy członków rodziny po drugiej stronie ulicy".

Serce daleko

Antysemityzm jest w Malmö obecny od dawna, głównie wśród mieszkańców o bliskowschodnich korzeniach. Zazwyczaj ujawnia się w okresach eskalacji konfliktu izraelsko-palestyńskiego. W 2009 r., podczas bombardowania Strefy Gazy przez Izrael, Żydzi z Malmö, którzy na placu Stortorget demonstrowali na rzecz pokoju, zostali obrzuceni butelkami i jajkami. W 2012 r. ataki na społeczność żydowską spowodowały, że Malmö trafiło na listę miast niebezpiecznych dla Żydów według Centrum Szymona Wiesenthala.

Na stronie Centrum można było przeczytać, że sytuację Żydów w Malmö pogarszają bulwersujące wypowiedzi miejskich polityków. Cytowano ówczesnego przewodniczącego rady miejskiej, socjaldemokratę Ilmara Reepalu, który w głośnym wywiadzie powiedział, że mieszkający w Malmö Żydzi powinni kolektywnie potępić działania Izraela w Strefie Gazy. Słowa te padły, gdy podczas antyizraelskich demonstracji na placu Möllevångstorget krzyczano „wystrzelamy Żydów", a prasa szwedzka pisała o szkołach, w których uczniowie nie chcą się uczyć o Holokauście.

W tym samym czasie telewizyjny program śledczy „Uppdrag granskning" wyemitował odcinek, w którym reporter Petter Ljunggren próbował wędrować ulicami Malmö w kipie, za co został m.in. obrzucony jajkami i przekleństwami. Wrzeszczano, że ma się wynosić z miasta.

Od tamtej pory w polityce miejskiej zrobiono wiele na rzecz walki z antysemityzmem. Miasto nawiązało stałą współpracę z Gminą Żydowską, organizowane są kursy i warsztaty dla nauczycieli. W latach 2019–23 na walkę z antysemityzmem przeznaczono 20 mln koron (ponad 7 mln zł).

Nie da się jednak ukryć, że Malmö ma problem. Niby leży na południu Szwecji, ale część jego mieszkańców ma serce na Bliskim Wschodzie i domaga się zemsty. Nie za bardzo pasuje to do festiwalu muzyki pop. Atmosfera jest napięta, ale organizatorzy wydarzenia zapewniają, że mają sytuację pod kontrolą. Per-Erik Ebbeståhl, odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa w mieście, twierdzi, że na razie nie można powiedzieć, by Eurowizji zagrażało jakieś szczególne niebezpieczeństwo. Ale na wszelki wypadek w głównej sali koncertowej będą obowiązywały takie same zasady bezpieczeństwa jak na lotniskach.

KATARZYNA TUBYLEWICZ

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwe dopłata

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" w Ciechocinku

Pobyty w terminach: 26.04 - 23.06 oraz 23.06 - 29.09.2024 r.

tel. 54 416 70 00 www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

Wilk miejski półdziki

KRZYSZTOF POTACZAŁA

W korycie rzeki nieopodal szkoły leżała rozszarpana łania. Kolejne truchło jelenia znaleziono przy szpitalu. Zabiły je wilki. Dlaczego te drapieżniki coraz częściej polują w pobliżu zabudowań?

Obydwa zdarzenia miały miejsce w lutym tego roku w dziesięciotysięcznych Ustrzykach Dolnych na Podkarpaciu. Trzy miesiące wcześniej wilki zagryzły młodą łanię na dużym osiedlu mieszkaniowym. A jesienią dwa podobne przypadki odnotowano w pobliskich wsiach. Na podwórzach domów.

To, że wilki podchodzą do wiosek czy na obrzeża miast i tam zagryzają psy, wiadomo nie od dzisiaj. Każdego roku na Podkarpaciu jest od kilku do kilkudziesięciu takich przypadków. Ale od dwóch, trzech lat szare drapieżniki (zwykle jeden lub dwa, choć zaobserwowano też watahę) zapuszczają się dużo głębiej. Zaniepokojeni mieszkańcy twierdzą, że jest tylko kwestią czasu, kiedy zaatakują dziecko.

W dużych miejscowościach, zwłaszcza na nizinach, dziki niszczą skwery, buszują w śmietnikach i coraz śmielej wchodzą między domy. A w Ustrzykach Dolnych zwierzęta leśne chodzą po chodnikach, placach i ulicach – jak łosie w popularnym amerykańskim serialu „Przystanek Alaska". Nawet liczniej i częściej. Głównie jelenie. Chmary złożone z byków, łań i cieląt od kilku lat są stałym elementem miasta, wpisały się w jego krajobraz, a ich obecność nikogo z miejscowych już nie dziwi. Zaskoczeni bywają jedynie przyjezdni.

Maszynista pociągu relacji Sanok – Ustrzyki Dolne musi bardzo uważać, bo jelenie lubią spacerować wzdłuż torów nieopodal stacji kolejowej. Opanowały też sąsiedni dworzec autobusowy. Równie chętnie pasą się w parku nad rzeką Strwiąż, przy szkołach, obok szpitala, sklepów i instytucji. Pasą się w zasadzie wszędzie. Na przykład na cmentarzach, bo zawsze znajdą sposób, by ominąć bramki i ogrodzenie. Kluczą między grobami, wyjadają świeże kwiaty i zostawiają odchody.

Nie wabić

Kiedyś zabudowa Ustrzyk skupiała się niżej, jednak obecnie wiele domów jednorodzinnych stoi blisko lasu. Również odległość części bloków od otaczających miasto zalesionych wzniesień jest niewielka, na dodatek blisko wzgórz położone są działki ogrodowe i rekreacyjne. W tych rejonach jelenie przebywają prawie nieustannie, trudno już nawet określić granicę, której nie przekraczają. Jedzą to, co same wyszukają w naturze, ale też to, co podrzucą im mieszkańcy.

– *Zwierzęta szybko przyzwyczajają się do łatwej dostępności pokarmu* – tłumaczy Stefan Jakimiuk, starszy ekspert w zakresie ochrony gatunków w WWF Polska. – *Wyrzucanie odpadków, a nawet wprost karmienie czy wabienie, co się zdarza, zmienia behawior dzikich gatunków.*

Bywa, że ludzie zachowują się skrajnie nieodpowiedzialnie. Jak wtedy, gdy na osiedlu bloków w centrum miasta mężczyzna napuszczał swojego psa na młodego jelenia. Ten odskakiwał,

© GETTY IMAGES, PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

Próba przepłoszenia dzików z centrum Rzeszowa.

ale w pewnym momencie mocno pobudzony stanął na tylnych nogach i próbował atakować przednimi.

Coraz częstszą praktyką jest też zamieszczanie na Facebooku filmików, na których widać, jak niektórzy mieszkańcy karmią jelenie i czerpią z tego powodu nieskrywaną radość. Nie przejmują się wydanym w 2022 r. przez lokalny samorząd zakazem dokarmiania leśnych zwierząt, bo to tylko słowa na papierze, z których – w razie ich lekceważenia – nie wynikają żadne konsekwencje. W Ustrzykach nie ma straży miejskiej, a policja nie dysponuje tak zasobnymi kadrami, by patrolować każdy fragment miasta.

Nie dokarmiać

Jelenie od wiosny jedzą trawę i kwiatki z przydomowych rabatek, a zimą chętnie zlizują sól z chodników i ulic. Przy tej okazji zlizują też sól z samochodów i rysują zębami karoserie. Mimo że w lasach i na ich obrzeżach leśnicy regularnie w tym okresie wykładają bryły soli w przygotowanych dla zwierzyny płowej lizawkach, okazuje się, że to nie wystarcza. W zimne miesiące stadka jeleni ciągną do miasta także z innego powodu – mogą się ogrzać w miejscach, w których przebiegają linie ciepłociągów. Tam też wczesną wiosną najszybciej wyrasta świeża trawa, a jelenie chętnie z niej korzystają.

W sąsiednim Lesku, odległym o 25 km, problem z jeleniami nie istnieje. Być może, jak twierdzą leśnicy, przyczyna w tym, że las wokół Ustrzyk rośnie dość blisko, a w Lesku nieco dalej. Może też w rejonie Ustrzyk Dolnych wilki znalazły dogodniejsze warunki do polowania. Zdaniem Stefana Jakimiuka z WWF Polska obecność tych drapieżników w rejonie domostw może być związana właśnie z przemieszczaniem się za swoimi ofiarami. Jelenie instynktownie czują, że w pobliżu człowieka mogą być bardziej bezpieczne, dlatego schodzą do osiedli.

Czasami udaje się zaobserwować ucieczkę jeleni w kierunku siedzib ludzkich, a wilki w takich sytuacjach są tak silnie skoncentrowane na pościgu za upatrzoną ofiarą, że nie zauważają nawet obecności ludzi. Nie jest to jednak, twierdzą przyrodnicy, zuchwałość wobec nich. Co innego, gdyby jakiś wilk był chory na wściekliznę – wówczas zagrożenie dla bezpieczeństwa człowieka jest realne.

Najpewniej jednak obecność leśnych zwierząt w miastach to splot przyczyn, nad którymi od dawna głowią się przyrodnicy, leśnicy, myśliwi i samorządowcy. Czy to w Szczecinie, Gdyni, Lublinie, czy to w innych dużych ośrodkach (tam najczęściej zachodzą dziki) – jest to poważny problem i niełatwo go rozwiązać, bo dzicze watahy rosną w siłę. Władze stosują metody odstraszania zwierząt bronią hukową, lepiej zabezpieczają śmietniki, ale to nie wystarcza.

W Ustrzykach Dolnych zorganizowano już niejedną debatę na ten temat. Na razie bez efektu. Niedawno przyrodnik z Bieszczadzkiego Parku Narodowego zaproponował nawet, by eksperymentalnie ustawić paśniki z pożywieniem dla zwierzyny płowej na obrzeżach lasów, tak by mogła tam się posilać. Przede wszystkim dla dobra samych jeleni, które powinny zachować dzikość, a dzisiaj nawet przez leśników nazywane są jeleniami miejskimi, częściowo oswojonymi.

Nie płoszyć

A co z bezpieczeństwem ludzi i zwierząt? Kilka łań nadziało się już na ogrodzenia domów (uciekały przed wilkami), znane są przypadki zderzeń z autami i niespodziewanych spotkań z przechodniami o świcie bądź po zmroku. Nie doszło jeszcze do bezpośredniej konfrontacji, ale rozdrażniony bądź przestraszony byk może zareagować agresywnie. Co więcej – często obawiamy się spotkania z wilkiem, uważając go niesłusznie za krwiożerczą bestię, natomiast zupełnie nie bierzemy pod uwagę możliwych kłopotów ze strony potężnego jelenia, którego poroże jest tak samo groźną bronią jak szable dzika.

Zwraca na to uwagę Maciej Szpiech, szef Nadleśnictwa Ustrzyki Dolne. – *Jeśli jeleń zostanie w wyniku jakiegoś bodźca spłoszony, może ruszyć z impetem i szybko się nie zatrzymać. Mieliśmy już sytuację, gdy przed jadącego rowerzystę wybiegła łania. Zdołali się wyminąć, ale po chwili zderzyła się z samochodem. Tak samo groźna sytuacja miała miejsce zimą na stoku narciarskim.* ▶

© GETTY IMAGES, PATRYK OGÓRZALEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

▶ *gdzie między narciarzami pojawił się nagle byk z pokaźnym porożem. Biegał przez chwilę jak w amoku, a narciarze hamowali, żeby uniknąć kraksy.*

Tubylcy już przyzwyczaili się do jeleniowatych żyjących w mieście, ale coraz częściej zadają pytanie, czy te zwierzęta mogą roznosić groźne dla ludzi choroby. – *Jeśli już mowa o zagrożeniach, to pasożytniczych* – tłumaczą leśnicy. – *W odchodach mogą znajdować się pasożyty, więc gdy jakieś dziecko dotknie takich bobków, potem zaś nie umyje rąk i odruchowo wytrze sobie usta, może dojść do zakażenia. Ale to dotyczy w takim samym stopniu odchodów pozostawianych przez psy, koty i lisy. Te ostatnie od lat w całej Polsce regularnie penetrują miejskie osiedla.*

Według badaczy dzikiej fauny od czasu masowego upowszechnienia szczepionki na wściekliznę nie są notowane spektakularne zagrożenia ze strony chorób odzwierzęcych. Ale nigdy nie można wykluczyć pojawienia się takich zagrożeń.

Nie kusić

„Granica między terenami miejskimi a środowiskiem przyrodniczym mocno się zatarła. Dla wielu gatunków miasta oferują duże ilości łatwo dostępnego pokarmu. Dotyczy to gryzoni, kopytnych, np. dzików, małych i średnich drapieżników (lisy, borsuki), ale też czasami tych dużych, jak wilk czy niedźwiedź" – wyjaśniają eksperci WWF Polska.

W opinii Stefana Jakimiuka najważniejsze jest racjonalne zarządzanie przestrzenią, a więc planowanie przestrzenne. – *Chodzi o to, żeby granice pomiędzy krajobrazem zurbanizowanym a środowiskiem przyrodniczym były bardziej czytelne. Fajnie obserwować zwierzęta niemal u progu domu, ale to zawsze jest zapowiedź późniejszych problemów* – zaznacza.

Następna sprawa to ograniczanie dostępności łatwego pokarmu w pobliżu człowieka, czyli w koszach i kontenerach z odpadami organicznymi. Techniczne rozwiązania są istotne, jednak nie mniej ważna jest edukacja społeczeństwa, żeby odpowiednio kształtować zachowania ludzi i ograniczać konflikty. – *Mamy tendencję do litowania się nad dzikimi zwierzętami, nie rozumiejąc, że w istocie wyrządzamy im wielką krzywdę* – podkreśla Robert Gatzka, przyrodnik z Parku Ochrony Bieszczadzkiej Fauny w Olchowcu. Dotyczy to nie tylko jeleni, ale też niedźwiedzi. Nieświadomie je wabimy, wyrzucając odpady biologiczne w miejscach do tego nieprzeznaczonych, a potem się dziwimy, że jakiś niedźwiedź podchodzi do domu czy na pole namiotowe. Problemem jest też nieregularny odbiór śmieci przez służby komunalne. Jeśli worki z odpadkami leżą na poboczach przez kilka dni, rozszarpują je lisy i psy, to zapachy przyciągają też niedźwiedzie.

Decyzję o ewentualnym odstrzale wilków może podjąć tylko Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska. Do tej pory takie pozwolenia wydawane były niechętnie. Dotyczyły one wyłącznie likwidacji jednego bądź dwóch wilków, najbardziej dających się we znaki hodowcom owiec. W przypadku ataków w Ustrzykach Dolnych wciąż nie wiadomo, czy chodzi o jednego wilka, dwa, czy może grupę rodzinną złożoną z kilku osobników. Każda ewentualność jest możliwa, bo na peryferiach miasta parokrotnie zaobserwowano, a nawet nagrano kamerą wilcze watahy.

W mediach społecznościowych po każdym ataku na jelenia wybucha dyskusja. Większość piszących jest za tym, by państwo przywróciło regularne odstrzały na gatunek *Canis lupus*. Ci, którzy się temu sprzeciwiają, muszą mocno akcentować swoje racje, bo są w zdecydowanej mniejszości. Także samorządy gminne Bieszczadów, Beskidu Niskiego i Pogórza Przemyskiego są za tym, by ograniczyć populację wilka, a argument jest zawsze taki sam: wkrótce dojdzie do ataku na człowieka, więc lepiej podjąć działania prewencyjne.

Problemy związane z obecnością leśnych zwierząt mają też inne kraje. Często na rogatkach zachodnich miast europejskich rejestrowane są duże ssaki (lisy, borsuki, sarny, jelenie, łosie, dziki). Dzieje się tak ze względu na wysoki stopień urbanizacji ekosystemów. W Ukrainie w ostatnim czasie na przedmieściach widywane są dziki, sarny, łosie, lisy, kuny i borsuki. – *Z dużych drapieżników znane są rejestracje niedźwiedzi na wysypisku śmieci w pobliżu Iwano-Frankiwska oraz wilków na wysypisku śmieci w pobliżu Turki* – informuje Ihor Dykyy, kandydat nauk biologicznych, ekspert WWF Ukraina i adiunkt katedry zoologii Lwowskiego Uniwersytetu Narodowego im. Iwana Franki. – *Od dwóch lat przemieszczanie się zwierząt do większych miast Ukrainy wiąże się z bezpośrednimi działaniami zbrojnymi.*

Według biologa trudno stwierdzić, czy takie zwierzęta tracą zdolność samodzielnego zdobywania pożywienia. – *Jednak z całą pewnością dokarmianie takich zwierząt lub stwarzanie warunków łatwego dostępu do pożywienia na wysypiskach śmieci szybko tworzy odruch warunkowy* – wyjaśnia Ihor Dykyy.

Przemyśleć

W połowie marca media obiegły zdjęcia niedźwiedzia brunatnego, który biegał ulicami Liptowskiego Mikulasza na Słowacji. Zranił pięć osób, więc błyskawicznie zapadła decyzja o jego likwidacji. Populacja tego gatunku jest u naszych południowych sąsiadów znacznie większa niż w Polsce, dlatego nikt za bardzo nie protestował. Także dlatego, że to nie pierwszy przypadek obecności niedźwiedzia w tamtejszych miastach. – *Takich zdarzeń przybywa* – mówi Erik Baláž, słowacki przyrodnik i filmowiec. – *Dotyczy to nie tylko obecności niedźwiedzi, ale także dzików, jeleni, lisów i innych gatunków. Zakładam, że główną przyczyną są zmiany w użytkowaniu gruntów. Podczas gdy kilkadziesiąt lat temu w krajobrazie rolniczym Słowacji występowały liczne stada zwierząt domowych – głównie krów i owiec – z pasterzami i psami, dziś jest ich znacznie mniej.* Zwierzęta przebywają w stajniach, karmione kukurydzą i soją, a leśna fauna coraz odważniej podchodzi w poszukiwaniu żeru do wiosek i miast.

Obecnie słowacki resort środowiska prowadzi rozmowy z myśliwymi na niektórych terenach, aby wspólnie zidentyfikować stwarzające problemy zwierzęta. Rząd chce znacznie złagodzić warunki odstrzału niedźwiedzi, mimo że są prawnie chronione. Pod koniec marca gabinet przyjął projekt ustawy zezwalającej na odstrzał niedźwiedzi pojawiających się w miastach i we wsiach. Opozycja uważa jednak, że projekt jest niezgodny z prawem Unii Europejskiej, które pozwala na eliminowanie jedynie osobników problemowych.

Mniej problemów z leśnymi zwierzętami jest w Niemczech, chociaż dochodzi do niepokojących zdarzeń. W Stuttgarcie dzik pogryzł mężczyznę na stacji benzynowej, a stada zwierzyny czarnej (tak określane są dziki) zapuszczają się na osiedla mieszkaniowe dużych aglomeracji. Nie zaobserwowano natomiast podchodzenia wilków do miast. Nad Łabą ich liczebność jest znacznie mniejsza niż w Polsce, a tamtejsi przyrodnicy dopiero odbudowują w niektórych rejonach populację gatunku *Canis lupus*.

Dobrze mieć przygotowane scenariusze radzenia sobie z dziką zwierzyną wchodzącą do miast i wsi, bo takie ciągoty ma coraz więcej gatunków. W wioskach wokół Puszczy Białowieskiej regularnie goszczą żubry. Ostatnio zbyt bliskie spotkania z tymi zwierzętami notowane są też w Bieszczadach, gdzie najnowsza inwentaryzacja wykazała obecność 811 osobników. Byki lubią spacerować samotnie i zapuszczać się do górskich osad, latem zaś w pobliże kempingów. Dystans między człowiekiem a leśnym zwierzęciem jest coraz mniejszy.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Życie na plutonie

Słynny ośrodek, w którym Robert Oppenheimer zbudował pierwszą bombę atomową, przeżywa drugą młodość. Znów będzie produkował plutonowe rdzenie do głowic nuklearnych. W Los Alamos się cieszą, ale sąsiedzi są pełni obaw.

ANDRZEJ HOŁDYS

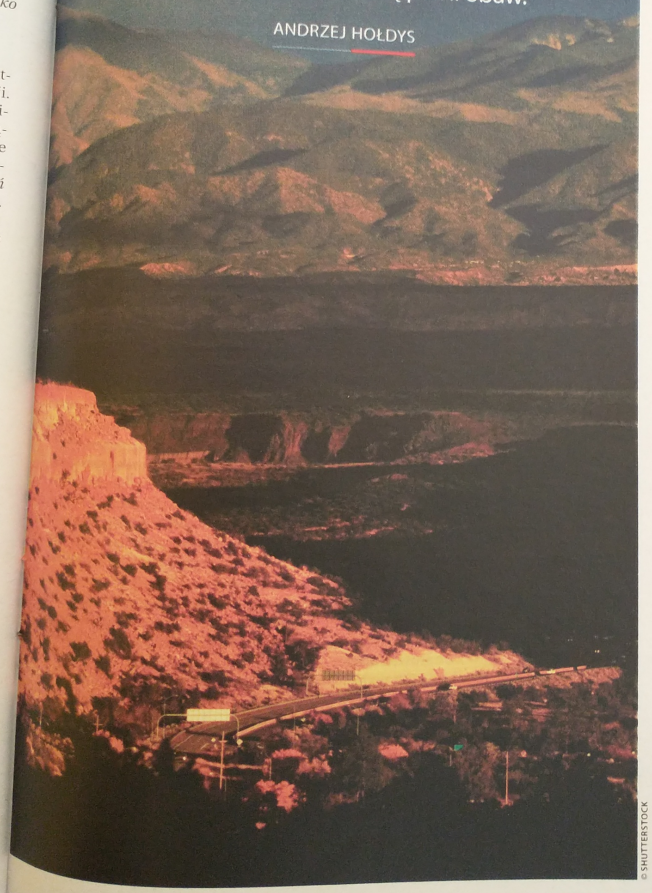

© SHUTTERSTOCK

Dolina Rio Grande przecina z północy na południe stan Nowy Meksyk. W swoim górnym biegu rzeka płynie przełomem wyciętym w wulkanicznych płaskowyżach sąsiadujących z grzbietami górskimi, wznoszącymi się na wysokość ponad 3,5 tys. m n.p.m. Przez milion lat strumienie miały mnóstwo czasu, aby zagłębić się na ponad 200 m. Tak powstała gęsta sieć kanionów. Największy z nich otrzymał od hiszpańskich osadników, którzy pojawili się w tej okolicy już pod koniec XVI w., nazwę Los Alamos – nawiązującą do topoli porastających jego dno (*álamo* znaczy po hiszpańsku topola).

Kilka wieków później, w 1945 r., w tym właśnie miejscu skonstruowano pierwszą w historii bombę atomową, zdetonowaną niedaleko Alamogordo, ok. 200 km na południe od Los Alamos, a po niej – dwie kolejne bomby, które spadły na Hiroszimę i Nagasaki. Tajny ośrodek ulokowano powyżej kanionu, na płaskowyżu zwanym Pajarito, który z trzech stron opada w dół stromymi ścianami, a z czwartej przylega do zalesionych zboczy górskich.

Miejsce wybrał Oppenheimer, który znał te okolice od dawna. Po raz pierwszy przyjechał do północnej części Nowego Meksyku jako 18-latek zabrany z Nowego Jorku, gdzie mieszkał, przez swojego nauczyciela, by odzyskać siły po chorobie. W 1922 r. spędził tu wakacje, które zmieniły jego i zmieniły Nowy Meksyk. Z ranczа nad rzeką Pecos w pobliżu Santa Fe odbywał długie konne wycieczki, biwakował, pływał w strumieniach, łowił ryby. Podczas jednej z takich włóczęg natknął się na dziki topolowy kanion. Kilka lat później kupił w okolicy ranczo i powracał tu regularnie. W późniejszych latach mawiał, że „w życiu miał dwie miłości: fizykę i bezdroża Nowego Meksyku". Z tych dwóch – twierdził – na pierwszym miejscu był Nowy Meksyk.

Trzecia wojna

Miłość do odludnej krainy okazała się dla niej toksyczna – dosłownie. Oppenheimer wybrał ją na lokalizację Projektu Y, jak do 1947 r. określano ośrodek zbudowany nad kanionem Los Alamos. Wkrótce pod kierunkiem fizyka zaczęto tam eksperymentować z plutonem i innymi materiałami o bardzo silnej radioaktywności, przy okazji wytwarzając wiele odpadów promieniotwórczych przenikających do otoczenia. Pod koniec życia uczony miał z tego powodu wyrzuty sumienia. „To ja jestem odpowiedzialny za zniszczenie tego wspaniałego miejsca" – wyznał kiedyś. ▶

▶ Miał na myśli nie tylko okolice kanionu Los Alamos, ale cały Nowy Meksyk. Owszem, była to kraina surowej przyrody, rozległa i odludna. Ale nie bezludna. Rdzenni mieszkańcy pojawili się tu w czasach epoki lodowcowej. Parę lat temu na pustyni White Sands – tej samej, na której przeprowadzono test Trinity – odkryto ślady stóp ludzkich sprzed ponad 20 tys. lat, najstarsze w całej Ameryce. W znacznie bliższych nam czasach, ok. 1,5 tys. lat temu, wulkaniczne płaskowyże północnej części stanu zostały zasiedlone przez lud Anasazi, który budował osiedla w pionowych ścianach kanionów. Najsłynniejsze z nich Mesa Verde znajduje się w sąsiednim stanie Colorado, ale i w Nowym Meksyku zachowało się wiele pozostałości takich obronnych osad, również w pobliżu Los Alamos, a nawet na terenie jego laboratorium.

Gdy Hiszpanie pojawili się tu pod koniec XVI w., ludu Anasazi już nie było, ale w dolinach górnej Rio Grande i jej dopływów żyli ich prawdopodobni potomkowie parający się rolnictwem i budujący charakterystyczne wielopiętrowe domy z suszonej cegły tworzące osady, które Hiszpanie nazwali pueblo. Z czasem nazwa ta przylgnęła również do mieszkańców osad. Pueblo żyją tu nadal. Nie przeprowadzili się nigdzie. Przetrwali wszystkie wojny, konflikty, powstania i rewolty. Byli w 1821 r., gdy Meksyk uniezależniał się od Hiszpanii, i w 1850 r., gdy niepodległy Meksyk traćił te tereny na rzecz Stanów Zjednoczonych, i w 1912 r., gdy Nowy Meksyk stawał się amerykańskim stanem, oraz 10 lat później, gdy po raz pierwszy przyjechał tu Oppenheimer. I nie zniknęli, gdy w 1942 r. nieopodal ich siedzib zaczęto prace nad bombą atomową (co wydało się dopiero po drugiej wojnie światowej).

W pobliżu Los Alamos znajduje się sześć pueblo zamieszkałych łącznie przez kilka tysięcy osób. Dwa z nich – Pueblo San Ildefonso oraz Santa Clara – sąsiadują bezpośrednio z laboratorium. A poza rdzennymi Amerykanami w okolicy mieszka sporo potomków hiszpańskich i meksykańskich osadników, przybyłych tu przed wiekami. Wielu z nich ma w żyłach także indiańską krew.

Kiedy wojskowi i uczeni pojawili się ze swoją sekretną misją na płaskowyżu Pajaritos, mieszkańcy okolicznych miasteczek, osad i pueblo sądzili, że przybysze odejdą po zakończeniu wojny. Tak im mówiono. W filmie „Oppenheimer" Christophera Nolana jest scena rozgrywająca się w Białym Domu po zrzuceniu bomb na Hiroszimę i Nagasaki. Harry Truman pyta naukowca, co jego zdaniem należy teraz zrobić z Los Alamos. Ten odpowiada prezydentowi: „Oddajmy go z powrotem Indianom". Tak właśnie uważał. Nic z tego nie wyszło, choć losy ośrodka ważyły się jeszcze przez kilka lat. Zwracano uwagę na jego horrendalnie wysokie koszty operacyjne oraz problemy ze ściągnięciem wysokiej klasy badaczy. Potem jednak przyszła zimna wojna i zaczął się wyścig zbrojeń jądrowych, a liczba osób zatrudnionych w Los Alamos wzrosła w ciągu dekady z ok. 200 do blisko 12 tys.

Długi cień

Bomb już tam nie produkowano. W tym celu na początku lat 50. zbudowano dwa zakłady o znacznie większej wydajności. W Rocky Flats Plant pod Denver wytwarzano plutonowe rdzenie w niemal hurtowych ilościach. W szczycie zimnej wojny ich produkcja przekraczała tysiąc rocznie. Nie zostawały na miejscu, lecz przewożono je do zakładu Pantex pod Amarillo w Teksasie, gdzie metalowe kule rozmiarów pomarańczy umieszczano w głowicach jądrowych. Natomiast Los Alamos National Laboratory (LANL) – taką nazwę nosi od 1981 r. – stało się przede wszystkim ośrodkiem naukowym, w którym prowadzono badania nad właściwościami plutonu, nad bombą wodorową i innymi rodzajami broni nuklearnej. Testy przeprowadzano na pacyficznych atolach lub na poligonie atomowym w stanie Nevada. Zajmowano się też fuzją termojądrową, akceleratorami cząstek, badaniami medycznymi, a przez pewien czas nawet biopaliwami. Wciąż produkowano tutaj detonatory do głowic atomowych. W 1993 r. zamknięto zakłady Rocky Flat Plant po śledztwie przeprowadzonym przez FBI, które wykazało liczne naruszenia zasad bezpieczeństwa. Produkcję rdzeni wstrzymano, a te już wyprodukowane trafiły do zakładów Pantex, gdzie znajdują się do dziś. Zmagazynowano ich tam dziesiątki tysięcy i wydawało się, że wystarczą jeszcze na wiele dekad – gdyby okazało się, że trzeba szybko wznowić masową produkcję głowic.

Czas jednak mijał i w USA zaczęto się zastanawiać nad odmłodzeniem całego arsenału nuklearnego. Debatowano też nad tym, czy do tego celu da się wykorzystać stare 40–50-letnie rdzenie plutonowe, czy też trzeba wyprodukować nowe. Początkowo eksperci opowiadali się za pierwszym rozwiązaniem, uznając, że minimalny czas życia takiego rdzenia to 100 lat. Jednak im więcej czasu upływało, tym częściej pojawiały się przeciwne opinie. Poza wszystkim starzały się nie tylko rdzenie, ale też cały system ich produkcji. „Jeśli nie trenujesz jakiejś umiejętności przez 40 lat i nie weryfikujesz wiedzy instytucjonalnej, wówczas może się okazać, że w krytycznym momencie nic nie działa tak, jak trzeba" – pisali doradzający amerykańskiemu Kongresowi naukowcy z grupy JASON.

To była dobra wiadomość dla LANL. W 2018 r. zdecydowano, że począwszy od 2026 r., ośrodek powinien być gotowy do produkowania 30 rdzeni rocznie (kolejne 50 rdzeni rocznie ma dostarczać zakład Savannah River Site w Południowej Karolinie). Nowe plutonowe kule będą umieszczane w głowicach montowanych na pociskach balistycznych Sentinel, które w ciągu dwóch dekad mają zastąpić rakiety Minuteman III. Potem przyjdzie kolej na przezbrojenie dwóch pozostałych elementów triady odstraszania atomowego, czyli okrętów podwodnych i bombowców.

Do Los Alamos popłynęły wielkie pieniądze i rozpoczęły się wielkie przygotowania. Dotychczas wydano na nie już 3,5 mld dol. To mniej więcej połowa szacowanych kosztów, choć niektórzy oceniają, że raczej jedna trzecia. Główne prace toczą się w ściśle strzeżonej strefie TA-55, gdzie znajduje się budynek Plutonium Facility-4 (PF-4), obecnie jedyny w Stanach nadający się do produkcji plutonowych rdzeni. LANL, w którym już pracuje 18 tys. osób, rozgląda się za kolejnymi tysiącami, oferując im wysokie zarobki i rozbudowane pakiety socjalne. Większość personelu ośrodka mieszka w sąsiadującym z nim miasteczku, nazywającym się oczywiście Los Alamos.

To jeden z najbogatszych kawałków Ameryki – średnia zarobków znacznie przekracza tu 100 tys. dol. rocznie. Miasteczko ma też jeden z najniższych w USA wskaźników przestępczości, szkoły publiczne zajmujące wysokie miejsca w krajowych rankingach, największą w kraju liczbę osób z doktoratami w przeliczeniu na mieszkańca oraz średnią oczekiwaną długość życia wyższą o 10 lat od średniej amerykańskiej. „Oferujemy przyjazną społeczność żyjącą w otoczeniu spektakularnej przyrody oraz pozostałości dawnej kultury i historii. Mieszkańcy i przyjezdni mogą wędrować górskimi szlakami o długości ponad 300 km, zimą jeździć na nartach w górach Jemez, grać w golfa oraz korzystać z basenu o olimpijskich wymiarach w naszym Aquatic Center" – czytamy na miejskiej stronie Los Alamos. Słowem: raj.

Tego samozachwytu nie podzielają jednak sąsiedzi Los Alamos z rdzennych i hiszpańskich społeczności. Ich dochody należą do najniższych w Nowym Meksyku, który z kolei jest jednym

najbiedniejszych amerykańskich stanów. Co szósty jego mieszkaniec żyje poniżej granicy ubóstwa. Ale nie chodzi tylko o pieniądze. Także o skażenie środowiska i wynikające stąd problemy zdrowotne wielu ludzi. Przez dekady LANL rzucał długi toksyczny cień na okolicę. Cień, którego nikt nie chciał dostrzec. Dlatego wiele osób żyjących w sąsiedztwie ośrodka obawia się, że do dawnych zagrożeń, których negatywne konsekwencje wciąż odczuwają ich rodziny, dojdą wkrótce nowe.

Toksyczna tajemnica

Kiedy ponad osiem dekad temu ruszały prace nad pierwszą bombą atomową, wiadomo było oczywiście, że pluton – uzyskany przez naukowców zaledwie kilka lat wcześniej – jest zabójczo groźnym materiałem radioaktywnym. Jednak wiedza na temat towarzyszących mu zagrożeń środowiskowych była skąpa. Nie wiedziano, w jaki dokładnie sposób może przenikać do gleb lub wód ani co się potem z nim dzieje. Nie znano dróg jego migracji ani akumulacji. Zdarzało się więc, że materiał radioaktywny wrzucano po prostu do dołów w ziemi. Tak było w Strefie C, gdzie prowadzono część badań nuklearnych. Wciąż znajdują się tam pojemniki zawierające pluton, uran i tryt, pochodzące z czasów Projektu Manhattan.

Na wiele takich znalezisk natrafiano przypadkowo, przy okazji prac budowlanych albo drogowych. Później stworzono mapę „gorących punktów", twierdząc, że wszystkie je zidentyfikowano. Jednak niemiłe niespodzianki wciąż się zdarzają. W 2020 r. robotnicy kopiący rów pod rurę kanalizacyjną natknęli się na zapomniane składowisko materiałów promieniotwórczych. LANL zajmuje ok. 100 km kw., a więc tyle ile średniej wielkości miasto, takie jak Rzeszów, Kielce czy Toruń, i tylko jedna piąta tej powierzchni jest zajęta przez budynki, drogi i inną infrastrukturę. Na tak rozległym terenie wciąż mogą się gdzieś skrywać toksyczne odpady, o których przez dekady zapomniano. Większość takich znalezisk jest usuwana i wywożona, ale stan części z nich, np. tych w Strefie C, jest tak zły, że strach jest je ruszać i gdziekolwiek zabierać, bo mogłyby się rozszczelnić podczas transportu. Padają więc propozycje ich dodatkowego zazolowania i pozostawienia na terenie LANL, ale na to z kolei nie godzą się mieszkańcy okolicznych puebli.

Mają swoje powody, by nie ufać władzom. Wkrótce po tym, jak w Los Alamos zaczęto eksperymentować z plutonem, wśród mieszkańców okolicznych terenów zauważono wzrost liczby nowotworów, chorób autoimmunologicznych i zaburzeń reprodukcyjnych. Nie wiedziano, dlaczego tak się dzieje, ponieważ prace prowadzone przez zespół Oppenheimera otoczone były ścisłą tajemnicą. Zarazem przy budowie dróg, mostów i budynków w Los Alamos zatrudniono wielu mężczyzn z sąsiedztwa. Pracowali na otwartym terenie, często w pyle, który wdychali. Część z nich znalazła płatne zajęcie w samym ośrodku badawczym. Pracowali przy składowaniu odpadów promieniotwórczych, kompletnie nie wiedząc, z czym mają do czynienia. Inni byli kierowcami, dozorcami, elektrykami, strażakami. Późniejsze badania histopatologiczne – rozpoczęte pod koniec lat 50. XX w. i prowadzone przez trzy dekady – wykazały zwiększone dawki plutonu w organizmach wielu takich osób, zatrudnionych w Los Alamos na początku działalności ośrodka. Analizy pobranych tkanek wykazały, że pierwiastek ten gromadził się w ich płucach, kościach, wątrobach i węzłach chłonnych. Mieszkańcy osad sąsiadujących z LANL twierdzą, że w ich społecznościach wciąż bardzo liczne są przypadki nowotworów i niepłodności.

Już wolno mówić

Los Alamos dzieliło się z otoczeniem nie tylko substancjami radioaktywnymi. Przez dwie dekady wylewano do jednego z kanionów wodę zanieczyszczoną sześciowartościowym chromem, wykorzystywanym jako powłoka antykorozyjna w wieżach chłodniczych w elektrowni produkującej prąd dla laboratorium. Taka postać chromu jest silnie toksyczna, ma działanie rakotwórcze i łatwo przenika do organizmu człowieka. Badania wykazały, że chrom przedostał się do wód gruntowych i zmierza w stronę Rio Grande. Zakazano więc łowienia ryb w rzece na odcinku zagrożonym skażeniem, a po protestach zaniepokojonych mieszkańców nawiercono otwory, przez które wtłacza się czystą wodę, a wypompowuje tę potencjalnie zanieczyszczoną. Koszty operacji przekroczyły już 120 mld dol., ale wciąż nikt dokładnie nie wie, gdzie jest trucizna i czy pewnego dnia nie pojawi się w studniach.

W 2022 r. Myrriah Gómez, badaczka z University of New Mexico, opublikowała książkę „Nuclear Nuevo México", opisującą losy kilkudziesięciu rodzin dziesiątkowanych przez nowotwory, które pojawiły się wkrótce po drugiej wojnie światowej w osadach w pobliżu Los Alamos, ale także w tych miejscowościach, które 16 lipca 1945 r. znalazły się w zasięgu niesionego wiatrem pyłu radioaktywnego z eksplozji bomby Trinity.

„Nowy Meksyk był trzy razy kolonizowany: przez Hiszpanów, białych Amerykanów i finalnie przez kompleks nuklearny. Mamy tu prawie cały ciąg technologiczny – od kopalń uranu na terenach zamieszkałych przez Nawaho, wśród których również szerzą się nowotwory, przez Los Alamos, aż po wielkie podziemne składowisko odpadów promieniotwórczych pochodzących z całego amerykańskiego sektora produkcji broni jądrowej. Projekt Manhattan sprawił, że staliśmy się nuklearną kolonią USA, co wielu jej rdzennych mieszkańców przypłaciło zdrowiem i życiem" – napisała Gómez. Zwracająca uwagę, że dopiero w 2020 r., po przeprowadzeniu badań przez National Cancer Institute, po raz pierwszy przyznano, opierając się na skąpych danych historycznych, wywiadach i symulacjach komputerowych, że po teście Trinity „niektórzy mieszkańcy sąsiednich hrabstw prawdopodobnie zachorowali na raka w wyniku kontaktu z pyłami promieniotwórczymi, które skaziły teren".

W miejscowościach wokół LANL takich badań epidemiologicznych nie przeprowadzono, ale jest zmiana na lepsze: w 2022 r. Departament Energii USA wydelegował specjalnego urzędnika odpowiedzialnego za „prowadzenie otwartego dialogu" z mieszkańcami puebli, organizacjami pozarządowymi i liderami opinii publicznej. „Wcześniej LANL niczego z nami nie konsultował, zasłaniając się tajemnicą wojskową. Dobrze więc, że wreszcie zauważono nasze istnienie" – komentowała w lokalnej prasie Kayleigh Warren, przedstawicielka sześciu puebli sąsiadujących z Los Alamos.

ANDRZEJ HOŁDYS

Więcej o przełomowych wynalazkach, które zmieniły świat, przeczytasz w Niezbędniku Inteligenta „JAK ZMIENIAMY ZIEMIĘ". Dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

Strachy i szanse

Polska potrzebuje strategii, która pozwoli wykorzystać potencjał drzemiący w sztucznej inteligencji – mówi **Agnieszka Gajewska**, partnerka i globalna liderka ds. usług dla sektora publicznego w firmie doradczej PwC.

© MP

JĘDRZEJ WINIECKI: **Sztuczna inteligencja rozpala emocje. Słusznie?**

AGNIESZKA GAJEWSKA: Są o tyle zrozumiałe, że w przypadku każdej nowej głośnej technologii mamy zazwyczaj tendencję do przeceniania jej krótkoterminowego wpływu i nie zawsze dostrzegamy, w jaki sposób zmieni ona przyszłość, bardziej odległą. Dziś wydaje się więc, że AI niesie zmianę, jakiej jeszcze nigdy nie było. Niektórzy mówią wręcz o tsunami, rewolucji w produkcji, projektowaniu, optymalizacji, o wyższej jakości usług publicznych, medycznych czy edukacji. Potencjał jest rzeczywiście potężny, ale tak jak przestaliśmy traktować internet jako osobny byt, tak pewnie niebawem sztuczna inteligencja zacznie być po prostu elementem codzienności. Choć po drodze przyniesie znaczącą przebudowę. Odczuje ją wiele grup zawodowych i branż. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że jako kraj będziemy w stanie wykorzystać nadchodzącą szansę. Aby tak się stało, musimy być jednak świadomi zagrożeń i możliwości. Rozumieć, co one dla nas znaczą, i bardzo stanowczo działać, by zminimalizować ich negatywne skutki i maksymalnie wykorzystać szanse.

Mamy potencjał, by się z tą zmianą zmierzyć?

Wielokrotnie przechodziliśmy przez cykl wyzwań, choćby w czasie kryzysu finansowego i pandemii. Na wychodzenie z opresji pozwala naszej gospodarce elastyczność, stosunkowo duży rynek wewnętrzny i polska przedsiębiorczość. Mamy firmy, które z sukcesami radzą sobie na rynku – w kraju i za granicą. To one mogłyby stać się motorem innowacji i wziąć na siebie ciężar kolejnej transformacji. Jednak trzeba im pomóc, na pewno musimy znacząco poprawić tzw. otoczenie biznesu, na tym polu są karygodne zaniedbania. Jeżeli mamy ambicje dojścia do rzeczywiście nowoczesnej gospodarki, to nie możemy tkwić na 119. pozycji w kategorii „otoczenie biznesu" w rankingu globalnej innowacyjności. To efekt niestabilnego i nieprzewidywalnego systemu podatkowego, wielkich obciążeń biurokratycznych oraz niedostatecznego wsparcia dla innowacyjnych firm, dużych i małych. Tworzymy prawo bez wsłuchania się w głosy biznesu. A w przedsiębiorcach widzimy w pierwszej kolejności nie tych, którzy konsekwentnie od ponad trzech dekad tworzą wartość i budują polską gospodarkę, ale tych, których należy sprawdzać, kontrolować i karać.

Aby przebić się do czołówki, startując z pozycji numer 119 – na której jesteśmy teraz – potrzebujemy niemal cudu. Czy mogłoby się to dokonać za wstawiennictwem sztucznej inteligencji?

Cóż, AI nie wyręczy ludzi w stworzeniu dobrej strategii gospodarczej dla Polski ani w jej wdrożeniu. Sztuczna inteligencja nie przebiła się jeszcze do głównego nurtu debaty politycznej, np. tylko zdawkowo była omawiana przy okazji zeszłorocznych wyborów do Sejmu. Polska nie jest odosobniona. Z badania Edelman Trust Barometer, mierzącego globalne zaufanie do instytucji, wynika, że prawie 60 proc. pytanych sądzi, że rządy nie mają kompetencji do skoordynowania działań w taki sposób, który pozwoliłby dobrze wykorzystać potencjał AI i innych innowacyjnych technologii. Jak trudna to dziedzina, pokazały prace na poziomie Unii Europejskiej, zmierzające do uregulowania sztucznej inteligencji – żeby była tworzona w sposób odpowiedzialny i bezpieczny dla krajów, społeczeństw i obywateli. I trzeba to było poukładać tak, by Europa się technologicznie nie zmarginalizowała, nie została w tyle za Azją i Stanami Zjednoczonymi. A obawa jest poważna, bo to innowacyjność pozostaje słabą stroną europejskiej gospodarki. Większość wniosków patentowych rejestrowanych w Europie pochodzi spoza Starego Kontynentu. I choć kilka krajów, w tym Niemcy i Francja, próbuje to na własną rękę zmienić, to nadal dobrze zapowiadające się nowoczesne firmy uciekają do Stanów Zjednoczonych do Doliny Krzemowej, gdzie mają lepsze warunki.

Unia znajdzie na to receptę?

Sztuczna inteligencja rozwijana jest w bardzo szybkim tempie, więc tradycyjny sposób działania, z siedmioletnimi budżetami, bardzo rozbudowanym i powolnym systemem podejmowania decyzji, w tym przypadku nie bardzo Unii służy. Jeśli

chcemy się ścigać ze Stanami Zjednoczonymi, które są pierwsze w opracowywaniu oprogramowania, czy z Azją, przodującą w budowaniu i produkcji sprzętu, w tym półprzewodników, to musimy jako Unia nie tylko bronić swojej strategicznej i technologicznej suwerenności, ale w dziedzinie wysokich technologii współpracować w ramach bloku.

Unia – i to jest dobre – chce mieć do 2028 r. 20 mln miejsc pracy opartych na wysokich kompetencjach technologicznych. I wreszcie chyba najtrudniejsze, to stworzenie ekosystemu, który pozwoli promować innowacyjne przedsiębiorstwa i stworzyć ośrodki innowacji, zwłaszcza tam, gdzie Europa ma duże dokonania, czyli w przemyśle samochodowym, w mechanice precyzyjnej i zielonej energetyce. Zresztą transformacja cyfrowa ma wiele strukturalnych podobieństw do tej

Tak jak przestaliśmy traktować internet jako osobny byt, tak niebawem sztuczna inteligencja zacznie być po prostu elementem codzienności.

energetycznej, są dane, które wskazują, że dojście do neutralności klimatycznej przed 2050 r. będzie możliwe, o ile 50 proc. energii zostanie wyprodukowane z technologii, które dziś albo jeszcze nie istnieją, albo są dopiero w fazie badań. To ogromna szansa dla innowacyjnych przedsiębiorstw i mądrych rządów, które ten ekosystem wesprą, umożliwiając rozwój nowych technologii na szeroką skalę.

Polska jest na tej mapie?

Tak, choć jej obraz jest słodko-gorzki. 355 mld euro netto, które wpłynęło do Polski, ewidentnie przyczyniło się do poprawy jakości usług publicznych, infrastruktury, w tym dróg i autostrad, i szeroko pojętej infrastruktury publicznej. Ale jeśli marzy się nam kolejna ucieczka do przodu, w tym skokowa poprawa innowacyjności gospodarki, to konieczne są inwestycje. Tymczasem te pozostają na poziomie najniższym od początku transformacji i są jednymi z najniższych w Europie. Brakujące środki można oczywiście nadal pozyskiwać w drodze zadłużania się sektora finansów publicznych. Ale to za mało – trzeba uruchomić środki prywatne, kołem zamachowym mogą też być fundusze z Krajowego Programu Odbudowy, choć tu na cyfryzację przeznaczono 21 proc., czyli nieznacznie więcej niż w wymagane minimum. Niemniej inwestycje muszą napotkać na odpowiedni klimat i infrastrukturę cyfrową. Porównując KPO z różnych państw, widać, że polskie zostało przygotowane tak, by głównymi beneficjentami były ogromne spółki, głównie energetyczne, z udziałem Skarbu Państwa. Choćby w państwach bałtyckich czy w Rumunii postawiono na dużo bardziej innowacyjne podmioty.

Przegapiliśmy swoją szansę?

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ostatnie dwudziestolecie wykorzystaliśmy stosunkowo dobrze. Zbudowana infrastruktura była niezbędna do podtrzymania krwiobiegu gospodarki i umożliwienia jej wzrostu. Jednak następne 20 lat będzie zupełnie inne.

Jak zatem sprostać tym nowym wyzwaniom?

W kolejnych latach globalna gospodarka będzie bazować na innym paradygmacie, a sprostanie pojawiającym się wyzwaniom będzie wymagało nowych zasobów. Łatwiej jest wydać bardzo znaczące środki na drogę czy lotnisko, znacznie trudniej z sensem zainwestować np. w rozwój kompetencji obywateli. Dotychczasowa przewaga konkurencyjna Polski, w postaci tańszej i dobrze wykwalifikowanej siły roboczej, blednie. Nasze PKB w 2004 r. stanowiło połowę średniego unijnego PKB, obecnie sięga 80 proc. Potrzebujemy więc nowego, ambitnego kierunku. Jego określenie i konsekwentne wdrażanie powinno być priorytetem rządu.

Jak to zrobić?

Wyzwania i szanse stawiane przez sztuczną inteligencję wymagają niewątpliwie reakcji państw. Rządy niekoniecznie muszą być przez to liczniejsze, ale powinny mieć zdecydowanie więcej do powiedzenia w kwestiach absolutnie kluczowych dla rozwoju krajów, stymulowaniu ich i koordynacji. Na polskiej ścieżce musimy być trochę wybiórczy, bo głębokość dostępnych środków finansowych nie pozwala nam się mierzyć z takim krajem jak np. Niemcy. Mamy za to poważny zasób talentów, w Polsce pracuje ok. 1,2 tys. osób o bardzo wysokich kompetencjach technologicznych. O ich wartości świadczą sukcesy zawodowe naszych rodaków w Dolinie Krzemowej, także w firmach z branży AI. Trzeba jednak mieć precyzyjny plan, jak ich zatrzymać, by chcieli zostać i rozwijać się w kraju. ■

REKLAMA

Polska jest dopiero na 119. pozycji w kategorii „Otoczenie Biznesu" w rankingu Globalnej Innowacyjności

Do 2028 r. w Unii Europejskiej ma powstać **20 mln miejsc pracy** opartych na wysokich kompetencjach technologicznych

W Polsce pracuje ok. **500 tys. osób** o bardzo wysokich kompetencjach technologicznych

Polska plasuje się na **24. miejscu wśród 27 państw członkowskich UE** w rankingu indeksu gospodarki cyfrowej i społeczeństwa cyfrowego DESI 2022

58% prezesów na świecie spodziewa się**, że GenAI poprawi jakość produktów lub usług

Polska będzie mogła przeznaczyć ponad **7,5 mld euro** na transformację cyfrową w ramach KPO

44%, czyli mniej niż połowa wniosków patentowych w Europie pochodzi od podmiotów ze Starego Kontynentu

*Global Innovation Index 2023 – World Intellectual Property Organization – 119 miejsce w kategorii Otoczenie Gospodarcze (Business environment)

**27 Badanie CEO Survey

pwc

Solina, lata 50.

Buszujący w sianie

Przyzwolenie na seks przedmałżeński, nieprzywiązywanie wagi do dziewictwa i pozytywne podejście do sfery seksualności. To była norma na polskiej wsi.

TOMASZ WIŚLICZ

Blisko 300 lat temu we wsi pod Tarnowem Jan Solenka wraz z żoną najęli się do pomocy sąsiadowi w wyprawie na targ. Kiedy nocowali w stodole, Jan się obudził i ujrzał żonę in flagranti z sąsiadem. Był chyba jednak zbyt pijany, żeby interweniować, dopiero rano wygarnął obojgu, ale ci obrócili sprawę w żart. Po powrocie do wsi poskarżył się siostrze, która udzieliła mu rady: „Daj temu spokój, po to człowiek żywy. I przed jego żoną nie wspominaj, bo jest w ciąży".

Gdy mówimy o chłopskiej seksualności, nasuwają się dwa przeciwstawne obrazy: z jednej strony pruderia zarządzana z ambony przez plebana, z drugiej – rubaszne, wulgarne przyśpiewki. Obie wizje nie są pozbawione podstaw. Nie ma jednej – tradycyjnej lub naturalnej – ludowej seksualności. Jest zróżnicowana społecznie, płciowo i regionalnie, a przede wszystkim – zmienna w czasie. Można jednak wyznaczyć dwie podstawowe cechy chłopskiej kultury seksualnej: współnotowość, a więc podporządkowanie interesom grupy, oraz pragmatyczność nakierowaną na fizyczne przetrwanie i zapobieganie konfliktom. Ta druga stała za poradą siostry.

© JAN MICHALEWSKI/FORUM

nane jej słowa: „Po to człowiek żywy" są podsumowaniem pozytywnego stosunku do seksualności w chłopskim środowisku. Pozytywność niepokoiła duchownych wszystkich wyznań, zajętych na grzechach ciała. Największy nacisk na reformę wiejskich obyczajów – charakterystyczny dla Kościoła katolickiego w XIX i XX w. – pomimo stworzenia pozorów pruderii nie zmieniał owego afirmacyjnego myślenia o seksie.

Maryś dajże gęby!

W jednej z pierwszych prac o chłopskiej erotyce, opublikowanej w 1901 r. pod tytułem „Pocałunek w życiu wieśniaka", sławiąc Jan Magiera napisał: „Pocałunek miłosny tryska też żarem z warg parobczaka, aby zastygnąć na koralowych ustach dorodnej dziewczyny. Uroku jego nie kuśmy się opisać, bo to świętokradztwo! Jedno tylko zauważyć należy, że całus chłopca i dziewoi przepływa strumieniem miłości tylko z jednych warg na drugie; stąd jego nazwa – »buziak« – i prośba: »Maryś dajże gęby!«".

Zachwyt nad niewinnością wiejskich obyczajów jest charakterystyczny dla nurtu chłopomańskiego. Z perspektywą krytyczną łączyło go przekonanie o naturalności chłopskiej seksualności. Po prostu odmiennie wartościowano naturę. Nie dostrzegano natomiast całego kompleksu chłopskiej kultury seksualnej, silnie powiązanej z kulturą życia społecznego i gospodarczego. Być może działo się tak dlatego, że obserwatorzy z góry zakładali, że seksualność musi być regulowana przez zasady religijne – wtedy nie było o czym mówić, poza stopniową chrystianizacją „półdzikich dzieci natury", a być może dlatego, że skrępowani własną mieszczańską seksualnością nie potrafili zadać właściwych pytań. Tymczasem nie da się z pominięciem kultury seksualnej opowiedzieć historii rodziny chłopskiej. Nie da się bez niej analizować folkloru, wierzeń i obrzędowości.

W stosunkach wiejskich, pomimo postępującego upodobnienia do mieszczańskiego wzorca, młodzi ludzie mieli wiele okazji, by spotykać się z płcią przeciwną zarówno pod okiem społecznego nadzoru, jak i poza kontrolą. Wieś bowiem była w pełni świadoma, że młodość to okres formowania się życia osobistego kobiet i mężczyzn, wiodący ostatecznie do dorosłości potwierdzonej małżeństwem.

Pisząc o młodych chłopach i chłopkach, mamy na myśli ludzi od osiągnięcia dojrzałości płciowej do średniego wieku zawierania związku małżeńskiego. Na wsi przeduwłaszczeniowej kobiety wychodziły za mąż, mając średnio 20–24 lata, mężczyźni żenili się, mając 25–29 lat (u schyłku XIX stulecia wiek ten nieco się obniżył). Zatem okres młodości trwał od 5 do 10 lat (czasem dłużej). Na polskiej wsi panował zwyczaj wychodzenia w tym wieku na służbę do innych gospodarstw, zwykle w tej samej wsi. Można to uznać za rodzaj dodatkowej edukacji w rolniczym zawodzie, szkołę życia, którą należy przejść, by osiągnąć dorosłość. Zatem przynajmniej część młodości dziewczęta i chłopcy spędzali poza domem i poza kontrolą rodziców, ale oczywiście pod nadzorem gospodarzy, u których służyli.

Ktoś u Kasi jest w komorze

W Polsce przedrozbiorowej wszelka aktywność seksualna z wyjątkiem małżeńskiej była formalnie poddana sankcji karnej. Wyraźnie rozróżniano przestępstwo zwane wszeteczeństwem, czyli stosunki między ludźmi stanu wolnego, od ciężej karanego cudzołóstwa, które dotyczyło osób w związkach małżeńskich. Penalizację cudzołóstwa ostatecznie zniósł dopiero kodeks karny z 1932 r., a jeszcze w XVIII w. formalnie groziła za nie kara śmierci. Wszeteczeństwo miało być karane lżej – chłostą, grzywną i pokutą kościelną. Okrucieństwo kar zapisanych w kodeksach, a czyhających na seksualnych przestępców, może prowadzić do nieuzasadnionego wniosku o jakimś szczególnym purytanizmie ludzi w czasach przednowoczesnych. Nic bardziej mylnego. Na polskiej wsi od XVI do końca XVIII w. znamy tylko jeden przypadek, że para zaangażowana w związek pozamałżeński trafiła na szafot, podczas gdy zapisanych spraw sądowych o cudzołóstwo i wszeteczeństwo są setki. A przecież przed sądy trafiały tylko te przypadki, których nie udało się rozwiązać polubownie.

Jeśli chodzi o stosunki seksualne między osobami stanu wolnego na wsi, to duchowni skarżyli się na to, że chłopstwo w ogóle nie uważa ich za grzech wart uwagi. Nie mogło być inaczej, skoro wiejskie społeczeństwo nie starało się zbytnio ograniczać kontaktów między młodzieżą obojga płci, a czasami można odnieść wrażenie, że je ułatwiało. Podstawowym miejscem kontaktów była praca. Wyjątkowo złą sławą wśród moralistów cieszyły się tzw. wieczernice, czyli posiedzenia organizowane w zimowych miesiącach w celu wspólnego wykonywania robót typu przędzenie czy skręcanie sznurów. Praca zawsze łączyła się tam z zabawą.

Młodzież płci obojga uczęszczała również do karczmy, aby publicznie spotykać się z rówieśnikami, rozmawiać i tańczyć. Aż do tryumfu ruchów trzeźwościowych, czyli co najmniej do połowy XIX w., wiejska karczma była uważana za miejsce bezpieczne dla młodych, którzy przebywali tam zawsze pod teoretycznie czujnym okiem sąsiadów i sąsiadek, kumów i kumoszek. Co więcej, zarówno rodzice (jak i opiekunowie podczas służby) pozwalali dorastającym synom spędzać noc poza domem. Oficjalnym powodem mogło być np. pilnowanie stajni. Latem nawet dziewczęta mogły sypiać za zgodą rodziców na strychach lub w stodołach, a chłopcy odwiedzali je mniej lub bardziej potajemnie. W ludowej pieśni „Kąpała się Kasia w morzu" kochankowi udaje się nawet zakraść do Kasi do komory (czyli przedostać się jakoś przez izbę, gdzie spali jej rodzice) i dopiero przypadkowy hałas go zdradza, ale już post factum.

Przestąpienie przykazania

Obraz ten pozornie wygląda na niezborny: oto z jednej strony mamy dość dużą swobodę zachowań seksualnych wśród młodych ludzi, z drugiej zaś penalizację seksualności, osobistą odpowiedzialność karną gospodarzy za prowadzenie się ich domowników, społeczny nadzór, kościelną naukę o grzechu i wianki dziewicze. Wyjaśnieniem jest pewien rodzaj hipokryzji, którą jednak lepiej nazywać zasadą dyskrecji, która otaczała całe życie seksualne na wsi. Dotyczyła zarówno czynów, jak i słów. Nikt nigdy nie powinien sprawiać wrażenia, że uprawia seks, bez względu na to, czy chodzi o stosunki małżeńskie, czy też w ramach związków, które naruszały deklarowane normy moralne. Biorąc jednak pod uwagę warunki życia w chłopskich chatach, gdzie cała rodzina, służba, a niekiedy zupełnie obcy komornicy mieszkali w jednej izbie, gdzie rzadko się zdarzało mieć własne legowisko, trudno było nawet małżeństwu ukryć swoje życie seksualne. Stąd też odwrotną stroną zasady dyskrecji było niedostrzeganie, że inni uprawiają seks.

Szczególne miejsce w zasadzie dyskrecji zajmowały właśnie stosunki przedmałżeńskie. Wszyscy zdawali sobie z nich sprawę, trudno było ukryć się przed wścibskim spojrzeniem. Zresztą wszyscy dorośli – i kobiety, i mężczyźni – znali to z doświadczenia i zdawali sobie sprawę, że jest to ważne stadium kojarzenia się przyszłych małżeństw. Dlatego stosunków przedmałżeńskich nie tylko nie widziano, ale też o nich nie słyszano, a jeżeli ktoś o nich opowiadał, całe odium spadało na niego. Do czasu. Najpoważniejszym bowiem złamaniem zasady dyskrecji było zajście kobiety w ciążę. Dopiero w tym momencie opinia wiejska dostrzegała, że doszło do „przestąpienia bożego przykazania", a w sprawę mogły włączyć się również organy administracyjne wsi. ▶

▶ Pannie młodej brzuch nosa dosięga

A co z dziewictwem, symbolizowanym przez wianek, który panna młoda ma dumnie zanieść do kościoła? Otóż dziewictwo we współczesnym rozumieniu tego słowa nie stanowiło w środowisku chłopskim szczególnie cenionej wartości. Zresztą to słowo praktycznie nie występowało w chłopskim słowniku, panieństwo zaś oznaczało po prostu stan cywilny kobiety. Najbliższym odpowiednikiem współczesnego dziewictwa byłby zatem ów wianek, nad którego stratą tak często boleją bohaterki ludowych pieśni. Jednak znaczenie tego terminu jest dość ambiwalentne. Oczywiście wianek jako nakrycie głowy był symbolem panieństwa, podobnie jak czepiec był atrybutem mężatek. Jednak poza liryką ludową „odjęcie wieńca" w okresie staropolskim praktycznie zawsze oznaczało spłodzenie dziecka w stosunku przedmałżeńskim. Być może dopiero w drugiej połowie XIX w. udało się Kościołowi w głowach chłopstwa powiązać wianek ze stanem błony dziewiczej. Przy okazji trzeba dodać, że nie mamy żadnych historycznych potwierdzeń okazywania zakrwawionego prześcieradła po pokładzinach podczas chłopskich wesel, a świadectwa etnograficzne tej praktyki wskazują na zaledwie symboliczny jej charakter.

Seks przedmałżeński wiązał się oczywiście z ryzykiem ciąży. W myśl prawa obydwojgu kochankom groziło wtedy karanie fizyczne, grzywny i publiczna pokuta, a także poważny uszczerbek na opinii. Zgodnie z zasadą podwójnego standardu potępienie moralne silniej dotykało kobiet niż mężczyzn. To one więcej traciły na rynku matrymonialnym, choć w warunkach polskiej wsi również mężczyzna, który „obrzemienił" pannę, nie miał powodów, by chełpić się jurnością. Dlaczego zatem ryzykowano podejmowanie takiego współżycia, a wiejska społeczność szczególnie w tym nie przeszkadzała?

Przede wszystkim niekoniecznie uprawianie seksu musiało się skończyć spłodzeniem dziecka. Oczywiście między bajki możemy włożyć opinie o tym, jakoby wiejskie znachorki dysponowały skutecznymi środkami antykoncepcyjnymi lub wczesnoporonnymi. Jeśli nawet stosowały jakieś substancje, które mogły mieć działanie poronne, to w nieskutecznych dawkach. Najpopularniejszym środkiem antykoncepcyjnym (podobnie jak w całej Europie) pozostawało „palców pod się kładzenie" podczas stosunku, a poronnym – praktyki w stylu smarowanie ciała maścią na ususzonej ropusze. Być może stosowano również stosunek przerywany lub uciekano się do niepenetracyjnych praktyk seksualnych, ale właściwie nic na ten temat nie wiemy – pozostają domysły. Zasadniczo jednak nie chodziło o regularne współżycie, lecz raczej o stosunki dość rzadkie i przygodne.

Najważniejsza jednak w kwestii ryzyka ciąży przedślubnej była kulturowa reakcja społeczności wiejskiej. Otóż zwyczajnym i powszechnie akceptowanym sposobem uniknięcia kłopotów w przypadku spłodzenia dziecka przez osoby stanu wolnego było zawarcie przez nie małżeństwa. Rozwiązanie takie legitymizowało współżycie przedślubne oraz uwalniało dziecko od określenia go jako bękarta. Gdy chłopak nie wykazywał ochoty do poślubienia ciężarnej kochanki, w przekonywanie go angażowali się nie tylko sąsiedzi, lecz także wiejski samorząd. Jeśli nie było obiektywnych przeszkód, takich jak pokrewieństwo czy zbyt duża różnica społeczna, to najpewniej lądowali oni na ślubnym kobiercu, a skandal zostawał zażegnany w zarodku. W XVIII w. około jednej czwartej chłopskich ślubów zawierano, gdy panna młoda była w ciąży. Najwyraźniej ten sposób kojarzenia małżeństw uważano za zupełnie zwyczajny. Jak zauważył Wacław Potocki w jednej ze swoich fraszek: „Inakszej zażywają chłopi na wsi mody,/ Bo i zmowa na piecu i łożnica wprzody (...)/ Aż skoro pannie młodej brzuch nosa dosięga/ Wtenaczas ślub i małżeńska nastąpi przysięga".

Plakat do filmu „Konopielka" w reż. Witolda Leszczyńskiego (1982 r.) według powieści Edwarda Redlińskiego (1973 r.). Powyżej: **Obejmująca się para włościan; rycina Josta Ammana, 1599 r.**

Liczba dzieci pozamałżeńskich pozostawała niewielka – nie przekraczała kilku procent urodzeń. Oprócz przypadków losowych (gdy np. ojciec dziecka zmarł przed ślubem), liczba ta wskazuje na istnienie na wsi pewnego marginesu kobiet, nazywanych czasem niesłusznie wiejskimi prostytutkami. Zajmowały one tak niskie miejsce w hierarchii społecznej, że zamążpójście leżało poza zasięgiem zarówno ich możliwości, jak i wyobraźni. Angażując się w związki z mężczyznami, mogły liczyć na jakieś gratyfikacje, pozwalające przeżyć. Ich partnerami byli zresztą na ogół równie zmarginalizowani mężczyźni, którzy nie mogli sobie w żaden sposób pozwolić na założenie rodziny.

Niby płakać będę

Przyzwolenie społeczności wsi na dobór małżeński w rezultacie spłodzenia potomka przez parę podejmującą współżycie bez jednoznacznego zezwolenia rodziców kłóci się z popularną wizją zakontraktowanego małżeństwa chłopskiego ustalanego poprzez racjonalne pertraktacje co do wysokości wiana, posagu, wielkości dziedziczonego areału itd. Ten rodzaj myślenia przyjął się jednak dopiero po uwłaszczeniu, gdy uprawiana ziemia przeszła na własność chłopów, jednak było jej zbyt mało, żeby mogła ich utrzymać. Przed uwłaszczeniem to dwór wydzielał chłopom działki ziemi. Utworzenie nowego gospodarstwa pozwalało obciążyć je pańszczyzną, czynszami i koniecznością utrzymywania zwierząt pociągowych. Młode małżeństwa niechętnie dawały się obdarować ziemią, a przymuszone czasem rzeczywiście fizycznie nie dawały rady. System pańszczyźniany spłaszczał również hierarchie wewnątrz wsi, nie pozwalając, żeby ktokolwiek dorobił się ponad miarę ze swojej pracy i uprawianej działki. Dlatego też w doborze partnerów do przyszłego małżeństwa mniejszą rolę odgrywały wówczas podziały społeczne czy kwestie finansowe, a większą przymioty osobiste: zdrowie, sprawność fizyczna, pracowitość, gospodarność, oszczędność. Możliwości wyboru przyszłego małżonka lub małżonki były bardzo ograniczone czynnikami zewnętrznymi.

Jak wynika z badań demograficznych, w XVIII w. ponad dwie trzecie małżeństw chłopskich kojarzono w obrębie tej samej parafii, a głównie w jednej wsi. Biorąc pod uwagę, że pierwsze małżeństwa zawierały zwykle osoby z tego samego pokolenia (różnica wieku między małżonkami nie przekraczała

pięciu lat), to wyboru dokonywano spośród nie więcej niż kilkudziesięciu osób znanych od dzieciństwa. A i tak należało z tej grupy wykluczyć jeszcze wszystkich spokrewnionych i spowinowaconych w stopniu, w którym nie było co liczyć na załatwienie dyspensy.

Za tak silną endogamię wiejską częściowo odpowiadało osobliwe poddaństwo chłopów, które obejmowało konieczność uzyskania zgody dworu na wydanie córki lub syna w związek małżeński do innych dóbr. Utrata rąk do pracy nie leżała w interesie dworu, ale nie była to przeszkoda nie do pokonania. Właściciele dóbr uzgadniali skomplikowane nieraz bartery małżeńskie swoich poddanych, a czasem taki transfer nowożeńców przyjmował prawną formę osławionej sprzedaży chłopa. Jednak likwidacja osobistego poddaństwa nie spowodowała nagłego spadku endogamii. Chłopi wciąż preferowali małżeństwa między osobami z najbliższej okolicy, a w wielu wsiach długo po zniesieniu pańszczyzny narzeczeni udawali się do miejscowego dworu prosić o błogosławieństwo, w istocie licząc na zwyczajowe prezenty.

Kontraktowość chłopskiego małżeństwa uosabiają funkcje swatki i swata, pośredników w załatwianiu umowy między rodzicami przyszłych państwa młodych. Pierwsza do rodziców panny na wydaniu udawała się swatka, która dość nieformalnie badała grunt pod znacznie bardziej sformalizowaną wizytę swata. Ta już była czystym teatrem: udawanie, że przyszło się kupić jałówkę, cały cykl pertraktacji i rodzicielskich pouczeń pod adresem przyszłego zięcia, a wszystko to przy pokazowo indyferentnej postawie dziewczyny, o której była mowa. Jednak, jak brzmią słowa jednej z dziewczęcych pieśni zaręczynowych: „A ja pójdę do kumory, niby płakać będę,/ a wy na to nie zważajta, bo ja rada będę". Swaty były bowiem rezultatem dłuższego procesu, w którym oboje młodzi mieli znaczną sprawczość.

Paradoks chłopskiego małżeństwa polegał na tym, że z jednej strony obyczaje pozwalały na dość dużą swobodę w kojarzeniu się przyszłych par, aż po podejmowanie współżycia seksualnego przed podjęciem ostatecznych decyzji. Z drugiej strony małżeństwo było niezwykle ważną instytucją wiejskiej społeczności – zbyt ważną, żeby ograniczyć je do afektu dwojga młodych. Oznaczało powstanie nowej jednostki gospodarczej we wsi. Musiało od początku dysponować odpowiednim zasobem dóbr, czyli ziemi, narzędzi gospodarczych i bydła, aby nie tylko biologicznie przetrwać, lecz również kontynuować życie na poziomie właściwym dla jego pozycji społecznej. Stąd brała się ostrożność społeczności wobec projektów małżeństw ludzi zbyt młodych i niedoświadczonych lub chorowitych albo związków o zbyt dużej różnicy wieku, którą uważano za konfliktogenną w dłuższej perspektywie.

Jednak i z osobistej perspektywy młodych mężczyzn i kobiet wstąpienie w związek małżeński oznaczało ważny krok na drodze do społecznej samorealizacji. Oboje wchodzili w ten sposób do grona poważanych, obywateli wsi. Przestawali być parobkiem i dziewką, stawali się gospodarzem i gospodynią, wraz z obowiązkami i przywilejami przynależącymi ich pozycji.

Wbrew popularnym przekonaniom rodzina chłopska w Polsce przed uwłaszczeniem zazwyczaj przypominała model zachodnioeuropejski. Gospodarstwo składało się z rodziców i dzieci. Rozszerzone, skomplikowane gospodarstwa znane etnografom z XIX-wiecznej Rosji występowały rzadko. Jedynym częstszym odstępstwem od modelu rodziny nuklearnej było występowanie w gospodarstwie jednego przedstawiciela starszej generacji, zwykle matki lub ojca któregoś z małżonków. W ten sposób owdowiali dożywali swych dni przy gospodarstwie swoich dzieci.

Normą nie miłość, ale szacunek

Zawierając związek małżeński, młodzi mieli przed sobą przynajmniej 20 lat wspólnego życia. W XVIII w. oznaczało to, że kobieta miała szansę urodzić piątkę dzieci, a biorąc pod uwagę dużą śmiertelność niemowląt, rodziny wielodzietne były wówczas prawdziwym wyjątkiem. Zwykle w wiejskiej rodzinie było dwoje lub troje dzieci; w zamożniejszych więcej, w uboższych mniej. Sytuacja wyraźnie zmieniła się na przełomie XIX i XX w., kiedy zarówno spadła śmiertelność niemowląt, jak i skróciły się interwały między ciążami, zapewne w związku z poprawą jakości życia.

Za prawdziwe nieszczęście uchodziła bezpłodność: brak potomstwa w stosownym czasie od ślubu stawiał pod znakiem zapytania sprawność seksualną zarówno mężczyzny, jak i kobiety, a pożycie młodych małżonków zaprzątało uwagę całej wsi.

Zresztą seksualność osób pozostających w związkach małżeńskich wydawała się bardziej absorbować wiejską społeczność niż współżycie ludzi stanu wolnego. Jedną bowiem ze zmian, jakie wprowadzało małżeństwo w życie młodych chłopów i chłopek, było bardzo rygorystyczne ograniczenie ich swobody seksualnej. Norma absolutnego zakazu aktywności płciowej poza małżeństwem dotyczyła zarówno kobiet, jak i mężczyzn i była gorliwie kontrolowana przez społeczność wiejską. Z drugiej strony wszelkie przestępstwa w tym względzie były oceniane pragmatycznie, gdyż niewielką wagę przykładano do zranienia uczuć, zaś wielką – do trwałości i zgodności małżeństwa jako podstawy rodziny chłopskiej.

Jak ponad 100 lat temu zauważyli socjologowie William Thomas i Florian Znaniecki, wśród chłopstwa „małżeńską normą nie jest miłość, ale szacunek". Miał on być zasadą egzekwowaną przez lokalną społeczność oraz sieci krewniacze. Wydaje się to jednak zbytnim uproszczeniem. Stosunki między małżonkami opierały się na ich osobistych emocjach, które oni sami nazywali czasem przyjaźnią, ale my możemy je określić jako miłość nieromantyczną. Składały się na nią ów wzajemny szacunek, lecz również poczucie solidarności w prowadzeniu gospodarstwa i prezentacji związku wobec społeczności, a także pożądanie seksualne, które miało znajdować swoją prawidłową realizację tylko w ramach małżeństwa. Brak w tym komponentu romantycznego, który od zarania XIX w. definiował miłość w społeczeństwie mieszczańskim, jednak ze współczesnej perspektywy nie wydaje się, żeby miał to być powód dla jakiejś niższej oceny modelu chłopskiej miłości małżeńskiej.

TOMASZ WIŚLICZ

KUP TERAZ

Pełną wersję tekstu zamieściliśmy w najnowszym Pomocniku Historycznym „DZIEJE POLSKIEJ WSI". Dostępny na **sklep.polityka.pl**

SŁUCHAJ TERAZ

Na **polityka.pl/podkasty** wysłuchasz uzupełniającej temat rozmowy Agnieszki Krzemińskiej z autorem.

© ALAMY/BE&W, ANDRZEJ PĄGOWSKI

Nagrody Historyczne POLITYKI 65 lat

NAGRODY HISTORYCZNE

Poniżej prezentujemy nominacje w kategoriach: Źródła i Debiuty w pracach naukowych i popularnonaukowych. Za tydzień zapraszamy do zapoznania się z nominacjami za Prace naukowe, Prace popularnonaukowe oraz Pamiętniki. Laureatów Nagród Historycznych za rok 2023 ogłosimy w numerze 21 POLITYKI, który ukaże się 15 maja w kioskach, i na polityka.pl/nagrodyhistoryczne.

KATEGORIA ŹRÓDŁA

Gdy nieme groby przemawiają… Archiwum dr. Jana Zygmunta Robla, t. 1–4,

red. Danuta Jastrzębska-Golonka, Ewa Kowalska, opr. dokumentów Ewa Dulna-Rak, Katarzyna Ziębik,
Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2023

Gdy nieme groby przemawiają… Spuścizna katyńska,

red. Danuta Jastrzębska-Golonka, Ewa Kowalska,
Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2023

Groby katyńskie nie przemówiłyby takim głosem, gdyby nie dr Jan Robel (1886–1962), chemik i toksykolog, w czasie okupacji kierownik Oddziału Chemicznego Instytutu Medycyny Sądowej i Kryminalistyki w Krakowie. Tylko niewielką część dokumentów znalezionych w Katyniu dało się na miejscu odczytać i zidentyfikować ich właścicieli. Dla Niemców miało to pierwszorzędne znaczenie propagandowe, dokumenty katyńskie wysłano więc do krakowskiego Instytutu. Zespół Robla nie tylko żmudnie je odczytywał, ale też z benedyktyńską dokładnością kopiował (m.in. 22 pamiętniki przekazane w 1944 r. do Londynu). Dwie z czterech zrobionych przez Robla kopii dokumentacji odnaleziono w 1991 r. i teraz niezwykle skrupulatnie wydano. Są lekturą równie przerażającą, co fascynującą.

JERZY KOCHANOWSKI

Polacy na Wschodzie. Historie mówione,

red. Dominik Czapigo,
Fundacja Ośrodka KARTA,
Warszawa 2023

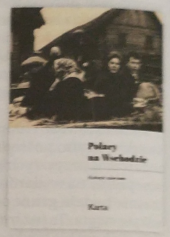

Fundacja Ośrodka Karta i Dom Spotkań z Historią od kilkunastu lat prowadzą Archiwum Historii Mówionej, które gromadzi wspomnienia, relacje, wywiady. Tym razem swoje opowieści przekazują Polacy żyjący na Wschodzie, szeroko pojętym. Relacje dotyczą różnych okresów XX w. i zmieniających się warunków geopolitycznych. I tak do 1939 r. swoje historie opowiadają Polacy mieszkający na Łotwie, Litwie i w Rumunii, inni o okupacji sowieckiej w latach 1939–41, niemieckiej (1941–44). Wreszcie w ZSRR po 1945 r. aż do jego rozpadu. Wartość tego przekazu jest ogromna, także dlatego że wielka historia jest zaświadczona osobistymi losami, dramatami, życiem codziennym w warunkach nieraz ekstremalnych.

WIESŁAW WŁADYKA

Archiwum Ringelbluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawy, seria wydawnicza t. 1–36,

Katarzyna Person (koordynator i red.), Eleonora Bergman, Tadeusz Epsztein (red.), Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Warszawa 2023

Wydany w 2023 r. tom „Archiwum Ringelbluma" wieńczy monumentalne dzieło edycji jednego z najcenniejszych źródeł do historii Polski i świata. Podziemne Archiwum Getta Warszawy stworzyli członkowie konspiracyjnej grupy kierowanej przez Emanuela Ringelbluma. Po wojnie udało się pod ruinami getta odnaleźć jego dwie części. Przechowywane w Żydowskim Instytucie Historycznym stanowi dziś zabytek wpisany na listę UNESCO. 36-tomowa staranna edycja tysięcy, nierzadko trudnych do odczytania dokumentów spisanych w kilku językach, opatrzona przypisami i indeksami, słownikami i wstępami historycznymi, jest wynikiem gigantycznej pracy zespołu historyków, redaktorów i tłumaczy. Składamy im wyrazy uznania i wdzięczności.

DARIUSZ STOLA

POLITYKI ZA ROK 2023

KATEGORIA **DEBIUTY W PRACACH NAUKOWYCH I POPULARNONAUKOWYCH**

Kamila Łabno-Hajduk,
Zofia Hertz. Życie na miarę KULTURY,
Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Wrocław-Wojnowice-Paryż 2023

Gdyby nie wojna, Zofia Hertz (1910–2003) miała szansę przejść do historii (prawa) jako pierwsza polska notariuszka. Wojenny rollercoaster doprowadził ją z Łodzi na Kresy, stamtąd na zesłanie i w końcu do armii gen. Andersa. Rozpoczęta w niej współpraca z m.in. Józefem Czapskim i Jerzym Giedroyciem trwała do końca życia – jej i ich. Współtworzyła Instytut Literacki, najpierw w Rzymie, potem w podparyskim Maisons-Laffitte. Dla zespołu „Kultury" była – z typowo notarialną dbałością o szczegóły i jednocześnie urokiem osobistym – prawdziwym darem niebios. Pozostając w cieniu wielkich nazwisk, brała na siebie mało wdzięczne obowiązki, od gotowania przez księgowość po korekty tekstów. Po wielokroć zasłużyła na tę biografię.

JERZY KOCHANOWSKI

Natalia Judzińska,
Po lewej stronie sali. Getto ławkowe w międzywojennym Wilnie,
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2023

Autorka pisze, że antysemityzm był jednym z bardziej wyrazistych „wzorów polskiej kultury akademickiej" w Polsce międzywojennej. Zajęła się jego przejawami przede wszystkim na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie, ale pisze o podobnych zachowaniach i postawach na innych uczelniach w Polsce. I to przez cały okres dwudziestolecia, przy czym ten antysemityzm osiągnął stan bardzo wysoki w latach 30., a już zwłaszcza w ich drugiej połowie. Nie bez udziału władzy sanacyjnej. Najmocniejszymi przejawami tego antysemityzmu były nie tylko pobicia, mordy, ale także segregacja rasowa, wprowadzenie getta ławkowego, i to odgórnie, ustawami, rozporządzeniami rektorów. Wstyd i hańba.

WIESŁAW WŁADYKA

Aleksandra Suława,
Przy rodzicach nie parlować. O polskich powrotach z Francji,
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023

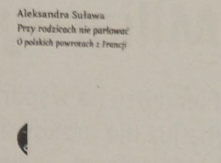

To historia polskich emigrantów we Francji, którzy w latach 1946–48 wrócili do Polski. Opisuje wpierw drogę liczącej ponad 600 tys. rzeszy, która wyemigrowała w latach 20., a następnie kilkudziesięciu tysięcy tych, co po wojnie wrócili – by budować Polskę lepszą niż ta, którą opuścili. Podwójni imigranci, Polacy we Francji i Francuzi w Polsce, dwukrotnie podejmowali wysiłek zakorzeniania w nowym miejscu (w Polsce z reguły na Dolnym Śląsku), podtrzymując przywiezione z poprzedniego miejsca zwyczaje i kontakty z tam pozostałymi. Aleksandra Suława opowiada o nich w żywy i wciągający sposób, z wrażliwością właściwą historii rodzinnej, która zwraca uwagę na pozornie drobne szczegóły i pragnie zrozumieć wybory swych bohaterów.

DARIUSZ STOLA

Nominowało Jury w składzie: prof. dr hab. **JERZY KOCHANOWSKI**, dr hab. **BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA**, prof. dr hab. **DARIUSZ STOLA**, dr hab. **BOŻENA SZAYNOK**, red. **MARIAN TURSKI**, prof. dr hab. **WIESŁAW WŁADYKA**.

Mecenasami Nagród Historycznych POLITYKI są:

zaKS sprzyjamy wyobraźni

Dantex

ABUR Systemy automatyki

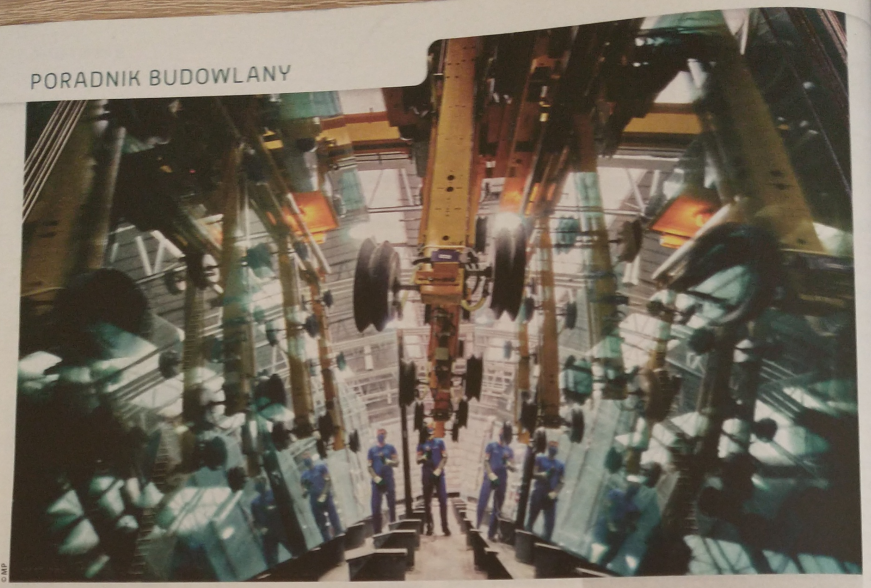

© MP

Hala produkcyjna firmy Oknoplast.

Miliardy na remonty

Pieniędzy na wsparcie w ramach „Czystego Powietrza" ma już nie brakować. Trzeba jednak uważać na oszustów i niesolidnych wykonawców, którzy chcą zarobić naszym kosztem, wykorzystując popularność programu.

Wiele osób planujących kompleksowe remonty swoich mieszkań czy domów przyjęło te informacje ze sporym niepokojem. Po zmianie władzy okazało się, że brakuje środków w bardzo popularnym programie „Czyste Powietrze", dzięki któremu można przeprowadzić termomodernizację i wymienić źródło ogrzewania na bardziej przyjazne środowisku. Pojawiły się nawet opóźnienia w przetwarzaniu wniosków. Na szczęście w sukurs przyszedł Krajowy Plan Odbudowy, odblokowany po latach sporu poprzedniego rządu z Unią Europejską. Część funduszy z KPO ma zasilić właśnie program „Czyste Powietrze". Dzięki temu osoby, które złożyły wnioski o wsparcie, nie muszą się już martwić, czy otrzymają obiecane pieniądze. Co więcej, wciąż można występować o dotacje, a zainteresowanie nimi nieustannie rośnie. W najbliższym czasie nie powinno być już kłopotów ze stabilnym finansowaniem programu. Tak przynajmniej obiecuje resort klimatu i środowiska.

Rozmach „Czystego Powietrza" jest imponujący – to aż 103 mld zł, przewidziane do rozdysponowania w latach 2018–29. Od września 2018 r. do końca marca tego roku złożono łącznie ponad 820 tys. wniosków na dofinansowanie przekraczające 25 mld zł. Podpisano już 680 tys. umów, wartych blisko 19 mld zł. „Czyste Powietrze" to jeden z najważniejszych programów mających przygotować nasze budynki na bardziej zieloną przyszłość. Składa się on z wielu komponentów. Tym najbardziej znanym jest oczywiście zastępowanie starych pieców węglowych (potocznie zwanych kopciuchami) pompami ciepła, piecami gazowymi czy na pellet. Jednak „Czyste Powietrze" pozwala także uzyskać zwrot innych wydatków, dzięki którym dom będzie bardziej energooszczędny. To na przykład ocieplenie budynku, modernizacja instalacji grzewczej, wymiana okien, drzwi wejściowych i bram garażowych, zakup rekuperacji (wentylacji mechanicznej z odzyskiwaniem ciepła), a nawet montaż instalacji fotowoltaicznej.

Z „Czystego Powietrza" mogą skorzystać osoby, które są właścicielami lub współwłaścicielami domu jednorodzinnego albo lokalu mieszkalnego wydzielonego w budynku jednorodzinnym, dysponującego wyodrębnioną księgą wieczystą. Co ważne, każdy właściciel sam decyduje, jak duży będzie zakres jego remontu. W ramach „Czystego Powietrza" można bowiem finansować zarówno większe, jak i mniejsze termomodernizacje. Taka elastyczność jest ogromną zaletą programu.

Warto zwrócić uwagę na to, że w kwietniu zostały w nim wprowadzone pewne zmiany. Kto chce zainstalować pompę ciepła, kocioł zgazowujący drewno lub kocioł na pellet, ten może wybierać tylko spośród urządzeń znajdujących się na specjalnej liście ZUM (zielonych urządzeń i materiałów). Do 13 czerwca obowiązuje jeszcze okres przejściowy, potem produkty spoza listy nie będą już akceptowane. Chodzi o to,

OKNOPLAST

PROMOCJA

15%

NA WSZYSTKIE OKNA Z LINII PIXEL

OKNOPLAST.COM.PL

*Promocja trwa do 05.05.2024 r. Szczegóły w regulaminie promocji dostępnym na stronie OKNOPLAST.COM.PL i w salonach sprzedaży.

WYMIEŃ
Z EKSPERTEM

DLA NOWYCH
INWESTYCJI

CZYSTE
POWIETRZE 3.0
100% WSPARCIA

aby wyeliminować urządzenia wątpliwej jakości, najczęściej sprowadzane z Chin, których zakup może nie przynieść spodziewanych korzyści (czyli mniejszych rachunków za energię). Poza tym od kwietnia kto ma więcej nieruchomości niż jedną, ten może starać się o najwyższy poziom dofinansowania tylko w przypadku jednego budynku jednorodzinnego lub jednego lokalu w takim budynku.

Ogromna popularność „Czystego Powietrza" (ostatnio przybywało nawet 6 tys. wniosków tygodniowo) ma też niestety skutek uboczny. Ministerstwo Klimatu i Środowiska ostrzega przed oszustami i nieuczciwymi wykonawcami. Warto sprawdzić dostawcę i firmę instalacyjną przed podpisaniem umowy. Szczególnie należy uważać na tych, którzy pukają do drzwi i oferują coś „za darmo". Eksperci przestrzegają przed usługami i produktami niskiej jakości, jakich – niestety – nie brakuje na rynku. Co ważne, każdy korzystający z programu „Czyste Powietrze" sam decyduje o wyborze firmy zarówno sprzedającej urządzenia, jak i wykonującej ich montaż. Nie ma żadnej listy fachowców rekomendowanych przez państwo. Trzeba także pamiętać, że dofinansowanie nie obejmuje nigdy podatku VAT, który trzeba zapłacić za zakup sprzętu i usług. Kto zatem obiecuje, że uzyskamy zwrot wszystkich wydatków, ten zwyczajnie mija się z prawdą.

Najważniejsza zasada, której należy przestrzegać, to podejmowanie decyzji w spokoju i bez pośpiechu. Pamiętajmy, że „Czyste Powietrze" działa nie w oparciu o kolejne edycje (jak program „Mój Prąd"), w których środki się wyczerpują, ale w sposób ciągły. Nie warto niczego podpisywać bez poważnej analizy. Tym bardziej że zdarzają się sytuacje, w których właściciele pod wpływem błędnych porad inwestują spore pieniądze w nowe urządzenie grzewcze (np. pompę ciepła) bez przeprowadzenia kompleksowej termomodernizacji budynku. Wówczas wydatki na ogrzewanie mogą okazać się dużo wyższe od zakładanych. Niestety niektórzy przedstawiciele handlowi nie wyjaśniają dokładnie potencjalnych zagrożeń. Tym bardziej należy unikać przypadkowych „fachowców". Lepiej postawić na firmy sprawdzone, nawet jeżeli ich usługi są trochę droższe.

Wiele osób zastanawia się, ile pieniędzy wydanych na remont może odzyskać dzięki „Czystemu Powietrzu". Takiej analizy nie ułatwiają dość skomplikowane zasady programu pod tym względem. Maksymalna wysokość wsparcia uzależniona jest bowiem równocześnie od dwóch elementów – sytuacji finansowej gospodarstwa domowego oraz zakresu termomodernizacji. W przypadku pierwszego kryterium nastąpił podział na trzy kategorie. Podstawowy poziom wsparcia dotyczy osób, których roczne dochody nie przekraczają 135 tys. zł. Podwyższony poziom wsparcia kierowany jest do gospodarstw, w których miesięczny dochód na osobę nie przekracza 1894 zł (gospodarstwa wieloosobowe) lub 2651 zł (jednoosobowe). Wreszcie najwyższy poziom dofinansowania został zarezerwowany dla gospodarstw o miesięcznych dochodach na osobę poniżej 1090 zł (wieloosobowe) albo 1526 zł (jednoosobowe).

Kto wie już, do której kategorii zalicza się jego gospodarstwo domowe, ten może sprawdzić maksymalną kwotę, jaką uzyska z „Czystego Powietrza". Będzie ona uzależniona od zakresu modernizacji. Na podstawowym poziomie wsparcia może to być do 66 tys. zł – ale tylko w przypadku kompleksowego remontu, obejmującego m.in. zakup pompy ciepła i instalacji fotowoltaicznej. Kto decyduje się na mniejsze inwestycje, ten może liczyć na skromniejsze wsparcie. Zawsze jednak będzie ono znaczące. Na przykład wymiana źródła ogrzewania bez kompleksowej termomodernizacji i bez fotowoltaiki uprawnia do 25–35 tys. zł. Kto nie inwestuje w nową pompę ciepła czy piec, ale dokonuje innych ulepszeń, ten również powinien pomyśleć o „Czystym Powietrzu". Przykładowo na zakup i montaż wentylacji mechanicznej z odzyskiem ciepła, okien, drzwi zewnętrznych czy bram garażowych można uzyskać 13 tys. zł (bez kompleksowej termomodernizacji) albo nawet 33 tys. zł (jeśli taką termomodernizację przeprowadzimy).

Osoby w trudniejszej sytuacji finansowej mogą skorzystać z wyższego wsparcia. Kto kwalifikuje się do kategorii pośredniej (tzw. podwyższony poziom wsparcia), ten ma szansę na maksymalnie 99 tys. zł. Natomiast najniższe dochody uprawniają do otrzymania nawet 135 tys. zł. W obu przypadkach chodzi o najszerszy zakres remontu, czyli zakup pompy ciepła, kompleksową termomodernizację i montaż instalacji fotowoltaicznej. Maksymalne kwoty nie oznaczają, że zawsze tyle będzie można uzyskać. Właściciele korzystający z podstawowego poziomu dofinansowania mogą wystąpić o zwrot zazwyczaj 40 proc. wydatków na zakup nowych urządzeń grzewczych. Wyższy poziom (55 proc.) dotyczy pomp ciepła o lepszej wydajności energetycznej. Z kolei osoby kwalifikujące się do podwyższonego i maksymalnego poziomu wsparcia mogą wnioskować o zwrot odpowiednio 70–80 i 100 proc. takich inwestycji.

Za to w jednej kategorii nie ma żadnych różnic. Każdemu korzystającemu z „Czystego Powietrza" przysługuje 1,2 tys. zł na przeprowadzenie audytu energetycznego swojego budynku. Nie jest on co prawda obowiązkowy, jeśli nie przeprowadzamy kompleksowej termomodernizacji, jednak warto o nim pomyśleć, nawet gdy planujemy tylko drobniejsze inwestycje. Taki audyt pozwala odpowiedzieć na szereg ważnych pytań. Dzięki niemu dowiemy się, jakie elementy i systemy warto modernizować, ile będzie to kosztować, jakie przyniesie korzyści finansowe, po jakim czasie wydatki się zwrócą dzięki niższym rachunkom i na jakie rozwiązania warto się zdecydować. Audyt jest szczególnie przydatny, gdy wahamy się np. między instalacją pompy ciepła i pieca gazowego.

W ramach „Czystego Powietrza" istnieją trzy różne formy dofinansowania. Można wystąpić o wsparcie po zrealizowaniu części lub całości inwestycji. Wówczas otrzymamy zwrot poniesionych nakładów, oczywiście zgodnie z zasadami programu. Można się również starać o wypłatę części dotacji w formie zaliczki przed rozpoczęciem prac. Wówczas reszta wsparcia zostanie udzielona po zakończeniu inwestycji. To przydatne rozwiązanie dla osób, które nie dysponują dużymi rezerwami finansowymi. Trzecią opcją jest dotacja na częściową spłatę kredytu bankowego, zaciągniętego w jednym z banków, które są partnerami programu „Czyste Powietrze". Do tej grupy należą Alior, Bank Ochrony Środowiska, BNP Paribas, Credit Agricole, 33 banki spółdzielcze zrzeszenia BPS oraz SGB Bank wraz z 19 bankami spółdzielczymi SGB.

Wnioski o pomoc można składać zarówno drogą internetową, jak i w formie papierowej. Powinny trafić do jednego z wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej (właściwego dla lokalizacji danej inwestycji), bo to one są instytucjami odpowiedzialnymi za realizację programu. Warto pamiętać, że wniosek złożony do nieodpowiedniego funduszu nie zostanie rozpatrzony. Kto korzysta z kredytu na termomodernizację, ten może również ubiegać się o wsparcie w ramach „Czystego Powietrza" poprzez swój bank. Najważniejsze to dobrze zaplanować całą inwestycję i nie martwić się ostatnimi zawirowaniami. Dzięki unijnemu wsparciu „Czyste Powietrze" wróciło na właściwe tory.

CEZARY KOWANDA

Siła
Pasji
NOWA GENERACJA
OKIEN DACHOWYCH GREENVIEW
O ENERGOOSZCZĘDNEJ KONSTRUKCJI
Poznaj moją pasję
Okna GREENVIEW powstały z pasji tworzenia i zmieniania świata. Przedstawiamy Ci nową generację okien dachowych, które łączą najwyższe standardy funkcjonalne i estetyczne z wysoką energooszczędnością i wyjątkową akustyką. Okna dachowe GREENVIEW to więcej niż innowacja - to rewolucja z myślą o nowej jakości życia.
FAKRO

Budowlane odmrożenie

Stabilizacja cen materiałów budowlanych i powoli rosnąca zdolność kredytowa – kto marzy o własnym domu, ten może patrzeć w przyszłość z nieco większym optymizmem. Na co zwrócić uwagę, projektując swoje miejsce na ziemi?

Wiosna to tradycyjnie czas rozpoczynania inwestycji budowlanych. Ostatnie lata nie były jednak łaskawe dla tych, którzy starali się urzeczywistnić marzenia o własnym domu jednorodzinnym. Najpierw pandemia, a potem wojna w Ukrainie zdestabilizowały rynek. Ceny materiałów budowlanych gwałtownie rosły, a część pracujących na budowach wróciło do swojej ojczyzny, by bronić jej przed rosyjskim agresorem. W międzyczasie Rada Polityki Pieniężnej znacząco podniosła stopy procentowe, co bardzo ograniczyło dostęp do kredytów. Niektórzy inwestorzy, w obliczu splotu tak niekorzystnych okoliczności, byli nawet zmuszeni przerwać prace. Inni znacząco je spowolnili, aby nie stracić płynności finansowej.

Miejmy nadzieję, że ten rok przyniesie tak wyczekiwaną stabilizację: Stopy procentowe spadły nieznacznie jesienią (łącznie o punkt procentowy), a w ostatnich miesiącach nie są zmieniane przez Radę Polityki Pieniężnej. Wiele wskazuje na to, że tak będzie przez cały rok, więc oprocentowanie kredytów hipotecznych pozostanie wysokie. Jednak dzięki rosnącym wynagrodzeniom poprawia się stopniowo zdolność kredytowa większości Polek i Polaków.

Uspokojenie obserwujemy również na rynku materiałów budowlanych. Jak pokazują dane grupy PSB Handel, w lutym tego roku były one średnio o 3 proc. tańsze niż w lutym 2023 r. Większe wydatki niż przed rokiem dotyczą pięciu grup towarowych. Najbardziej zdrożały cement i wapno (aż o 12 proc.), mniejsze podwyżki dotknęły farby, lakiery, chemię budowlaną i sprzęty AGD. Za to spadki cen wystąpiły w przypadku 15 grup. Najbardziej, bo aż o jedną czwartą, staniały płyty OSB, które jeszcze niedawno były wśród liderów drożyzny. Mniej płacimy też m.in. za wykończenia i izolacje termiczne (o 10 proc.), za dachy i rynny (8 proc. w dół), ściany i kominy (minus 7 proc.) oraz oświetlenie, narzędzia i sprzęt kuchenny czy łazienkowy.

Dzięki ogólnej poprawie nastrojów (inflacja znacząco spadła, odbudowuje się stopniowo nasza siła nabywcza, do Polski znów płyną pieniądze z Unii, wielkie nadzieje wiążemy z odblokowaniem

Drzwi tarasowe firmy Aluprof.

ALUPROF
SYSTEMY ALUMINIOWE
MB-82HS
NOWE DRZWI TARASOWE podnoszono-przesuwne
WIĘCEJ KOMFORTU, WIĘCEJ OSZCZĘDNOŚCI
TWÓJ DOM Z WIDOKIEM NA PRZYSZŁOŚĆ

Krajowego Planu Odbudowy) część inwestorów odmraża projekty, a inni decydują się je rozpocząć. Jak pokazują najnowsze dane Głównego Urzędu Statystycznego, w lutym tego roku inwestorzy indywidualni zaczęli prace przy budowie prawie 6 tys. domów. To wynik o prawie 50 proc. lepszy niż w lutym 2023 r. W całym poprzednim roku rozpoczęto niespełna 70 tys. takich inwestycji – aż o 15 proc. mniej niż w 2022 r. Wiele wskazuje na to, że ten rok przyniesie ożywienie w budownictwie zarówno wielo-, jak i jednorodzinnym.

Spróbowaliśmy zebrać w poradniku informacje o różnych nowoczesnych rozwiązaniach i sugestie, na co zwrócić uwagę przy stawianiu domu lub jego gruntownej rewitalizacji. Z powodu wysokich cen energii zarówno nowe, jak i remontowane budynki muszą przede wszystkim wyróżniać się dobrą izolacją cieplną – chronić wnętrze przed wychładzaniem zimą, ale także przed przegrzewaniem latem. Ta pierwsza kwestia jest ważna od dawna, jednak perspektywa uwolnienia cen prądu i gazu (częściowo od połowy tego roku) oznacza, że wydatki na ogrzewanie będą dalej rosnąć. Postępujące w zastraszającym tempie zmiany klimatyczne zwiększają też wyzwania związane z letnimi falami upałów. Tymczasem budynek wydajny to taki, który utrzymuje jak najmniejszym kosztem komfortową temperaturę zarówno zimą, jak i latem. Na szczęście technologiczny postęp pozwala łączyć dobre parametry energetyczne z imponującymi rozwiązaniami wizualnymi, takimi jak duże przeszklenia, eleganckie elewacje czy dachy bezokapowe.

Jedna z najważniejszych decyzji inwestorskich dotyczy wyboru okien. Na jakie ich parametry warto zwrócić uwagę? Przynajmniej na trzy: współczynnik przenikania ciepła, dźwiękoszczelność oraz klasę odporności na włamanie. Ten pierwszy parametr ma szczególne znaczenie, gdy staramy się o dofinansowanie w ramach programu „Czyste Powietrze". Wówczas trzeba wybrać okna o współczynniku przenikania ciepła (Uw) wynoszącym 0,9 W/(m²K) lub mniej. W przypadku tego współczynnika obowiązuje prosta zasada: im niższa wartość, tym lepiej. Warto zatem szukać produktów o Uw jeszcze lepszym, np. 0,8 W/(m²K). Nawet jeśli będą one nieco droższe, zaoszczędzimy na ogrzewaniu. Czasem producenci podają także dane dwóch innych współczynników: Ug (współczynnik przenikania ciepła szyby) oraz Uf (współczynnik przenikania ciepła ramy okiennej). Oba wpływają na wartość Uw, który najlepiej nadaje się do porównywania poszczególnych okien.

© MP

Wizualizacja domu z dachem zintegrowanym z systemem rynnowym.

Drugi ważny parametr to Rw, mierzący izolacyjność akustyczną. W tym przypadku standard to 30 dB (decybeli), ale jeśli chcemy lepiej chronić się przed hałasem z zewnątrz (np. mieszkamy przy ruchliwej ulicy albo niedaleko lotniska), warto szukać okien z Rw na poziomie 35 dB, a nawet wyższym. Inaczej niż w przypadku współczynnika przenikania ciepła tu obowiązuje zasada: im wyższa wartość, tym lepiej. Hałas, zwłaszcza ten ciągły, jest niestety bardzo poważnym problemem wpływającym nie tylko na nasze samopoczucie, ale też na stan zdrowia. Powstaje coraz więcej dróg szybkiego ruchu, które tylko częściowo są zabezpieczane ekranami akustycznymi. W miastach ogromnym problemem pozostają nielegalne, często nocne wyścigi na szerokich arteriach, z którymi kompletnie nie radzi sobie policja. Kwestia izolacji akustycznej zazwyczaj nie jest najważniejszym kryterium wyboru okien, jednak z pewnością warto zwrócić na nią uwagę. Tym bardziej że wśród domowników subiektywne odczucia związane z hałasem mogą być różne. Nasza umiejętność radzenia sobie z różnymi dźwiękami jest bowiem sprawą bardzo indywidualną.

Wreszcie trzeci istotny parametr dotyczy odporności na włamanie. W tym przypadku stosowane są klasy RC1/RC1N, RC2/RC2N, RC3, RC4, RC5 oraz RC6 (N oznacza szkło standardowe, okno bez tej literki będzie mieć szkło ochronne). Im wyższa cyfra, tym lepsze zabezpieczenie przed złodziejami. Okna plastikowe mogą mieć klasy od RC1 do RC3. W praktyce ta ostatnia dość dobrze chroni nasz dom i może okazać się optymalnym rozwiązaniem. Klasy wyższe (od czwartej do szóstej) są stosowane raczej w budynkach komercyjnych. Warto pamiętać, że zadaniem okna nie jest powstrzymanie włamywacza za wszelką cenę. Chodzi raczej o takie stawianie oporu złodziejowi, aby szybko się poddał i nie ryzykował zatrzymania. Na przykład klasa RC2 oznacza, że okno powinno opierać się próbom włamania przy użyciu cięższych narzędzi przez trzy minuty, a klasa RC3 wydłuża ten czas do pięciu minut. Taki okres jest zazwyczaj zbyt długi z punktu widzenia włamywacza. Poszuka sobie innego celu.

Oferta rynkowa jest dzisiaj bardzo bogata. Warto szukać rozwiązań, które będą spełniały szereg kryteriów, na których zależy inwestorowi, a równocześnie nie zawiodą jego oczekiwań estetycznych. – *Produkty takie jak okno Pava czy Pixel są naszą przemyślaną odpowiedzią na potrzeby konsumenta, nowoczesnego budownictwa oraz wymogów termomodernizacyjnych.*

GALECO

DACHRYNNA®

NOWOŚĆ

IDEALNE DOPASOWANIE

INNOWACYJNY
ZINTEGROWANY
SYSTEM DACHOWY

AMBASADOR PRODUKTU

Bogusław Barnaś
BXB Studio - Pracownia Projektowa

Pierwszy na rynku innowacyjny system dachowy 2w1, który łączy pokrycie dachowe w postaci panelu na rąbek ze zintegrowanym systemem rynnowym ukrytym w strukturze dachu i elewacji. Produkt stworzony przez zespół specjalistów Galeco, czołowego producenta systemów odprowadzania wody deszczowej, powstał z myślą o nowoczesnej architekturze oczekującej kompletnych, minimalistycznych i systemowych rozwiązań. Dach z idealnie zintegrowanym systemem rynnowym to przyszłość współczesnej architektury i budownictwa.

WWW.DACHRYNNA.GALECO.PL

Dlatego okno Pava to energooszczędność, zwiększona stabilność konstrukcji i bardzo dobra izolacja akustyczna – tę linię stworzono, by utrzymać w domu jak najwięcej ciepła i ciszy – mówi Tomasz Radecki, dyrektor handlowy firmy Oknoplast. – Pixel to połączenie elegancji, funkcjonalności i nowoczesnych technologii. Zapewnia nawet 22 proc. więcej światła w pomieszczeniu i posiada nowoczesny kształt bez zadnych zaokrągleń.

Standardem w przypadku nowoczesnych okien stały się pakiety trzyszybowe, dzięki którym można osiągnąć dużo lepsze parametry energetyczne. – *Okna Wiśniowski to wyjątkowa dbałość o szczegóły – począwszy od cięcia szkła, poprzez niemal niewidoczne zgrzewanie profili w technologii V-Perfect, aż po okleinowanie. Potwierdzenie najwyższej jakości stanowi aż siedmioletnia gwarancja. W standardzie okna zostały wyposażone w pakiet trzyszybowy, co pozwala na uzyskanie świetnych właściwości termicznych. Niemal nieograniczona możliwość wyboru kolorów, oklein i klamek umożliwia idealne dopasowanie do pozostałych elementów stolarki i całego domu, a funkcjonalne rozwiązania w zakresie bezpieczeństwa pozwalają spokojnie spędzać czas w domowym zaciszu* – podkreśla Michał Luraniec, kierownik grupy produktowej stolarka PVC w firmie Wiśniowski.

Duże przeszklenia to jednak nie tylko okna, ale także coraz popularniejsze drzwi panoramiczne, łączące np. salon z ogrodem. Mają one tworzyć wrażenie jak najbardziej płynnego przejścia między budynkiem a jego otoczeniem. – *W ten trend wpisują się drzwi przesuwne HST marki Fakro Innoview, wykonane z drewna i osłonięte z zewnątrz okładziną aluminiową. Drewno to naturalny surowiec, który wprowadza do wnętrza miły i przytulny klimat. Drewno z zewnątrz jest chronione przez aluminium, dzięki czemu okna są odporne na czynniki zewnętrzne, zachowując długoletnią trwałość* – opowiada Maksymilian Kłapacz, menedżer stolarki pionowej Innoview w firmie Fakro. – *Dostępny w ofercie Innoview system Sky zapewnia do 20 proc. więcej światła w pomieszczeniu w stosunku do tradycyjnych konstrukcji. Innowacyjne rozwiązanie zwiększa powierzchnię szyby, dostarczając więcej naturalnego światła. Brak listew przyszybowych od strony wewnętrznej zapewnia równomierny proces starzenia powłoki lakierniczej oraz jednolite usłojenie elementów drewnianych. Duże przeszklenia zacierają klasyczną granicę między wnętrzem a otoczeniem budynku.*

Coraz więcej producentów okien i drzwi zachęca dziś klientów do projektowania rozwiązań zgodnie z własnym gustem. Umożliwiają to systemy, dzięki którym inwestor sam decyduje o typie i wykończeniu profili, o wyglądzie pakietu szybowego i doborze wielu detali. Takie szycie na miarę cieszy się coraz większą popularnością. Na przykład drewniane ramy mogą być wykonane z drewna dębowego, charakteryzującego się dużą twardością, ale także z drewna sosnowego (o jasnych słojach i dobrej termoizolacyjności), trwałego i ciepłego drewna modrzewiowego czy wreszcie egzotycznego drewna meranti, wyjątkowo odpornego na czynniki zewnętrzne. Różne opcje dotyczą także profili drewnianych i aluminiowych, okuć czy klamek.

Kto jest szczególnie zainteresowany rynkowymi nowościami, ten może śledzić międzynarodowe targi, na których polskie firmy odnoszą sukcesy. – *Obecność na targach Fensterbau Frontale była dla*

REKLAMA

nas okazją do zaprezentowania innowacyjnych rozwiązań oraz nowości produktowych. Na stoisku firmy WALA pokazaliśmy drzwi zewnętrzne z przesuniętą osią obrotu MB-86N Pivot Door. Nasze drzwi w imponujących rozmiarach zostały gwiazdą tegorocznych targów i były jednym z najczęściej fotografowanych produktów – mówi Marek Majchrzak, dyrektor sprzedaży krajowej systemów budowlanych Aluprof. – Zwiedzający mogli zobaczyć także okno i drzwi wykonane na bazie systemu MB-86N, które wyróżniają się bardzo dobrymi parametrami technicznymi, zwłaszcza w zakresie energooszczędności. Zainteresowaniem cieszyła się też nasza innowacja produktowa SkyTwin – pionierskie rozwiązanie łączące w sobie funkcje rolety zewnętrznej i screena, dostępne na stoisku ift Rosenheim.

Dużo większą niż kiedyś uwagę architekci i inwestorzy zwracają na dach. Chodzi o to, aby dobrze komponował się z bryłą domu, zwłaszcza gdy w modzie jest minimalizm. Proste formy pozwalają zresztą nie tylko na osiągnięcie nowoczesnego wyglądu, lecz również na lepszy bilans energetyczny budynku. To dlatego coraz więcej inwestorów decyduje się na dachy bezokapowe. W takim przypadku pokrycie dachu oraz wszystkie elementy konstrukcyjne nie wystają poza ścianę budynku. To standardowa konstrukcja w przypadku domów energooszczędnych oraz pasywnych. Czasem pojawiają się wątpliwości, jak przy takim rozwiązaniu poradzić sobie z odprowadzaniem wody z dachu.

W sukurs znów przychodzą innowacyjne rozwiązania. – Galeco wprowadza unikatowy na skalę światową produkt „dwa w jednym", którym jest dachrynna, czyli pokrycie dachowe zintegrowane z rynną. To produkt, który w perspektywie kilku lat może całkowicie zastąpić klasyczne dachy i rynny. Dachrynna to zresztą rozwiązanie dla dwóch rodzajów dachów. Po pierwsze, bezokapowych, czyli tych nowoczesnych, które w większości przypadków są projektowane na indywidualne zamówienie. Ale ten produkt jest dostępny również w wersji dla dachów z okapem. Oznacza to, że każdy dach można będzie wykończyć z wykorzystaniem pokrycia dachowego i rynny z systemu dachrynna – mówi Magdalena Buryło, dyrektor ds. marketingu Galeco. Podkreśla zarazem, że dachrynna wbrew pozorom jest łatwa w montażu. Ten musi jednak wykonać dekarz autoryzowany przez producenta systemu – z uwagi na innowacyjną specyfikę produktu oraz kilka istotnych szczegółów montażowych, które nie są spotykane w innych systemach dachowych.

Wielu inwestorów zastanawia się także nad wyglądem elewacji. To przecież ona w największym stopniu decyduje o tym, w jaki sposób będziemy postrzegać dom. Ciekawym rozwiązaniem może być wybór wykonanych z włókno-cementu desek i płytek małoformatowych. To materiał łatwy w utrzymaniu i niezwykle odporny na warunki atmosferyczne. Jest trwały, niepalny i praktycznie nie wymaga konserwacji. Można wybierać spośród wielu kolorów i dopasować wygląd elewacji do własnych oczekiwań. To rozwiązanie przede wszystkim dla tych, którzy chcą, by ich domy wyróżniały się na tle otoczenia, ale przy tym zachowywały klasę. Ostatnie lata zwiększyły na szczęście naszą wrażliwość jako społeczeństwa na kwestie estetyczne. Mamy bowiem świadomość, że decyzje podejmowane przez nas jako inwestorów będą wpływać na przestrzeń publiczną przez wiele lat.

PIOTR CYMERMAN

REKLAMA

w telewizji

Capote kontra Capote 4/6

Konflikt: Capote kontra socjeta (Feud: Capote vs. The Swans), scen. Jon Robin Baitz, reż. Gus Van Sant, Disney+, 8 odc.

Bohaterkami pierwszego sezonu „Konfliktu" (2017 r.), serialowej antologii autorstwa Ryana Murphy'ego, były rywalizujące gwiazdy Hollywood: Bette Davis i Joan Crawford. W drugim, opartym na książce „Kobiety Capotego. Śniadanie u Tiffany'ego, mroczne sekrety i zdrada w świecie glamour" Laurence'a Leamera, Murphy jest producentem wykonawczym, a w rolach walczących gwiazd występują tuzy nowojorskiej socjety lat 50., 60. i 70.: pisarz Truman Capote i otaczające go stadko bogatych dam z towarzystwa. Najważniejszą z nich jest najbardziej z pisarzem zaprzyjaźniona Babe Paley (**Naomi Watts**). Demaskatorski artykuł opublikowany w „Esquire" w 1975 r., w którym zdradził jej sekrety, wywołał skandal, stał się powodem zerwania dwudziestoletniej przyjaźni z „łabędzicami" i skazania pisarza na towarzyską banicję, przypłaconą jego alkoholizmem, narkomanią i w końcu śmiercią dekadę później. Ambicje bez wątpienia były duże. Po pierwsze: portret skomplikowanego człowieka – artysty wnikliwie i bezlitośnie oceniającego miałkość elit i swoją rolę błazna na królewskim dworze, a zarazem geja z prowincji, syna dominującej matki, która popełniła samobójstwo, marzącego o akceptacji, kobiecej przyjaźni i brylowaniu w najwyższych kręgach. Bon vivanta zatracającego się w autodestrukcji. Po drugie: Ameryka tamtych czasów, zmieniające się mody, design i mentalność. I po trzecie: kobiety na szczytach, ich tajemnice skrywane pod nieskazitelnym makijażem. Co z tego się udało? Na pewno rola **Toma Hollandera** – jego Capote nie ustępuje pamiętnej filmowej kreacji Philipa Seymoura Hoffmana z 2000 r. Zawsze boleśnie świadomy, nawet w chwilach największej degrengolady. Także scenografia. Za to portrety kobiet są mdłe i oczywiste, scenariusz nie pozwolił rozwinąć skrzydeł takim gwiazdom jak Diane Lane, Chloë Sevigny, Calista Flockhart czy Demi Moore. Więcej czasu dostała tylko Naomi Watts, reszta musi się zadowolić głównie strzępami rozmów przy luksusowych lunchach oraz zdecydowanie nadużywaną metaforą łabędzi.

ANETA KYZIOŁ

w telewizji

Uwaga na uwagę 5/6

Reniferek (Baby Reindeer), twórca serii: Richard Gadd, reż. Weronika Tofilska, Netflix, 7 odc.

Martha (Jessica Gunning) wchodzi do londyńskiego baru, wygląda na kompletnie zagubioną. Donny'emu, dorabiającemu tam aspirującemu komikowi ze Szkocji, jest jej żal, proponuje więc herbatę i zaczyna ją rozmawiać. W jej fantazjach na temat swojego rzekomo pełnego sukcesów życia widzi odbicie własnego niespełnienia i lęków. Karmią się nawzajem uwagą, której oboje tak bardzo potrzebują. Ale z czasem jej zainteresowanie przeradza się w obsesję: setki maili dziennie, nachodzenie, śledzenie, zastraszanie bliskich. „Reniferek", historia oparta na faktach, zrelacjonowana przez autora serialu i odtwórcę roli Donny'ego **Richarda Gadda** pierwotnie w teatralnym monodramie, zaczyna się jak typowa opowieść o stalkingu. Obsesja Marthy infekuje każdy aspekt życia Donny'ego, popycha go na krawędź załamania nerwowego, ale, co już mniej typowe, staje się też katalizatorem głębokiej wiwisekcji: motywacji, osobowości i traum – nie stalkerki, tylko jej ofiary. Donny odkrywa, że na pewnym poziomie oboje są ofiarami, a serial jest też niezwykle szczerą opowieścią o próbach przebicia się w świecie sztuki i rozrywki, i kosztach takich prób. Gadd, a także m.in. reżyserująca większość odcinków Weronika Tofilska, absolwentka Szkoły Filmowej im. Kieślowskiego w Katowicach i brytyjskiej Television School (pracowała m.in. przy serialach „Mroczne materie" czy „Hanna") oraz operator Krzysztof Trojnar – stworzyli serial osładzający ból czarnym humorem, niełatwy w oglądaniu i poruszający zarówno ważne tematy, jak i widza. AK

© DISNEY+, NETFLIX, APPLE TV, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, A. I E. CIOŁKOWIE

ala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

ą banicję, przypłaconą
ercią dekadę później.
e: portret skomplikowanego
ośnie oceniającego
dworze, a zarazem
a popełniła samo-
yjaźni i brylowaniu
cego się w autode-
mieniające się mody,
czytach, ich tajem-
Co z tego się udało?
e nie ustępuje
offmana z 2000 r. Za-
większej degrengo-
mdłe i oczywiste,
gwiazdom jak Dia-
mi Moore. Więcej
zadowolić głównie
raz zdecydowanie

ANETA KYZIOŁ

esja Marthy infe-
onny'ego, popy-
nia nerwowego,
aje się też kata-
kcji: motywacji,
talkerki, tylko
że na pewnym
, a serial jest też
cią o próbach
ki i rozrywki,
d, a także m.in.
nków Weronika
Filmowej im.
i brytyjskiej
a m.in. przy
czy „Hanna")
ar – stworzyli
m humorem,
zający zarów-

AK

w telewizji

Amerykanin w Paryżu 4/6

Franklin, twórcy serialu: Kirk Ellis i Howard Korder, Apple TV+, 8 odc.

Biografii Benjamina Franklina wystarczyłoby na kilka seriali, i to w różnych gatunkach: od wojennej epopei po polityczny dramat. Twórcy nowego projektu skupili się na późnym etapie życiorysu bohatera, gdy – już jako siedemdziesięciolatek – został emisariuszem Jerzego Waszyngtona we Francji, gdzie miał zabiegać o wsparcie dla walczących z Brytyjczykami rodaków. W Europie Franklin (**Michael Douglas**) – jako „wynalazca elektryczności" – jest

fetowany niczym dzisiejsze gwiazdy rocka, lecz zadania mu to nie ułatwia. Starania o poparcie i fundusze wymagają politycznej zręczności oraz udziału w dworskich intrygach, w których wspiera Franklina jego dorastający wnuk Temple (Noah Jupe), a tymczasem wrogowie Stanów Zjednoczonych nie zamierzają bezczynnie czekać na rozwój wydarzeń. „Franklin" pokazuje więc amerykańską wojnę o niepodległość za dyplomatycznych kulis, jedynie chwilami przenosi się na pola bitew wraz z walczącym po stronie Amerykanów generałem Lafayette'em (Théodore Pellerin). Dominuje tu jednak nie wojna, lecz szpiegowska intryga, lekko doprawiona satyrą o kulturowych różnicach i ich czasami całkiem poważnych konsekwencjach. Może tempo chwilami kuleje, może inscenizacyjny przepych dominuje nad treścią, lecz niezła rola Douglasa, który sprawia wrażenie, jakby na planie serialu doskonale się bawił, potrafi wiele wynagrodzić.

JAKUB DEMIAŃCZUK

na scenie

Moralitet na piłę 4/6

August Strindberg, **Gra snów**, reż. Sławomir Narloch, muz. Jakub Gawlik, Teatr Narodowy w Warszawie

To nie jest łatwy tekst. Strindberg wykorzystuje topos zstąpienia Boga – tu córki boga Indry (**Ewa Bukała**) – na ziemski padół łez w celu poznania kondycji ludzkiej, którą to autor przedstawia jako ciąg zawiedzionych nadziei, niespełnionych ambicji i oczekiwań, rozczarowań i porażek. Konwencja, jaką w tej inscenizacji przyjął Sławomir Narloch, też raczej nie do wszystkich przemówi. To rodzaj teatru obrzędowego, z piosenkami do muzyki wykonywanej na dudach, lirze korbowej, szałamai, flecie, fidelu oraz, a jakże, pile. Z paleniem kadzidła i kościelnymi dzwonkami, w wykonaniu zespołu stylizowanego na trupę amatorską z zacięciem (i humorem) wystawiającą moralitet. Brzmi jak ostrzeżenie? Z drugiej strony na korzyść twórców przemawia ich profesjonalizm i konsekwencja, a uczciwa praca włożona w każdy aspekt przedstawienia przez cały, ogromny jak na czasy cięć kosztów w teatrach zespół (trzynaścioro aktorów i aktorek plus muzycy) nie może nie budzić szacunku. Tu wszystko jest na sto procent: śpiew, taniec i metafizyka. Głównego bohatera, everymana, gra Cezary Kosiński – ulubiony chyba aktor Narlocha (obsadził go w głównej roli syna wspominającego zmarłą na raka matkę w muzycznym spektaklu „Alicji Kraina Czarów" wystawionym w Teatrze Narodowym w ubiegłym roku), ale też Piotra Cieplaka. Nieprzypadkowo. Obu reżyserów łączy podobna wizja świata i teatru – z poszukiwaniem Absolutu w codzienności, Wielkiego w małym. AK

w galerii

Natura nas obserwuje 4/6

System wczesnego ostrzegania, Pałac Czapskich ASP Warszawa, do 26 maja, później Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, 7 czerwca – 25 sierpnia

Tytułowym systemem wczesnego ostrzegania ma być wrażliwość i intuicja artysty, przeczuwającego zagrożenie. W tym przypadku – niszczenie środowiska naturalnego, aroganckie traktowanie przyrody. Kuratorka wystawy Diana Lelonek (laureatka Paszportu POLITYKI za 2018 r.) ciekawie zderzyła ze sobą dwa artystyczne światy. Z jednej strony sięgnęła po dorobek zmarłego blisko 20 lat temu **Rajmunda Ziemskiego**. A konkretnie po dwa

cykle jego obrazów: **„Ptaki"** powstałe w latach 50. XX w. oraz młodsze o dekadę „Spojrzenia". W pierwszym bohaterami są hybrydalne ptasio-ludzkie istoty, zdające się zapowiedzią schyłku antropocenu. W cyklu drugim dominuje motyw oczu wyłaniających się z dystopijnych pejzaży, odwracający tradycyjne postrzeganie świata: to nie my obserwujemy i kontrolujemy przyrodę, ale ona nas. Obrazy Ziemskiego, pełniące na wystawie niejako rolę artystycznych protoplastów rodzimej sztuki ekologicznej, skonfrontowane zostały z pracami (instalacje, zapisy działań artystycznych, fotografie, wideo) twórców, którzy dziś uważnie przyglądają się stykowi świata ludzkiego i ptasiego. Bo dziś ptaki traktować można też jako system wczesnego ostrzegania przed nadchodzącą katastrofą. Pytanie tylko, czy mamy do czynienia z trelem skowronka na pobudkę czy już z łabędzim śpiewem?

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Marzyciele 5/6

Nathan Hill, **Wellness**, przeł. Jerzy Kozłowski, Znak, Kraków 2024, s. 688

Jeśli druga powieść jest sprawdzianem z umiejętności, to Nathan Hill zdał go śpiewająco. A przygrywają mu rockowe kapele, które w latach 90. były niszowe, zanim trafiły pod strzechy i do MTV. Z bohaterami tej historii jest podobnie: niewinni buntownicy wpadają z czasem w kapitalistyczne tryby. Jack i Elizabeth zakochali się w sobie od pierwszego spojrzenia, oboje uciekli do Chicago od swoich rodzin. On, artystyczny duch, fotograf z prerii na Środkowym Zachodzie, i ona, dziedziczka fortuny, budowanej cudzym kosztem od pokoleń, która chce ten paskudny krąg przerwać. Wspólna przyszłość nie jawi się jednak tak dobrze. Oszczędności idą na kredyt, syn sprawia kłopoty, dawni znajomi zaczynają przypominać „japiszonów", z których kiedyś drwili. Autor świetnych „Niksów" obdziera swoich bohaterów z iluzji, obśmiewa trendy i wynalazki (opaski mierzące wysiłek fizyczny, ale i diagnozujące depresję), sprawdza, czym jest albo stało się małżeństwo. Bo może to już tylko „dwudziestopierwszowieczne związki chodzące na osiemnastowiecznym oprogramowaniu", jak twierdzi jedna z pobocznych postaci. Albo rodzaj iluzji, placebo, które Elizabeth zawodowo bada. Deweloperzy już to pojęli: na wypadek rozwodu w mieszkaniach urządza się od razu oddzielne sypialnie. Hill cofa się nawet do czasów wojny secesyjnej, żeby ustalić, jak sobie ten świat poukładaliśmy i jak na pozór odległa przeszłość odciska się na młodych Amerykanach. Nie odkrywa Ameryki, ale z rozmysłem karykaturuje i wyolbrzymia. Czy bywa zgorzkniały i cyniczny? Tak. Czy ma rację? We wszystkim.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Dramat w ostępach 4/6

Ulf Kvensler, **Sarek**, przeł. Emilia Fabisiak, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024, s. 432

Podróż w dzikie ostępy niemal zawsze musi skończyć się źle, nawet w epoce telefonów satelitarnych i podręczników surwiwalu. Bohaterowie debiutanckiej powieści Ulfa Kvenslera – szwedzkiego aktora i reżysera, w Polsce raczej słabo rozpoznawalnego – najwyraźniej tego nie wiedzą. Trójka bliskich przyjaciół, Anna i Henrik (którzy próbują przezwyciężyć kryzys w związku) oraz Milena, wybiera się jak co roku na wycieczkę w góry. Niemal w ostatniej chwili dołącza do nich nowy chłopak Mileny, Jacob – jak się szybko okazuje, przemocowy samiec alfa, który przejmuje kontrolę nad grupą. Mnożą się konflikty, a tragedia wisi w powietrzu. Zresztą od początku wiadomo, że wydarzyło się coś złego – treść składa się z narracji Anny oraz stenogramów jej przesłuchań – ale Kvensler nie spieszy się z odkrywaniem kart. „Sarek" sprawdza się jako psychologiczny dramat, w którym dzika przyroda (bardzo plastycznie opisana) i ekstremalna sytuacja odsłania prawdziwe charaktery postaci i ich traumatyczną przeszłość. Jednak znacznie mniej satysfakcjonuje jako thriller, a finałowa wolta ani nie jest specjalnie zaskakująca, ani nie próbuje odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie mogły pojawić się w czasie lektury. Kvensler potrafi utrzymać napięcie, ma ciekawe pomysły, lecz chyba nie do końca potrafił wykorzystać tkwiący w nich potencjał. Jego debiut więcej obiecuje, niż daje, lecz mimo wszystko literacką karierę autora warto obserwować z uwagą.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Ogród nieplewiony 4/6

Filip Łobodziński, **Filip Łobodziński?**, Kosmos Kosmos, Warszawa 2024, s. 432

„Piszę tę książkę, bo chcę sam siebie lepiej poznać i zrozumieć w ramach pisarskiej autoterapii zajęciowej. Wywołuję z ciemni pamięci obraz siebie jako większego dziecka i początkującego nastolatka. Zaglądam »przez wrota z kości słoniowej w ów cudowny świat, co należał do nas, nim staliśmy się mądrzy i nieszczęśliwi«" – wyznaje twórca tej autobiografii (który własne nazwisko w tytule opatrzył znakiem zapytania: „Filip Łobodziński?"). W trakcie lektury łatwo się przekonać, że zawarty w powyższym cytacie obraz jest niepełny. Przede wszystkim autor-bohater nie pozostaje tu wyłącznie dzieckiem i „początkującym nastolatkiem", sporo tu bowiem epizodów z późnej młodości i pełnej dojrzałości, sporo komentarzy wokół porównań dawnej, PRL-owskiej rzeczywistości z tą współczesną. Zresztą cały przedstawiony tu świat – widziany z perspektywy dziecka z warszawskiej inteligenckiej rodziny, popularnego dziecięcego aktora, dziennikarza, muzyka śpiewającego pieśni Lluisa Llacha albo własne przekłady Dylana, pracowitego autora przekładów literackich, męża i ojca – nie układa się w uporządkowane temporalnie czy problemowo sekwencje. To raczej rodzaj zbioru impresji, wspomnień w bardzo różnych formach przekazanych. Mamy tu, i owszem, reminiscencje z dzieciństwa i dorastania, a przy tej okazji znakomite opisy życia szkolnego z lat 60. i wczesnych 70.; mamy obszerny, arcyciekawy traktat o przekładach prozy i poezji, sporą porcję „dylanologii"; są fragmenty varsavianistyczne i muzykologiczne. I ton wielce zróżnicowany: od komicznego poprzez nostalgiczny, aż po bezbrzeżnie depresyjny (śmierć córki). I może dlatego, kiedy się czyta tę książkę, to tak jakby się czytało kilka książek naraz.

MIROSŁAW PĘCZAK

Komiksy miesiąca

O szukaniu nadziei

Bohaterki albumu **„Wszyscy, którym ufam” (scenariusz i rysunki: Tommi Parrish, przeł. Wojciech Jędrak, Timof Comics, 5/6)** Eliza i Sasha poznają się w momencie życiowego kryzysu. Eliza, samotna matka i aspirująca poetka, próbuje ułożyć sobie świat po rozstaniu z przemocowym partnerem. Sasha ma za sobą próby samobójcze i nie do końca wie, jak ułożyć plany na przyszłość. Ich przypadkowe spotkanie da początek przyjaźni – może szorstkiej, lecz obiecującej. Tak przynajmniej wydaje się do czasu, gdy jedna z nich przekroczy granice intymności. W tej kameralnej, smutnej historii mieści się naprawdę wiele: to opowieść o zaufaniu, straconych złudzeniach, relacjach dzieci z rodzicami, braku perspektyw, wszystko zamknięte w malarskich, pięknych, choć nie zawsze łatwych w percepcji planszach.

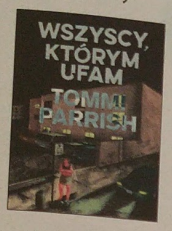

Adaptacja **„Drogi” Cormaca McCarthy’ego (scenariusz i rysunki: Manu Larcenet, przeł. Paweł Łapiński, Mandioca, 5/6)** wyciąga z powieści fabularną esencję – podróż ojca i syna przez postapokaliptyczne piekło, w jakie zmienił się świat. Nie gubi jednak jej filozofii, siły oddziaływania ani przygnębiającej atmosfery bezradności i strachu. Nieco wyraźniej niż w powieściowym oryginale wybrzmiewa lęk przed katastrofą klimatyczną, lecz na pierwszy plan wciąż wysuwa się relacja obu bohaterów, szukających nadziei na przetrwanie w świecie bez zasad. Surowej, oszczędnej prozy McCarthy’ego nie da się tak łatwo przełożyć na obrazy, lecz realistyczne, szczegółowe ilustracje Larceneta i zgaszone kolory oddają jej sprawiedliwość. Amerykański pisarz zdążył przed śmiercią zgodzić się na graficzną wersję swojej książki i gdyby mógł zobaczyć ostateczny efekt, pewnie byłby zadowolony.

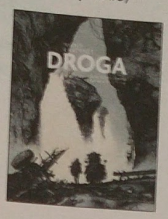

Wiele ukraińskich komiksów, które w ostatnich latach ukazały się na polskim rynku, porusza temat wojny, lecz zdarzają się i takie, które budują narodową tożsamość w znacznie lżejszy sposób. Bohater **„Krótkiej historii barszczu ukraińskiego” (scenariusz: Jewhenia Kuzniecowa, rysunki: Sofia Sulij, przeł. Maciej Piotrowski, Centrala, 4/6)** postanawia ugotować tytułową potrawę dla swojej dziewczyny. Problem w tym, że ilu Ukraińców, tyle wizji idealnego barszczu, a o poszczególne składniki ludzie potrafią toczyć zażarte kłótnie. Dowcipny, bezpretensjonalny komiks, który poprzez kulinarne metafory mówi o znaczeniu tradycji, potrzebie dialogu i jedności mimo różnic. Przepis na barszcz też jest. Czy idealny? Warto spróbować.

JAKUB DEMIAŃCZUK

na płycie

Taylor Del Swift 3/6

Taylor Swift, **The Tortured Poets Department**, Republic

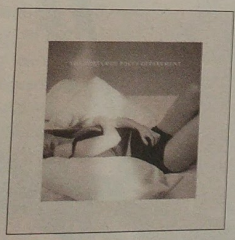

Zanim jeszcze się ta płyta ukazała, już wywołała dyskusje natury ekonomicznej (czy dość daleko od premiery nowej Beyoncé, żeby sobie nie przeszkadzały sprzedażowo?) i filologicznej (czy w tytule nie powinien się aby znaleźć apostrof?). Opublikowane wreszcie „The Tortured Poets Department” okazuje się długim – w wersji specjalnej aż dwugodzinnym – zestawem piosenek skupionych mocno na dwóch miłosnych związkach Taylor Swift. Postać roku „Time” nie próbuje tu naprawiać świata, tylko wyzłośliwia się na temat swoich byłych. Ona uznaje to za poetycką inspirację, my możemy potraktować jako sprawdzone paliwo dla piosenek pop. Podobnie jak melodie Jacka Antonoffa (współtwórcy repertuaru m.in. Lany Del Rey), z którym artystka po raz kolejny współpracuje. Ten muzyczny związek jest jednak obarczony ryzykiem: im bardziej Swift kieruje się w stronę dorosłej publiczności (a to słychać), tym bardziej charakterystyczny styl Antonoffa wywołuje jeszcze jedną dyskusję: czy potrzebujemy kolejnej Del Rey? Trochę się zmęczymy, szukając samej Swift na jej płycie, ale są momenty – choćby „So Long, London” i finałowa „Clara Bow”, gdzie śpiewa „Wyglądasz jak Taylor Swift”. Więc chyba się zorientowała, że są problemy z artystyczną tożsamością.

BARTEK CHACIŃSKI

Taniec ze słów 4/6

Pablopavo i Ludziki, **Lakuna**, Karrot Kommando

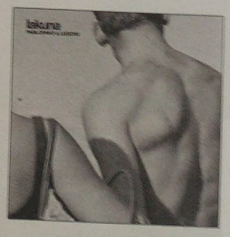

Doświadczenie pandemii niby za nami, ale ciągle pojawiają się nowe piosenki, które się do niej odnoszą. „Maski” Pablopavo to relacja aż gęsta od tego, co charakterystyczne dla Pawła Sołtysa – wrażliwości społecznej i wrażliwości na język. Opis różnych postaw – od prób zarobienia na epidemii, ugrania emocji politycznych, aż po odreagowywanie zagrożenia – jest przy tym zaraźliwie przebojowy. Ta piosenka promowała nowy album „Lakuna”, podobnie jak melancholijne, impresyjne, skoncentrowane na małej chwili „Przetańczone serca”. Rozstrzał stylistyczny jest tu jeszcze większy, niż sygnalizowałyby te dwa nagrania – obok country można trafić na taneczne, oparte na elektronicznym beacie nagrania, lider śpiewa przez chwilę po angielsku (choć poza tym „We Rise” się na płycie nie wyróżnia) i dodaje swoje trzy grosze do nurtu opowieści o taksówkarzach. „Taksiarza” można potraktować jako warszawskie uzupełnienie niedawnych tekstów Łony. Energia z tego zestawu stopniowo schodzi, a i eklektyzm może być dla niektórych utrapieniem. Nie należy się jednak zrażać – każda płyta Pablopavo, także dzięki temu, że autor nie przepuszcza bezmyślnie linijek tekstu, warta jest chwili skupienia. BCH

Stylowo typowa

Zendaya, gwiazda „Diuny" i tenisowej love story „Challengers", to idolka pokolenia dwudziestolatków. Może dlatego, że potrafiła połączyć życiową i ekranową kreację z autentycznością.

OLA SALWA

© DANIEL LEAL/AFP/EAST NEWS, METRO GOLDWYN MAYER PICTURES

To ta, której nowa grzywka rozgrzewa pół internetu. To ta, która założyła strój robota na premierę „Diuny: części drugiej". Ta, która w „Diunie: części pierwszej" pojawiła się tylko na kilka minut, z czego zrobiono aferę. To ta, która została najmłodszą laureatką nagrody Emmy. A wreszcie ta, która zrobiła sobie zdjęcie z Igą Świątek.

To wszystko ona – aktorka, piosenkarka, modelka, bohaterka czasu na nowe czasy, która w życiu zawodowym posługuje się tylko imieniem, jak na prawdziwe gwiazdy przystało: Zendaya.

Jaka była jej pierwsza myśl po przebudzeniu? „Mogę być szczera? Żeby jak najszybciej wydmuchać nos, bo jestem lekko przeziębiona" – tak 27-letnia Zendaya odpowiedziała na jedno z 73 pytań, jakie zadał jej dziennikarz „Vogue'a", gdy odwiedził ją z kamerą w domu w Kalifornii. Była stylowo ubrana, śliczna jak poranek, a przy tym bezpośrednia, grzeczna i zwyczajna – zrywała cytryny z drzewa, by jej asystent (którego nazywa bratem) zrobił lemoniadę i zaraz poczęstował nią gościa. Słychać było, że mówi przez nos, i prosiła dziennikarza, żeby zachował do niej zdrowy dystans.

W ciągu niespełna dziesięciu sekund rozmowy udałoby się uchwycić wizerunek artystki. Zdradzić tajemnicę jej ogromnej popularności i jednocześnie ją zachować – bo trudno wyjaśnić inaczej niż enigmatycznym hasłem „charyzma", dlaczego to właśnie ona z setek tysięcy młodych, zdolnych, pracowitych aktorek przebiła się na hollywoodzki Olimp. Etapy tej wspinaczki można podziwiać w kinie: obecnie w filmach „Diuna: część druga" Dennisa Villeneuve'a (od 29 lutego) oraz „Challengers" (od 26 kwietnia) Luki Guadagnino. O tego ostatniego reżysera, mistrza ekranowej zmysłowości, pupila kinomanów i wielkich festiwali filmowych, Zendaya gra byłą tenisistkę, a obecnie trenerkę, wikłającą się w trójkąt miłosny między swoim jedynym klientem – który jest też jej mężem – a byłym ukochanym. Nawet poważny brytyjski krytyk Peter Bradshaw w swojej recenzji filmu zwraca przede wszystkim uwagę na sensualną i charyzmatyczną rolę Zendayi, nazywając ją „porażająco cool".

Zendaya w miłosnym trójkącie (z Mikiem Faistem i Joshem O'Connorem) w „Challengers".
Na sąsiedniej stronie: **przebrana za robota aktorka na premierze drugiej części „Diuny".**

Słodkie życie

W jej innych kreacjach bywa podobnie – jest zmysłowa, elektryzująca, hipnotyzująca. Jej aktorstwo nie jest wynikiem pracy taką czy inną metodą, nie jest oparte tylko na fizyczności (chociaż do występu w „Challengers" przygotowywała się w dużej mierze na siłowni) czy na tego rodzaju ekspresji, jak spojrzenie czy sposób podawania dialogu. Taką ekranową obecność po prostu dostaje się w prezencie od dobrej wróżki. „Sama w sobie jest rodzajem twórczości. Piszącą się na naszych oczach kulturową kurtyną. Napędzają ją czysta inspiracja, empatia, szacunek do rzemiosła, i używa autentyczności jako nowej supermocy" – komplementował Zendayę reżyser „Diuny" na łamach tygodnika „Time", gdy ten umieścił artystkę na swojej słynnej liście najbardziej wpływowych postaci współczesnego świata. I dodawał: „Wydaje się nieustraszona, a jednocześnie stąpa mocno po ziemi, a przy tym śmieje się radośnie jak dziecko. Zendaya to przyszłość".

Jednocześnie aktorka ciężko na swój sukces zapracowała, także poprzez umiejętne budowanie publicznego wizerunku i aktorskiego portfolio. Nie byłoby wcale dziwne, gdyby pokój, w którym spotykają się jej menedżer, asystent, agent, nadworny stylista Law Roach, przypominał *situation room* – znane z thrillerów szpiegowskich i politycznych pomieszczenie w Białym Domu, w którym naradzają się generałowie, szefowie CIA i prezydent USA. Sposób, w jaki Zendaya przyciąga uwagę mediów i fanów – w tej chwili na Instagramie obserwuje ją 184 mln osób – jest mistrzowski, a przy tym nie został zbudowany na skandalach czy kontrowersjach.

„Myślę, że ludzie nie zdają sobie sprawy z potęgi mediów społecznościowych ani naszych telefonów. Jestem dumna z tego, że mogę wykorzystać to, że ktoś zna moje imię, żeby czynić dobro" – mówiła już w 2015 r. Ułożona do ostatniego piksela wizja pięknego życia, w którym triumfują dobro, piękno, miłość i (społeczna) sprawiedliwość – taka wydaje się jej codzienność. Zendaya popiera prawa kobiet, zabiera głos przeciwko dyskryminacji czarnoskórych, robi zbiórki na cele charytatywne, z uśmiechem i entuzjazmem udziela wywiadów. Jednego z tych dotyczących drugiej części filmu „Diuna" udzieliła w towarzystwie miotu szczeniaków. Gdy kimś naprawdę pogardza, dyskretnie powie, że chodzi o osobę, której nazwisko rymuje się ze słowem *dump* (wysypisko). Kto nie chciałby mieć takiej kumpelki – wspierającej i pozytywnej? Kto wreszcie nie chciałby, żeby jego dzieci lub młodsze rodzeństwo miało taką przyjaciółkę?

Jako bohaterka filmu biograficznego Zendaya byłaby nudniejsza niż flaki z olejem. Ale być może coś się zmieniło i popularność można zdobyć niekoniecznie historią upadku, jak zmarła w wieku 27 lat Amy Winehouse (biograficzny film o niej „Back to Black" jest właśnie w kinach). W cenie są także bohaterowie spod jasnej gwiazdy, dający poczucie bezpieczeństwa w niespokojnych czasach. I kojący samotność pokolenia zetek. ▶

▶A może to tylko instagramowe pazłotko i Zendaya ukrywa jakąś traumę z dzieciństwa, która naznaczyła jej los niczym u Rue, granej przez nią uzależnionej od narkotyków postaci z mrocznego serialu HBO „Euforia"? Nikt przecież nie wypada na ekranie tak autentycznie, nie mając podobnych doświadczeń.

Pudło. Zendaya – jej imię pochodzi z języka shona, używanego głównie w Zimbabwe, gdzie zapisywane jest z literą „t" na początku i oznacza dziękowanie Bogu – wychowała się w miłej amerykańskiej rodzinie, takiej z domem i ogrodem. Jej rodzice to nauczyciele, a od strony taty, Afroamerykanina o nigeryjskich korzeniach, aktorka ma piątkę starszego przyrodniego rodzeństwa, do tego tłum bratanków i siostrzenic. Twierdzi, że dla tych ostatnich stara się być wzorem.

Dzięki mamie pojawiła się pierwszy raz w teatrze – choć tylko w roli dziewczynki pomagającej podczas wakacyjnej fuchy znaleźć widzom miejsca – a dzięki tacie mogła brać udział w castingach w oddalonym o osiem godzin jazdy samochodem Los Angeles. Miała więc pełne wsparcie rodziców, którzy chcieli pomóc spełnić córce marzenia, nie zaś zrobić z niej dojną krowę (jak ojciec Britney Spears). Zendaya grywała rólki w reklamach, uczyła się tańca, cierpliwie stawiała kolejne kroki. Wielokrotnie podkreślała, że jej największą bohaterką (użyła wręcz słowa *shero*, zamiast dwuznacznie brzmiącego *heroine*) jest mama, a gdyby nie była aktorką, z pewnością zostałaby nauczycielką jak ona, bo „kocha dzieci". Nie jest to więc opowieść o dziewczynie, która przyjeżdża do wielkiego miasta z walizką pełną snów i determinacji, z kilkoma dolarami w garści – zawsze miała poczucie, że ma gdzie wrócić. Nie musiała odbierać trudnych lekcji od życia, siadać na obślizgłych kanapach producentów. I nawet jak nie dostawała tego, o co zabiegała, los był dla niej łaskawy.

Baśń o sobie

W 2010 r. starała się o główną rolę w tanecznym sitcomie Disney Channel „Shake It Up", ale przegrała ją z Bellą Throne i ostatecznie zagrała jej przyjaciółkę. Szybko jednak przyćmiła całą obsadę, i to w dużej mierze dzięki Zendayi serial stał się jednym z największych hitów stacji. Wkrótce zagrała w kilku innych produkcjach Disney Channel, który – przypomnijmy – wylansował także inne megagwiazdy, takie jak Selena Gomez, Miley Cyrus, bracia Jonas czy Demi Lovato. Doszła do finału „Tańca z gwiazdami", wydała solową płytę, która jednak przeszła bez echa. Ale przede wszystkim po raz pierwszy pojawiła się na ceremonii rozdania Oscarów. To był przełomowy wieczór dla artystki, głównie dlatego, że zrobiło się głośno wokół jej wizerunku, a konkretnie dredów, które zaplotła dzień wcześniej, aby podkreślić dumę ze swojego dwurasowego pochodzenia. Jedna z dziennikarek żyjących z komentowania wyborów modowych gwiazd powiedziała, że na widok młodej aktorki niemal czuje unoszący się w powietrzu „zapach marihuany i olejku z paczuli".

Zendaya – być może po naradzie w *situation room* – odpisała stanowczo na Instagramie: „Jest cienka granica między żartem a lekceważeniem […] Powiedzenie, że wokół osiemnastolatki z dredami musi unosić się aromat paczuli i marihuany, jest oburzające i obraźliwe". Po czym wymieniła nazwiska intelektualistów i artystów – choćby reżyserki Avy DuVernay czy prof. Vincenta Browna – którzy też noszą taką fryzurę, a którzy jako żywo nie pachną trawką. „Włosy Afroamerykanów podlegają już wystarczająco mocnej społecznej krytyce, i to bez udziału ignorantów oceniających innych na podstawie fryzury" – dodała. Po raz pierwszy podpisała się pod tamtym, dopracowanym w każdym detalu postem także nazwiskiem Coleman, które, podobnie jak gęste włosy, dziedziczy po ojcu.

Nolens volens po tamtej oscarowej gali z 2015 r. – która przeszła do historii jako „najbielsza", bo żadna z aktorskich nominacji nie trafiła do wykonawcy o innym niż biały kolorze skóry – Zendaya odkryła, że fryzura i ubranie mogą służyć zarówno zwróceniu uwagi na ważne społeczne tematy, jak i być sposobem na stworzenie wokół siebie szumu. Patentem na dodanie dramaturgii banalnemu życiorysowi – odtąd większość jej kreacji, szczególnie tych zakładanych przy okazji promocji filmów, była przemyślana na nie tylko estetycznie, ale także narracyjnie. Zendaya niczym Szeherezada zaczęła opowiadać baśń o samej sobie i wytworzyła zapotrzebowanie na kolejne rozdziały.

Robota po godzinach

Chociaż artystka nigdy nie była poczwarką, to gdy na premierze filmu „Król rozrywki" (2017 r.) przyszła w sukience Moschino przypominającej motyla, stało się jasne, że oto stoi przed nami dorosła gwiazda, a nie podlotek. Zamysł Zendayi i stylisty Roacha, którzy pracują razem od 2010 r., był jednak bardziej dosłowny – akcja filmu dzieje się w środowisku cyrkowców, a popisowym numerem jej bohaterki jest ten z latającymi trapezami, więc strój też miał się kojarzyć z kostiumem, przebraniem.

Gdy kilka lat później aktorka zagrała MJ, czyli główną postać kobiecą w filmie „Spiderman: Homecoming", na czas promocyjnego tournée przefarbowała włosy na rudo, bo taki właśnie kolor włosów ma na kartach komiksu jej bohaterka. W MJ wcielała się zresztą jeszcze dwukrotnie, dystansując się wyraźnie od określenia, że jej postać to „dziewczyna Spidermana", chociaż w życiu prywatnym związała się z aktorem grającym Człowieka Pająka, czyli Tomem Hollandem. Docinki mediów, że jest od niego wyższa, kwitowała, przypominając, że jej mama też jest wyższa od taty i to dla niej normalne.

Na pokaz pierwszej „Diuny" przyszła w sukni przypominającej kolorem i fakturą wydmy (czyli *dunes*), a na premierę części drugiej założyła stary projekt Thierry'ego Muglera: kombinezon uszyty na wzór robota. Co te przebieranki jej dają, poza radością i okiełznaniem nieśmiałości? („Używam ubrania, aby stworzyć bohaterki, w które następnie się wcielam na tę jedną noc na czerwonym dywanie" – powiedziała magazynowi „Essence"). Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze – przebrana za robota Zendaya zapewniła marce Mugler promocję wartą ponad 13 mln dol. Drugie tyle zarobiła pewnie na tym „Diuna: część druga", która zanotowała do końca kwietnia ponad 700 mln dol. wpływów z biletów na całym świecie. Kto zatrudni więc Zendayę, dostaje utalentowaną aktorkę i miliony dolarów darmowej promocji w pakiecie, w czasach kurczących się budżetów produkcyjnych to niemały atut.

Jedna z hollywoodzkich gwiazd Sienna Miller zauważyła swego czasu, że aktorki powinny dostawać dodatkowe honorarium za pojawianie się na okładkach magazynów, gdy ich nowy film wchodzi do kin. Jest w tych słowach dużo racji, chociaż akurat w przypadku „Diuny" równie dużą robotę wykonał Timothée Chalamet (o czym pisaliśmy już w POLITYCE 17). Moda to jeden sposób na wzniecenie wokół siebie zainteresowania; drugi to przełamanie dotychczasowego wizerunku przyjęciem roli w serialu „Euforia", osadzonym w środowisku licealistów eksperymentujących z narkotykami, alkoholem, seksem i emocjami. Rola przyniosła Zendayi pierwszą z dwóch nagród Emmy (jest najmłodszą laureatką w swojej kategorii), zdobyła też zupełnie nową grupę fanów – tych, którzy nie lubią uprzejmych, miłych dziewczyn, a ciągną do tych połamanych życiowo. W myśl zasady mówiącej, że grzeczne dziewczyny idą do nieba, a niegrzeczne tam, gdzie chcą. Zendaya lubi to.

OLA SALWA

Krytycy nie byli zachwyceni. Wytwórnia wróżyła komercyjne samobójstwo. Zespół się jednak uparł, by album wydać. I słusznie, bo obchodząca właśnie 35. urodziny płyta „Disintegration" The Cure to arcydzieło muzyki popularnej.

Oda do żałości

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Dla Roberta Smitha 1989 r. był naznaczony piętnem smutku i zagubienia. 21 kwietnia lider The Cure obchodził 30. urodziny. Świadomość, że się starzeje, przeraziła go do tego stopnia, że wpadł w depresję. Prześladowała go też myśl, że w odległej Nowej Zelandii dwójka młodych ludzi popełniła samobójstwo, a ścieżką dźwiękową ich pożegnania z życiem stała się muzyka The Cure. Smith czuł się jak w imadle – z jednej strony przytłaczała go rzeczywistość, z drugiej przemijanie. Tłumaczył później, że targało nim poczucie obrzydzenia na myśl, że z wiekiem tracimy ostrość naszych uczuć, że nasze emocje ulegają stępieniu. Pytany przez dziennikarzy o tytuł, mówił, że to odzwierciedlenie jego ówczesnego samopoczucia, ciężkiej walki, by nie rozpaść się na kawałki, nie poddać rozkładowi, dezintegracji. Jak w tytule wydanej 2 maja 1989 r. płyty „Disintegration".

Szukając ratunku, Smith zanurzył się głęboko w świat narkotyków. W jednej z recenzji albumu Stephen Dalton z magazynu „LouderSound" napisał: „Zagubiony we mgle depresji i halucynogenów Robert Smith stworzył arcydzieło". Z kolei Barbara Ellen ▶

▶ z „NME" wyrażała obawy o psychiczne zdrowie artysty, którego roztrzaskana psychika musi przypominać mozaikę. Jim Bohen z „The Daily Record" narzekał, że album jest zbyt ociężały, a Chris Roberts z „Melody Makera" napisał, że jest w nim tyle radości, co w amputacji którejś z kończyn. Dziś te wszystkie grymasy poszły w niepamięć, bo „Disintegration" powszechnie uznawane jest za dzieło pełne, skończone i ponadczasowe. Co więcej, to ono właśnie na dobre otworzyło dla The Cure Stany Zjednoczone, pozwoliło zespołowi wyprzedawać wielkie hale, a nie tylko kluby.

Niepokoje o przeboje

Album trwa ponad 72 min, co w dzisiejszych czasach zaniku umiejętności skupienia się na dłużej niż chwilę zakrawa na prawdziwy maraton. Zaczyna się od słów: „Powiedziałaś: Jest ciemno i zanosi się na deszcz, a wiatr wieje tak, jakby nadchodził koniec świata" („Plainsong"). Kończy się natomiast wyznaniem: „Nigdy już nie otrząsnę się z tego bólu, nigdy już nie będę o tobie śnić" („Untitled"). Te słowa są jak emocjonalna klamra, która zamyka i trzyma w ryzach potężny ładunek uczuć, tkliwości, zwątpień, nadziei, rozczarowań. Większość kompozycji utrzymana jest w tonacji molowej, ma nieśpiesznie balladowe tempo. Całość podszyta jest niepokojem.

Smith rozciągnął kompozycje, pozwolił im powoli i dostojnie wybrzmieć. Simon Price, autor „Curepedii" (jedna z najważniejszych muzycznych książek 2023 r. według „Guardiana") pisze tak: „To album, którym należy się rozkoszować, z którym należy się powoli zestrajać, pozwolić, by powolne tempo zgrało się z naszym tętnem". Najkrótsza piosenka, popowo przebojowa „Lovesong", ma 3,5 min, najdłuższa „The Same Deep Water As You" rozpościera się na prawie 10 min i jest opowieścią o tym, jak często nie potrafimy sprostać oczekiwaniom innych. Ale na „Disintegration" znalazła się też uwielbiana przez fanów „Lullaby" – przekornie niepokojąca kołysanka – czy utwór tytułowy o pięknej, pełnej nadziei melodii, która pozostaje w kontrze do słów: „opuszczam cię, zostawiając za sobą plamy na dywanie, plamy na wspomnieniach".

Do dziś sprzedało się ok. 4 mln egzemplarzy „Disintegration", co czyni ją najchętniej kupowaną płytą The Cure. To podium uzupełniają zresztą składanki: „Standing on a Beach – The Singles" oraz „Greatest Hits". Ale ówczesne napięcie między wydawcami (którzy oczekiwali lżejszej, bardziej przebojowej płyty) a zespołem było czymś zupełnie naturalnym. The Cure mieli za sobą ponad dekadę działalności, siedem płyt na koncie, armię wiernych fanów. Cieszyli się też statusem jednego z najlepszych i najważniejszych zespołów lat 80. Każdy – czy to fan, krytyk czy wydawca – miał już swój pomysł i pogląd na to, jak i co powinni grać The Cure.

Dziś „Disintegration" uznawane jest za dzieło pełne, skończone i ponadczasowe. To najchętniej kupowana płyta The Cure – do tej pory sprzedało się ok. 4 mln egzemplarzy.

●●●

Walentynka Beksińskiego

The Cure powstali w 1978 r. w Crawley, miasteczku położonym niecałe 50 km na południe od Londynu. Pierwszoplanową postacią był od samego początku Robert Smith – wokalista i autor tekstów. Z natapirowanymi włosami, bladą cerą i lekko rozmazaną czerwoną szminką szybko stał się jedną z rozpoznawalnych ikon współczesnej muzyki. Do dziś to on właśnie odpowiada za aurę i klimat muzyki, za kierunek, w którym podąża zespół, za brzmienie, za los The Cure.

Pierwszy album „Three Imaginary Boys" ukazał się w 1979 r. i trafił na podatny grunt sceny postpunkowej. Z tamtego okresu pochodzą – choć na płycie się nie znalazły – jedne z największych przebojów zespołu, w tym „Boys Don't Cry" czy zainspirowane „Obcym" Alberta Camusa „Killing An Arab". Kolejna płyta – „Seventeen Seconds" z 1980 r. – sprawiła, że próbowano wcisnąć The Cure do szufladki z napisem „rock gotycki". Następne raz za razem pokazywały, że to zespół wyjątkowy, osobny, jedyny w swoim rodzaju.

Wraz z takimi płytami, jak nihilistyczna, mroczna „Pornography" (1982 r.) czy barwna, przebojowa „Kiss Me, Kiss Me, Kiss Me" (1987 r.) rosła legenda The Cure jako wybitnego zespołu koncertowego. Znają ją dziś dobrze i polscy fani, gdzie Smith grywał wielokrotnie. Choć by usłyszeć na żywo piosenki z „Disintegration", musieli czekać aż siedem lat. Zespół po raz pierwszy przyjechał do naszego kraju w 1996 r. i wystąpił w wyprzedanym do ostatniego biletu katowickim Spodku. W sumie przez ponad 2,5 godz. wykonali wtedy aż 31 piosenek, w tym siedem z „Disintegration". „Koncert był fenomenalnie nagłośniony, oszałamiający wizualnie, a szczególnie cieszył dobór muzyki, zespół The Cure zagrał głównie stare rzeczy" – mówił potem w swojej audycji w Trójce wielki propagator muzyki The Cure, tłumacz tekstów zespołu Tomasz Beksiński. I dodawał: „Najmocniej w czułe miejsce uderzył mnie, jednocześnie zmroził, utwór, który przez tyle ostatnich lat służył za bardzo ponurą walentynkę każdego lutego »Your Name Like Ice In My Heart« [czyli tak naprawdę „Cold" – red.]".

Refleksy, akcenty i tropy The Cure można znaleźć w twórczości polskich zespołów Variété czy Made In Poland. Kolejne pokolenia, te z końca i te z początku wieku, odkrywały grupę na nowo. W 2001 r. ukazał się u nas album „Prayers For Disintegration – A Tribute To The Cure", na którym grupa alternatywnych artystów interpretowała piosenki Smitha. Po jego muzykę sięgali też u nas artyści spoza undergroundu. Anita Lipnicka i John Porter nagrali „Lovesong", Mitch&Mitch & Gaba Kulka wykonali „Just Like Heaven", Happy Pills zmierzyli się z „Boys Don't Cry", Nosowska zaśpiewała „A Forest". A Cool Kids Of Death na swojej dwupłytowej edycji albumu „Cool Kids of Death 2" umieścili „Killing An Arab". „»Boys Don't Cry« to jedyna płyta The Cure, którą lubię" – wspominał

© MATERIAŁY PRASOWE

ły – jedne z naj-
zebojów zespo-
oys Don't Cry"
wane „Obcym"
isa „Killing An
łyta – „Seventе-
980 r. – sprawiła,
cisnąć The Cure
napisem „rock
ne raz za razem
o zespół wyjąt-
dyny w swoim

łytami, jak ni-
na „Pornogra-
rwna, przebo-
s Me, Kiss Me"
nda The Cure
ołu koncerto-
obrze i polscy
wał wielokrot-
na żywo pio-
nusieli czekać
raz pierwszy
raju w 1996 r.
n do ostatnie-
dku. W sumie
konali wtedy
dem z „Disin-
enomenalnie
cy wizualnie,
bór muzyki,
łównie stare
swojej audy-
gator muzyki
zespołu To-
„Najmocniej
nnie, jedno-
ry przez tyle
rdzo ponurą
»Your Name
ak naprawdę

y The Cure
polskich ze-
Poland. Ko-
te z począt-
ę na nowo.
lbum „Pray-
ibute To The
rnatywnych
osenki Smi-
li też u nas
. Anita Lip-
„Lovesong",
a wykonali
ls zmierzyli
vska zaśpie-
ls Of Death
rcji albumu
cili „Killing
« to jedyna
wspominał

© MATERIAŁY PRASOWE

nione nagranie (cytat za stroną thecu-
re.pl). Krzysztof Ostrowski, wokalista
KOD. Twierdzi, że chcieli utworem
Killing An Arab" odnieść się złośliwie
do bieżących wydarzeń: „Graliśmy aku-
rat w Trójce, co zbiegło się z początkiem
polskich działań w Iraku i to był z zało-
żenia taki jakby komentarz".

Pytoszetem fascynacji The Cure były
też książka Krzysztofa Vargi „Chłopa-
ki nie płaczą" i piosenka T.Love o tym
samym tytule. Choć Muniek Staszczyk
twierdził, że jego utwór „Chłopaki nie
płaczą" powstał bardziej pod wpływem
książki Vargi niż piosenki Smitha.

Fascynacja grupą Roberta Smitha jest
zresztą w Polsce wciąż obecna. W ze-
szłym roku kilkoro muzyków założyło
kurację, zespół w całości poświęcony
graniu coverów The Cure. Jak na razie
zarejestrowali trzy piosenki w studiu
w tym pochodzącą z „Disintegration"
kompozycję „Lovesong"). Przed chwi-
lą też zadebiutowali koncertowo, wy-
stąpili 19 kwietnia w toruńskim klubie
Od Nowa, świętując nie tylko urodziny
Smitha, ale też 25. rocznicę międzyna-
rodowego zlotu fanów The Cure, który
odbył się w toruńskiej Piwnicy pod Anio-
łem 24 kwietnia 1999 r.

Najfajniejszy wujek w rodzinie

Płyta „Disintegration" była również
bohaterką jednego z najwspanialszych
momentów w historii telewizji. W stycz-
niu 1998 r. swoją premierę miał 12. od-
cinek pierwszego sezonu animowane-
go „Miasteczka South Park". Tytułowe
miasteczko zagrożone jest w nim przez
wielką mechaniczną, siejącą zniszcze-
nie Barbrę Streisand, przypominającą
dinozaura. Na ratunek przybywa Robert
Smith. Pokonuje wroga, całość ma happy
end, a na pożegnanie jeden z bohaterów
serialu Kyle Broflovski, dziękując mu-
zykowi, oznajmia, że „Disintegration"
to najlepsza płyta wszech czasów. Smith
przyznał później, że udział w „South
Park" był jedną z najlepszych przygód
w jego życiu. Co więcej, zapunktował
w ten sposób wśród najbliższych, zyskał
uznanie i szacunek swoich siostrzeńców
i siostrzenic. Czołowy smutas sceny roc-
kowej stał się w ten sposób najfajniej-
szym wujkiem w rodzinie.

Bez The Cure nie sposób też sobie wy-
obrazić wielu innych telewizyjnych, ale
też filmowych i komiksowych bohaterów.
Reżyser Tim Burton i odtwórca głównej
roli Johnny Depp, opowiadając o pracy
nad „Edwardem Nożycorękim", otwarcie
przyznali się do fascynacji Smithem. Po-
dobnie Paolo Sorrentino, który w wywia-
dach opowiadał, jak pewnego nudnego
dnia sięgnął po jedną z płyt The Cure, i zo-
baczywszy zdjęcie Smitha, natychmiast
zapragnął nakręcić film – nie biograficz-
ny, tylko fabularny, ale z drobnymi tropa-
mi (fryzurą, makijażem) zaczerpniętymi
z rzeczywistości. Tak powstały „Wszystkie
odloty Cheyenne'a" z Seanem Pennem,
który w filmie Sorrentino wygląda jak
skrzyżowanie radykalnego fana The Cure
z dalekim kuzynem samego Smitha. Z ko-
lei brytyjski pisarz i scenarzysta Neil Gai-
man podczas pracy nad serią komiksów
„Sandman" również przyglądał się uważ-
nie Smithowi. Główny bohater komiksu
Morfeusz, Król Snów, ze swoimi potarga-
nymi włosami, bladą cerą, tajemniczym
uśmiechem wygląda jak kopia wokalisty
The Cure.

Przy okazji kolejnej rocznicy wydania
„Disintegration" nie należy się spodzie-
wać jakichś specjalnych uroczystości.
Smith nie przepada za rocznicami, choć
w 2024 r. miałby co celebrować – choćby
własne 65. urodziny. Ważniejsze jest aktu-
alne pytanie, które zadają sobie wszyscy:
kiedy w końcu zespół wyda swoją 14. płyt-
tę. Od ostatniej, jak na razie, „4:13 Dream"
minęło 16 lat. W popkulturze to wiecz-
ność. To dłużej niż istnieli The Beatles czy
niektóre z ulubionych zespołów Smitha,
czyli Joy Division albo Sex Pistols. Wyrosło
przez ten czas zupełnie nowe pokolenie
słuchaczy, których przyciąga w The Cure
to samo, co poprzednie: to, w jak wyjątko-
wy sposób śpiewają o zagubieniu, stracie,
samotności, złamanym sercu – emocjach
ponadczasowych, zawsze istotnych.

Dziś już wiemy, że album jest gotowy.
Znany jest też jego tytuł, poetycko zło-
wieszczy, podszyty nostalgią: „Songs Of
A Lost World". Przedsmak polscy fani
dostali na koncertach w Łodzi i Krakowie
w 2022 r. – wybrzmiały wtedy aż cztery
nowe utwory.

Dziś fani mogą posłuchać po raz kolej-
ny obchodzącej urodziny płyty „Disinte-
gration", stosując się do instrukcji, którą
można znaleźć we wkładce: „Ta muzyka
została zmiksowana tak, by słuchać jej
na pełnej głośności". Ale zapowiedzi
Smitha, że nowe kompozycje The Cure
będą miały w sobie coś emocjonalnie
bezlitosnego, co niekoniecznie będzie
przepustką na listy przebojów, oraz frag-
menty tekstów takich, jak „Kolejne rado-
sne urodziny są najgorszym z dni" (z za-
powiadanego utworu „Another Happy
Birthday"), wróżą sytuację, która może
się wydawać znajoma.

ŁUKASZ KAMIŃSKI

REKLAMA

12. Międzynarodowy Konkurs Wiolonczelowy im. Witolda Lutosławskiego

1–12 maja 2024 Filharmonia Narodowa

KONCERT INAUGURACYJNY
30.04.2024
19.00
Studio Koncertowe
Polskiego Radia
im. Witolda Lutosławskiego

Przesłuchania I i II etapu – wstęp bezpłatny
Bilety na koncerty finałowe i koncert laureatów dostępne na stronie Filharmonii Narodowej
Bilety na koncert inauguracyjny dostępne na stronie Polskiego Radia

lutoslawski-cello.art.pl

RP Patronat Honorowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Filharmonia Narodowa

Wyjść z ludzkiego zoo

Dzisiejsza fala dokumentów o kolonizowanych ludach to cała panorama historycznych opresji: traktowanie ludzi jak zwierząt, odbieranie im ciał przodków, morderstwa czy gwałty w imię religii i cywilizacji.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

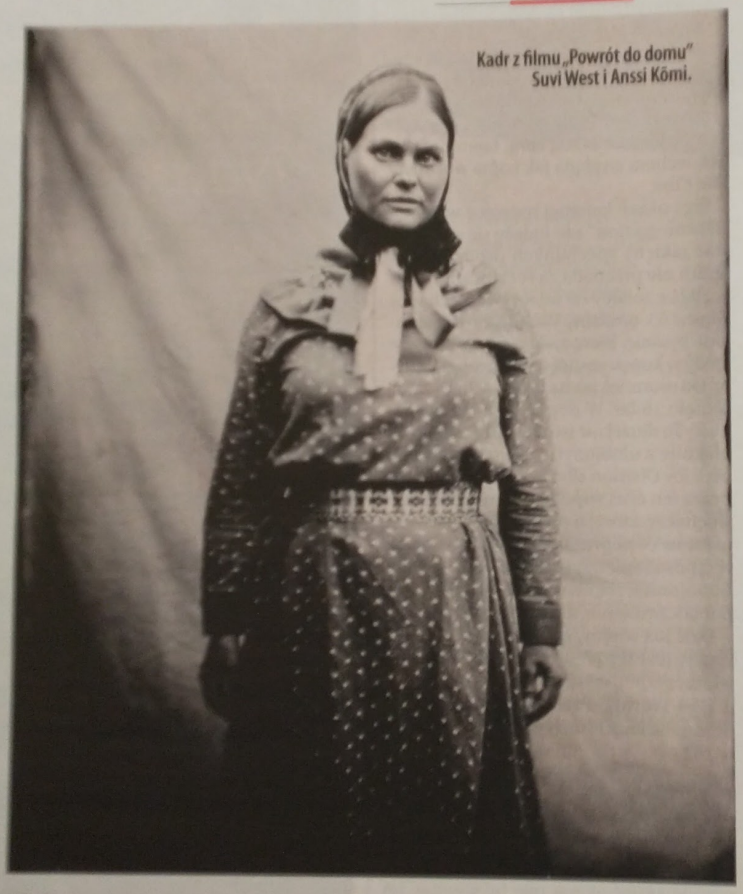

Kadr z filmu „Powrót do domu" Suvi West i Anssi Kömi.

Rdzenne narody przez wieki podbijane, a potem unicestwiane przez białego człowieka, coraz donośniej upominają się o powrót na mapę historii. Kino dokumentalne od lat uważnie śledzi te dramatyczne rozliczenia kolonialno-rasistowskich prześladowań. Niektóre z głośnych ostatnio tytułów przedstawi 21. edycja festiwalu Millennium Docs Against Gravity w sekcji First Nations (Pierwsze narody) pod szyldem POLITYKI.

O eksterminacji ludów afrykańskich, domagających się uznania kolonializmu i niewolnictwa za zbrodnie przeciwko ludzkości, powstało dotąd wiele wstrząsających filmów. Nowszy wątek to traumatyczna przeszłość Kanady, kolonizowanej i ewangelizowanej przez Europejczyków w nie mniej brutalny i krwawy sposób przez niemal cały XX w. Debata poświęcona krzywdzie wyrządzonej tutejszym pierwotnym społecznościom jest relatywnie nowa. A nagrodzony w tym roku za reżyserię na festiwalu Sundance „Sugarcane" Juliana Brave Noise-Cata i Emily Kassie (będzie pokazywany podczas festiwalu) na przykładzie dziejów rodziny reżysera, jego ojca i babci wychowanych w jednej z owianych złą sławą szkół z internatem pokazuje brutalny los wielu Inuitów, Metysów, a także innych nomadyjskich ludów dalekiej Północy, które pod pretekstem niesienia kaganka oświaty traktowano z wyjątkowym okrucieństwem.

Tylko Watykan milczy

Zaczyna się od sensacyjnej informacji emitowanej w lokalnej stacji radiowej o odnalezieniu 215 nieoznaczonych grobów nieopodal Williams Lake w bliskim sąsiedztwie dawnej szkoły z internatem w rezerwacie Sugarcane. W wyniku prywatnego śledztwa okazuje się, że znajdują się w nich ciała dzieci, które próbowały stamtąd uciec, popełniały samobójstwa, były torturowane. Najpowszechniejszą metodą znęcania się było głodzenie, bicie pejczem, skuwanie kajdankami, zmuszanie do stania na mrozie lub śniegu w lekkich ubraniach, trzymania nad głowami w pozycji klęczącej ciężkich przedmiotów czy nakazywanie zjadania wymiocin. W „Sugarcane" mówią o tym ocaleńcy, naoczni świadkowie niezliczonej liczby przestępstw, również seksualnych.

Ostatnią tego typu placówkę (twórcy filmu podliczyli, że na terenie Kanady działało ich 139, w Stanach Zjednoczonych 408) zamknięto w 1997 r. Większość prowadzili duchowni. Tą w Williams Lake opiekował się ojciec MacGrath, dyrektor szkoły, mający autochtonów za dzikusów. Gustował w małych dziewczynkach. Dzieci zrodzone z gwałtu zazwyczaj kazał wyrzucać na śmietnik.

Za udział w szkolnych zbrodniach jako pierwszy, jeszcze w 1986 r., przeprosił Zjednoczony Kościół Kanady słowami: „Błagamy was o wybaczenie". Pięć lat

...oo

...panorama
...ieranie
...wilizacji.

...a krzywdzie wyrządzo-
...erwotnym społeczno-
...ie nowa. A nagrodzony
...serię na festiwalu Sun-
..." Juliana Brave Noise-
...e (będzie pokazywany
...a przykładzie dziejów
...go ojca i babci wycho-
...owianych złą sławą
...pokazuje brutalny los
...ysów, a także innych
...w dalekiej Północy,
...em niesienia kagan-
...rano z wyjątkowym

...milczy

...nsacyjnej informa-
...alnej stacji radiowej
...ieoznaczonych gro-
...ms Lake w bliskim
...zkoły z internatem
...ne. W wyniku pry-
...zuje się, że znajdują
...i, które próbowały
...iały samobójstwa,
...jpowszechniejszą
...ło głodzenie, bicie
...dankami, zmusza-
...e lub śniegu w lek-
...ania nad głowami
...ężkich przedmio-
...adania wymiocin.
... o tym ocaleńcy,
...ezliczonej liczby
...ksualnych.
...lacówkę (twórcy
... terenie Kanady
...ach Zjednoczo-
...997 r. Większość
... w Williams Lake
...cGrath, dyrektor
...ów za dzikusów.
...czynkach. Dzieci
...zaj kazał wyrzu-

...zbrodniach jako
...6 r., przeprosił
...nady słowami:
...enie". Pięć lat

© MATERIAŁY PRASOWE MILLENNIUM DOCS AGAINST GRAVITY FILM FESTIWAL

później osobno przeprosili katoliccy księża oblaci. W 1993 r. – Kościół anglikański. Arcybiskup Michael Peers powiedział wówczas: „Przepraszam mocniej, niż jestem w stanie to wyrazić, za to, że tak wielu z was było w naszych szkołach wykorzystywanych fizycznie, seksualnie, kulturowo i emocjonalnie. W imieniu Kościoła anglikańskiego Kanady składam przeprosiny". W 1994 r. uderzyli się w piersi prezbiterianie. Po drodze – pisze o tym we wstrząsającej reporterskiej książce „27 śmierci Toby'ego Obeda" Joanna Gierak-Onoszko – przepraszali też przedstawiciele władzy: od premiera Harpera po premiera Trudeau, a także reprezentanci poszczególnych prowincji, przedstawiciele policji, instytucji i uniwersytetów. Zabrakło tylko głosu Watykanu, konsekwentnie, od początku ujawnienia tragedii, milczącego.

Pod koniec filmu jedna z ofiar, dziecko z księżowskiego gwałtu, w wieku ok. 70 lat leci do Rzymu, by porozmawiać z papieżem Franciszkiem, który dziękuje za przybycie i natychmiast znika. Mężczyzna zostaje przyjęty i wysłuchany przez Louisa Lougena, amerykańskiego duchownego. Reakcja generała misjonarzy oblatów mówi wszystko o stosunku Stolicy Apostolskiej do zbrodni popełnianych przez kler. Nie da się tego usprawiedliwić, przyznaje ze skruchą Lougen, ale to choroba, która wrosła w Kościół. Jednocześnie pod koniec rozmowy wyraźnie zaznacza, że warunkiem rozliczenia win powinno być wybaczenie ze strony ofiar, a nie pociąganie do odpowiedzialności i ukaranie sprawców: „Wybaczenie nastąpi pewnego dnia. Wtedy poczujemy się uzdrowieni". Bardzo wyczekiwane słowa o materialnym choćby zadośćuczynieniu ludziom, którzy przeżyli koszmar, czy ich potomkom dziedziczącym traumę, nie padają wcale.

Wymazywanie narodów i kulturowe ludobójstwo, dokonywane przez zaciekle rywalizujące między sobą katolickie i protestanckie Kościoły, odbywało się na przestrzeni wieków również poprzez konfiskatę świętych przedmiotów. Misjonarze wierzyli, że zdobędą rząd pogańskich dusz, jeśli zakażą odprawiania tradycyjnych ceremonii, a insygnia imitujące np. bicie serca matki Ziemi zniszczą. Fińsko-norweski dokument „Powrót do domu" Suvi West i Anssiego Kömiego podejmuje właśnie wątek restytucji mienia, w tym zrabowanych artefaktów nasyconych duchową mocą, które były własnością innych koczowników z Północy – najstarszego skandynawskiego ludu Saamów zamieszkującego Sápmi, terytorium rozciągające się między północną Norwegią, Finlandią, Szwecją i rosyjskim Półwyspem Kolskim.

Dziedzictwo bez kontekstu

Należące niegdyś do Saamów sakralne obiekty, uznane przez muzealników za dzieła sztuki, wystawiane są teraz w niemieckich, brytyjskich czy francuskich galeriach bez opieki właściwych strażników tradycji i bez kontekstu. W filmie pada liczba ok. 50 tys. takich artefaktów, w tym 71 runicznych bębnów szamańskich, służących do wchodzenia w trans i komunikowania się z duchami przodków. Właścicielem jednego pokrytego magicznymi symbolami bębna był Anders Poulsson – lub Poala-Ánde w języku Saami – posądzony w 1691 r. o czary. Zanim zapadł wyrok, został zamordowany w celi więziennej ciosem w głowę siekierą – rzekomo przez człowieka pozbawionego zmysłów. Film przypomina, że po trwającej cztery dekady batalii sądowej z Duńczykami święty bęben został w końcu zwrócony i dziś znajduje się w Siida – lapońskim muzeum regionalnym w gminie Inari na północy Finlandii, pieczołowicie gromadzącym już we właściwym kontekście i z należytą czcią przedmioty należące do kultury Saamów.

W samym tylko Królewskim Muzeum Afryki Środkowej w Belgii znajduje się wciąż 180 tys. przedmiotów wywiezionych z Afryki w okresie kolonialnym. British Museum w Londynie i Musée du Quai Branly w Paryżu posiadają po blisko 70 tys. takich artefaktów. Autorzy dokumentu dowodzą, że zwrot do miejsc pochodzenia zdobytych poprzez kradzież, grabież, profanację i niesprawiedliwą wymianę dóbr o wielkim znaczeniu historycznym, duchowym i kulturowym jest czymś więcej niż wyrównaniem rachunków czy konfrontacją z przemocową spuścizną kolonializmu, opierającego się na deprecjacji sztuki, muzyki i architektury pierwszych narodów. Restytucja dóbr jest częścią skomplikowanego procesu odzyskiwania tożsamości przez rdzennych mieszkańców kontynentów, przezwyciężania strasznej przeszłości, budowania na nowo dziedzictwa, stanowiącego namacalny fundament zdrowego życia.

Po obejrzeniu filmu nikt nie będzie miał wątpliwości, że w przedmiotach uznawanych przez białych za łupy wojenne zaklęte są radości i smutki dawnych właścicieli, co potrafią dostrzec i należycie docenić tylko ich potomkowie. Jedynie oni mogą rozszyfrować ukryte w nich historie bliskich, rodzin i plemion, bez konieczności powoływania się na często zafałszowaną akademicką wiedzę ▶

REKLAMA

„Sugarcane" Juliana Brave NoiseCata i Emily Kassie.

► z drugiej ręki. „Powrót do domu oznacza kontrolę nad naszą historią i zabliźnienie ran" – mówią pytani w filmie Saamowie, uzasadniając potrzebę poszanowania ich prawa do posiadania własnego dziedzictwa kulturowego.

Podróżnik psychopata

Saamowie w oczach Zachodu długo byli uosobieniem egzotyki i uchodzili za dzikich ludzi, niezdolnych do przyjęcia dobrodziejstw cywilizacji. Pod koniec XIX w. niemieccy antropolodzy twierdzili, że czarnoskórzy stanowili formę przejściową między Europejczykami i małpami. W podobny sposób należało ich zdaniem postrzegać Saamów – jako brakujące ogniwo między człowiekiem i niedźwiedziem. Jako rasę gorszą zamykano Saamów w klatkach i wystawiano w formie żywej atrakcji w berlińskim ogrodzie zoologicznym. By napawać się widokiem półzwierząt, przychodziły tłumy, do 90 tys. dziennie. Szczątki gnębionego ludu służyły niemieckim naukowcom do badań uzasadniających teorie o pochodzeniu gatunków, mających potwierdzać rzekomą wyższość białej rasy. Miejsca pochówków Lapończyków były rozkopywane i profanowane, a tysiące szkieletów i czaszek zdobią do dziś prywatne kolekcje, traktowane niczym cenna lokata kapitału.

I właśnie wokół tych najbardziej moralnie wątpliwych artefaktów, czyli szczątków ludzkich wystawianych jeszcze niekiedy na widok publiczny, toczy się dziś najgorętsza debata. Dopiero w 2012 r. Francuzi zdecydowali się na zwrot Nowej Zelandii ok. 20 zmumifikowanych głów wojowników maoryskich, zwanych toi moko. Z kolei Niemcy też całkiem niedawno zdali sobie sprawę, że nieetyczne jest przetrzymywanie jako eksponatów czaszek Hererów z Namibii, zamordowanych przeszło sto lat temu podczas wojny kolonialnej.

Do sprawy nawiązuje dość przerażający w swojej wymowie niemiecki dokument „Pusty grób" Agnes Lisy Wegner i Cece Mlay, poświęcony kolonialnym zbrodniom na ludzie Mbono w południowej Tanzanii. O okrucieństwach Belgów w Kongu, którzy w latach 1885–1908 wymordowali od 5 do 15 mln tubylców, słyszał każdy, ale niemieckie zbrodnie w tej części Afryki wciąż pozostają niewyjaśnione. Poważną dyskusję na ten temat Niemcy rozpoczęli 10 lat temu, niestety, bez spektakularnych rezultatów. Zmarły w 1918 r. Carl Peters, podróżnik, polityk i psychopata, wieszający dla zabawy w Tanzanii dziesiątki Afrykańczyków i zezwalający na odcinanie im głów – które następnie były wywożone w charakterze dumnych trofeów – miał do niedawna ulicę swego imienia w stolicy Niemiec. Dzięki interwencji m.in. osób biorących udział w powstawaniu filmu władze miasta obiecały zmienić nazwę.

„Pusty grób" to reportaż opisujący starania pewnej tanzańskiej rodziny o sprowadzenie głowy dziadka do ojczyzny. Ich przodek pracował przy budowie kolei. Któregoś dnia zapomniał przynieść narzędzia albo nie zapłacił podatku, za co został powieszony. Po kilku dniach sprawcy odkopali grób, odcięli mu głowę i wywieźli ją do Niemiec. Szacuje się, że do dziś na terenie naszego zachodniego sąsiada przechowuje się ponad 10 tys. takich czaszek. Wiele szczątków w wyniku różnych transakcji handlowych trafiło za ocean. Niektóre znajdują się w Muzeum Historii w USA.

Zarówno przedmioty o znaczeniu symbolicznym, jak i szczątki nie są w oczach autochtonów bytami wyłącznie materialnymi. Nie myślą o nich w kategoriach reprezentacji historycznej, skarbów narodowych, zabytków, tylko jak o osobach, których godność i tajemnicę należy uszanować. Długi czas nie docierało to do świadomości Zachodu. Zmiana narracji nastąpiła 9 sierpnia 2002 r. Właśnie wtedy, po ośmiu latach batalii, udało się sprowadzić szczątki Saartije Baartman z plemienia Khoi z paryskiego Musée de l'Homme do Republiki Południowej Afryki. Jej pogrzeb w miasteczku Hankey, w obecności prezydenta Nelsona Mandeli, stał się symbolem nowego stosunku ludów tubylczych do kwestii odzyskiwania setek tysięcy dóbr kultury i szczątków ludzkich znajdujących się w muzeach na całym świecie.

W krótkim, niespełna 30-letnim życiu Saartije Baartman, zwanej Czarną Wenus albo Wenus Hotentocką, przegląda się cała historia kolonialnej opresji w jej rozmaitych wymiarach i kontekstach. Saartije również, po przybyciu ze swoim białym opiekunem do Londynu na początku XIX w., była pokazywana w ludzkim zoo, występowała w teatrach jako „osobliwy okaz". Po śmierci preparaty anatomiczne z jej piersi, pośladków i waginy, oczyszczony i wypreparowany szkielet oraz odlew ciała naturalnej wielkości służyły jako naukowe eksponaty. Na wystawie w Musée de l'Homme można je było oglądać aż do końca lat 70. XX w. Potem trafiły do magazynu niczym wstydliwe świadectwa dawnych przewin wobec podbitych ludów Afryki.

Komisja do spraw zwrotu

Problem, co, komu i jak należy zwracać, pozostaje aktualny. Być może najlepszym rozwiązaniem niekończącego się sporu jest propozycja Holandii, która pod wpływem rządowego raportu „Dobra kolonialne i uznanie niesprawiedliwości" w październiku 2020 r. powołała ministerialną komisję, mającą decydować o oddawaniu cennych dóbr kultury zagrabionych z miejsc należących niegdyś do niderlandzkiego imperium kolonialnego. Szczególny nacisk położono właśnie na przedmioty związane z kultem religijnym.

Jak będzie ten proces wyglądał w praktyce, pokażą najbliższe lata, a może nawet dekady. Hiszpania o zwrocie kolekcji z Muzeum Ameryki w Madrycie w ogóle nie chce rozmawiać. Brytyjczycy robią dobrą minę do złej gry. Mają największe zbiory skradzionych przedmiotów z okresu kolonialnych podbojów, z których co pewien czas oddają ledwie drobną część. Podobną inercją wykazują się Belgowie i Niemcy. Holandia poszła w tym procesie najdalej, choć nie jest osamotniona, przynajmniej na poziomie deklaracji. Zwrot zagrabionych dzieł sztuki już w 2017 r. obiecał publicznie prezydent Emmanuel Macron. Odwiedzając Burkina Faso, zapowiedział stworzenie pięcioletniego planu restytucji artefaktów, którego pierwszym wymownym sygnałem był zwrot 26 obiektów rządowi Beninu. Uwieczniła to w filmie dokumentalnym „Dahomej" Mati Diop, oddając głos budzącym się z hibernacji duchom przodków afrykańskich królestw. Symbolicznie uhonorowało ją Berlinale, przyznając tegorocznego Złotego Niedźwiedzia. Czy filmowa fala przyniesie bardziej namacalne efekty – zobaczymy.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

© MATERIAŁY PRASOWE MILLENNIUM DOCS AGAINST GRAVITY FILM FESTIWAL

Muzy nie zamilkły

W ogarniętej wojną Ukrainie trwa życie kulturalne: otwierają się kolejne księgarnie, powstają nowe dzieła. Wybuchają nie tylko bomby, lecz także towarzyskie skandale i gorące debaty.

Dżamała wygrała konkurs Eurowizji w 2016 r. Dziś apeluje o pomoc dla ofiar wojny.

EDWIN BENDYK

„W przypadku alarmu lotniczego najbliższe schrony znajdują się na stacjach metra Plac Pocztowy i Plac Kontraktowy" – wita widzów pracownik Teatru Dramaturgów na kijowskim Podole. Dodaje jeszcze, że po spektaklu zbierane będą pieniądze na siły zbrojne, zachęca więc do datków. „Zielone korytarze", spektakl Natali Worożbyt w reż. Ołeksy Gładuszewskiego wypełnił niewielką widownię do ostatniego miejsca.

Rzecz podejmuje kwestię ukraińskiej emigracji i uchodźstwa, konfrontując ją nie tylko ze współczesnym doświadczeniem, ale i z historią. Aktorzy grali z werwą, w czym pomagał i entuzjazm publiczności, i błyskotliwy tekst sztuki. Owacja na stojąco była więc w pełni zasłużona. Podolska scena, jak podpowiada jej nazwa, powstała z inicjatywy 20 ukraińskich dramaturgów, by promować nowy teatr. I robi to mimo wojny, przygotowując kolejne premiery – pewna, że publiczność nigdy nie zawiedzie.

Podobnie jest w innych kijowskich teatrach, czy to będzie Operetka grająca „Bal", czy Narodowa Opera wystawiająca „Zaporożca za Dunajem", pierwszą ukraińską operę, czy Akademicki Teatr im. Łesi Ukrainki z „Tangiem" Sławomira Mrożka – premiera odbyła się pod koniec marca br., wszędzie publiczność dopisuje, a bilety lepiej kupować z wyprzedzeniem. Wszędzie też obecna jest wojna, o której przypominają informacje o procedurach na wypadek alarmu i o zbiórkach na siły zbrojne. Kijowianie przywykli, że obrona przeciwlotnicza bardzo skutecznie chroni stolicę, bez obaw więc korzystają z miejskiego życia.

W Charkowie, niemal nieustannie ostrzeliwanym przez Rosjan, sytuacja jest znacznie trudniejsza. W ubiegłym roku obowiązywał zakaz organizowania wydarzeń angażujących więcej niż 50 widzów. W marcu br. administracja wojskowa zakazała imprez z udziałem widowni. W ślad za restrykcjami wynikającymi z wymogów bezpieczeństwa poszły też ograniczenia finansowe – publiczne dofinansowanie dla teatru zmniejszyło się w 2024 r. o połowę, ze 100 mln hrywien (ok. 10 mln zł) w 2023 r. do 50 mln.

Głód książki

Charków, drugie pod względem wielkości miasto Ukrainy, i cała Charkowszczyzna stały się symbolem wojny, jaką Rosja wypowiedziała nie tylko ukraińskiemu państwu i społeczeństwu, lecz także ukraińskiej kulturze. Zgodnie z danymi, jakie przedstawiło ministerstwo kultury, od 24 lutego 2022 r. Rosjanie zniszczyli 1046 pamiątek dziedzictwa narodowego, 294 z nich na Charkowszczyźnie. W tej liczbie znalazło się m.in. Muzeum Hryhorija Skworody, wielkiego XVIII-wiecznego poety i filozofa. W 2022 r. wypadała 300. rocznica jego urodzin, co Rosjanie „uczcili", bombardując muzeum w Skworodiniwce, miejscu śmierci i pochówku humanisty.

Nękanie Charkowa ma także znaczenie dla bieżącego życia kulturalnego całej Ukrainy. Miasto jest tradycyjnym centrum przemysłu poligraficznego, przed wojną charkowskie drukarnie obsługiwały ponad 70 proc. rynku wydawniczego. Bombardowania i przerwy w dostawach elektryczności powodują, że wydawcy książek czekają w wydłużających się kolejkach, by odebrać nakłady nowych tytułów, których nie mogą się doczekać czytelnicy.

Bo chyba najciekawszym fenomenem czasu wojny jest siła i żywotność ruchu czytelniczego. W 2023 r. w samym Kijowie powstało ok. 20 nowych księgarń (a w kraju 50). To miejsca kameralne, jak księgarnia Hryhorija Skworody na Podole i pełne rozmachu, jak ReadEat niedaleko kompleksu olimpijskiego. Wszędzie oprócz książek w ofercie świetna kawa, nierzadko bogatsze menu z dobrymi przekąskami, piwem i winem. Nowe księgarnie otwierają się także poza Kijowem, w ostrzeliwanych Charkowie i Chersoniu, i na spokojniejszej Bukowinie czy Zakarpaciu.

Księgarnie powstają, bo są czytelnicy i wydawcy, którzy przygotowują kolejne pozycje. Po zapaści w 2022 r., w roku 2023 wydano ponad 13 tys. tytułów w nakładzie przekraczającym 20 mln egzemplarzy. To znacznie mniej od rekordowych nakładów z 2013 czy 2019 r., kiedy drukowano ponad 60 mln książek. Cieszy jednak wzrostowa tendencja i wyniki badań czytelnictwa. Bo mimo wojny w Ukrainie bada się także praktyki kulturowe mieszkańców kraju. ▶

© MATERIAŁY PRASOWE MILLENIUM DOCS AGAINST GRAVITY FILM FESTIWAL

▶ Ukraińskie Forum Wydawców przedstawiło najnowsze wyniki podczas ubiegłorocznych targów książki we Frankfurcie. Okazało się, że czytanie książek deklarowało w 2023 r. 66 proc. badanych, to podobny odsetek jak w 2020 r. podczas pandemii i jak w 2018 r. W czasie wojny zwiększył się jednak odsetek osób zapewniających, że czytają książki codziennie – z 8 proc. w 2020 r. do 17 proc. Czytanie kilka razy w tygodniu deklaruje 19 proc. W sumie więc intensywnych czytelników jest w Ukrainie niewiele mniej niż Polsce osób mających jakikolwiek kontakt z książką (według najnowszych badań Biblioteki Narodowej – 43 proc.).

Liderem rankingu popularności pisarzy okazał się Stephen King (u nas drugi, po Remigiuszu Mrozie), wysoko uplasowali się Dan Brown, Margaret Mitchell, Joan Rowling. Z polskich autorów najbardziej rozpoznawalni są Stanisław Lem i Andrzej Sapkowski, z ukraińskich „załapali" się klasycy: Taras Szewczenko i Łesia Ukrainka oraz twórca współczesny Kuźma Skriabin (Andrij Kuźmenko). Ranking ludowy różni się istotnie od opinii kształtowanych w obiegu recenzenckim i krytycznym, tętniącym pełnym życiem na Facebooku, w blogosferze i licznych mediach internetowych. I tak niekwestionowanym królem książki ukraińskiej jest Serhij Żadan, pisarz, poeta, muzyk znany doskonale polskim czytelnikom (POLITYKA 11). Dalej nie ma też zaskoczeń: Oksana Zabużko, Jurij Andruchowycz, Andrij Kurkow, Katerina Babkina, Andrij Lubkow długo pracowali na swoją pozycję.

Okopy i romanse

O pozycji twórcy w społecznej świadomości decyduje jednak nie tylko jakość jego artystycznej pracy. Nie mniej ważna jest jego obecność w mediach, zwłaszcza w internetowych kanałach społecznościowych. Zainteresowanie swoją osobą najmocniej rozbudza Serhij Żadan. Autor „Internatu" związany jest z Charkowem, tam angażował się w Rewolucję Godności, za co został dotkliwie pobity. Po rozpoczęciu działań wojennych przez Rosję w 2014 r. angażuje się w podtrzymywanie sił zbrojnych, co czyni, organizując koncerty swojego zespołu i wieczory poetyckie dla żołnierzy i załatwiając pomoc materialną. Po wybuchu pełnoskalowej wojny jeszcze bardziej zintensyfikował zaangażowanie.

Pod koniec marca br. media podały informację, że Żadan wstępuje do Gwardii Narodowej i ma się zaciągnąć do 13. brygady „Chartija" powstałej z ochotniczych oddziałów samoobrony, jakie tworzyły się

Nieustannie trwa rozmowa o tym, czy w czasie wojny powinno się wydawać publiczne środki na kulturę.

Na fot. **Serhij Anufrijew na swojej wystawie w Muzeum Sztuki Wschodu i Zachodu w Odessie.**

w Charkowie na początku pełnoskalowej agresji. Pisarz ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza, ale news wywołał gorącą dyskusję w „internetach". Włączył się w nią nawet amerykański historyk Timothy Snyder, przekonując, że Żadan to skarb kultury światowej godny Nagrody Nobla, a nie gnicia w okopach.

Rozważania o tym, czy pisarz założy mundur, przesłoniły wcześniejszy rumor wywołany wywiadem piosenkarki Chrystyny Sołowij. Artystka opowiedziała na początku marca o swoim romansie z pisarzem, o tym, jak się poznali (miało zaiskrzyć podczas wywiadu, o jaki Żadan poprosił Sołowij jeszcze w 2021 r.) i jak opuściła ukochanego dla innego mężczyzny. Rewelacje piosenkarki wywołały w sieci falę współczucia ze strony fanów poety, co ten skomentował rzeczowym „Co za ch...jnia?". Na co dowiedział się, że odpowiedział w sposób typowy dla fazy wyparcia.

Oczywiście romans Żadana i Sołowij, choć nigdy (do czasu wspomnianego wywiadu) oficjalnie niepotwierdzony, wywoływał już wcześniej emocje publiczności, która śledziła pilnie w mediach wszystkie zachowania pary, interpretując ich znaczenia i zastanawiając się, czy pocałunki w wideoklipie „Młodość" są prawdziwe czy symulowane oraz czy oboje trzymają się podczas spaceru za ręce jak przyjaciele czy jak kochankowie. Z kolei wideoklip „Serce" zrealizowany w jednym ze lwowskich kościołów wywołał reakcję hierarchów, którzy oskarżyli utwór i artystów o bezczeszczenie wartości chrześcijańskich.

Plotki o romansach, namiętnych miłościach i burzliwych rozstaniach artystek i artystów czy o mających przyjść na świat dzieciach wdzierają się do mediów pomiędzy informacje z frontu. Gwiazdy i celebryci dzielą się z publicznością tym, jak przeżywają alarmy lotnicze, ile potrzebują pieniędzy miesięcznie, by żyć odpowiednio w czasie wojny, co gotują i jak mieszkają.

Dekolonizacja

Ważną część medialnej przestrzeni wypełniają artyści w mundurach. Na początku kwietnia media obiegła informacja, że rzecznikiem ministerstwa obrony został Dmytro Łazutkin, poeta-żołnierz, laureat najważniejszej w Ukrainie Nagrody im. Tarasa Szewczenki. W kijowskiej siedzibie ukraińskiego PEN Clubu pod koniec marca odbył się wieczór poetycko-muzyczny poświęcony pamięci Maksyma Krywcowa, poety-żołnierza, który zginął na froncie na początku br. W trakcie spotkania kupić można było tom „Pomiędzy syrenami. Nowe wiersze wojny", nie zabrakło w nich utworów Krywcowa (w Polsce wiersze poety opublikowało Wydawnictwo Pogranicze). Zabrakło samego poety, tak jak zresztą wielu innych poległych w czasie wojny. Wracają dziś nie tylko w pamięci, ale i książkach.

Wołodymyra Wakulenkę, poetę i pisarza dziecięcego zamordowanego przez Rosjan pod Iziumem jeszcze na początku wojny, przywróciła do symbolicznego życia Wiktoria Amelina, publikując jego pisany w ukryciu dziennik i wiersze. Sama Amelina zginęła w lipcu ub.r. podczas ataku rakietowego na Kramatorsk. Lwowskie wydawnictwo Starego Lwa przygotowuje wydanie wierszy poetki w tomie „Świadectwa".

Kolejne ofiary wywołują wspomnienie najtragiczniejszych okresów ukraińskiej historii, coraz częściej mówi się o „nowym rozstrzelanym odrodzeniu". Mianem „rozstrzelanego odrodzenia" (pomysłodawcą nazwy był Jerzy Giedroyc) określa się artystów tworzących w latach 20. ubiegłego stulecia w kontrze do Moskwy niezwykle żywą i ciekawą ukraińską kulturę. Ruch ten został zdławiony przez Stalina w latach 30., w masowych represjach zginęli najwybitniejsi pisarze, dramaturdzy, poeci. Każde pożegnanie wywołuje smutek, ale i przypomina słowa Jurija Stecyka, artysty zaginionego na froncie w grudniu 2022 r. Mawiał, że wojna to nie koniec życia, lecz długa, ciężka praca.

Ta praca trwa, a jej stawką jest integracja ukraińskiej świadomości wokół kultury tworzonej dziś i wokół odkrywanych często na nowo zasobów artystycznego dziedzictwa, które zdumiewa swym bogactwem. Fenomen ostatnich lat, przyspieszony

przyjść na świat
do mediów po-
tu. Gwiazdy i ce-
znością tym, jak
e, ile potrzebują
yć odpowiednio
jak mieszkają.

ej przestrzeni
lurach. Na po-
gła informacja,
obrony został
lnierz, laureat
Nagrody im.
wskiej siedzi-
u pod koniec
betycko-mu-
ci Maksyma
który zginął
trakcie spo-
„Pomiędzy
", nie zabra-
va (w Polsce
ydawnictwo
o poety, tak
ych w czasie
w pamięci,

betę i pisa-
iego przez
początku
cznego ży-
ąc jego pi-
sze. Sama
podczas
sk. Lwow-
a przygo-
w tomie

omnienie
raińskiej
„nowym
em „roz-
łodawcą
ia się ar-
biegłego
ezwykle
uch ten
tach 30.,
najwy-
poeci.
tek, ale
artysty
2022 r.
ia, lecz

ntegra-
kultury
często
iedzic-
twem.
szony

© VIACHESLAV ONYSHCHENKO/ZUMA PRESS FORUM

przez wojnę, to właśnie odkrywanie pi-
sarzy i twórców „rozstrzelanego odrodze-
nia". Mieli nie tylko zginąć, ale też zniknąć
ze zbiorowej pamięci, wymazani z historii i bibliotek, by ludzie
tacy jak Putin mogli mówić, że coś takiego
jak ukraiński naród nie istnieje.

Dziś niemal każde większe wydawnic-
two wydaje Waleriana Pidmohylnego,
Mykołę Chwylowego, Mike'a Johannsena
i dziesiątki innych pisarzy i pisarek, którzy
na początku XX w. zbudowali nowoczesną
ukraińską kulturę, pokazując jej europej-
ski wymiar i uniwersalne znaczenie. Wy-
czekiwaną w maju premierą kinową jest
„Dom »Słowo«. Niedokończona powieść«",
film fabularny Tarasa Tomenki (wcześniej
zrealizował dokument na ten temat) o pi-
sarzach tworzących w Charkowie w latach
30. Powstaje film o Ołeksandrze Dowżen-
ce, jednym z najwybitniejszych ukraiń-
skich twórców filmowych. Po dekomu-
nizacji kultury i życia publicznego, jaka
nastąpiła po Rewolucji Godności, wojna
przyspieszyła dekolonizację – odcinanie
się od związków z imperium i podle-
głości jego kulturowym wzorcom. W ki-
jowskim Domu Narodowym wiosną br.
zorganizowano monumentalną wystawę
poświęconą życiu i dziełu Ałły Horskiej.
Niezwykła artystka zajmująca się sztuką
monumentalną i malarstwem związała się
w latach 60. XX w. z ruchem dysydenckim.
W 1970 r. została zamordowana – wszystko
wskazuje na to, że przez KGB.

Dekolonizacja to też usuwanie z prze-
strzeni symboli imperium – znikają po-
mniki Puszkina, Majakowskiego, Ukraiński
Instytut Pamięci Narodowej wydał także
wyrok na Michaiła Bułhakowa. Ogłoszona
pod koniec marca decyzja wywołała gorą-
cą dyskusję, zaprotestował nie tylko zespół
Muzeum Bułhakowa w Kijowie, ale także
wielu ludzi kultury. Bo wprawdzie ich zda-
niem Bułhakow był ukrainofobem, piewcą
białej gwardii, ale też jednym z najwybit-
niejszych pisarzy ukraińskich piszących
po rosyjsku.

Igrzyska czy armaty?

Ukraińska debata o kulturze żyje nie
tylko emocjami wywołanymi dekoloniza-
cją, wspominaniem poległych i plotkami
z życia gwiazd. Nieustannie trwa też roz-
mowa o tym, czy w czasie wojny powinno
się wydawać publiczne środki na kulturę.
Najnowszym powodem do takiej dyskusji
stały się przygotowania do finału konkur-
su Eurowizji. Przygotowanie ukraińskiego
występu kosztuje 11 mln hrywien. Infor-
macja o tych wydatkach zelektryzowała
opinię publiczną, która szybko podzieliła
się na dwa fronty. Pierwsi zaczęli przeli-
czać, ile dronów można kupić dla wojska
za takie pieniądze. A rachunek uzupeł-
niają argumentem, że bogatsza Rumunia
ze względu na oszczędności z udziału
w konkursie w tym roku zrezygnowała.

Drudzy przekonują, że obecność Ukra-
iny z mocnym głosem na tak popularnym
wydarzeniu to znacznie większa pomoc
dla armii niż te 11 milionów. Bo przełoży
się na sympatię międzynarodowej opi-
nii publicznej, od której zależy pomoc
dla Ukrainy liczona w miliardach dola-
rów. Burza o Eurowizję przycichła, Jerry
Heil i Alyona Alyona wystąpią w Malmö
w imieniu Ukrainy. Spór „kultura czy ar-
maty" odnawia się jednak regularnie,
a minister kultury Ołeksandr Tkaczenko
podał się nawet do dymisji w lipcu ub.r.,
gdy ostrej krytyce poddano jego decyzje
o wsparciu finansowym produkcji seriali
telewizyjnych oraz kontynuacji w czasie
wojny inwestycji w Muzeum Hołodomoru.
Mimo trudnych czasów, a może właśnie
dlatego, ukraińska kultura rozwija się dy-
namicznie i trudno za tym dynamizmem
nadążyć. Szczęśliwie jego przejawy trafiają
również do Polski.

EDWIN BENDYK

REKLAMA

W SPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU:
Sekrety rodzinne, czyli o czym
nie rozmawia się w domu

KATARZYNA KASIA
I GRZEGORZ MARKOWSKI:
Nie tylko o swojej przyjaźni

wysokie obcasy extra

+ PREZENT
DO WYBORU

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

„Jakby ktoś pytał, jakie zapasy samolotów ma USA. Magazyn w Tucson, Arizona. Ponad 4000 maszyn" – demaskuje w mediach społecznościowych Joanna Lichocka, załączając filmik cmentarzyska maszyn armii USA. Oni tam na prawicy tradycyjnie są dobrzy w samolotach.

Michał Tusk ma nową robotę. Pierwszy syn RP został głównym specjalistą w Departamencie Infrastruktury Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego. Ciekawy tytuł. Łatwiej podać jego długość geograficzną, niż zrozumieć.

Były członek Rady Ministrów w rządzie Mateusza Morawieckiego Michał Wójcik zapowiedział wydanie płyty z największymi przebojami Elvisa Presleya. Jakiś czas temu Wójcik został wykluczony z przesłuchania. To ja też mogę.

15 maja ukaże się autobiografia Filipa Chajzera pod jednoznacznym tytułem „Niejednoznacznie pozytywny". Jego kariera zasłużyła na biografię. Nie wiem, czy jego biografia zasłużyła na karierę.

W Onecie projektant Dawid Woliński ujawnił, że jego kolega z programu „Top Model" Michał Piróg „Jest osobą wymagającą dużej tolerancji, ale niedającą jej innym". Ładne, ale długie. Wystarczy: niezdolny.

Stało się. Canal+ pokaże 18 maja galę freak-fightową Fame MMA, podczas której w walce wieczoru wystąpi pięściarz Tomasz Adamek z influencerem Patrykiem „Bandurą" Bandurskim. W następnej edycji weterani ze Skolimowa spotkają się z personelem.

Wielki sukces TV Republika. Ich program śniadaniowy „Wstajemy!" ogląda średnio 91 tys. widzów. To mniej więcej tyle samo, co widownia Cudu Słońca, objawienia, w które też trudno uwierzyć.

„Mamy baraki dla imigrantów, w Auschwitz, na Majdanku, w Treblince. (…) Zbudowane przez Niemców". To Jan Pietrzak w TV Republika. Maciej Świrski, szef KRRiT, twierdzi, że kara się nie należy, bo to satyra. Oczywiście. A moje ulubione święto kościelne to majówka.

Aktor, pieśniarz, wodzirej, konferansjer i pisarz Piotr Gąsowski skończył 60 lat. Piotr przyznał się niedawno, że kiedyś spotykał się z ośmioma kobietami jednocześnie. Numerologiczna ósemka zwiastuje pracowitość.

© VIPHOTO/EAST NEWS

Były wicedyrektor Trójki Marek Wiernik pożegnał się ze stacją. Szkoda, że niegdyś punkowy dziennikarz dołączył do chóru pisowskich wyjadaczy. I ten medal od Dudy. Jak łatwo z legendy stać się pokemonem, którego nikt nie szuka.

Klaudiusz Ševković, uczestnik 1. edycji „Big Brothera", ujawnił kulisy powstawania filmu „Gulczas, a jak myślisz…". Okazuje się, że Jerzy Gruza nigdy nie pokazał im scenariusza i często nie pojawiał się na planie. Jerzy odszedł z polskiego kina, ale metoda została.

Prowadząca program „Hotel Paradise" polsko-libijska modelka Klaudia El Dursi wyznała, że swojego syna planowała nazwać Aladyn. Mało kto wie, że oryginalny Aladyn pochodził z Chin. Jak wszystko obecnie.

Jakub Wątor, autor książki „Influenza", zapytany o najbardziej szemraną postać świata influencerów odpowiedział: „Żurnalista. Co roku sprawdzam, czy już pooddawał wierzycielom pieniądze". Żurnalista, zdolny do wszystkiego, uwięziony w ciele niezdolnego do niczego.

Telewizja Media Narodowe zbiera pieniądze na dokument o Jarosławie Kaczyńskim, jak twierdzą, „Bez hejtu, ale i bez wazeliny". Na razie udało im się zebrać kwotę 1180 zł. Wystarczy. Prezes ceni skromne życie.

„O Grzegorz Braun, o Grzegorz Braun, kto zgasić świece tak będzie umiał", śpiewali podczas imprezy w hotelu posłowie Kamil Bortniczuk oraz Dariusz Matecki. Potwierdza to wszystkie mroczne legendy o kwiecie prawicy. W końcu dalszy tekst tej piosenki mówi o jednym łóżku ciało z ciałem.

Marcin Miller, lider zespołu Boys: „Połowa raperów robi lepsze disco polo niż discopolowcy. Na przykład Kizo". Cały kulturowy wdzięk tej wypowiedzi prowadzi do wniosku, że trudno to zrobić gorzej.

Edyta Górniak wyznała, że opuszcza nasz kraj na stałe, gdyż nic jej tu nie trzyma od momentu, gdy jej syn wyprowadził się do Monako. Z historii artystki jasno wynika, że „na stałe" to jej ulubiony kierunek wyprowadzek.

[FELIETON]

Passent

Zimne nóżki

„Zimne nóżki rozchodziły się jak ciepłe bułeczki" – tako rzekła pani Małgorzata, którą poznałam wczoraj w barze Tapas w Sopocie. Nie, nie, nie jest tak, jak myślicie. W odróżnieniu od Janusza Głowackiego i Jerzego Pilcha, którzy chętnie zasiadali w pierwszych rzędach barów i kafejek, by oceniać wdzięki promenujących się bulwarami dziewcząt, ja w Tapasach wylądowałam bez lolitek w pareo, ale z dwiema kobietami pracującymi w wieku 50 plus. Panowie literaci siedzieli w sopockich ulach i spatifach bardziej dla rozkoszy wojeryzmu niż randek w sensie ścisłym. Ja z moimi „dziewczynami" spotkałyśmy się na debacie panelowej w czasie festiwalu „W ramach Sopotu" i rozmowa przeniosła się nam do Tapasów.

Pani Małgorzata z sopockich Tapasów, która pracuje tam jako kelnerka i twórczyni pierogów, nie tylko potrafi zaskoczyć językową akrobacją, ale też zaprzecza ewolucyjnym ograniczeniom naszego gatunku. Co prawda każda z jej dłoni ma pięć palców, lecz to tymczasowe. Nie zdziwię się, jeśli jutro pani Małgosia zaśnie umęczona po pracy i obudzi się rankiem z sześcioma palcami w każdej z dłoni. Nigdy nie widziałam kelnerki, która potrafi w jednej ręce trzymać pięć kieliszków i kilka talerzy, a w drugiej… W drugiej bałam się spojrzeć, by spojrzeniem nie wytrącić jakiejś wieży filiżanek.

Często bywa tak, że kobiety same z siebie opowiadają mi swoje historie – trudno powiedzieć dlaczego, może z braku uważnych mężczyzn na świecie, a może przypominam jakieś urządzenie nagrywające, rodzaj aparatu szpulowego, na który kobiety mi się nawijają. Małgosia ma lat sześćdziesiąt kilka, energii więcej niż wszystkie wulkany Islandii, a uśmiech jej sięga od Opery Leśnej do willi Ernsta Claaszena, mimo że zasuwa w kuchni i w sali jadalnej. Pracowała kilka lat w Kanadzie i to w tejże Kanadzie pojawia się motyw zimnych nóżek. Małgosia po przyjeździe do krainy Inuitów i hokeja trafia za ladę do polskiego sklepu rzeźniczego, gdzie zauważa, że w Kanadzie w sklepach mięsnych sprzedaje się świnie bez kopyt. Na tym etapie historii zastrzygłam swym uchem wewnętrznym intensywniej, bo jako osoba mięsożerna całe życie zwracam uwagę na to, by z szacunku do ofiary i planety zjadać całe zwierzę – wraz z podrobami, uszami, ozorem i szpikiem. „Dlaczego nie sprzedajemy nóżek?", pyta Małgosia szefa. „Nie no, co ty, oni tu nie kupują nóżek, zapomnij", stwierdził szef. Jak wiadomo, najlepsze pracowniczki to takie, które nie potakują bezmyślnie, tylko proponują rozwiązania. Małgosia „uratowała" nóżki z przemiału i przyrządziła w domu dwadzieścia porcji. Oczywiście po paru tygodniach nóżki stały się hitem, a klienci musieli się zapisywać na listę oczekujących. I tu padło słynne zdanie Małgosi o ciepłych bułeczkach.

Nie jestem pewna, czy w wieku pani Małgosi będę jeszcze żyła, ale obserwując coraz większą grupę energicznych i pracujących Polek, zaczynam podejrzewać, że nie mam wyjścia. Rząd premiera Tuska dobrze o tym wie, dlatego zupełnie nie spieszy się do jakiegokolwiek dialogu z Polakami na temat wydłużania wieku emerytalnego. W Tapasach towarzyszyły mi dwie kobiety w wieku 50 plus. Ania pracuje na wysokiej pozycji w samorządzie, Ewa w promocji. Do emerytury im daleko. „Ja się ciągle szkolę, uwielbiam młodych, uczę się od nich". „Pięćdziesiątka to dobry czas, by przycisnąć z robotą. Powiem ci, że jeszcze dziesięć lat temu nie wzięłabym tego awansu, bo musiałam opiekować się chorym ojcem, a dzieciaki były w szkole. Teraz mam więcej czasu. Ojciec nie żyje, syn pracuje". „U mnie to samo, mówi druga sopocianka. Jej córka jest pracowniczką humanitarną. A to Niger, a to Ukraina. Czy ty wiesz, że w tym Nigrze było tak niebezpiecznie, że ona mogła tylko po wyznaczonych ulicach się przemieszczać?". Ania wreszcie ma czas nie tylko na ambicje w pracy, ale i na wymarzone wakacje. Wróciła… z Kirgistanu, gdzie jeździła konno. To się porobiło.

Na pewno jestem w bańce, ale jednak nie będzie łatwo wcisnąć masowo Polkom tego babciowego… Są babcie, które zarabiają lepiej niż córki i zięciowie razem wzięci. Wspominamy sobie w Tapasach panel na temat sztuki współczesnej i głosy artystek mówiące o tym, jak ważne są dla nich pobyty na tzw. rezydencjach. To jedyne dni rozłąki z dziećmi, czas tylko dla nich. Matki Polki pracujące dźwigają na sobie taki ogrom życiowych etatów, że aby odciągnąć je od pracy, trzeba aż rezydencji. Fortelu. Usprawiedliwienia. Nie, nie. Nie jesteś na płatnym urlopie. Na taki nie zasłużyłaś. Nie, nie porzuciłaś dziecka z egoizmu. Jesteś usprawiedliwiona. Jesteś rezydentką.

Dlaczego, będąc dawno w wieku emerytalnym, panie Małgosie nadal harują? Z rozpędu. Najpierw kilka lat pomagają córkom. Córki zostają same z dzieckiem i bez alimentów. A potem muszą zarobić na godną śmierć, która jest luksusem. Na fajny babski dom opieki sobie odkładają. Ciekawa logika: babcie pracują, by wyręczyć alimenciarzy. Po co chłop ma się urabiać, po co córcia ma „borykać się z komornikiem", „facet w końcu czasem na weekend małą weźmie, po co zaogniać sytuację" – babcia żadnej pracy się nie boi. Zimne nóżki, kasa w Biedronce, biuro księgowe, promocja – cztery ręce po sześć palców. Czy tu leży klucz do zagadki długu alimentacyjnego?

Według rejestru dłużników Big InfoMonitor z 2023 r. milion dzieci nie otrzymuje alimentów. Wśród dłużników 94 proc. to tatusiowie. Dżentelmeni ci, jak widać, śpią spokojnie, bo zawsze znajdą się babcie Małgosie. Podczas gdy kobiety zapracowują się i doszkalają, gdzie są mężczyźni? Ci, którzy nie przebywają akurat na wycieczkach w Sopocie, ci, którzy nie wylądowali w trumnie, na kardiochirurgii lub leczeniu nerwic, mam nadzieję, że udają się na Pierwszy Kongres Mężczyzn w Krakowie. My i wasze dzieci potrzebujemy pomocy w walce z patriarchatem, który wszystkich doprowadza do zimnych nóżek.

AGATA PASSENT

[FELIETON]

Wicha

Ung. Wilkinsonii

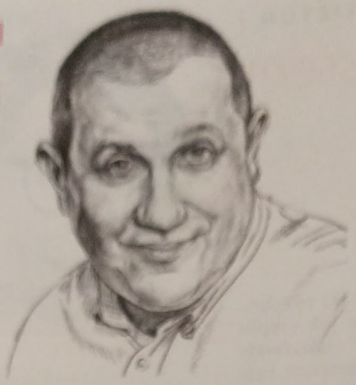

Wiosna w Warszawie jest wesoła i bezmyślna jak pies spuszczony ze smyczy. Wszędzie jej pełno. Wiosną Warszawa na chwilę staje się tym miastem z piosenek. Widokiem z kalendarzy i pocztówek. Okładką albumu wręczanego zagranicznym delegacjom i laureatom międzyszkolnych konkursów.

Wkrótce wszystko utonie w zielonej masie. Na razie oglądamy próbki nowego tynku na starej elewacji. Wspólnota lokatorów nie potrafi wybrać. Próbuje różnych kolorów i kształtów. Liście pomarańczowe, liście żółte, liście fluorescencyjne jak kamizelka ostrzegawcza, liście różowe, czerwonobrązowe, czerwone, białe. Liście lepkie, wilgotne, poskręcane, ażurowe, nitkowate, włochate. O tej porze roku żałuję, że nie jestem malarzem. Kompletnie bez sensu, bo malarze już dawno nie zajmują się takimi rzeczami.

•

Tej wiosny politycy krążą po świecie. Jedni kierują się do Pekinu, inni do Nowego Jorku. Robią tajemnicze miny, coś sobie obiecują, coś przyrzekają. Podpisują tajne protokoły i szykują największą na świecie układankę z domina. Trwa spór o to, kto popchnie następną kostkę.

Izrael masakruje Gazę. Rosjanie idą na Charków. Chińczycy szykują się na Tajwan. Wojna z Iranem wisi w powietrzu. Polski rząd radzi, jak spakować plecak ewakuacyjny (pewnie do Rumunii). Przyjaciele mimochodem wspominają, że opróżnili piwnicę albo odnowili znajomość z jakimś gościnnym Holendrem lub Duńczykiem.

Przez rok czekałem na wiosnę, a teraz nie wypada o niej pisać. Wiosna stanowi naruszenie ustawy o szczególnej powadze w okresie wojen i niepokojów. Publicyści poruszają wyłącznie ważne Tematy i Zagadnienia. Wypowiadają się o Sprawach. Zajmują Stanowiska. Głupio mi z tą wiosną.

•

„Epoka powojenna minęła. Żyjemy w nowych czasach: w epoce przedwojennej" – ogłosił premier Tusk. W świecie mojego dzieciństwa „przedwojenne" oznaczało „dobre". Przedwojenne było prawie jak zagraniczne. Każdy ślad przedwojenności przydawał przedmiotom i budynkom rangi. Przedwojenny klinkier. Przedwojenne posadzki. Przedwojenna klamka.

Przedwojenne rzeczy uchodziły za solidne, starannie wykonane i eleganckie. Oczywiście mieliśmy do czynienia z tym, co statystycy nazywają „błędem przeżywalności". Cała uwaga skupiała się na obiektach, które przeszły proces selekcji. Wnioskowaliśmy z przedmiotów, na których komuś zależało, które okazały się wystarczająco cenne i użyteczne, żeby przetrwać. Wystarczająco duże lub wystarczająco małe. Łatwe do ukrycia lub odporne na ciosy. Inne dawno spłonęły, zbutwiały, zardzewiały, zapadły się pod ziemię.

W naszym domu prawie nie było starych rzeczy, zaledwie kilka, ale pamiętam je wszystkie. Puszkę po herbacie ozdobioną dżonkami na tle pagód. Puszkę po kakao z panoramą kolonialnych stereotypów. Puszkę po tytoniu z sylwetką oficera marynarki (ORP Art Déco). Tę ostatnią postanowiłem kiedyś umyć za pomocą proszku do prania. Zanim zrozumiałem swój błąd, proszek wgryzł się w farbę i przeżarł kadłub okrętu. Kapitański mundur pokryły białe smugi. Mogłem się pocieszać, że wyglądały jak ślady soli morskiej.

Na honorowym miejscu stał kamionkowy słoik z napisem „Ung. Wilkinsonii". Mój kuzyn musiał pójść na medycynę, żeby wyjaśnić nam znaczenie tych słów. Odtąd ceniliśmy naczynie nawet bardziej, ponieważ „maść na świerzb" brzmiała wyjątkowo przedwojennie.

Pamiętam też długie debaty nad treścią cennika wyrobów masarskich. Pochodził z lat 30. Nazwy niewiele nam już mówiły. Cała rodzina snuła teorie, czym mogły być „dwudziestki para" (w cenie 50 gr). Co znaczył „zyle gotowany" (5 zł) i jak smakowała „mortadel cytrynowa" (3,50 zł). Nikt się nie spodziewał, że kapitalizm wkrótce powróci, pojawią się eleganccy butcherzy, historyczne mapy krowich ciał znowu będą w użyciu.

•

Może to był Dzień Dziecka, może początek wakacji. Przechodziliśmy z matką przez park Morskie Oko. Wzdłuż krawężników leżał puch z topoli. Trwał apatyczny festyn z watą cukrową, pokazami magika i zespołem dziecięcym. Resztka publiczności liczyła, że w końcu doczeka się jakichś lepszych atrakcji. Podczas festynu na Szczęśliwicach rzucili enerdowskie budziki.

Spotkałem kolegę z klasy. – Podobno potem ma być Fogg – powiedział. Nigdy wcześniej nie słyszałem tego nazwiska. Nie byłem nawet pewien, że to nazwisko. Może raczej nazwa? Odniosłem jednak wrażenie, że chodzi o coś deficytowego. Udzielił mi się nastrój wyczekiwania. Koniecznie chciałem zostać przy prowizorycznej scenie, ale matka nie dała się namówić. Nie przepadała za festynami i darzyła silną niechęcią seniorów polskiej estrady. Powędrowaliśmy do domu. Pomnika batalionu Baszta chyba jeszcze nie było, tylko tablica z liczbą rozstrzelanych powstańców. Minęliśmy też mroczny instytut, gdzie trzymali morskie świnki, sklep z obuwiem i Dom Wedla ze śladami luksusu.

To musi być fałszywe wspomnienie, ale jakoś wciąż wierzę, że tamtego popołudnia widziałem starszego pana w białym garniturze. Sztywno wyszedł na scenę, potem wymruczał do mikrofonu „Pierwszy siwy włos". A może to była „Ta ostatnia niedziela"?

Na wszelki wypadek dbajmy o tegoroczną wiosnę. Będzie co idealizować.

MARCIN WICHA

[FELIETON]

Chutnik Plebanek

Legofobia

Czytamy coraz więcej – ta wiadomość rozgrzała internet do czerwoności. Jak tu się nie cieszyć z najnowszych danych Biblioteki Narodowej, skoro wedle statystyk zwykle plasowaliśmy się w ogonie Europy, zyskując łatkę słabych czytelników. Już Józef Ignacy Kraszewski zdiagnozował u Polek i Polaków legofobię, czyli wstręt przed czytaniem. Ale rąk nie załamał, tylko zalał rodaków i rodaczki własną produkcją literacką. „Wyzwolił nas z rodzimego mugolstwa, czyli nieczytania po polsku", pisze o Kraszewskim profesor Ryszard Koziołek w znakomitej książce „Dobrze się myśli literaturą" (wyd. Czarne).

2023 był to dziwny rok, chciałoby się zakrzyknąć za mistrzem, bo aż 43 proc. Polek i Polaków przeczytało co najmniej jedną książkę. Poziom czytelnictwa wzrósł o 9 pkt proc., najwięcej od dekady. Czytanie wciągnęło mężczyzn między 25 a 39 rokiem życia i nastolatki. Może to być zasługa kwitnącego rynku literatury młodzieżowej (young adult), ale nie tylko. I tu nasunął nam się kolejny optymistyczny wniosek: Polacy chcą fabuły. Niekoniecznie autorstwa Kraszewskiego, ale już Sienkiewicza tak. Z żyjących autorów popularne są kryminały Remigiusza Mroza i Harlana Cobena. W tym gronie znalazła się też kobieta, pisarka Katarzyna Bonda (gratulujemy!).

Powieść o wyraźnej fabule bywa w Polsce pogardzana, traktowana jak głupsza siostra książki splecionej z eksperymentów lingwistycznych. Tymczasem w Anglii jest odwrotnie, tam historia, która nie wciąga narracyjnie, nie ma szans na powodzenie. Ten trend najwyraźniej rozgościł się i w Polsce, a może zawsze tu był, tylko nie dochodził do głosu. Ujawnił się w badaniach BN.

Na pisarskim zapleczu toczy się pozytywistyczna praca, by twórcom zapewnić ludzkie warunki. Życie z pisania w większości przypadków oznacza klepanie biedy i nie ma w tym nic romantycznego. Pisarz nie dostaje stałej pensji, pracuje zwykle na umowy zlecenia, od których nie można odprowadzać składek na ZUS. Większość z nas nie ma zatem nadziei na emeryturę, część nie posiada ubezpieczeń społecznych. I nie mówimy tu wyłącznie o zarabianiu na publikowaniu książek, tylko o szeroko pojętej pracy pisarskiej, łącznie z różnymi formami literackimi, spotkaniami autorskimi itp. Nie każdy może pozwolić sobie na dodatkową pracę na etacie, która pożre czas przeznaczony na pisanie, research, promocję. Poza tym, czy oczekujemy na przykład od szewca lub nauczycielki dodatkowej pracy, która nie jest związana z ich głównym zajęciem?

Tę niesprawiedliwość dostrzegła Unia Europejska. Podczas trwającej właśnie belgijskiej prezydencji w mieście Namur odbyła się konferencja na temat praw autorskich. Nie obyło się bez niejasności. „Rozumiem twórców, bo sam po pracy czasem muzykuję", zaczęło wypowiedzi kilkoro prelegentów. Wtedy na scenę weszła Stéphanie Le Cam, specjalistka od prawa autorskiego, i kwestię wyprostowała: „Trzeba wyraźnie zaznaczyć różnicę między twórcami zawodowymi a amatorami". Nie chodzi tu o snobizm, a wyłącznie o źródła dochodów. Muzykujący, piszący, tańczący amatorzy żyją z pensji urzędniczych czy innych, w zależności od wykonywanej pracy. A twórcy zawodowi utrzymują się z dochodów ze swojej pracy, w tym przypadku twórczej. To, co robią, znajduje odbiorców, ludzie chodzą na ich koncerty, oglądają ich filmy, czytają ich książki. Jednak nie każdy rodzaj twórczości wiąże się z dużymi zarobkami, a jest potrzebny, bo spełnia rolę kulturotwórczą.

Większość prac na świecie jest regularnie wynagradzana. Ale wykonując zawód twórczy, trafia się na bagno kulawych przepisów i złych praktyk, w wyniku których o artystach zawodowych myśli się tak samo, jak o amatorach. Czasem w ogóle próbuje się ich nie wynagradzać. „Ma tworzyć, to i tak będzie tworzył", deklarują co bardziej cyniczni. Niezrozumienie tematu, mylenie pojęć dotyczących tworzenia zawodowego i amatorskiego widać było wyraźnie na konferencji w Namur. Do grona blisko trzystu osób zajmujących się prawami autorskimi w Unii Europejskiej zaproszono jedną (jedną!) profesjonalną twórczynię, pisarkę Ninę George, honorową prezeskę Europejskiej Rady Pisarzy, do której należy Unia Literacka, polskie stowarzyszenie pisarek i pisarzy. Projekt Stéphanie Le Cam powinien wejść w życie. Nadanie formalnego statusu artysty twórcom zawodowym (tak jak jest w Belgii, na podstawie dorobku i zeznań podatkowych), pozwoliłoby zagwarantować im pensje, ubezpieczenia i dostęp do świadczeń socjalnych.

Sytuację twórców pogarsza dodatkowo obecność sztucznej inteligencji, bo firmy tworzące narzędzia AI korzystają nieodpłatnie z efektów naszej pracy. Książki, obrazy, filmy są zasysane i służą do ćwiczenia algorytmów. Artystom się za to nie płaci, za to korporacje zgarniają krocie. Przepisy zapobiegające tym dzikim praktykom dopiero się tworzą. W Namur podczas debaty o prawach autorskich w kontekście sztucznej inteligencji obok siebie usiadły pisarka Nina George i przedstawicielka Google, Nevena Kostova. Nie ma sensu przytaczać argumentów stron, bo trudno, żeby twórcy, których dziełami bezpłatnie obraca się w sieci, czyli de facto się je kradnie, uznali, że używające ich koncerny mają wobec pisarek, muzyków czy malarzy dobre intencje. Poruszająca była za to końcówka tej rozmowy. Kiedy Nina George powiedziała: „Wierzę, że sztuka tworzona przez ludzi nas uratuje", dostała wielkie brawa. Gdy pracownica Google podsumowała, że artyści będą wkrótce tworzyć dzięki modelom AI, odpowiedziała jej martwa cisza.

Reakcja sali napawa optymizmem. Była ludzka. I to nas (może) uratuje.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

Egzamin ze zdrowego rozsądku

W polskiej szkole stres to lekcja codzienna dla uczniów. System jest tak skonstruowany, że dokłada go nawet tam, gdzie nie trzeba.

Jak inaczej wytłumaczyć to, że żadne certyfikaty językowe nie upoważniają ucznia do zwolnienia z egzaminu maturalnego? Egzaminy międzynarodowe typu CAE, CPE czy TELC spełniają wymagania określone dla polskiej matury, ich poziom jest często wyższy, a mimo to uczniowie posiadający takie certyfikaty muszą przystąpić do polskiej matury z języka. Dla przykładu weźmy na tapet język angielski. Egzamin dojrzałości na poziomie podstawowym odpowiada poziomowi B1 w skali ESOKJ (Europejskiego Systemu Opisu Kształcenia Językowego), a na rozszerzonym – poziomowi B2. Dziecko koleżanki zdało egzamin CAE na najwyższą ocenę A, czyli jego znajomość języka to poziom C2 – dwa szczeble wyżej niż matura rozszerzona z angielskiego. Ale o zwolnieniu z matury może jedynie pomarzyć.

Absurd na tym się nie kończy. Z certyfikatem CAE z angielskiego, wedle rozporządzenia ministra edukacji, można uczyć. Mamy więc sytuację, gdzie to samo ministerstwo z jednej strony daje zielone światło osobom z tym certyfikatem do nauczania w szkole, a z drugiej nie uznaje go jako wystarczający do zwolnienia z egzaminu językowego na maturze. Życie zatem może zaserwować taki scenariusz, że uczeń z certyfikatem językowym będzie na maturze odpytywany przez nauczyciela, który ma taki sam certyfikat, ale np. zdany na niższą ocenę.

Już słyszę zarzuty, że przecież skoro dziecko jest tak dobre z języka, to w czym problem, aby napisać maturę? Matura to duża dawka stresu dla młodzieży i rodziców. Po co przy klarownej sytuacji go dokładać? Ta młoda osoba włożyła już dużo wysiłku w przygotowania, robiąc je jako rzecz dodatkową, poza wymiarem zajęć szkolnych. Doceńmy to.

I jeszcze słowo o równości szans edukacyjnych, bo ta kwestia zawsze się pojawia w przypadku egzaminów, które nie są darmowe. Przygotowania do egzaminu językowego nie muszą oznaczać drogiego szkolenia dostępnego jedynie w większym mieście. Duże miasto jest przecież teraz online. Kursy są dostępne dla każdego. Dlaczego piszę o płatnych kursach – miało być o równości szans? Pieniądze stoją również za przygotowaniami do olimpiad, które zwalniają z matury. I jakoś mówi się o tym niewiele i nie jest to przeszkodą w uzyskaniu zwolnienia. Zakres materiału na olimpiadach mocno wykraczą poza program szkolny i spora grupa młodzieży – a może bardziej rodziców – decyduje się na kosztowne kursy czy korepetycje. Różnica polega na tym, że egzamin językowy jest płatny. Olimpiada nie.

Warto tutaj dodać, że akurat do egzaminu językowego takiego jak CAE można przygotować się samodzielnie – tak zrobiła córka znajomej i parę osób z jej otoczenia. Jest mnóstwo materiałów dostępnych online. Drogie książki można kupować z drugiej ręki lub wspólnie z innymi i się nimi dzielić. Trzeba zobaczyć, co da się znaleźć w bibliotece. Samodzielne przygotowania uczą systematyczności, wytrwałości – cech, które z pewnością przydadzą się w dorosłości.

Do olimpiady z matematyki czy fizyki dużo mniej osób będzie w stanie przygotować się samemu i w rezultacie koszty znacznie przekroczą cenę egzaminu językowego. Wygląda jednak na to, że przy rozważaniach o równości szans pod uwagę brane są tylko koszty oficjalnie znane.

Cena egzaminu CAE to 700 zł. Tego nie da się obejść. Są jednak różne sposoby, żeby takie pieniądze zdobyć. Można zawalczyć o stypendium naukowe – to jest jedna ścieżka. Ale szkoła średnia to przecież nie ma być jedynie nauka – więc nie widzę w tym nic złego, by młody człowiek zarobił te kilkaset złotych. Taka dodatkowa lekcja zaradności.

W systemie szkolnictwa jest dużo do naprawy. Ale są też rzeczy łatwe do wprowadzenia. Zwolnienie z egzaminu językowego na maturze, jeśli ktoś ma certyfikat językowy na takim samym lub wyższym poziomie, jest jedną z nich. Można tym ruchem docenić młodzież, która robi coś więcej lub inaczej dochodzi do tego samego poziomu, co matura z języka. Egzaminy językowe są ustandaryzowane znacznie bardziej niż egzamin dojrzałości, więc nie mamy się czego obawiać, jeśli chodzi o ich jakość. Część uczniów może świadomie wybrać certyfikat, żeby zmniejszyć sobie ilość stresu na maturze. Inni zrobią to, bo certyfikat przyda im się też w drodze na uczelnię czy już na samych studiach. Wyjdźmy naprzeciw tym potrzebom.

Mam nadzieję, że do matury w 2025 r. nowej pani minister uda się tę zmianę przeprowadzić. Obiecuję opowiedzieć, jak została przyjęta wśród młodzieży.

MONIKA BOROWIAK

REKLAMA

24 NAGRODY NAUKOWE

Przez 23 lata wsparliśmy 377 naukowców kwotą ponad 7 000 000 zł

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Wypełnij formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia
Czekamy do 12 czerwca!

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2024

Dr Irena Eris

Patron medialny TOK FM

© AKPA

Naczelny POLITYKI z nagrodą ZAiKS-u

W Domu pod Królami, swojej warszawskiej siedzibie, Stowarzyszenie Autorów ZAiKS wręczyło po raz 55. doroczne nagrody. 20 kwietnia odebrali je m.in. autorzy i autorki przekładów, popularyzatorzy polskiej muzyki i artyści wizualni (pełna lista nagrodzonych na stronie zaiks.org.pl). W doborowym gronie laureatów Nagrody 100-lecia ZAiKS-u (m.in. Maria Poprzęcka, Marek Koterski, Zygmunt Krauze) znalazł się redaktor naczelny POLITYKI **Jerzy Baczyński**. Odbierając statuetkę, dziękował Stowarzyszeniu Autorów ZAiKS za wsparcie Paszportów POLITYKI – szczególnie ważne w trudnych latach bojkotu nagrody przez władze publiczne. I obiecywał dalszą promocję polskich artystów na naszych łamach.

Minister Bartłomiej Sienkiewicz nie pojawił się na gali nagród Stowarzyszenia, ale przesłał list, w którym opisał organizację jako „partnera czasem wymagającego, dzięki któremu władza staje się lepsza, a nie gorsza". Wśród nagrodzonych znaleźli się także inni autorzy znani z łamów POLITYKI (Stefan Szczepłek, Jarosław Szubrycht), a honorowym członkiem ZAiKS-u został jego wieloletni prezes Janusz Fogler. Nagrody wręczał obecny prezes Stowarzyszenia Miłosz Bembinow wraz ze swoimi zastępcami: **Michałem Komarem** i Feridem Lakhdarem.

Akcentem artystycznym gali był występ Jana Emila Młynarskiego (laureata tegorocznej nagrody ZAiKS-u za popularyzację muzyki rozrywkowej) i jego tria jazzowego. Usłyszeliśmy piosenki Mariana Hemara, Henryka Warsa czy Wojciecha Młynarskiego, którego „Po Krakowskim w noc majową" zamknęło oficjalną część wieczoru.

REDAKCJA

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

Wydawca: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-50

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca), Michał Sutowski, Bartek Chaciński, Paweł Reszka (wydanie cyfrowe)

SEKRETARIAT REDAKCJI
Beata Bulgakow, Urszula Mazurczyk (asystent), Dorota Szwarcman (redaktor działu Opinie)

BIURO PRASOWE
Ilona Dębicka tel. 22 451-60-22
Ilona Wiśniewska tel. 22 451-61-84

SEKRETARIAT:
Anna Dąbrowska tel. 22 451-60-15
Ewa Siedlecka tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

Dział Polityczny i Komentatorzy
Mariusz Janicki *(kier.)*, Anna Dąbrowska, Rafał Kalukin, Adam Krzemiński, Paweł Reszka, Ewa Siedlecka, Adam Szostkiewicz, Wiesław Władyka, Jacek Żakowski

Dział Krajowy
Jacek Kowalczyk *(kier.)*, Martyna Bunda *(z-ca kier.)*, Ewa Wilk *(koment.)*, Zbigniew Borek, Joanna Cieśla, Juliusz Ćwieluch, Edyta Gietka, Katarzyna Kaczorowska, Marcin Kołodziejczyk, Violetta Krasnowska, Marta Mazuś, Joanna Podgórska, Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha, Agnieszka Sowa

Dział Ekonomiczny
Joanna Solska *(red. działu)*, Adam Grzeszak, Cezary Kowanda, Marcin Piątek

Dział Zagraniczny
Łukasz Wójcik *(kier.)*, Marek Ostrowski *(koment.)*, Artur Domosławski, Jagienka Wilczak, Jędrzej Winiecki

współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm), Tomasz Zalewski (Waszyngton)

Dział Kultury
Bartek Chaciński *(kier.)*, Aneta Kyzioł *(z-ca kier.)*, Jakub Demiańczuk, Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński, Justyna Sobolewska, Dorota Szwarcman, Janusz Wróblewski

Dział Nauka/projektpulsar.pl
Karol Jałochowski *(kier.)*, Katarzyna Czarnecka *(z-ca kier.)*, Marcin Rotkiewicz, Edwin Bendyk *(koment.)*, Agnieszka Krzemińska, Paweł Walewski

Dział Historyczny
Marian Turski *(kier.)*, Tomasz Targański

Stali Felietoniści
Sylwia Chutnik, Jan Hartman, Ryszard Koziołek, Renata Lis, Sławomir Mizerski, Agata Passent, Grażyna Plebanek, Stanisław Tym, Marcin Wicha

Dział Projektów Specjalnych
Zofia Leśniewska, *tel. 22 451-61-93*

Dział Dokumentacji
Iwona Kochanowska *(kier.)*, *tel. 22 451-61-44*

PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(dyr.)*
Polityka.pl Łukasz Lipiński *(szef serwisu)*, Zbigniew Pendel *(z-ca)*, Aleksandra Żelazińska *(z-ca, media społecznościowe)*, *tel. 22 451-87-88*, Norbert Frątczak, Anna Kowalska, Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner
Wydania cyfrowe Anna Dobrowolska *(red. prow.)*

GRAFIKA I TECHNIKA
Dział Graficzny Joanna Mucho *(kier.)*
Dział Foto Wojciech Leliński *(kier.)*
Korekta Zofia Kozik *(kier.)*

ADMINISTRACJA, FINANSE
Recepcja *tel. 22 451-60-89*, Jadwiga Kucharczyk *(dyr.)*, Halina Cibor *(gł. księgowa)*

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmełonek *(dyr.)*, *tel. 22 451-61-85*
Anita Brzostowska *(z-ca dyr.)*
Dystrybucja
Marcin Pośnicki *(kier.)*, *tel. 22 451-61-92*
Promocja Dominika Nowak-Kajtowska, *tel. 22 451-62-02*
Dział IT Piotr Filipowicz *(kier.)*

BIURO REKLAMY
Recepcja *tel. 22 451-61-36*, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*, Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo prasowe

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*, e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska, *tel. 22 451-61-00, 451-61-15*
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-75-80*, e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
BGŻ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki: Justyna Sadowska, *tel. 22 451-61-50*, e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad/Graf
www.izbaprasy.pl
PBC
Leipa
PRINTED IN POLAND

TREND

ILUSTRACJA BASIA DZIEDZIC

Wolno być wolnym

Dostrzec przestrzeń, znaleźć w niej spokój i ukojenie – to istota japońskiego konceptu yutori. W sam raz do przetestowania w polską majówkę.

Jest taki film, w którym buddyjski mnich przemierza ulice Marsylii. Powoli. Bardzo powoli. Przez 56 minut, w żółwim tempie, stawia kroki, a widz ma czas, żeby na spokojnie obejrzeć otoczenie, fakturę chodnika. Chociaż jest to film malezyjskiego z pochodzenia mistrza kina Tsaia Ming-lianga („Wędrówka na Zachód"), to doskonale ilustruje japoński koncept *yutori*, który podbija ostatnio internet. Chociaż z pewnością nie jest tak popularny jak *sakura*, czyli rozwijające się kwiaty wiśni symbolizujące i nadejście wiosny, i ulotność każdej pięknej chwili. Drzewa, także w naszej części świata, wydały w tym roku pąki z dużym przyspieszeniem, co jest zarówno efektem globalnych zmian klimatycznych, jak i metaforą rozkręconego tempa życia. *Yutori* jest tego przeciwieństwem – chodzi o to, żeby zwolnić albo nawet się zatrzymać, zyskać przestrzeń wokół siebie, zarówno tę fizyczną, jak i tę mentalną.

W słowniku jisho.org można doczytać, że pojęcie to tłumaczy się jako margines, wolne miejsce, zapas czasu, posiadanie pola manewru. To przyjście na spotkanie dziesięć minut za wcześnie, żeby móc się rozejrzeć, gdzie to się właściwie umówiliśmy. To delektowanie się zdaniem z powieści albo linijką wiersza, bez potrzeby natychmiastowego czytania kolejnej – tak żeby nie zapchać jednego momentu następnym. *Yutori* to rodzaj delektowania się czasem wolnym, głęboki odpoczynek od przebodźcowania. Co znamienne, określenie to wypłynęło w kontekście japońskiego systemu edukacji już w późnych latach 70. – *yutori no jikan*, czyli „rozluźniona edukacja", miała ochronić uczniów przed zmęczeniem, przepracowaniem i w efekcie niewielkim zadowoleniem z dziecięcego i nastoletniego życia. Być może jest to koncepcja, z którą powinni zapoznać się polscy stratedzy szkolnictwa. Bo co to za życie, które oferuje tylko lekcje?

Yutori przebija się do zachodniej popkultury i codzienności w nieprzypadkowym momencie. Walka z przepracowaniem i kapitalistycznym trybem życia (jego wartość mierzona jest zyskiem i efektywnością) to tematy ogniskujące uwagę i generujące coraz liczniejsze wpisy w mediach społecznościowych, czyli współczesnej agorze. Chcemy jako cywilizacja odpoczywać więcej, mieć czas dla siebie. *Work-life balance*, czterodniowy tydzień pracy, nieodbieranie służbowego maila i komórki po godzinach pracy – to pierwsze kroki w kierunku dobrego odpoczywania.

Powolność i przestrzeń, czyli *yutori*, to etap dla zaawansowanych, którzy w ramach relaksu nie odpoczywają na akord – nie wymyślają sobie wciąż nowych rozrywek i nie biegną z tunelu aerodynamicznego na basen czy na grilla u znajomych, by wypaść z niego z ostatnim kęsem halloumi w ustach i ledwo zdążyć do opery. Nie są to też ci, którzy w ramach odpoczynku zapadają się w kanapę i „nadrabiają zaległości" filmowo-serialowo-inne.

W promowaniu bezinteresownego odpoczywania pomaga generacja zetek, która wychodzi ze szkolnych ławek i coraz wyraźniej nadaje ton współczesności, wymyślając takie trendy jak choćby „snail girl", czyli dziewczyna „aktywna" inaczej, działająca w ślimaczym tempie. To pokolenie ma w wyposażeniu umiejętność, której starszym z nas brakuje. Bo relaks dla niektórych stał się rodzajem pracy, tyle że bez żadnej gratyfikacji. Filozof Nick Bostrom pisze wręcz w książce „Deep Utopia", że spokój w naszych społeczeństwach budzi niepokój: „Myślę, że nie ma kraju ani narodu, który mógłby bez lęku oczekiwać ery wypoczynku i obfitości. Zbyt długo byliśmy uczeni, by się starać, a nie cieszyć. Jest to przerażający problem dla zwykłego człowieka, bez specjalnych talentów, aby zająć się sobą, zwłaszcza jeśli nie jest głęboko osadzony w swojej ziemi, zwyczajach czy w konwencjach tradycyjnego społeczeństwa".

W przyjęciu sposobu na bycie w świecie spod znaku *yutori* nie pomagają też tajni agenci kultury zap...dolu, jak choćby wykładowca akademicki i pisarz Alex Soojung-Kim Pang. Na łamach tygodnika „Time" przekonuje, że „niewiele jest rzeczy, które są dla nas lepsze niż regularny odpoczynek. (...) Pomaga nam w byciu bardziej produktywnymi". Czyli oddech od pracy jest tylko po to, żeby lepiej pracować? Może warto tę koncepcję odrzucić. Najlepiej na bardzo powolnym spacerze. ■

Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Ajajaj, horror z AI

Mroczne korytarze, puste bary, dziwne hotelowe hole – *liminal spaces*, czyli **„miejsca graniczne”**, zawładnęły wyobraźnią fanów sztucznej inteligencji. „Liminalny” znaczy „przejściowy”, zawieszony gdzieś pomiędzy. Obrazki (czasem też fotografie, na których uchwycono rzeczywiste plenery) prezentujące takie tajemnicze miejsca, zwykle niepokoją z uwagi na pustkę i brak widocznych źródeł zagrożenia. Ma się wrażenie, że coś czai się za rogiem. To estetyka rodem z filmów grozy, budzących napięcie w oczekiwaniu na *jump scare*. Olga Drenda, pisarka i antropolożka, w „Tygodniku Powszechnym” nazywa je „antymiejscami”: „Przestrzeń liminalna (...) jest anonimowa, ale przez to napełniająca się intensywnymi uczuciami, głównie nostalgii, strachu, ciekawości niesamowitego. Patrzymy w pustkę i zaczynamy dostrzegać widma. Dla kogo gra odbijający się echem radiowy hit w opuszczonym centrum handlowym?”.

Na tworzonych z pomocą AI obrazach zobaczymy korytarze jakby żywcem wyjęte z hotelu Cecil, postapokaliptyczne wizje sieci fast food z klaunem inspirowanym Pennywise'em czy puste parkingi zatopione w neonach. Żeby sobie uzmysłowić, jak takie miejsca wyglądają, można sięgnąć pamięcią do kadrów z serialu „The Last of Us” czy „Stranger Things” albo pustych ulic z czasów pandemii. Tylko po co? Bo lubimy dreszczyk. Według „Journal of Environmental Psychology” (2022 r.) przestrzenie liminalne mają nieco wspólnego ze zjawiskiem doliny niesamowitości w architekturze. Wywołują nieprzyjemne emocje (np. wstręt), bo – w uproszczeniu – odbiegają od normy. Elementy nie pasują, przedmioty mają nietypowe rozmiary. I chociaż generatywna sztuczna inteligencja dąży do przedstawienia świata jak najbardziej prawdziwego, zabiegi, aby efekty jej działania „udziwnić”, są celowe.

Liminal spaces przedostały się do świadomości masowego odbiorcy w sieci dzięki tzw. creepypaście (fikcyjna, straszna historia) ukazującej korytarz z żółtymi ścianami i dywanami. To *backroom* (zaplecze), do którego, przenikając przez ścianę niczym w grze komputerowej, może trafić każdy i zostać uwięziony. Sława tej miejskiej legendy przyczyniła się do popularności filmów z serii „Backrooms” nastoletniego youtubera Kane'a Parsonsa, znanego jako Kane Pixels. Na podstawie jego przerażających wideo ma powstać horror, który sam wyreżyseruje. Jeśli nie znajdą się aktorzy, którzy chcieliby takie miejsca odwiedzić, AI z pewnością i z tym sobie poradzi.

JOANNA TRACEWICZ

Czy oddanie oddaje?

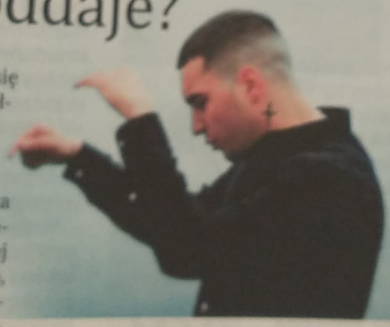

W języku polskim oddaje się masowo: ciosy, głosy, hołdy czy sprawiedliwość. Można nawet – jak ostatnio sobie przypomnieliśmy – oddać władzę. Można też „oddać ducha pierwowzoru”, jak ktoś pisał o serialu „Fallout”. Z kolei ukochanej osobie – oddać serce, a nawet ciało, o czym przypomina stara piosenka Maanamu. Inny utwór, współczesny przebój (10 mln wyświetleń na Spotify i 3 mln na YouTube) **Aleshena „Atlanta”**, sugeruje, że to oddanie serca i ciała może się opłacać: „Ch...wy dzień, za to noc oddaje/ Patrz, ona mnie słucha, ja mam ten bajer”. Z tekstu można wnioskować, że nawet jeśli tylko ze sobą rozmawiali, tę noc można było zaliczyć do udanych. Bo w tym znaczeniu „oddaje” oznacza właśnie „opłaca się, zwraca się”. To relatywnie nowa rzecz, zgłaszana do plebiscytu na Młodzieżowe Słowo Roku i wyróżniona w grudniu 2023 r. przez jego jury, m.in. za sprawą ciekawej formy: zawsze trzecioosobowej. Podobnie jak „mrozi”, czyli polski odpowiednik angielskiego słowa *cringe* (żenada, zażenowanie).

W tym znaczeniu nie powiemy o oddawaniu sprawiedliwości, tylko zapytamy o to, czy sprawiedliwość oddaje. Albo czy oddaje oddanie władzy – słowem: czy opłacało się ją zmieniać. W mediach społecznościowych znajdziemy przykłady związane z rozrywką: „Pro8l3m na koncertach zawsze oddaje. Bardzo miłutki sobotni wieczór” albo „Moto GP oddaje! Piękny wyścig!”. Choć znalazłem też przykład edukacyjny: „Te lekcje oddają, nie ma takich dobrych nauczycieli jak on”. Wszystko sprowadza się do gospodarowania czasem – mamy go wiecznie za mało, a we wspomnianych sytuacjach opłacało się go spędzić tak, a nie inaczej. A jeśli powiemy: „Twoja bluza oddaje”? Tu za sugestią, że opłacało się ją kupić, kryje się prosty komplement: ładna, fajna, gustowna. Coraz częściej do tego się sprowadza idea nowego słowa. Mam nadzieję, że dobrze ją oddałem.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Młody człowiek. Kiedy mówi, gadka na osiedlu milknie
Pozbierałem wszystkie loocy, jakby lata grał tu w „Tibię”
Koza, Młody Leszcz i Molinead, Tibia, 2024 r.
loot = łup (w grach RPG, takich jak „Tibia”)

RELACJE

Siostry! Co z wami?

Jak by się miało społeczeństwo bez kobiecych sieci wsparcia? Marnie.

Dziewiętnastowieczna pisarka Narcyza Żmichowska nazywała ten specyficzny typ więzi i przyjaźni „posiestrzeniem". Pod tym hasłem stworzyła nieformalną grupę Entuzjastek, które promowały samokształcenie, działalność konspiracyjną, polityczną, w tym walkę o prawa kobiet. Idea „siostrzeństwa" (ang. *sisterhood*) wróciła z drugą falą feminizmu sto lat później. W obu przypadkach chodzi o to samo: o poczucie wspólnoty i bliskość, która inspiruje, dodaje sił i nadziei. Jaki byłby dziś świat bez kobiecych kręgów?

Karolina Lewestam, pisarka, filozofka, przyznaje, że najwięcej w życiu zawdzięcza właśnie kobietom. Niedawno wydała „Pamiętnik Magdy Kot", kryminał napisany w duecie z przyjaciółką, dziennikarką Anną Masłoń, „książkę o kobiecej przyjaźni, pułapkach miłości i talencie do wpadania w śmiertelne tarapaty". Skąd pomysł, żeby o tym pisać, i to z przyjaciółką? – *Kobieca sieć wsparcia potrzebuje nagłaśniania; bez niej wiele z nas nie dałoby sobie rady* – mówi Lewestam. – *Gdy ci źle, co robisz? Dzwonisz do przyjaciółki. A gdy wali się plan dnia i nikt z rodziny nie może odebrać dzieci, kogo najpierw prosisz o pomoc? Przyjaciółkę, mamę najlepszej koleżanki z klasy córki, znajome. Ja bez tych innych matek, z którymi na zmianę odbieram i odwożę „nasze" dzieci na rozmaite zajęcia, w ogóle nie miałabym szans pracować.* Lewestam przekonuje: kobiece więzi są fundamentem społeczeństwa. Bez nich groziłaby mu erozja. Dlaczego? Skoro tradycyjnie na barkach zastępów kobiet spoczywały sprawy związane z rodziną, domem, obejściem, wyżywieniem, to ich interesy w każdej społeczności były zbieżne: musiały na sobie polegać, budować mocne więzi z siostrami, kuzynkami, ale też sąsiadkami, by wymiennie dzielić się np. opieką nad gromadką kilkulatków.

– *Pod tym względem niewiele się zmieniło. W obliczu problemów wciąż uruchamia się przede wszystkim kobiecą, a nie męską sieć wsparcia* – mówi Lewestam.

Pytanie, komu bardziej ułatwiamy w ten sposób życie: sobie czy mężczyznom? Czy przypadkiem nie utrzymujemy status quo, wierząc, że możemy liczyć tylko na siebie nawzajem? Z „niewidzialnej" pomocy kobiet skwapliwie korzystają wszyscy, mówi filozofka: – *Ogromna, o ile nie przeważająca część codzienności jest obsługiwana przez kobiece kooperatywy – od pracy emocjonalnej, przez zdrowie psychiczne, logistykę, przepływ informacji, po opiekę – i to jest codzienność nas wszystkich, również mężczyzn.*

To, co kiedyś zapewniała wielopokoleniowa, duża rodzina, dzisiaj – w czasach singli i rodzin nuklearnych – spada jeszcze bardziej na barki kobiet. Lewestam przyznaje: z jednej strony mamy prawo być wściekłe na niewydolność takich instytucji jak państwo czy związek. Z drugiej strony dla nas, kobiet, trzymanie się razem jest okazją do rozwoju. – *Podpatrujemy się, naśladujemy, uczymy się rozumieć same siebie. Bliskość innych kobiet nadaje życiu większy sens* – mówi filozofka.

Nie wszystkie mamy tyle szczęścia. Dziś bardziej niż kiedykolwiek kobiety tęsknią za bliskimi więziami z innymi kobietami, ale trudniej im to realizować – takie wnioski płyną z badań dr Sandry Frydrysiak i Marty Majchrzak, autorek raportu o postrzeganiu idei siostrzeństwa w Polsce. Wynika z niego, że w miastach kobiety łączą znacznie słabsze więzi niż na wsi. Dotyczy to zwłaszcza środowiska pracy, gdzie częściej stykamy się z rywalizacją niż ze wsparciem. Obszar, w którym Polki najczęściej się wspierają, to wychowywanie dzieci. Angażujemy się też w pomoc kobietom doświadczającym przemocy seksualnej i domowej.

Wnioski z innych badań prowadzonych przez Martę Majchrzak źle wróżą na przyszłość: nastolatki i młode kobiety spośród wszystkich grup wiekowych najsilniej ze sobą rywalizują. Dziewczyny czują się ciągle oceniane przez koleżanki i dlatego mają tendencję do udawania innych, niż są. Czy to z powodu stałej obecności w social mediach i obsesji na punkcie wyglądu coraz trudniej nawiązywać im wspierające więzi? Aż 60 proc. badanych w wieku 18–24 lat ma wrażenie, iż rówieśniczki… cieszą się z ich porażek. Co z wami, siostry? – chciałoby się zapytać. Ale może winą należałoby obarczyć wyniesione z domów zaburzone wzorce relacji? Stosunki z matkami, babciami i rodzonymi siostrami bywają skomplikowane, pozbawione serdeczności, empatii i wyrozumiałości. Niesprawiedliwe traktowanie, surowe wymagania i oceny niekoniecznie nastawiają pozytywnie do innych kobiet. Mogłybyśmy coś z tym wreszcie zrobić. ■

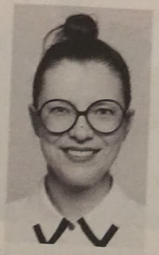

Grażyna Morek – dziennikarka prasowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl", zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

Eko miast

Na małej architekturze nieprzeznaczonej dla ludzi także ludzie mogą skorzystać.

Jeden z najszlachetniejszych znanych elementów budowlanych – architekturę japońskich świątyń zen i shinto – dwa lata temu zaadaptowano w gospodarstwie znajdującym się w osadzie Keihoku do konstrukcji niewielkiego **kurnika**. Osadzony na smukłych palach domek pokryty dwuspadowym dachem powstał z materiałów dostępnych lokalnie: korę klonową zebrano ręcznie, drabinkę prowadzącą do wejścia wycięto z jednego kawałka drewna, a podstawowy budulec to obecny w środowisku krzew cyprysu. Ściany kurnika są ruchome, zgodnie z japońską tradycją otwartego planu, ale i ze względów praktycznych – by ułatwić dostęp do jajek. Nawiązaniem do dziedzictwa jest także konstrukcja, pomyślana tak, by dało się wymieniać elementy bez naruszania całości.

W Holandii z kolei dziesięć lat temu powstał nowatorski tunel dla nietoperzy podpięty do mostu samochodowego, czyli Bat Bridge. Powierzchnia infrastruktury służącej ochronie kilku gatunków nietoperzy jest na tyle szorstka, by mogły do niej przywrzeć łapkami. Specjalny podest pod betonową strukturą służy do rozrodu, który nietoperze przeprowadzają – dla większego bezpieczeństwa i ze względu na ciepło – w koloniach. Oddzielne pomieszczenie w dolnych partiach mostu dostały osobniki hibernujące.

O dizajnie dla ssaków, ptaków i owadów coraz częściej czytamy nie tylko w branżowych publikacjach z dziedziny architektury krajobrazu, lecz także w prasie lifestylowej i popularnej. Projekty pokazywane w mediach społecznościowych zbierają tysiące lajków, a kolejne pokolenia projektantów biorą na warsztat np. temat miejskich uli – u nas to przykładowo **„Sanatorium dla pszczół"**, nagrodzone w konkursie przez galerie BWA Wrocław i PKP SA Do istotnych polskich akcentów należy także zaproponowane przez poznańskie Studio Architects **połączenie lamp z budkami lęgowymi**. O losie i kondycji skrzydlatych pomyślała też Aleksandra Mohr, projektując „domek" dający się zamontować w warstwie ocieplenia budynku. „Wykuty" w tynku otwór zapobiega utracie gniazd m.in. przez jerzyki.

Za dizajnem tego typu, podobnie jak za planami „rozbetonowania" miast w najbliższych dekadach, stoi poparta naukowymi dowodami konstatacja, że żyjemy w środowisku toksycznym, szkodliwym dla zwierząt (czyli i dla nas). Ekolodzy są zgodni, że realistyczne propozycje zmiany tej sytuacji i szeroko zakrojone plany mogą wyjść przede wszystkim od architektów krajobrazu (jako rozumiejących pojęcie naturalnego habitatu) wspartych opiniami zoologów i biologów. Dotychczas temu tematowi nie poświęcano zbyt dużo miejsca, tymczasem zrównoważone wizje rozwoju muszą uwzględniać interesy różnych gatunków zamieszkujących dane środowisko, co wymaga dodatkowych ekspertyz i wydłuża czas realizacji inwestycji. A biorąc pod uwagę ogromną listę aż 157 190 gatunków znajdujących się na Czerwonej Liście Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody, zagadnienie wydaje się naprawdę palące.

Niszowe projekty nie rozwiążą oczywiście kryzysu bioróżnorodności i nie zapobiegną niszczeniu zwierzęcych habitatów, a część dizajnu ma wręcz charakter anegdotyczny i/lub życzeniowy. Są też na szczęście projekty holistyczne, szersze. W taki nurt wpisuje się choćby park Poelzone z nietoperzowym tunelem stworzony przez studio LOLA, rowerową ścieżką, w stawach pluskają się ryby, a na drewnianych rusztowaniach umieszczono gniazda dla ptaków, owadów i małych ssaków. Krzepiące wieści płyną z Australii, gdzie uwzględniając potrzeby jednego z gatunków sowy, projektanci imitują, m.in. za pomocą drukarek 3D, strukturę dziupli, otworów i załomów w drzewach. Jedyna wada – na pomiar sukcesu trzeba czekać długo. ■

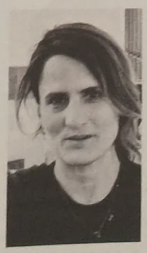

Lidia Pańków – dziennikarka, reporterka, autorka książki „Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego" (wyd. Czarne), asystentka społeczna osób uchodźczych.

© SHUTTERSTOCK, ARCHIVUM PRYWATNE (2), YUKI OKADA, DAWID MAJEWSKI (DLA ULTRA ARCHITECTS), PAULINA KWIATKOWSKA, LESZEK ZYCH

Podróżowanie szlakiem odkryć naukowych i wynalazków zmieniających świat dostarcza podobnych doznań metafizycznych, co obcowanie z cudami natury i dziełami sztuki.

Taniec wielkich anten

PODRÓŻE

Coś się zwarło, coś zaprószyło. Wiadomo tylko, że ogień pojawił się 15 kwietnia 2019 r. Syreny zawyły o 18.20 i chwilę potem oczy całego świata zwróciły się w stronę paryskiej Notre Dame. Wznoszona przez blisko dwa wieki gotycka katedra stanęła w płomieniach. Rozpacz, niedowierzanie. A potem szybka naprawa.

1 grudnia 2020 r. w Portoryko wydarzyła się katastrofa nieporównanie bardziej dramatyczna. Pękły ostatnie stalowe kable utrzymujące antenę nad trzystumetrową czaszą. Dokonał się finalny akt rozpadu teleskopu Arecibo, instalacji tak istotnej dla poznania kosmosu, że jej wizerunek trafił na pokład Voyagera. To z niej jesienią 1974 r. wysłano jedyną wiadomość radiową skierowaną do pozaziemskich cywilizacji. Charakterystyczna, otoczona dżunglą konstrukcja była bohaterką „Kontaktu" Carla Sagana, a potem filmowej adaptacji. Informacje o kolapsie nie przebiły się jednak na pierwsze strony, nie było transmisji. Nie było też napraw. Dalsza eksploatacja byłaby nieopłacalna, a przecież takie urządzenie trudno uznać za zabytek. Ale czy aby na pewno?

Czy stojąc o zmroku na bezkresnych równinach San Agustin w stanie Nowy Meksyk i obserwując taniec synchroniczny 27 monumentalnych anten tworzących obserwatorium **Very Large Array** (VLA), wykonywany pod niebem tak zmiennym, że przywodzącym na myśl żywą istotę, można oprzeć się impulsom metafizycznym? Oto cud techniki zwany interferometrem chwyta ulotne impulsy niewyobrażalnie odległych i gwałtownych zjawisk. Oto prawdziwa świątynia umysłu, tego gałganka neuronów ulepionych z gwiezdnego popiołu.

A jakim porywom wzruszeń można ulec w New Jersey? Znajdujący się w tamtejszym miasteczku Holmdel detektor mikrofal przygodnemu obserwatorowi wyda się fantazją szalonego blacharza, i tylko stanowczy opór miłośników naukowych artefaktów uchronił go przed zakusami dewelopera. Całe szczęście – bo używając tej anteny tubowej, w latach 60. należącej do Bell Telephone Laboratories, Arno Penzias i Robert Wilson dokonali jednego z najdonioślejszych odkryć w historii: potwierdzili istnienie mikrofalowego promieniowania tła, śladów po niemowlęcych latach wszechświata.

Szukając śladów dziejotwórczych odkryć, nie zawsze trzeba ryzykować odwodnienie lub aresztowanie. Czasem wystarczy wysiąść z pociągu, choćby między Oksfordem a Cambridge, w Milton Keynes, Mieście Tysiąca Rond. Tuż obok, w Bletchley Park, podczas drugiej wojny światowej rozstrzygnęły się losy Europy i reszty świata. W drewnianych barakach, w ośrodku, którego istnienie zaczęto odtajniać dopiero w latach 70., znawcy rozmaitych dziedzin deszyfrowali depesze państw Osi. W jednym z nich genialny matematyk Alan Turing łamał szyfry Enigmy. Przy którym stojaku zostawiał swój rower? Można też wybrać się na spacer po warszawskim Lesie Kabackim i odkryć wciąż działający ośrodek, w którym polscy kryptolodzy – Henryk Zygalski, Marian Rejewski, Jerzy Różycki – kładli podwaliny tego, co potem w Bletchley wykorzystał Turing.

Pełno na świecie tego typu celów podróży i wędrówek. Instalacji i urządzeń, dowodów niespożytej naukowej inwencji. Teleskopów dużych i małych. Ogrodów, jak ten w czeskim Brnie, w którym groch zwyczajny ujawniał przed Mendlem prawa dziedziczenia, i wysp, jak Galapagos, gdzie zięby wyśpiewały Darwinowi teorię ewolucji. Wreszcie muzeów nauki, dowodzących, jak bardzo swoją fizycznością wzruszać może fizyczny obiekt – by wspomnieć tylko XVII-wieczne ryciny owadów z „Der Raupen wunderbare Verwandlung und sonderbare Blumennahrung" (Cudowna metamorfoza gąsienic i dziwny pokarm kwiatowy) piórka utalentowanej Marii Sibylli Merian.

Pełno też cmentarzy. Takich jak wiedeński Zentralfriedhof, gdzie leży Beethoven, Brahms, Schubert, czterech Straussów, ale przede wszystkim Ludwig Boltzmann. Na nagrobku tego fizyka-filozofa wyryto: S = k. log W. Równanie to wyraża entropię, miarę nieubłaganie rosnącego nieuporządkowania, zasadę funkcjonowania rzeczywistości, której trwały opór narzędziami nauki i kultury jest w stanie stawić tylko człowiek. ■

Karol Jałochowski – fizyk, w POLITYCE kieruje działem Nauka/projektpulsar.pl, autor filmowej serii dokumentalnej „Pionierzy" i książki „Heretycy, buntownicy, wizjonerzy". Wioślarz i rowerzysta.

Jakie wino do grilla?

Grill to nasz narodowy mebel, danie narodowe i ulubiona narodowa rozrywka. Z okazji inauguracji sezonu polecam najlepsze wina, które do niego pasują.

WINO

Sezon plenerowy rozpoczęliśmy w tym roku z hukiem, miesiąc przed zwyczajowym terminem. Słoneczne 26 stopni w kwietniu to w Polsce wciąż ewenement, ale nie będziemy oponować. Trawa wystrzeliła od razu i od razu została przykryta wzorzystymi kocykami, a ze schowków wyjechał najważniejszy polski mebel na kółkach – grill.

Majówka przy grillu to czas relaksu. Jedni będą go obchodzić w kluczu „Śniadania na trawie" Maneta, inni – klimatów bardziej biesiadnych, ale zawsze jest to okazja do towarzyskich spotkań i ochoczej konsumpcji. To też czas wolności, festiwal różnorodności – każdy je i pije, co chce: mięso albo niemięso, rybę, szaszłyki, ser, grillowane warzywa, sałaty.

Naturalnie pojawia się pytanie – co do tego pić? Tradycyjny Polak™ do grilla sięga po piwo jasne, mocny alkohol (nad tym nie będę się nawet rozwodził) albo takie wino jak na co dzień: czerwone, mocne, z wysokimi procentami i chętnie szczyptą (lub trzema) słodyczy. Wszystkie primitivo stają więc na baczność, choć doprawdy nie jest to wino dostosowane do tej okazji. Czy maj, czy lipiec, przy grillu będzie potrzebna świeżość, której akurat w primitivo jest jak na lekarstwo. Na boisko niech więc wejdą wina przez sześć miesięcy głęboko chowające się w cieniu, czyli rześkie, kwaskowate białe pod wodzą sauvignon blanc, róże oraz lekkie bąbelki w rodzaju prosecco.

Ich świeżość i owocowość zarazem będzie sprzyjała temu, co na talerzach. Bo przecież mamy rok 2024, zatem polski grill to już nie tylko – jak dawniej – karkówka i kiełbasa, ale też plejada lżejszych dań, które zdecydowanie dopraszają się właśnie świętej trójcy nowoczesnego picia: win białych, różowych i musujących. A jeśli czerwonych, to tych prawdziwie lekkich, jak: pinot noir (może być rodzimy, może być nowozelandzki, może być z Burgundii, jeśli grillujemy na bogato, bo w tamtych stronach nic poniżej 150 zł nie da się już dostać), gamay, swojski węgierski kékfrankos czy wręcz eteryczne czerwienie z Moraw. Wiśnie, czereśnie, czerwone porzeczki, szczypta pieprzu, dużo kwasu – tego potrzebujemy, decydując się na czerwone wino na zielonej trawce.

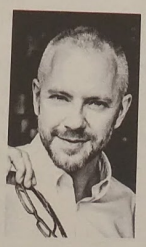

Wojciech Bońkowski
od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Obecnie Chief Wine Officer w Studio Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Oczywiście, zadania grillowe bywają poważniejsze. Oprócz karkówki na ruszt mogą trafić żeberka, befsztyki czy wręcz jagnięcina. Wtedy pora na wina większego kalibru: cabernety, shirazy i malbeki. Nowoświatowe nacje specjalizujące się w winach czerwonych nieprzypadkowo są też wielkimi fankami grillowania. W Australii to wręcz klimatyczna i urbanistyczna konieczność, bo niemal każdy ma dom z ogródkiem i spędza w tym ostatnim każdą wolną chwilę. Tam przy grillu rządzi piwko, ale giętkie, słodkawe, gładkie jak chałka z masłem, czerwienie australijskie też idealnie grają ze świeżo wypieczonymi, soczystymi mięsami i warzywami – nie mają mocno cierpkich tanin tak częstych w winach np. z Francji, które preferują dłużej przyrządzane potrawy w zawiesistych sosach.

Nawet jednak do mocniejszych plenerowych smaków – mięs, grzybów, serów – nie jest błędem pić lżejsze wina. Rioja – czemu nie, chianti – jak najbardziej, czerwone wina z Portugalii są wręcz do takich sytuacji stworzone, a z krajów Nowego Świata wybierzmy RPA i Chile, gdzie powstają wina mniej ciężkie, często bardzo świeże. No i cała plejada różnorodnych bieli – od odświeżającego sauvignon, przez jego bliźniaki verdejo i albariño, zawsze do wszystkiego pasujący riesling, aż po chardonnay. Najpopularniejsza odmiana na świecie miała słabszy okres, została przez ruch Anything But Chardonnay zesłana do kąta, ale teraz wraca w wielkim stylu, bo zaiste nie wymyślono wina bardziej uniwersalnego i elastycznego, które dogada się i z nowalijkową sałatą, i z łososiem, i z kurczakiem, a często i ze wspomnianymi żeberkami.

Krótko mówiąc, o ile unikniemy win zbyt słodkich i zbyt ciężkich, mamy przy grillu szeroki margines winiarskiej wolności. Czy nie o to chodzi przy majówce? ■

Lajver Szekszárdi Bikavér 2019, 39,99 zł (rafa-wino.pl)
Silbón Verdejo 2023, 49,99 zł (elcatador.pl)
Domaine Bouche Crémant de Limoux Brut, 69 zł (festus.pl)
Spy Valley Satellite Sauvignon Blanc 2022, 69 zł (vinify.pl)
Cosse & Maissonneuve Malbec Le Combal 2021, 79 zł (winecorner.pl)

© GETTY IMAGES, ANNA AMAROWICZ, SHUTTERSTOCK, RAFAŁ MASŁOW

Odwołując się do słów prezesa PiS o „dziewiątym zwycięstwie", Piotr Zaremba przestrzega w „Rzeczpospolitej" polityków tej partii: „Niezależnie od motywów takich deklaracji stanowi to część szerszego zjawiska. Iluzja »zwycięstwa« może na dłuższą metę osłabiać w Zjednoczonej Prawicy wolę walki i poprawy własnego przekazu, zamiast ją podsycać, wybierając zamiast niej urzędowy optymizm. Od razu przypominają się czasy prześnej propagandy mediów poprzedniej władzy, które zwodziły rozmaitymi iluzjami także własnych ludzi". Zwłaszcza że Jacek Kurski znów może machać chorągiewką zza pleców zadowolonego z siebie Jarosława Kaczyńskiego.

Zbigniew Girzyński, były poseł PiS, w rozmowie z „Plusem Minusem" o jednym ze źródeł porażki PiS w październiku: „Mariusz Kamiński z Maciejem Wąsikiem tak się zachowywali, że zaszczepili w zwykłych ludziach przekonanie, iż wszyscy są inwigilowani, podsłuchiwani, choć wiadomo, iż to nie jest możliwe. A na dodatek eliminowali ludzi z list, ciekawych kandydatów, którzy stanowiliby wartość dodaną. Robili to pod pretekstem, że oni są podejrzani. Ceniony lekarz, wieloletni parlamentarzysta, świetny były samorządowiec, sprawny minister – nagle dowiadywali się, że nie będzie ich na listach tylko dlatego, że do prezesa przyszedł polski Robespierre i powiedział, że na nich lepiej uważać. Byli wyrzucani z list bez jednego dowodu". Jak wiadomo, brak dowodów to najlepszy dowód.

> Pan Bodnar wytrzepał sobie prokuraturę z rękawa, wymyślił kompletnie bezprawny sposób wyłonienia nowego prokuratora krajowego i zrealizował go wbrew moim protestom – Andrzej Duda. Po spotkaniu z Trumpem prezydent nabrał wigoru.

Prezes IBRiS Marcin Duma zwraca uwagę władzy, co widać w badaniach społeczeństwa (Gazeta.pl): „Im bardziej radykalne rzeczy się dzieją, tym mocniej Twitter będzie klaskał. Natomiast wśród obywateli pojawia się przypuszczenie (...) że jeżeli nowa władza serwuje zbyt gorącą pieczeń rozliczeniową, to po coś. Po co? »Ano po to, żeby odwrócić moją uwagę« – tak ludzie często kombinują. Od czego odwrócić uwagę? – drążymy. »No jak to? Od tych rzeczy, które obiecali, a nie robią«. (...) Mówią wprost: »Słuchajcie, a to nie jest tak, że jeśli oni głównie pchają nam rozliczenia z Kaczorem, to nie chcą robić innych rzeczy?«. I nie mówią tego wyborcy prawicowi, tylko również wyborcy KO". A może da się myć i ręce, i nogi?

Marek Sawicki, marszałek senior i poseł PSL, dzieli się z czytelnikami „Polski" krytycznym spojrzeniem na dokonania nowej władzy: „Mówiąc szczerze, nie spodziewałem się tak słabego startu rządu Donalda Tuska. Gdyby sprawczość rządu była większa, byłyby też głosy wyborców. Proszę zwrócić uwagę, jak wolno idzie wymiana kierownictwa w instytucjach podległych państwu. W wielu miejscach w terenie cały czas rządzi Prawo i Sprawiedliwość, choć przecież straciło ono władzę kilka miesięcy temu". Marek Sawicki jako stary peeselowiec z pewnością ma listę czekających na przydział stanowiska.

Felietonista Attaché, zazwyczaj dobrze zorientowany w polskim światku dyplomatycznym, zwraca uwagę ministra Sikorskiego („Przegląd"): „Lepiej byłoby trzymać się pewnych standardów, więc jeśli żona dyrektora generalnego ma jechać do Londynu jako szefowa Instytutu Polskiego, to zgrzyta. A jeżeli on też ma jechać do Londynu, jako z kolei ambasador – to zgrzyta już bardzo głośno. Ale to plotki, prawda?". Się okaże.

Sygnalista z „Sieci" tropi, sygnalizuje i ostrzega: „Wbrew logice konstytucji i ustaw Daniel Gorgosz został wpisany w KRS jako likwidator TVP. (...) Pytanie: kto »pomógł« w doprowadzeniu do takiego stanu? Czyżby służby? I wniosek: pracownicy torujecie drogę do prawdziwej rewolucji, która postawi państwo polskie na nogi w ciągu miesiąca. Wasze zdrowie!". Pisane po pijaku?

Komentując wyniki wyborów, Konrad Kołodziejski z „Sieci" też zapowiada rewolucję: „Dzisiejsze miasta – wbrew temu, co sądzą o nich ich najbardziej »europejscy« mieszkańcy – wcale nie są bastionami wolności, kultury i demokracji. Jest dokładnie odwrotnie – to skupiska egoizmu, chamstwa, drobnomieszczańskiej głupoty, zaścianka i kompleksów. Jeśli ktoś chce szukać mądrości, to prędzej znajdzie ją na prowincji niż w mieście. I dlatego to na prowincję trzeba dziś chuchać z troską. Jeśli ją ocalimy, być może kiedyś uda się uratować także miasta". Wie, co pisze, jest z Warszawy.

Szef „Do Rzeczy" Paweł Lisicki postawił na ironię jako oręże politycznej polemiki: „Och, od kilku dni spać nie mogę, myśląc o tym, że byłem po złej stronie historii. Ale poprawię się, obiecuję. Będę chwalił każdy amerykański kredyt i dopominał się wręcz, żeby był jak najdroższy, bo tylko tak udowodnię, żem wolny od miazmatów ruskiego miru. Będę wspierać osoby tej samej płci, jak przekazał prezydent Biden. Niech panowie z panami i panie z paniami się żenią. Nie wiem wprawdzie, czy wciąż istnieją panowie i panie, czy istnieją orientacje i pociągi ku sobie, czy też – jak głosi najnowszy prąd – wszystko jest płynne i zmienne. Czekam, co w tej sprawie powie nasz sojusznik". Dziecinada.

KOZA

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

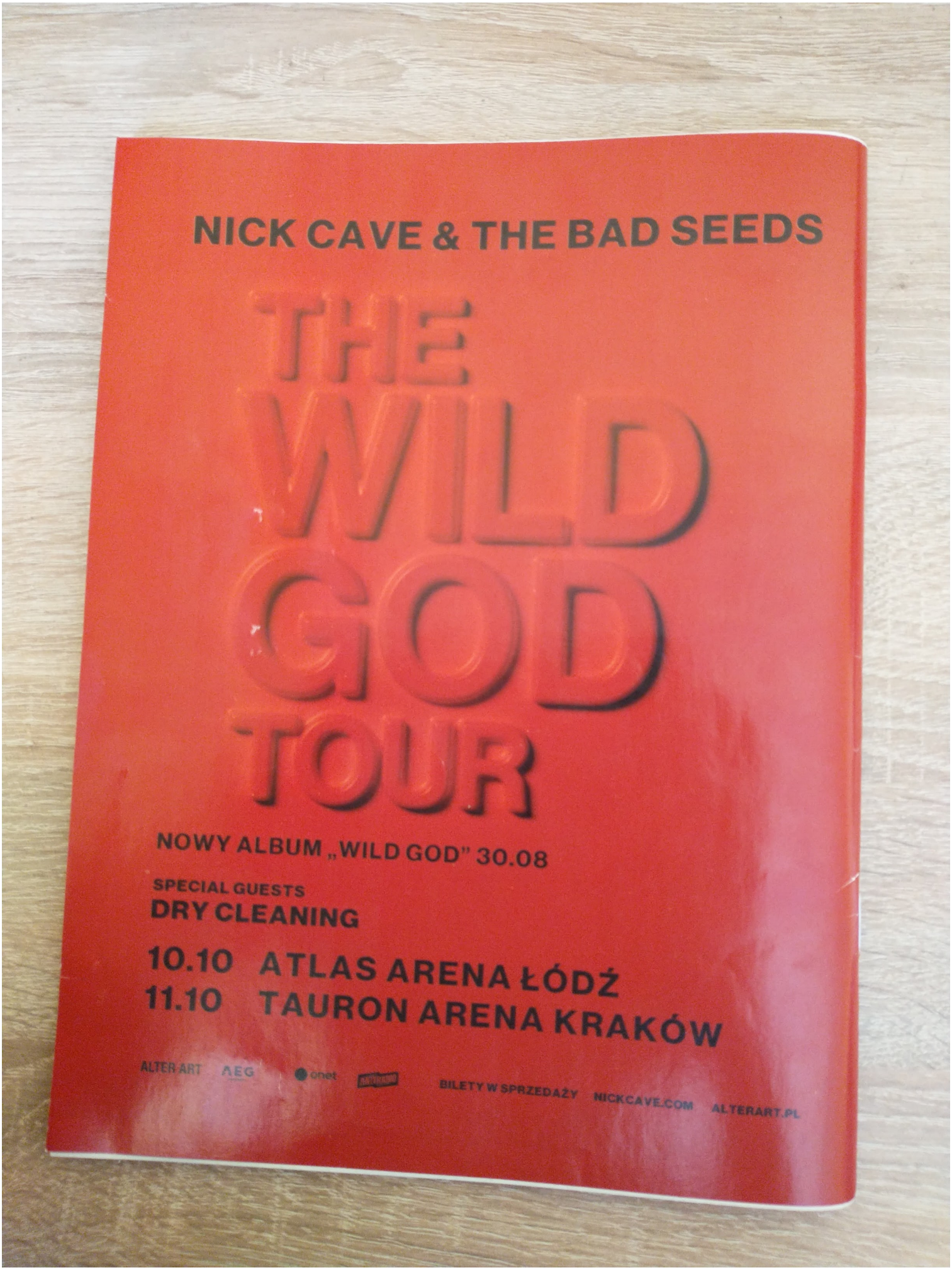
NICK CAVE & THE BAD SEEDS
THE WILD GOD TOUR
NOWY ALBUM „WILD GOD" 30.08
SPECIAL GUESTS
DRY CLEANING
10.10 ATLAS ARENA ŁÓDŹ
11.10 TAURON ARENA KRAKÓW
ALTER ART
AEG
onet
BILETY W SPRZEDAŻY
NICKCAVE.COM
ALTERART.PL